

Tom XI /2013

Autor: Aleksander Ścios (pseudonim)

Tytuł: „BEZ DEKRETU”.

Blog: <http://bezdekretu.blogspot.com> lub

Od 751 - 808

Spis treści

STYCZEŃ	3
751. TOWARZYSZE OD BEZPIECZEŃSTWA	3
752. DROGI ZŁA	4
753. POWRÓT LUDZI W BRĄZOWYCH BUTACH	5
754. TAKI BIZNES	6
755. ŚMIERTELNIE GROŹNY MIT PAWŁA LISICKIEGO	7
756. O FAŁSZYWYCH PROROKACH I ŻŁUDNYCH NADZIEJACH	9
757. FILM POLITYCZNIE ZAANGAŻOWANY - czyli kto wyłożył pieniądze?	10
758. BELWEDERSKA STRATEGIA BANAŁÓW I PRZEMILCZEŃ	10
LUTY	12
759. PRZYJACIELE LUDOBÓJCÓW	12
760. ANTYKOŚCIELNA KAMPANIA BRATNICH REŻIMÓW	16
761. MUZEUM WYKLĘTE	17
MARZEC	18
762. JAKA OPOZYCJA	18
763. USTAWA O REAKTYWACJI WSI	20
764. ZAMACH W DRODZE KONSULTACJI	21
765. CENA SMOLEŃSKIEGO WRAKU	22
766. ROSJA - IMPERIUM CZY POTĘGA MITU	24
767. ŻYCZENIA PROSTE JAK WIARA	26
KWIECIEŃ	26
768. PODZWONNE OD BONDARYKA	26
769. SPÓR O ANTYKOMUNIZM	28
770. GDYBY PAN COGITO PISAŁ O SMOLEŃSKU...	29
771. WIDZIAŁEM NA WŁASNE OCZY	30
772. DOKTRYNA KOMOROWSKIEGO	32
773. CZY PUTIN WYPOWIEDZIAŁ WOJNĘ AMERYCE ?	33
774. DYLEMAT WIĘŹNIA	34
MAJ	35
775. BOSTON - ŚMIERTELNA ROZGRYWKA SŁUŻB	35
776. WĘGERSKI EPILOG AFERY MARSZAŁKOWEJ	36
777. OD ALBINA DO GOWINA	38
778. DOKUMENTY ZBRODNI	39
779. DLACZEGO PUTIN WYBRAŁ SKW ?	41
780. OBCA GRA	42
CZERWIEC	43
781. CENA STRACHU	43
782. JAK SB BUDOWAŁA „PAŃSTWO SOCJALISTYCZNE NOWEGO TYPU”	43
783. KRĘGI PIEKŁA RODZINY OLEWNIKÓW	46
784. ROKITIADA - O SUKCESORACH MICHNIKOWSKIEJ METODY	47
785. SB I TRADYCJE ORĘŻA	47
786. PAŃSTWO BAUMANA	48
787. NASI I OBCY - W STRONĘ UKŁADU WARSZAWSKIEGO	50
LIPIEC	51
788. SNOWDEN - AGENT ZNIEWOLENIA	51
789. CZY CZEKA NAS POWTÓRKA Z ROSYJSKICH SERWERÓW ?	52
790. O PRAWDZIWYM BŁĘDZIE MORALNYM	53
SIERPIEŃ	54
791. ORĘDZIE NIENAWIŚCI	54
792. ANTYTERRORYZM - METODA PROPAGANDY	55
793. ANTYTUSKOWA REFORMA SŁUŻB	56
WRZESIEŃ	57
794. PUTIN, SYRIA, SARIN - O ZABÓJCACH DOSKONAŁYCH	57
795. SUKCESORZY KŁAMSTWA	58
796. O UDERZENIU „Z DEMOKRACJI”	60
797. SYRIA - SMOLEŃSK	61
PAŹDZIERNIK	62
798. Z DESZCZU POD RYNNĘ	62
799. SPEKTAKL	63
800. ZBRODNIA ZAŁOŻYCIELSKA III RP	64
801. WOKÓŁ STANU WOJENNEGO	66
802. O MITOLOGII WOLNYCH MEDIÓW	67
LISTOPAD	68
803. DUMA I NIEPODLEGŁOŚĆ	68
804. MIŁOWY KROK NA DRODZE DO CERKWI	69
805. WÓDKA CZY KREW. O FUNDAMENCIE NIEPODLEGŁOŚCI	71
GRUDZIEŃ	72
806. Z KIM CHCĄ NAS JEDNAĆ POLSCY HIERARCHOWIE	72
807. JĘZYK - ICH ZDRAJCA	75

STYCZEŃ

czwartek, 3 stycznia 2013

751. TOWARZYSZE OD BEZPIECZEŃSTWA

Projekt Strategicznego Przeglądu Bezpieczeństwa Narodowego (SPBN) został podjęty natychmiast po zaprzysiężeniu nowego prezydenta i miał stać się sztandarową inicjatywą Bronisława Komorowskiego. Tymczasem wiele wskazuje, że mamy do czynienia z realizacją autorskiego pomysłu gen. Stanisława Kozieja, a do prac nad narodowym bezpieczeństwem zaangażowano osoby z prywatnej uczelni i fundacji, w szef BBN zasiadał do niedawna jako członek rady nadzorczej.

Przed siedmioma laty Stowarzyszenie Euro-Atlantyckie (SEA) zorganizowało spotkanie panelowe poświęcone "Strategicznemu przeglądowi obrony". Ówczesny prezes SEA, Bronisław Komorowski zaprosił na nie gen. Stanisława Kozieja - wykładowcę Akademii Obrony Narodowej, który przedstawił gościom swoją koncepcję przeprowadzenia Strategicznego Przeglądu Bezpieczeństwa. Prelegent wyraził wówczas opinię, że – *„zadanie to powinna podjąć albo Rada Bezpieczeństwa Narodowego przy Prezydencie z Biurem Bezpieczeństwa Narodowego w głównej roli wykonawczej, albo nieistniejąca, niestety, rządowa struktura ponad resortowa do spraw bezpieczeństwa narodowego.”*

Kilka miesięcy później, w listopadzie 2005 roku, gen. Koziej został powołany na stanowisko podsekretarza stanu w MON. 26 lipca 2006 podał się do dymisji, uzasadniając ją tym, iż nie chce własnym nazwiskiem firmować zmian, z którymi się nie zgadza. Chodziło o plany reformy Sztabu Generalnego oraz projekty prezydenta Kaczyńskiego dotyczące zwiększenia liczebności armii.

Wydawało się wówczas, że autorski pomysł Kozieja – nie ma szans na realizację. Po odejściu z pracy w MON, generał był m.in. doradcą rzecznika praw obywatelskich, a od 2008 roku pełnił funkcję doradcy ministra obrony narodowej. Związał się także z prywatną Wyższą Szkołą Zarządzania Personalem (WSZP), w której objął stanowisko dyrektora Instytutu Bezpieczeństwa Krajowego. Ta warszawska uczelnia została założona w roku 2001 przez Spółkę „Zarządzanie Personalem sp. z o.o. Osoby związane ze szkołą – jej założyciele, Janusz i Marek Przepiórscy oraz ówczesny kanclerz uczelni Benedykt Ambroziak, we wrześniu 2008 roku powołały Fundację na Rzecz Bezpieczeństwa Gloria Victoribus. Przewodniczącym Rady Fundacji został prof. Marian Kowalewski, a członkiem rady nadzorczej gen. Stanisław Koziej. W statucie zapisano, iż celem fundacji jest *„inicjowanie, prowadzenie oraz wspieranie, na rzecz ogółu społeczności, działalności naukowej, edukacyjnej i oświatowej w zakresie; kultury, sztuki, ochrony dóbr kultury i tradycji, ze szczególnym uwzględnieniem ochrony zabytków związanych z historią Wojska Polskiego oraz miejsc pamięci narodowej związanych z walką o wolność i niepodległość państwa polskiego”* Fundacja prowadzi również działalność gospodarczą i realizuje cele statutowe m.in. poprzez odpłatną działalność szkoleniową, edukacyjną i oświatową.

Jedną z pierwszych inicjatyw Gloria Victoribus było zorganizowanie w marcu 2009 roku seminarium naukowego - „Strategiczny Przegląd Bezpieczeństwa Narodowego. Rola, struktura, procedury”. Głównym prelegentem był gen. Stanisław Koziej, który w swoim wystąpieniu zaprezentował referat nt: *„Miejsce i rola SPBN w narodowym planowaniu strategicznym oraz jego tematyka (struktura merytoryczna SPBN)”*. *„Muszę się przyznać – mówił Koziej - „że sam kilka lat temu wymyśliłem to przedsięwzięcie i tę nazwę (jak zresztą szereg innych narodowych procedur i dokumentów strategicznych) i przyczyniłem się jakoś do uwzględnienia jej w obecnej strategii.”* W referacie znalazły się również słowa, które dwa lata później umieszczono w prezydenckim projekcie SPBN – *„Ostatecznym rezultatem SPBN powinien być projekt znowelizowanej lub nowej strategii bezpieczeństwa narodowego, obudowany szerszym raportem na temat stanu i perspektyw bezpieczeństwa narodowego, w postaci tzw. Białej Księgi Bezpieczeństwa Narodowego. Zasoby wnioskowe zawarte w Białej Księdze BN powinny być także pomocne w opracowywaniu nowych (znowelizowanych) strategicznych dokumentów realizacyjnych - planów operacyjnych i programów preparacyjnych”*.

Szczegółowe procedury, metody organizowania i prowadzenia przeglądu przedstawił wówczas wykładowca WSZP, prof. Jacek Pawłowski, zaś sekretarz naukowy Instytutu WSZP, dr Kazimierz Sikorski zaprezentował *„amerykańskie doświadczenia w prowadzeniu przeglądów strategicznych”*. Kolejna konferencja Fundacji Gloria Victoribus „Polskie Interesy w Nowej Strategii NATO” z listopada 2009 r. została objęta patronatem honorowym Ministra Obrony Narodowej.

Nietrudno zauważyć, że Fundacja Gloria Victoribus oraz prywatna uczelnia, w której pracował gen. Koziej, były szczególnie zaangażowane w projekt SPBN i zainteresowane jego realizacją. W ramach WSZP, w roku 2006 powołano nawet Instytut Bezpieczeństwa Krajowego (IBK), na którego czele stanął Stanisław Koziej. Jednym z podstawowych zadań IBK miało stać się *„badanie spraw bezpieczeństwa i sporządzanie analiz prognoz i ekspertyz”*, a zadania Instytutu oraz jego struktura w dużej mierze odzwierciedlały misję prezydenckiego Biura Bezpieczeństwa Narodowego.

Obserwując dalsze losy autorskiego projektu gen. Kozieja, można się zastanawiać, czy w przypadku szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego nie doszło do konfliktu interesów, w którym sprawy dotyczące państwa i bezpieczeństwa narodowego wymieszały się z relacjami zawodowymi i towarzyskimi.

Na stanowisko szefa BBN gen. Koziej został powołany w dniu 13 kwietnia 2010r. Dopiero po kilku miesiącach, w lipcu 2010 wpłynął do KRS wniosek o wykreślenie Stanisława Kozieja i Adama Marszałka z funkcji członków rady nadzorczej Fundacji Gloria Victoribus. Z dokumentów rejestrowych wynika jednak, że jeszcze w maju 2011 roku szef BBN figurował jako członek rady nadzorczej. W tym samym czasie, fundacja otrzymała status organizacji pożytku publicznego, z którym związane są rozmaite przywileje, m.in. otrzymywania zleceń od organów administracji publicznej czy możliwości uzyskania 1 proc. podatku dochodowego od osób fizycznych. Gloria Victoribus korzystała również ze środków MON. W listopadzie 2009 roku z pieniędzy resortu obrony sfinansowano publikację wydaną przez w wydawnictwie Adama Marszałka.

Na szczególną uwagę zasługuje jednak fakt, że w gronie ekspertów i „wybitnych osobowości”, którym w grudniu 2010 roku Bronisław Komorowski powierzył prace nad strategią polskiego bezpieczeństwa, znajduje się wiele osób związanych z Gloria

Victoribus i prywatną Wyższą Szkołą Zarządzania Personalem. W radzie nadzorczej tej fundacji zasiadali lub nadal zasiadają: były szef MSWiA Krzysztof Janik – obecnie wicedyrektor Instytutu Bezpieczeństwa Krajowego przy WSZP, Andrzej Karkoszka, Jan Kowalewski, Adam Marszałek, Krzysztof Dubiński (były sekretarz gen. Kiszczaka podczas rozmów w Magdalence), gen. Kazimierz Sikorski, czy obecny wiceminister ON gen. Waldemar Skrzypczak.

Gdy spojrzymy na strukturę prezydenckiego Przeglądu Bezpieczeństwa Narodowego, okaże się, że zastępcą szefa Sztabu SPBN jest gen. Sikorski – członek rady nadzorczej Gloria Victoribus i sekretarz naukowy Instytutu Bezpieczeństwa Krajowego WSZP, zespołowi Systemu Bezpieczeństwa Narodowego przewodniczy Andrzej Karkoszka z WSZP, jego zastępcą jest płk Maciej Marszałek, a członkami zespołu Krzysztof Janik i płk Jacek Pawłowski z Instytutu Bezpieczeństwa Krajowego WSZP. Członkiem zespołu Interesów Narodowych i Celów Strategicznych jest zaś Tadeusz Chabiera z rady naukowej IBK WSZP.

Pozostali członkowie SPBN to głównie osoby związane z „apolitycznym, niezwiązanym z żadną partią” Stowarzyszeniem Euro-Atlantyckim, któremu przed laty prezesował Bronisław Komorowski.

Można oczywiście przyjąć, że w III RP najlepszymi fachowcami od spraw bezpieczeństwa narodowego są osoby pracujące w jednej z prywatnej uczelni lub działające w Fundacji Gloria Victoribus. Niewykluczone też, że szczególnie profesjonalizm w tej dziedzinie prezentują byli członkowie egzekutywy i KC PZPR, generałowie po moskiewskich uczelniach lub kursanci Sztabu Generalnego ZSRR. Osoby o takiej proveniencji znajdziemy również wśród belwederskich ekspertów. Obecny szef BBN Stanisław Koziej, jako żołnierz I Zarządu Sztabu Generalnego w latach 1978-81 brał udział w opracowaniach planu ataku wojsk UW na państwa Europy Zachodniej, a w sierpniu 1987 r. był na zabezpieczanym przez GRU kursie Sztabu Generalnego ZSRR. Być może, podobne doświadczenia są dostateczną rekomendacją do zajmowania się bezpieczeństwem niepodległego państwa.

W przypadku osób zaangażowanych w Strategiczny Przegląd Bezpieczeństwa Narodowego, który ma stać się podstawą narodowego systemu bezpieczeństwa na kolejne dziesięciolecia, powinniśmy mieć pewność, że jedynym kryterium doboru tych osób są racje merytoryczne: najwyższy profesjonalizm, znajomość przedmiotu sprawy oraz wysokie kompetencje naukowe.

Sytuacja, w której dysponentami i ekspertami SPBN stają się osoby powiązane z prywatną uczelnią oraz członkowie fundacji, w której do niedawna działał Stanisław Koziej, powinna budzić poważne zastrzeżenia. Może pojawić się pytanie – czy w przypadku tej inicjatywy mamy do czynienia z projektem służącym bezpieczeństwu państwa i jego obywateli, czy też z realizacją autorskiego pomysłu szefa BBN, dokonywaną w gronie zaprzyjaźnionych osób i środowisk?

752. DROGI ŻŁA

„Przesłanie” Bronisława Komorowskiego dołączone do śpiewnika uczestników tegorocznego Orszaku Trzech Króli w Warszawie można uznać za kolejne signum temporis lub dostrzec w tym incydencie żenujący przykład serwilizmu niektórych środowisk.

Podobnym, choć znacznie donioślejszym epizodem, był wyjątkowy w historii polskiego Kościoła list Prezydium Konferencji Episkopatu Polski z 5 lipca 2010 roku. W tym czołobitnym homagium polscy biskupi gratulowali Bronisławowi Komorowskiemu objęcia najwyższej godności w państwie i pisali do następcy Lecha Kaczyńskiego - *„Wyrażając uznanie dla odniesionego sukcesu, pragniemy życzyć, aby podjęta odpowiedzialność owocowała działaniami realizowanymi w duchu najwyższych wartości. Niech dobry Bóg dać Panu Prezydentowi potrzebne siły i konieczne łaski dla owocnego wypełnienia tego zaszczytnego zadania. Polecamy Bogu osobę Pana Prezydenta, Jego Rodzinę i wszystkich współpracowników, życząc obfitości Bożych darów na lata szczególnej odpowiedzialności za Ojczyznę i wszystkich jej obywateli.”*

Takiej życzliwości hierarchów nigdy nie doświadczył poprzednik Komorowskiego ani inni prezydenci III RP. W moim odczuciu - list ten nawiązywał do obcej Polakom tradycji wystąpień patriarchów moskiewskich, ślących hołdownicze adresy do Stalina, Breżniewa i Putina. W tragicznej, posmoleńskiej rzeczywistości, był aktem wyjątkowo haniebnym.

Kilka lat wcześniej, dobrym obyczajem polskich hierarchów były listy KEP, wydawane przed wyborami parlamentarnymi. W roku 2005 biskupi mieli odwagę wskazać wprost, że *„zgodnie z zasadami Ewangelii, nauczaniem Kościoła i głosem sumienia wybieramy kandydatów, którzy: respektują nienaruszalną wartość życia każdej osoby ludzkiej od poczęcia do naturalnej śmierci; bronią świętości rodziny i małżeństwa jako trwałego związku kobiety i mężczyzny; stawiają wyżej dobro wspólne, niż osobiste korzyści czy interesy partyjne; w prowadzeniu kampanii wyborczej nie traktowali instrumentalnie swych związków z Kościołem; dają konsekwentnie świadectwo osobistej kultury i odpowiedzialności naznaczonej szacunkiem wobec każdej osoby.”*

Dwa lata później, w roku 2007 apelowali o „odpowiedzialność za dobro wspólne”, a powołując się na nauczanie Jana Pawła II wskazywali, że *„ważnymi kryteriami w dokonaniu właściwego, a tym samym odpowiedzialnego wyboru, powinny być prawość moralna kandydata do parlamentu, jego kompetencje w dziedzinie życia politycznego i obywatelskiego, zaświadczone dotychczasową działalnością publiczną, świadectwo życia w rodzinie oraz małej ojczyźnie. Liczą się także takie cechy osobowości, jak wyrazista tożsamość, szacunek dla każdego człowieka, postawa dialogu i umiejętność współpracy z innymi, zdolność rozstrzygnięcia z kryzysu, do jakiego doprowadziły rządy realnego socjalizmu. Nałożyły się na to niedomagania moralne wielu przedstawicieli władzy - niezależnie od wyznawanej ideologii i przynależności partyjnej. Korupcja występująca na wszystkich szczeblach władz oraz chęć szybkiej poprawy statusu społecznego - nawet kosztem dobra wspólnego i narastająca przestępczość dopełniły czarę goryczy. [...] Wypaczona została w ten sposób prawdziwa wizja polityki, która jest wymagającą formą miłości bliźniego i której ostateczną racją jest zaangażowanie na rzecz wspólnego dobra. [...] Na te braki w rozumieniu i realizowaniu polityki nałożyło się postępujące upolitycznienie życia gospodarczego, dokonujące się w atmosferze walki o strefy wpływu w gospodarce i wykorzystywania państwa do realizacji interesów grupowych. Praktykom tym w nikłym jedynie stopniu przeciwstawiły się media, służące często kontrolującym je grupom.[...] Brak poczucia bezpieczeństwa,*

Podczas kolejnych i bodaj najważniejszych dla Polski wyborów roku 2011, gdy tak wielu potrzebowało głosu przewodników i pasterzy - towarzyszyło nam milczenie hierarchów.

Towarzyszy ono dziś tak dramatycznym zjawiskom, jak bezrobocie i totalny upadek godności pracy. Hierarchowie naszego Kościoła wykazywali zaangażowanie w tych sprawach jeszcze w roku 2001, gdy powstał głośny List społeczny Konferencji Episkopatu Polski – „W trosce o nową kulturę życia i pracy”. Zawarto w nim niezwykle mocną diagnozę ówczesnej sytuacji społeczno – politycznej. Biskupi pisali – *„Elity polityczne i gospodarcze nie były w stanie wypracować spójnej i długofalowej strategii wychodzenia z kryzysu, do jakiego doprowadziły rządy realnego socjalizmu. Nałożyły się na to niedomagania moralne wielu przedstawicieli władzy - niezależnie od wyznawanej ideologii i przynależności partyjnej. Korupcja występująca na wszystkich szczeblach władz oraz chęć szybkiej poprawy statusu społecznego - nawet kosztem dobra wspólnego i narastająca przestępczość dopełniły czarę goryczy. [...] Wypaczona została w ten sposób prawdziwa wizja polityki, która jest wymagającą formą miłości bliźniego i której ostateczną racją jest zaangażowanie na rzecz wspólnego dobra. [...] Na te braki w rozumieniu i realizowaniu polityki nałożyło się postępujące upolitycznienie życia gospodarczego, dokonujące się w atmosferze walki o strefy wpływu w gospodarce i wykorzystywania państwa do realizacji interesów grupowych. Praktykom tym w nikłym jedynie stopniu przeciwstawiły się media, służące często kontrolującym je grupom.[...] Brak poczucia bezpieczeństwa,*

towarzysząca mu korupcja władz publicznych i mnożenie się niewłaściwych źródeł wzbogacenia i łatwych zysków opartych na działaniach nielegalnych czy po prostu spekulacji, jest dla rozwoju i dla porządku gospodarczego jedną z głównych przeszkód”.

Dwa lata później, obradujący na Jasnej Górze biskupi uznali bezrobocie za jeden z najbardziej palących problemów współczesnej Polski.

Obecnie, gdy problem ten dotyczy ponad 13 procent Polaków, a wśród ludzi młodych sięga 27 procent, gdy tysiące naszych rodaków musi opuszczać kraj w pogoni za pracą, a ponad 2 miliony skazanych jest na rejestrację w urzędach bezrobocia – nie usłyszymy ze strony KEP żadnej znaczącej diagnozy, tym bardziej, słów upomnienia pod adresem rządzących.

Wskazując na niektóre ze szczególnych znaków, nie sposób zapomnieć o najważniejszym z nich. Wówczas, gdy polscy biskupi gratulowali wyboru Bronisławowi Komorowskiemu, a opluwanych i bitych przez motłoch obrońców krzyża nazywali „fanatyczną sektą” i ludźmi „zadymionymi PiS-em”, trwały już zaawansowane rozmowy Episkopatu z rosyjską Cerkwią na temat „pojednania polsko-rosyjskiego”. Podczas wizyty metropolity Hilariona, w czerwcu 2010 dyskutowano zaś o projekcie wspólnego dokumentu - *„listu o pojednaniu polsko-rosyjskim, roli Kościoła katolickiego i Cerkwi prawosławnej oraz wzajemnym przebaczeniu”*. Idea „pojednania” znalazła zresztą wymiar konkretny, gdy kilka miesięcy później rządowa instytucja powołana dla zadekretowania „przyjaźni polsko-rosyjskiej” - Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia, otrzymała wygodną siedzibę w warszawskim biurcu Centrum Jasna. Właścicielem tego luksusowego budynku jest Archidiecezja Warszawska.

Wszyscy wiemy, że 17 sierpnia 2012 roku na Zamku Królewskim w Warszawie patriarcha Moskwy i Wszechrusi Cyryl - Gundiajew oraz przewodniczący KEP abp Józef Michalik podpisali „Wspólne Przesłanie do Narodów Polski i Rosji”. Kilka dni wcześniej abp Michalik komentując *„sugestie niektórych polskich środowisk obwiniających władze Rosji za katastrofę smoleńską”* orzekł - *„człowiek mądry w takiej sytuacji opiera się na faktach a nie na teoriach, zaś człowiek sumienia rozważa każde słowo i troszczy się, aby nie naruszać prawdy. Żeby o kimkolwiek, największym nawet wrogu, powiedzieć tak mocne słowa, trzeba znać fakty, mieć pewność. Tymczasem tej pewności nie ma. Dlatego ci, którzy posługują się takimi teoriami i hasłami robią sobie i tragedii smoleńskiej największą szkodę!”*

Fakt, że to właśnie wydalenie – całkowicie zlekceważone i pominięte w dorocznych raportach Patriarchatu moskiewskiego - rzecznik Episkopatu Polski ma czełność nazywać dziś „najważniejszym wydarzeniem 2012 roku”, dowodzi nie tylko rażącej asymetrii stosunków polsko-rosyjskich oraz mentalności autora wypowiedzi, ale pokazuje realną skalę zniewolenia niektórych hierarchów i ogrom problemu przed którym wkrótce stanimy.

W jednym z wielu tekstów poświęconych owemu „pojednaniu”, napisałem: *„Nie ma dziś sprawy ważniejszej dla Polaków, jak głośne wykrzyczenie sprzeciwu wobec tego fałszywego aktu. Nie da się bowiem walczyć o prawdę bez wsparcia przywódców polskiego Kościoła i nie da się zachować polskości bez jej najważniejszego gwaranta. „Pojednanie” podpisane przez Kościół z wysłannikiem Putina - skazuje nas na przerażającą samotność. Tak wielką, jak zagrożenie, przed którym dziś stoimy.”*

Każdy dzień upływający od haniebnej daty 17 sierpnia utwierdza mnie w przekonaniu, że za to tchórzliwe milczenie w obliczu historycznego zaprzaństwa, wobec haniebnej transakcji, której przedmiotem stała się przyszłość Polaków – zapłacą nie tylko moi rodacy, czasem nieświadomi nawet istnienia problemu, ale cenę najwyższą zapłaci polski Kościół, zapłacimy wszyscy.

Gdy wokół dzieją się rzeczy niespotykane w naszych najnowszych dziejach; zbezczeszczenie Obrazu Jasnogórskiego, ataki na żłóbki bożonarodzeniowe, profanacje miejsc kultu i cmentarzy, trzeba zadać pytanie – dlaczego właśnie teraz nastąpił zmasowany atak zła, jaką drogą znalazło ono dojście do ludzkich serc i sumień? Gdy obecny reżim lekceważy miliony polskich katolików i odmawia im prawa do istnienia katolickich rozgłośni, gdy traktuje biskupów jak politycznych cenzorów, nakazując im zwalczać „mowę nienawiści”, a wokół finansowania Kościoła prowadzi brudną grę, pełną grózb i szantaży, trzeba pytać - jak mogło dojść do takich sytuacji i czy winę za nie – jak chcą hierarchowie - ponoszą zewnątrzni „wrogowie Kościoła” i nienazwane „struktury zła”?

Zło nie należy do istoty mojego Kościoła, nie leży w jego naturze, lecz ma swoje źródło w niewierności wobec Ewangelii i przekraczaniu tego, co jest misją Kościoła i jego posłannictwem. Jeśli zło uderza, jeśli rozzuchwała się i panoszy – pochodzi zawsze z naszego wiarołomstwa, z zaniechań ludzi Kościoła, z zaprzaństwa biskupów, tchórzostwa osób świeckich i duchownych.

Nie trzeba wskazywać eschatologicznego wymiaru tych zdarzeń ani sięgać do skarbnicy teologii, by zrozumieć, gdzie nastąpiło najgłębsze pęknięcie i jaką drogą wdziera się zło.

753. POWRÓT LUDZI W BRAZOWYCH BUTACH

Odejście Krzysztofa Bondaryka nie jest żadną niespodzianką. Można się jedynie dziwić, że szef ABW tak długo ostał się na stanowisku i dopiero teraz został „poproszony” o ustąpienie. Pośpiech, z jakim to zrobiono, nie zasięgając nawet opinii sejmowej komisji ds. służb specjalnych, przypomina natomiast tryb, w jakim przed pięciu laty powołano Bondaryka – bez przeprowadzenia konsultacji, nie czekając na opinię prezydenta Lecha Kaczyńskiego.

Antoni Macierewicz skomentował wówczas tę decyzję słowami, które wydają się odpowiednie również do obecnej sytuacji – *„nie wiem, jakie powody kierowały panem premierem Tuskiem żeby dokonać takiego wyboru, czy w jakiej sytuacji pan Tusk się znalazł jako premier, może jako polityk, że uznał, że musi podjąć taką decyzję”*.

Powołanie wówczas na szefa największej służby specjalnej właśnie Krzysztofa Bondaryka – człowieka związanego z postkomunistyczną oligarchią, uwikłanego w niejasne interesy i owładniętego pasją gromadzenia kompromatów – było decyzją optymalną, zapewniającą układowi rządzącemu realizację celów politycznych i biznesowych. Nie miało nic wspólnego z profesjonalizmem kandydata, a tym bardziej z dobrem służb specjalnych lub bezpieczeństwem państwa. Gwarantowało natomiast nienaruszalność interesów oligarchii i wpływów ludzi peerelowskich służb. Trzeba pamiętać, że późniejsze regulacje prawne w sferze bezpieczeństwa, zmierzały w kierunku zbliżonym do rozwiązań rosyjskich i dotyczyły m.in. centralizacji spekulacji, przeprowadzonej zgodnie z sowieckim modelem „kułaka” – czyli „zaciśnięcia” wszystkich formacji wokół jednej struktury działającej na wzór KGB. Przez ostatnie pięć lat, rolę tę doskonale spełniała Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego, wyposażona w potężne instrumenty nadzoru nad procesami gospodarczymi i przepływem informacji. Wszystkie regulacje łączył wspólny mianownik - prowadziły do zwiększania uprawnień służb oraz rozbudowy systemu kontroli nad społeczeństwem.

Wydaje się, że podpisując przed pięcioma laty nominację Bondaryka, a dziś przyjmując jego rezygnację, Donald Tusk wypełniał jedynie rolę notariusza. Prawdziwych decydentów i mocodawców należało bowiem szukać w innych obszarach.

Gdy w kwietniu 2012 roku, na łamach „Gazety Polskiej” opisywałem falę masowych odejść z ABW i policji, stwierdziłem, że los Krzysztofa Bondaryka wydaje się przesądzony i w najbliższej przyszłości należy spodziewać się jego dymisji.

Od wielu miesięcy mamy bowiem do czynienia z ofensywą środowiska Belwederu, zmierzającą do gruntowej przebudowy systemu bezpieczeństwa, w tym - do odebrania Agencji szczytnego miana „zbrojnego ramienia” grupy rządzącej i wykreowania nowej formuły reżimu prezydenckiego.

W nr 20 kwartalnika Biura Bezpieczeństwa Narodowego z listopada 2011 roku, znalazło się opracowanie Lucjana Belży zatytułowane „*Pozycja szefów służb w sferze bezpieczeństwa pozamilitarnego*”. W nim zaś zawarto projekty dotyczące gruntownych zmian w zakresie kontroli nad służbami specjalnymi. Widnieją tam postulaty: utworzenia ministerstwa administracji i cyfryzacji – w drodze przekazania z ABW i SKW zadań o charakterze administracyjnym wynikających z ustawy o ochronie informacji niejawnych; stworzenia w ministerstwie finansów jednej struktury uprawnionej do zajmowania się przestępstwami ekonomicznymi i korupcyjnymi, poprzez połączenie CBA z wywiadem skarbowym; podporządkowania ABW ministrowi spraw wewnętrznych i redukcji uprawnień tej służby; utworzenia jednej Agencji Wywiadu z wyodrębnionym pionem cywilnym i wojskowym (z połączenia Agencji Wywiadu ze Służbą Wywiadu Wojskowego) oraz jej podporządkowania ministrowi obrony narodowej, z zastrzeżeniem, że stanowiska dowódcze mają być obsadzone przez żołnierzy zawodowych. Po dokonaniu tych zmian, wyłania się model służb, w którym wiodącą rolę (ze względu na uprawnienia) będzie pełniła Agencja Wywiadu osadzona w Siłach Zbrojnych RP i dowodzona przez zawodowych żołnierzy. W praktyce, oznacza to powrót do koncepcji sprzed 2006 roku, funkcjonującej w oparciu o układ personalny byłych Wojskowych Służb Informacyjnych. W tej koncepcji – wspartej również rekomendacjami Strategicznego Przeglądu Bezpieczeństwa Narodowego (SPBN), prezydent sprawujący zwierzchnictwo nad siłami zbrojnymi za pośrednictwem ministra obrony narodowej, będzie nie tylko faktycznym decydem w kwestiach bezpieczeństwa, ale uzyska realny wpływ na działania potężnej służby specjalnej.

Lektura dokumentów prezydenckiego BBN-u oraz późniejsze działania ośrodka prezydenckiego nie pozostawiają wątpliwości, że dokonany już podział MSWiA oraz zapowiadana przez ministra Cichockiego na początku stycznia 2012 roku „zmiana systemu kontroli nad służbami” - są autorstwa środowiska skupionego wokół Bronisława Komorowskiego. Podstawą tych procesów będzie ustawa o zmianie struktury służb specjalnych, opracowana w ramach SPBN.

Już wówczas było oczywiste, że rządowi Donalda Tuska przypisano rolę wykonawcy dyrektyw Pałacu Prezydenckiego, a dyspozycyjność w tym zakresie wydawała się decydująca dla przyszłość rządu. W tej perspektywie, sprawa Amber Gold jawi się jako wyraźne ostrzeżenie, przynosząc środowisku premiera rodzaj propozycji „nie do odrzucenia”. W ramach tej „oferty” proponuje się m.in. odstąpienie od wzmacniania służb cywilnych i wykreowanie nowego rozdania, w którym wiodącą rolę odegrają ludzie wojskowej bezpieki. Warto zauważyć, że 7 września 2012 roku niejawni raport SPBN trafił do Bronisława Komorowskiego, a zaledwie kilka dni później, 18 września zwołano obrady kolegium sejmowej komisji ds. specsłużb, podczas których Donald Tusk zapowiedział natychmiastowe powołanie „zespołu roboczego do spraw zmian organizacyjnych i legislacyjnych w systemie służb specjalnych” oraz wykorzystanie rekomendacji zawartych w SPBN. Oznaczało to zgodę na ograniczenie kompetencji ABW i pełne podporządkowanie planom Belwederu.

Kilka dni temu, szef BBN gen. Stanisław Koziej, komentując odejście Bondaryka mógł zatem uznać, że „*obrany kierunek zmian jest zbieżny z wnioskami ze Strategicznego Przeglądu Bezpieczeństwa Narodowego*”, i „*w obecnej chwili nie ma różnic w tym zakresie pomiędzy ośrodkiem prezydenckim a strukturami rządowymi*”.

Dymisja szefa ABW jest jedynie konsekwencją dokonanych już przetasowań i została wymuszona w ramach procesu „reorganizacji” systemu bezpieczeństwa. Gdy gen. Koziej mówi o „*integracji i koordynacji*” służb, oznacza to zmianę dotychczasowej koncepcji „kułaka” i powierzenie tej roli nowej formacji podległej ośrodkowi prezydenckiemu. Dlatego odejście Bondaryka nie jest aktem swobodnej decyzji bohaterów tego spektaklu, nie ma nic wspólnego z „*inną wizją reformy*” czy rzekomą „*wojną Tuska z ABW*”. To nie premier rządu zdecydował o przeprowadzeniu „rewolucji w służbach specjalnych”, lecz został zmuszony do szybkiej amputacji „zbrojnego ramienia partii” i pozbycia się człowieka nieprzydatnego dla nowego rozdania.

Na działania te warto natomiast spojrzeć z perspektywy wyzwań czekających grupę rządzącą i ocenić je w świetle wspólnych interesów Pałacu Prezydenckiego i rządu Donalda Tuska, definiowanych poprzez strategię utrzymania władzy. Dymisje i roszady personalne są zaledwie zapowiedzią działań, które pozwolą rządzącym przetrwać najtrudniejszy okres kryzysu ekonomicznego oraz umożliwią zneutralizowanie zagrożeń wynikających z wybuchu protestów społecznych bądź aktywności środowisk opozycyjnych. Przejęcie inicjatywy przez ośrodek prezydencki wyraźnie dowodzi, że podstawą tej strategii będą „propozycje legislacyjne” w sprawach bezpieczeństwa zawarte w prezydenckim SPBN oraz oparcie reżimu na strukturach siłowych – armii i wojskowej bezpiece.

754. TAKI BIZNES

“Dochody firm zajmujących się politycznym PR składają się z dwóch równych części. Pierwsza to zapłata za pracę konsultantów politycznych, a drugie 50 proc. to zapłata za milczenie konsultantów o tym, co robili w części pierwszej. To taki biznes”.

Ta odpowiedź Igora Mintusowa pochodzi sprzed blisko dwóch lat. Związany z administracją kremlowską rosyjski „ekspert od PR-u” został zapytany wówczas przez dziennikarza „Naszego Dziennika” o szczegóły dotyczące przygotowania konferencji MAK. Początkowo rozmówca nie chciał nawet potwierdzić, że jego firma „Niccolò Machiavelli” współpracuje z MAK i opracowuje dla zespołu Anodiny strategię propagandową. Gdy padły konkretne pytania - o przygotowanie konferencji, o zadania, jakie postawił przed firmą MAK, o przewidywany odbiór konferencji w Polsce, w Rosji i na świecie – Mintusow dał wyraźnie do zrozumienia, że na te tematy nie będzie rozmawiał.

Można przypuszczać, że za odmową udzielenia informacji kryło się „to drugie 50 procent” płacone firmie Mintusowa za milczenie. Publikacja „Naszego Dziennika” nosiła zatem trafny tytuł – „Anodina płaci za milczenie”. Piotr Falkowski napisał wówczas: „*Nie ma jednak wątpliwości, że jego firma, by dobrze wywiązać się z postawionego zadania, musiała przed konferencją 12 stycznia ub.r. znać treść projektu raportu i wiele szczegółów dotyczących katastrofy. Tymczasem jest ona wciąż formalnie objęta postępowaniem karnym Komitetu Śledczego Federacji Rosyjskiej i to właśnie ta instytucja musiałaby wydać zgodę na wgląd osób postronnych do dokumentacji wytworzonej w toku postępowań procesowych, a taką były np.*

Po lekturze wczorajszej wypowiedzi rosyjskiego „pijarowca”, warto zatem postawić sobie pytanie – co sprawiło, że Igor Mintusow złamał nagle biznesową zasadę i udzielił obszernego wywiadu regionalnemu pismu „Gazeta Oławska”? Nawiązując do słów samego „mistrza” trzeba zapytać wprost – na które z tych 50 procent zarabia teraz Mintusow i kto dziś płaci za jego rewelacje?

Można oczywiście twierdzić, że związany od ponad 20 lat z Kremlen „ekspert” zdobył się nagle na szczerość i uwiedziony pięknem ziemi oławskiej i polską gościnnością, postanowił uchylić rąbka największej tajemnicy, by podzielić się z czytelnikami regionalnej gazety informacją o strategii doradców płk. Putina. Można nawet wierzyć, że uczynił to z własnej inicjatywy, jako niezależny i działający na wolnym rynku biznesmen.

Obawiam się jednak, że taka wiara nie ma nic wspólnego z realiami państwa Putina i pozycją Mintusowa, a jeszcze mniej z mechanizmami dezinformacji, przy pomocy których administracja rosyjska rozgrywa sprawę tragedii smoleńskiej.

Byłoby też naiwnością sądzić, że rewelacje opowiadane przez Mintusowa nie mają żadnego związku z dzisiejszą konferencją prasową Georgija Smirnowa, przedstawiciela rosyjskiego Komitetu Śledczego. Bez wątpienia – można byłoby wskazać jeszcze kilka minionych i przyszłych zdarzeń, których związek z wypowiedzią Mintusowa wydaje się bezsporny, zaś konkluzja wynikająca z ich analizy – mocno zaskakująca. Dodam jedynie, że o niektórych wnioskach pisałem w styczniu 2011 roku.

Pytania zawarte w tym tekście dedykuję naszym publicystom i analitykom oraz tym wszystkim, którzy mocno wierzą w głupotę płk Putina.

755. ŚMIERTELNIE GROŹNY MIT PAWŁA LISICKIEGO

Wartość publicystyki mierzy się miarą słów i żadne inne atrybuty nie mogą decydować o czyjejs wiarygodności. Publicysta, który poważnie traktuje słowo i chce budować własny wizerunek musi brać pełną odpowiedzialność za to, co napisał przed miesiącem, rokiem czy dziesięcioma laty.

To przypomnienie jest konieczne, ponieważ aparat propagandy III RP posługuje się nie tylko semantycznym oszustwem, przypisując chomom walory polityków, osłów obdarzając mądrością, a funkcjonariuszy mianem dziennikarzy, ale powszechnie żeruje na odbiorcach dotkniętych amnezją, którzy nie są w stanie zapamiętać tego co „wybitny” żurnalista wypisywał w nieodległej przeszłości. Ten skuteczny mechanizm wyłonił już dość szemranych „autorytetów”, „prawicowych” mędrków i „niezależnych” publicystów, którzy codziennie muszą dziękować Bogu, że Polacy nie mają na tyle rozumu, by zdobyć się na refleksję i rozgonić to załgane towarzystwo.

Dlatego sądzę, że Paweł Lisicki, który od wielu tygodni pozuje na publicystę „prawicowego, niezależnego i niepokornego” powinien zostać skonfrontowany z opiniami, jakie jeszcze do niedawna głosił w sprawach dla Polaków najważniejszych. Rzeczy, które publicysta ten wypisywał od dnia tragedii smoleńskiej, są – w moim odczuciu – na tyle głupie i podłe, że nie wolno ich pomijać milczeniem.

Ten subiektywny wybór tekstów można uzupełnić wieloma innymi wypowiedziami Lisickiego, z których wyłania się obraz daleki od obecnej inscenizacji.

19 kwietnia 2010 roku w tekście „Czas łez, czas życia”, Lisicki – w pełnej harmonii z ówczesną retoryką dowodził – *„Być może straszna tragedia pod Smoleńskiem będzie miała jeszcze jeden skutek. Być może przyczyni się do przełomu w stosunkach z Rosją. Oby. Wygląda wprawdzie na to, że Kreml podjął decyzję o ociepleniu stosunków z Polską już wcześniej. Jednak solidarność zwykłych Rosjan, wczucie się w polską sytuację pozwalają na pewne nadzieje. Mimo całej ostrożności wynikającej z doświadczenia nie wolno takiej szansy z góry przekreślać. Gdyby poza wyrazami współczucia udało się spełnić najważniejsze polskie postulaty w sprawie Katynia, można by mówić o rzeczywistym zbliżeniu. Czyż nie byłoby to zarazem realnym wypełnieniem testamentu Lecha Kaczyńskiego?”*

Dzień później w tekście – „Kampania pod znakiem żałoby”, naczelny „Rzeczpospolitej” pouczał Polaków – *„Pojmuję doskonale uczucia, które bliskim zabitych dyktują te słowa. Dzięki nim osławiają to, co pełne grozy i straszliwe, ową niespodziewaność i nieprzewidywalność śmierci włączają w wyższy sens. A jednak w tym okazywaniu bólu też trzeba umieć zdobyć się na powściągliwość i dokonać rozróżnienia między metaforą a prawdą. Trzeba pamiętać, że nie ma poświęcenia ani męczeństwa bez świadomości tych, którzy giną. [...] Najgorsze co mogłoby się wydarzyć, to gdyby ten język bólu i żałoby przestał być retoryką pogrzebową i opanował debatę polityczną. Gdyby ów ton, zrozumiały w momencie dramatu, zaczął dyktować przebieg kampanii prezydenckiej. Byłoby to fatalne z kilku powodów. Po pierwsze wątpliwe moralnie. Warto pamiętać, że w Smoleńsku zginęli przedstawiciele różnych obozów politycznych. Jak znaleźć dla nich wspólny mianownik? I czy taka próba potraktowania ich wszystkich jako jednej ofiary nie byłaby uzurpacją?”*

23 kwietnia poznaliśmy charakterystykę Jarosława Kaczyńskiego, którego Lisicki typował jako naturalnego kandydata PiS w wyborach prezydenckich:

„Ludzie widzą w nim teraz przede wszystkim człowieka zdruzgotanego cierpieniem. Kogoś, kto niczym biblijny Hiob musi znieść śmierć najbliższych. Miliony mogły obserwować jego skupioną twarz przy trumnie brata. Patrzeć i współczuć. Widzieć nie polityka, nie ideologa IV RP, nie sprawnego i bezwzględного gracza politycznego, ale żałobnika. [...] Jarosław Kaczyński staje przed szansą na zwycięstwo. Wszakże odwołanie się do współczucia to za mało. By wygrać, powinien pokazać, że się zmienił. Nie tylko że potrafi znieść cierpienie, ale też że ono go przemieniło. Potrzebny jest mu inny ton i przede wszystkim gesty. Znaki wskazujące, że były premier potrafi puścić w niepamięć urazy i jednać się ze swymi politycznymi oponentami”

29 kwietnia 2010 w tekście „Walka na mity, walka o śmierć” Lisicki zatroszczył się o przebieg kampanii prezydenckiej:

„Wygląda na to, że głównym tematem kampanii prezydenckiej nie będzie, niestety, spór o przyszłość Polski, ale o to, kto jest sprawcą katastrofy z 10 kwietnia. O to, kto sprawniej i lepiej przekona do swojej wizji tragedii. Zwolennicy pierwszego mitu – najczęściej można go znaleźć na łamach „Naszego Dziennika” lub w Internecie – widzą w katastrofie zamach, prawdopodobnie efekt spisku władz rosyjskich. Nic tu nie było przypadkowe. [...] Teorie spiskowe mają dwie zalety. Po pierwsze, pozwalają ludziom, którzy w nie wierzą, zracjonalizować śmierć i jej grozę. Przestaje być ona czymś nieodgadnionym, brutalną raną zadaną nie wiadomo po co i przez kogo. Staje się dziełem człowieka i to człowieka złego. Po

drugie, dzięki temu ofiary tragedii stają się prawdziwymi herosami, obrońcami narodu przed zagładą; męczennikami, którzy oddali życie za Polskę. Wiadomo już, kto jest wrogiem, a kto przyjacielem. Na kogo i przeciw komu głosować. Szkoda tylko, że zwolennicy tezy o zamachu nie są w stanie wskazać, jakimi motywami miałby się kierować jego ewentualni organizatorzy. By przeprowadzić taki zamach, Rosjanie musieliby być absolutnymi szaleńcami. O to jednak nikt ich nie oskarża."

W tekście „Nie tracić miary rzeczy” z 12 lipca 2010 poznaliśmy poglądy tego „konserwatysty” na temat sporu o krzyż umieszczony na Krakowskim Przedmieściu. Lisicki nie zapomniał również udzielić dobrych rad partii Jarosława Kaczyńskiego: „[...]nie uważam, żeby pozostawienie krzyża w obecnym miejscu było dobrym pomysłem. Czas żałoby się skończył i krzyż, który tak dobrze ją wyrażał, powinien zostać przeniesiony. Zamiast niego można umieścić przed pałacem tablicę, która będzie upamiętniała wszystko to, co stało się w Polsce po 10 kwietnia. Propozycję tę zgłosili niektórzy politycy PO i wydaje się ona rozsądna. Dlaczego? Nie, nie dlatego, że krzyż ma znaczenie religijne, a państwo jest świeckie. To zły argument. Liczy się co innego. Zwolennicy zachowania krzyża twierdzą, że upamiętnia on nie tylko tragiczną śmierć ofiar katastrofy, ale też niezwykle sposób jej uczczenia. Przypomina o solidarności tysięcy ludzi, którzy postanowili oddać Lechowi Kaczyńskiemu hołd. To prawda, tyle że niecała. Bo w tym samym stopniu, w jakim jest symbolem pamięci, jest też, a przynajmniej może się łatwo stać, symbolem politycznym. Znakiem rozpoznawczym dla ludzi, którzy są zwolennikami legendy Lecha Kaczyńskiego. Którzy porównują tragedię smoleńską z Katyniem i uważają, że ofiary katastrofy były poległymi.

Ale w jakiej bitwie poległ Lech Kaczyński? Czy naprawdę wolno jednym tchem wymieniać przypadkową tragedię – katastrofę pod Smoleńskiem – ze świadomą ofiarą z życia, co stało się udziałem oficerów zamordowanych w Katyniu? Nie wolno. To zatracenie miary rzeczy. Obrona krzyża miała sens wtedy, kiedy zagrożona była sama tożsamość narodowej wspólnoty. Nie ma powodu, żeby dziś w demokratycznej walce miał się on stać narzędziem jednej partii. Żeby był bardziej znakiem PiS niż PO. Obecny prezydent ma przeto – mniemam – prawo domagać się przeniesienia krzyża poza pałacowy dziedziniec. Jeszcze jedno. Obrona krzyża zamyka ponownie partię Jarosława Kaczyńskiego w zaułku, z którego wydostała się w trakcie kampanii prezydenckiej. Przypomina o dawnym wizerunku Prawa i Sprawiedliwości jako ugrupowania nierozumiejącego współczesności, o ciasnych horyzontach, blisko związanego z Radiem Maryja. Wszystko to skutecznie odpycha umiarkowanych wyborców z centrum, których głosy Kaczyński zdobył."

23 lipca w publikacji „Droga ku przepaści” Lisicki podsumował sytuację na Krakowskim Przedmieściu - „Spór o krzyż przed Pałacem Prezydenckim wydaje się zakończony. Ale straty polityczne, które poniosła opozycja, są oczywiste. Budowany z trudem w czasie kampanii prezydenckiej wizerunek Jarosława Kaczyńskiego jako przywódcy umiarkowanego, całkiem się załamał.

Czy odpowiedzią mają być słowa Antoniego Macierewicza o zbrodni pod Smoleńskiem? Albo obrona krzyża jako pomnika wystawionego rzekomo poległemu prezydentowi? Który ma być znakiem „pełnej prawdy o Smoleńsku”? Tak jakby w tej pełnej prawdzie, o której mówią politycy PiS, mieściło się coś więcej niż to, co jednak wiemy z dotychczasowej prawdy: że lotnicy byli źle przeszkoleni, że nie powinni startować i lądować, że organizatorom zabrakło wyobraźni, a katastrofa była smutnym rezultatem mieszaniny zuchwałości, błagi, bałaganu z polskiej strony oraz niekompetencji po rosyjskiej? Wydaje się, że wiadomo wystarczająco dużo, żeby domagać się dymisji Bogdana Klichy oraz osób odpowiedzialnych za szkolenia w armii. Zamiast tego słyszę Jarosława Kaczyńskiego, który twierdzi, że kto ataków na nieżyjącego prezydenta nie łączy z katastrofą „ma jakieś kłopoty z myśleniem”. Ale owo „połączenie” musiałoby prowadzić do tezy, że katastrofa została ukartowana przez atakujących prezydenta, w domyśle rząd. Przecież to absurd. Przyjęcie tej tezy to pójście drogą ku przepaści. W polityce nie wolno być zakładnikiem emocji."

W podobny sposób, Paweł Lisicki wyrażał swoją troskę o prawicę w tekście „Dreszcz z 10 kwietnia” – „Nie wiem, co się stało z częścią polskiej prawicy. Co się stało z jej zdrowym rozsądkiem? Gdzie jest jej instynkt samozachowawczy? Jedni mówią o męczennikach, inni o poległych pod Smoleńskiem, jeszcze inni o ofierze złożonej przez naród albo o zbrodni. Zamiast analizy króluje mętna mistyka. Sypią się metafory, padają podniosłe hasła i slogany. Niektórzy politycy PiS ogłosili, że nie zważając na nic, będą dziś bronić krzyża, miejsca pamięci o śp. Lechu Kaczyńskim na Krakowskim Przedmieściu. Działają pod wpływem szczególnej atmosfery, która uniemożliwia racjonalny namysł."

Konkluzja tego artykułu pozwalała docenić intelektualne zaangażowanie autora: - „Zamiast widzieć ludzkie błędy, bałagan, niechlujstwo, złą organizację, tromtadrację; zamiast próbować wyciągnąć wnioski na przyszłość, tak aby podobna katastrofa nigdy się nie powtórzyła, autorzy takich wypowiedzi dzień po dniu przegrywają walkę o rozum, pławią się w cierpiętnictwie i pseudomartyrologii."

Na koniec tego przeglądu zostawiam jeden z najbardziej reprezentatywnych tekstów Lisickiego – „Śmiertelnie groźny mit” z 19 listopada 2010, w którym naczelny „Rzeczy” rozprawił się z „mitami smoleńskiego spisku”. Ze względu na głębię zawartych tam refleksji, przytaczam go niemal w całości:

„Do tej pory nie potrafiłem się dowiedzieć, jaki interes miałyby Rosja w przeprowadzeniu zamachu. Odpowiedź główna to zemsta i chęć zastraszenia. Rosjanie, nie mogąc znieść suwerennościowej polityki śp. Lecha Kaczyńskiego, postanowili go za karę zabić, jednocześnie terroryzując cały region. Po co? Rosjanie zawsze tacy byli. Nigdy nie odpuszczali wrogom, a kto im w oczy piaskiem sypał, tego w końcu usuwali.

Od początku mi się wydawało, że opowieść ta kupy się nie trzyma. Na rosyjski spisek brak dowodów. Można wykazać bałagan, niekompetencję, chaos i głupotę. Tyle że to nie to samo, co zbrodnia z premedytacją.

Poza tym rachunek zysków i strat. Rzekoma korzyść – twierdzą zwolennicy spisku – to ukaranie zbyt samodzielnego polityka. A straty – pytam? Przecież byłyby nieporównywalnie większe. Gdyby ów rzekomy zamach wyszedł na światło dzienne, a nikt mnie nie przekona, że istnieją zbrodnie doskonałe, bezśladowe, oznaczałoby to całkowite zerwanie stosunków Rosji z Zachodem. W końcu u licha jesteśmy w NATO i Unii Europejskiej czy nie? Krótko: Rosjanie musieliby być szaleńcami, żeby coś takiego przeprowadzić.

I argument następny. Ze wszystkiego, co do tej pory wiadomo, wynika, że polska załoga zdecydowała się lądować w warunkach, w których nie miała do tego prawa. Nawet jeśli założyć, że jakimś cudem ktoś wytworzył sztuczną mgłę, to pilot sam powinien był szukać innego lotniska.

Mit smoleńskiego spisku wydaje mi się zatem śmiertelnie groźny dla polskiej prawicy. Po pierwsze teza o zamachu jest tak radykalna, że pozwala przejść do porządku dziennego nad rażącymi zaniedbaniami polskich organizatorów lotu. Łatwo im wykazać, że nie przygotowywali morderstwa; tym samym rząd unika odpowiedzialności za nieudolność i błędy. Po drugie, posługując się myśleniem zamachowym, prawica traci zdolność przekonywania wyborców do swoich racji. Zainfekowana irracjonalizmem będzie musiała przegrywać kolejne batalie o kształt państwa. Ostatecznie liczba osób, które przyjmą, że w zderzeniu z kilku-dziesięciocentymetrowej grubości brzozą nie łamie się skrzydło samolotu, jest ograniczona. Nic nie poradzę, że tak myślę.”

Komentarz do tych wiekopomnych mądrości będzie krótki.

Wolno panu Lisickiemu wypisywać co zechce i nawet dziś – gdy rosyjski mit „pancernej brzozy” legł w gruzach, a racje mają „pławiący się w cierpiętnictwie i pseudomartyrologii” – powtarzać swoje banialuki i stroić się w szaty „prawicowego” publicysty. Byłoby jednak doskonale, gdyby pokładając ufność w głupocie Polaków i wierząc w powszechną amnezję, zechciał pamiętać, że są rzeczy, które okrywają hańbą.

756. O FAŁSZYWYCH PROROKACH I ŻŁUDNYCH NADZIEJACH

Opowiadanie historyjek o „wewnętrznych konfliktach”, „walkach frakcyjnych”, „odłamach” i „podziałach” w łonie partii rządzącej, należy do ulubionych zajęć żurnalistów. W ostatnich latach powstało co najmniej kilkadziesiąt tekstów, których autorzy zachłystywali się „wojną Tuska ze Schetyną”, wieścili rychłą zemstę „schetynistów”, dopatrywali w PO istnienia „frakcji prezydenckiej” lub oczekiwali na kontratak „liberalnego skrzydła”.

Najnowszą odmianą owych dykteryjek są mrozące krew w żyłach opowieści o „decydującym starciu” między Tuskiem a Gowinem, rosnącej w siłę „frakcji konserwatywnej” oraz bliskim „rozłamię” w PO. Podobnie, jak miało to miejsce we wrześniu ubiegłego roku, celują w tym byli publicyści „Rzeczpospolitej” i „UważamRze”. Nie chcę nawet przypominać, ileż to razy w czasie ostatnich lat miało dochodzić do rozłamów, walk frakcyjnych itp. straszliwych klęsk Tuska. Miara prawdziwości tych „analiz” jest oczywiście fakt, że do tej chwili w partii władzy nie nastąpił żaden podział, nikt nie zagroził pozycji premiera i w żadnym obszarze nie widać oznak rozpadu. Gdyby wywody owych żurnalistów miały jakikolwiek sens, powinniśmy już wielokrotnie doświadczyć skutków tych podziałów i oglądać widowiskowe spektakle polityczne.

Chcąc zrozumieć – skąd biorą się podobne opinie, trzeba cofnąć się w odległą acz niezamkniętą przeszłość. Przez kilkadziesiąt lat PRL-u funkcjonowały propagandowe mity o „frakcjach partyjnych” w łonie partii komunistycznej. W latach 50. wyodrębniano podziały na „puławian” i „natolińczyków”, dziesięć lat później na „grupę śląską” i „partyzantów”, w latach 80. słyszeliśmy zaś o rozbiciu na „skrzydło liberalne” – „postępowe” i konserwatywny „partyjny beton”. U podłoża tych podziałów miały leżeć „różnice ideologiczne” członków PZPR, sprzeciw wobec Moskwy, chęć „wybicia na niezależność” lub „kremla” do przeprowadzenia reform”. W rzeczywistości, chodziło zawsze o wykreowanie „nowego rozdania” (zgodnie z wolą Kremla) lub o podział łupów i likwidację jednej bandy przez drugą.

Warto pamiętać, że dzięki stosowaniu tej retoryki mogła wyłonić się tzw. „lewicowa opozycja” (zwana też rewizjonistyczną), w ramach której, członkowie PZPR – Kuroń i Modzelewski podjęli w pewnym momencie krytykę partii za „odejście od prawdziwego socjalizmu”. Z tego nurtu zbudowano później środowisko „komandosów”, by po latach arcymistrzowskiej gry dezinformacyjnej przekonać Polaków, że ludzie, którzy byli zaledwie schizmatykami wiary komunistycznej, stali się „demokratyczną opozycją” i wspólnie z robotnikami obalili ustrój komunistyczny.

Rozgrywanie rzekomych antynomii w interesie grupy rządzącej, nie jest niczym nowym w strategii sprawowania władzy. W ten sposób stworzono mitologię „twardogłowych” i „liberalnych” komunistów, by po zamordowaniu księdza Jerzego posłużyć się fałszywą tezą o prowokacji tych pierwszych wobec „liberałów” Jaruzelskiego i Kiszczaka i otworzyć drogę do „historycznego kompromisu” z wyselekcjonowaną opozycją.

Nie posądzam oczywiście dzisiejszych żurnalistów o takie wyrachowanie i znajomość historii, by decydowała o schematach zawartych w ich „analizach”. Nie sądzę nawet by większość z nich miała świadomość, że uczestniczy w pradawnej grze zwanej „strategią nożyczek”, którą opisałem w jednym z tekstów z lipca 2010 roku. Istota tej strategii sprowadza się zawsze do symulowania rozbieżności, generowania sztucznych konfliktów i pozorowanej walki „dobra” ze „złem”. Jest odmianą prymitywnej gry w „dobrego i złego gliniarza”, w której jeden posługuje się „kijem”, drugi oferuje „marchewkę”, zaś delikwent ma być przekonany, że ten „dobry” działa w jego interesie. Końcowy efekt jest zawsze korzystny dla globalnych interesów grupy rządzącej. Na przestrzeni ostatnich lat obecni sukcesorzy metod komunistycznych chętnie sięgali po tę strategię. Tym chętniej, że pozwala ona wytworzyć złudne wrażenie „normalności”, uwiarygodnić niektóre postaci i skierować uwagę na poboczne wątki.

Wystarczy zatem, że „nasi” żurnaliści są święcie przekonani o istnieniu w grupie rządzącej „pluralizmu politycznego” i funkcjonowaniu naturalnych „procesów politycznych” – by stali się nosicielami jednej z najgroźniejszych mitologii, znakomicie ułatwiającej rządy reżimu. Wystarczy, że wierzą, iż w partii rządzącej są ludzie o rozmaitych poglądach, że dzielą jej członków na „lepsze” i „gorsze” postaci oraz wyznają wiarę, że życie publiczne w III RP jest porządkowane według „reguł demokracji” – by przyjmowali wdzięczną rolę wsporników rozmaitych kombinacji dezinformacyjnych.

Jak dalece podobne zabobony funkcjonują również wśród polityków opozycji, niech świadczy fakt, że wiara w „rozgrywanie podziałów” w grupie rządzącej wyznacza obecną strategię działania partii Jarosława Kaczyńskiego. Zacytujmy opinię Joachima Brudzińskiego z września ubiegłego roku, gdy polityk PiS zapytany o projekt konstruktywnego wotum nieufności i szanse na zmianę rządu, wskazał na grupę „schetynistów” i stwierdził – „Dopuszczam taką możliwość, że podczas głosowania nad konstruktywnym wotum nieufności dla rządu Tuska, Platformie może zabraknąć kilku głosów. Kiedy dojdzie do głosowania, ktoś dozna wstrząsu mózgu, zatnie się przy goleniu, nie dotrze na głosowanie lub pomyli się przy naciskaniu guzików”.

Mamy tu do czynienia z projekcją poglądu, jakoby ludzi PO należało różnicować ze względu na ambicje polityczne, sympatie bądź wyznawany system wartości. Mamy wśród nich dostrzegać przeciwników polityki Tuska, zdeklarowanych konserwatystów lub liberałów. Czasem znajdujemy wypowiedzi, w których sugeruje się, że są tam ludzie mniej lub bardziej zdegenerowani, a nawet tacy, z którymi można prowadzić dialog i traktować ich jak sprzymierzeńców.

Głosiciele takich opinii zdają się zapominać, że prawdziwym „credo” wokół którego integruje się wyznawców PO nie są żadne programy ani kwestie polityczne – ale nienawiść wobec partii Jarosława Kaczyńskiego, niechęć do polskości i żądza władzy. Dzięki temu pod szyldem PO znajdziemy wszelkiej maści renegatów, wyrachowanych cwaniaków, nieudaczników i frustratów – co czyni z tego środowiska skansen agresywnych, twardogłowych typów, złączonych interesem i żądzą odwetu wobec

wszystkiego co kojarzone z braćmi Kaczyńskimi. Po 10 kwietnia 2010 roku doszła równie silna motywacja – zamiar ukrycia win, zatuszowania aktów zaprzaństwa oraz uniknięcia odpowiedzialności. Ona też decyduje o tym, że członkowie PO mogą się kierować ambicjami, wzajemnie zwalczać lub nienawidzić, jednak w stosunku do wroga będą stanowili monolit. Próba znalezienia w tym środowisku sprzymierzeńców lub postaci "świadka koronnego" jest skazana na porażkę – nie tylko dlatego, że nie ma tam ludzi honorowych i godnych zaufania, ale przede wszystkim z tej przyczyny, że każdy z nich wie, co czeka tych, którzy próbowali zerwać patologiczne więzy.

Wprawdzie dziennikarzom i politykom PiS-u posiadającym wśród ludzi PO kolegów i przyjaciół, może się wydawać, że „Jarek” czy „Grzesiek” to „równi goście” – nie warto jednak relacji towarzyskich przenosić nad sprawy polskie.

Kto zatem chciałby różnicować tych ludzi, niech wpierv się zastanowi - jak zachowywali się w obliczu śmierci naszych rodaków i jak głosowali w sprawach dotyczących tragedii smoleńskiej.

Dziś ponownie widać, że obłudna strategia „rozgrywania” nieistniejących podziałów, wsparta na zabobonach środowiska dziennikarskiego, jest przyczyną powstawania szeregu publikacji, w których „nasi” publicyści przekonują czytelników, że rzekome spory Tuska ze Schetyną czy Gowina z Tuskiem dają nadzieję na rozpad partii rządzącej i obalenie reżimu. Mało kto pamięta, że podobne prognozy ci sami publicyści głosili w roku 2009 czy 2012. Jeszcze mniej osób rozumie, że wartość takich „analiz” została już wielokrotnie zweryfikowana.

Elektorat PiS karmiony od lat takimi dywagacjami nie tylko nie chce dostrzec, że są one oderwane od realiów i nie przynoszą żadnych efektów, ale - co gorsze - zaczyna wierzyć, że nadzieje na zmianę sytuacji można pokładać w „grach frakcyjnych”, „procesach politycznych” lub ludziach pokroju Gowina czy Schetyny.

Prowadzi to mitologia niezwykle groźna, bo prowadzi do zafałszowania rzeczywistości i sprawia, że partia opozycyjna skupia się na celach trzeciorzędnych. Jest groźna, bo usypia ludzi opozycji, tumani wyborców PiS-u, zwalnia ich z głębszej refleksji i konkretnych działań. Każda tego typu publikacja – opierając się zwykle na pobieżnej obserwacji, głosach ludzi PO, pospolitych plotkach lub celowych „wrzutkach” – niesie potężny bagaż dezinformacji i rozbudza fałszywe nadzieje. Każda z nich działa na korzyść układu rządzącego i oddala nas od wygranej.

Ponieważ nie można oczekiwać, by „niepokorni i niezależni” autorzy porzucili tę mitologię lub zdobyli na odważną diagnozę – trzeba odwoływać się do czytelników, do ich doświadczenia, wiedzy o III RP i poczucia realizmu. Nie można pozwolić, by tego typu opinie nadal zwodziły Polaków i decydowały o fałszywych strategiach. Przyniosły już dość szkody.

757. FILM POLITYCZNIE ZAANGAŻOWANY – czyli kto wyłożył pieniądze?

Film „Śmierć prezydenta” wyprodukowany przez kanadyjską firmę Cineflix nie mógł być niczym więcej, jak „politycznie zaangażowaną” agitką. Szukając odpowiedzi na pytanie – dlaczego film upowszechnia rosyjską wersję wydarzeń i wygląda jak dzieło stworzone na polityczne zamówienie, słusznie wskazuje się na okoliczności związane z działalnością firmy Cineflix na rynkach Europy wschodniej. Ta produkcja ma przede wszystkim „podość się” rządowi III RP i Rosji i zapewnić firmie dalsze, lukratywne kontrakty. Sprawa ma jednak nieco szerszy kontekst.

Zwracałem już uwagę, że producenci serii „Air Emergency” współpracowali z firmami rosyjskimi przy produkcji niektórych odcinków, np. o locie Tu 154M Baszkirskich Linii Lotniczych z Moskwy do Barcelony, a trójka autorów „Death of President” zrobiła przed kilkoma laty film o zestrzeleniu przez Sowietów w 1983 roku koreańskiego samolotu pasażerskiego. Ilość fałszerstw i błędów, jakie zawierał tamten „dokument”, dorównuje obecnemu dziełu na temat tragedii smoleńskiej. Propagandowe lukrowanie rosyjskiej rzeczywistości, obecne w niemal wszystkich tego typu produkcjach, jest zabiegiem tym dziwniejszym, że jeden z autorów i scenarzystą „Śmierci prezydenta” – Greg Gransden, na początku lat 90. był korespondentem w Moskwie. Jest autorem wielu publikacji nt. Rosji i można sądzić, że zna realia tego kraju. Gdzie zatem poszukiwać przyczyn powstania tak makabrycznej agitki?

Z pewnością - w relacjach finansowych, choć w wymiarze wykraczającym poza zyski czerpane z dotychczasowej współpracy ze wschodnimi odbiorcami: sprzedaży 225 godzin programów stacjom rosyjskim, czy 179 godzin telewizjom na Ukrainie.

Myszę, że istotną okolicznością musi być fakt, że 24 kwietnia 2012 roku podpisano w Los Angeles umowę inwestycyjną między firmą Participant Media LLC, a spółką Cineflix Media, Inc.

Participant Media jest dużą korporacją finansującą produkcje filmowe i dokumentalne. Korporacją szczególną, bo wykładającą pieniądze wyłącznie na produkcje „politycznie zaangażowane”, powstające w ramach hollywoodzkich „kampanii społecznych”. Dotyczą one takich obszarów jak: ochrona środowiska, ochrona zdrowia, prawa człowieka, pokój i tolerancja, sprawiedliwość społeczna i ekonomiczna – czyli tego wszystkiego, czym sowiecka, a później rosyjska agentura wespół z milionami użytecznych idiotów karmi od lat światową opinię publiczną.

Participant Media były m.in. dystrybutorem dzieła Michaela Moore'a „Fahrenheit 9/11”, finansowały „geopolityczny thriller o globalnych wpływach przemysłu naftowego” - „Syriana” oraz wyprodukowały film Al Gore „Niewygodna prawda” na temat „globalnego ocieplenia”. Najnowszym dziełem Participant Media jest film „Promised Land” („Ziemia obiecana”), ukazujący „mroczną stronę eksploatacji gazu łupkowego”. Jego światowa premiera odbyła się przed kilkoma dniami – przypadkowo, w tym samym czasie, gdy w USA rozpoczęła się wielka debata o złożach łupkowych. Obraz, w którym główną rolę gra gwiazdor Hollywood Matt Damon, ma „przestrzegać przed zagrożeniami społecznymi związanymi z eksploatacją łupków”. W planach jest sfinansowanie „zaangażowanego” filmu o „przywracaniu demokracji” w Chile po roku 1988.

Innym „zaangażowanym” dziełem, na które Participant Media wyłoży pieniądze będzie film o pupilku płk Putina, twórcy WikiLeaks - Julianie Assange. Z pewnością, nakręcenie propagandowego obrazu o gwiazdzie państwowej telewizji Russia Today wymaga dobrych kontaktów z partnerami rosyjskimi. Niewykluczone też, że Rosjanie będą uczestniczyć w tej produkcji.

Film już jest zapowiadany jako „wielkie wydarzenie”, choć należy wątpić, by na jego podstawie można było rzetelnie ocenić misję prokremlowskiego „obrońcy wolności”.

Nie ma natomiast wątpliwości, że inwestycja kapitałowa w firmę Cineflix, musi być opłacalna dla Participant Media. Finansowo i politycznie. Tu kryje się klucz do odczytania intencji ostatniego dzieła National Geographic. Wówczas jednak nie należy się dziwić, że film o tragedii smoleńskiej, wyprodukowany za „politycznie zaangażowane” pieniądze jest zwyczajnym propagandowym humbugiem.

758. BELWEDERSKA STRATEGIA BANAŁÓW I PRZEMILCZEŃ

Lektura dzieła zatytułowanego „*Główne ustalenia i rekomendacje Strategicznego Przeglądu Bezpieczeństwa Narodowego*” (SPBN) nie należy do rzeczy łatwych. Stopień ogólnikowości, bezzasadna komplikacja, powszechne stosowanie pseudonaukowych zwrotów branżowych oraz rażąca niejednoznaczność przekazu - czynią z tego opracowania dokument nieczytelny, poprzez swoją formę zbliżony do produktów „minionego okresu”.

Krótki cytat pozwoli zrozumieć, na czym polegał problem autora, zmagającego się z pięknym ojczystym językiem:

„Opcja zrównoważonego integrowania systemu bezpieczeństwa narodowego to przygotowanie systemu bezpieczeństwa narodowego do zrównoważonego wykorzystywania zarówno szans wynikających ze współpracy międzynarodowej, jak i racjonalnie umacnianych zdolności sukcesywnie integrowanego narodowego potencjału bezpieczeństwa, którego priorytety rozwojowe koncentrowałyby się jednak wokół zadań związanych z zapewnieniem bezpośredniego bezpieczeństwa Polski. Jest to opcja ekstrapolacji obecnych kierunków transformacji systemu bezpieczeństwa.”

Analiza językowa dzieła wykazałaby zapewne intrygujące źródła inspiracji, jednak na potrzeby niniejszego artykułu przyjmijmy, że uczona retoryka jest uzasadniona „pionierskim charakterem SPBN”, o czym zapewnia nas autor dokumentu – gen. Stanisław Koziej.

Zachęcony deklaracją szefa BBN, iż „*Przegląd zapoczątkował nową jakość w polskiej kulturze i myśli strategicznej, a jego sukcesem jest uruchomienie społecznej debaty o sprawach bezpieczeństwa narodowego*”, podjąłem jednak trud lektury „głównych ustaleń”, w nadziei uzyskania „kompleksowej i interdyscyplinarnej” wiedzy.

Niestety trud daremny, bo efektem dwuletniej pracy „wybitnych polskich ekspertów i instytucji zajmujących się sprawami bezpieczeństwa” jest jałowy i ciężkostrawny zbiór ogólników - równie dalekich od prawdy jak od konkretności.

Dowiadujemy się, że w ramach SPBN nakreślono trzy możliwe scenariusze kształtowania się strategicznych warunków bezpieczeństwa w najbliższym dwudziestolecu – „*integracyjny – optymistyczny (z przewagą pozytywnych i pożądanых zjawisk i tendencji); dezintegracyjny – pesymistyczny (z przewagą niekorzystnych i niebezpiecznych zjawisk zewnętrznych i wewnętrznych) oraz ewolucyjny – realistyczny (zakładający kontynuację względnej równowagi negatywnych i pozytywnych zjawisk)*”.

Za podstawę dalszych rozważań przyjęto „scenariusz ewolucyjny-realistyczny”, w którym zakłada się że „*Unia Europejska – mimo występowania kryzysów gospodarczych o niskim lub średnim stopniu intensywności – przetrwa jako rynek zjednoczony wspólną walutą, a podstawowe elementy spójności zostaną utrzymane. Jednocześnie NATO pozostanie podmiotem zdolnym wspierać i wzmacniać bezpieczeństwo państw członkowskich oraz selektywnie interweniować wszędzie tam, gdzie zagrożone są żywotne interesy.*” Próżno byłoby poszukiwać uzasadnienia takiego wyboru.

Po dodaniu bezcennej uwagi, iż „*wystąpienie nagromadzonych „szczęśliwych przypadków” w scenariuszu optymistycznym czy też „czarnej serii” w scenariuszu pesymistycznym wydaje się mało prawdopodobne*”, następuje równie wartościowa konkluzja – „*Podsumowując główne ustalenia i wnioski SPBN, należy stwierdzić, że zmiany zachodzące w otoczeniu bezpieczeństwa Polski – przede wszystkim jego nieprzewidywalność i niedookreśloność, spadek znaczenia klasycznych zagrożeń militarnych wobec zagrożeń o charakterze asymetrycznym, a także rozszerzenie pola konfliktów o cyberprzestrzeń i rozwój struktur sieciowych – pociągają za sobą konieczność nie tylko zmiany zasad działania i funkcjonowania poszczególnych struktur oraz podmiotów bezpieczeństwa, ale – co istotniejsze – wymagają podjęcia niezbędnych działań przygotowawczych (transformacyjnych, rozwojowych i doskonalących)*”.

Jeśli twierdzenia o „*nieprzewidywalności i niedookreśloności*”, przy jednoczesnym założeniu „*spadku znaczenia klasycznych zagrożeń militarnych*” odzwierciedlają rzeczywiste poglądy „*wybitnych polskich ekspertów i instytucji zajmujących się sprawami bezpieczeństwa*” – powinniśmy uznać, że pieniądze wykładane na ich utrzymywanie i tworzenie takich „strategiczných przeglądów” - są wyrzucone w błoto. Jeśli zaś rażąca enigmatyczność tej konkluzji jest zamierzona, wolno przypuszczać, że zabieg ma na celu przemilczenie autentycznej sytuacji polityczno-militarnej i ucieczkę przez poważną refleksję.

Prognoza skutków obecnego kryzysu w strefie euro czy analiza zachowań NATO w ostatnich kilku latach (brak odpowiedzi na militaryzację Rosji, bierność wobec wojny w Gruzji czy nieudolność w obliczu konfliktu syryjsko-tureckiego) w żaden sposób nie pozwalają antycypować „scenariusza ewolucyjno-realistycznego”. Od kilku lat obserwujemy przekształcanie NATO z sojuszu obronnego w polityczną organizację bezpieczeństwa. Udział niektórych państw członkowskich w zbrojeniu rosyjskiej armii i policji, umacnianie osi Moskwa-Berlin, wstrzymanie procesu rozszerzania Sojuszu, czy ujawnione podczas interwencji w Libii poważne braki wojsk europejskich – to tylko niektóre dowody erozji spójności politycznej Sojuszu i zaniku więzi euro-atlantycznych. Obrazu dopełnia rezygnacja USA z postrzegania Starego Kontynentu jako centralnego punktu geostrategiczných interesów oraz zwijanie parasola ochronnego nad Europą. Ujawnienie się w ostatnim czasie szeregu nowych konfliktów zbrojnych, aktywność sojusznika Rosji, Chin i Białorusi, wzrost nakładów na zbrojenia – to z kolei przesłanki świadczące, iż teza o *spadku znaczenia klasycznych zagrożeń militarnych* jest równie błędna.

Twórcy SPBN rekomendując na początku „priorytetów strategii operacyjnej” – „*utrzymywanie i wykorzystywanie zdolności, gotowości i determinacji do samodzielnego – w razie potrzeby – reagowania na wszelkie zagrożenia*” – postulują w istocie rozwiązanie nieprzystające do „scenariusza ewolucyjno-realistycznego” i - co najważniejsze, niedostępne dla polskiej armii. Jej realny potencjał i możliwości budżetu III RP sprawiają, że postulat „samodzielnej reakcji” staje się propagandowym koncertem życzeń.

Kolejny priorytet – „*wzmocnienie*” Wspólnej Polityki Zagranicznej i Bezpieczeństwa UE przyspieszy natomiast tendencje dezintegracyjne NATO i znakomicie ułatwi proces „wypchnięcia” Stanów Zjednoczonych z Europy, o co usilnie zabiegają Niemcy i Francja. Wskazanie na ostatnim miejscu – „*partnerstwa strategicznego z USA*” nie powinno zatem zaskakiwać. Ta hierarchia odzwierciedla jedną z wcześniejszych rekomendacji SPBN, w której zalecano „*odejście od polityki bezwarunkowego, a wręcz bezrefleksyjnego popierania wszystkich działań tego mocarstwa.*”

Żalozyciel agencji Stratfor, George Friedman w artykule „Strategia dla Polski” opublikowanym niedawno w „Rzeczpospolitej”, napisał wprost – „*(...) polska historia uczy nas, że dynamika zmian w Rosji ma charakter cykliczny i Polska nie może zakładać, że Rosja będzie słaba i uległa w nieskończoność. Podobnie jak wszystkie państwa, Polska musi budować swoją strategię na najgorszym możliwym scenariuszu.*”

Friedman dodaje – „*Członkostwo w organizacjach międzynarodowych jest rozwiązaniem wątpliwym także z tego względu, że zakłada, iż NATO i Unia Europejska są instytucjami stabilnymi. Jeżeli Rosja stanie się agresywna, zdolność paktu do wystawienia sił zdolnych powstrzymać Rosjan będzie w większym stopniu zależeć od Amerykanów niż od Europejczyków.*”

Propozycje belwederskich ekspertów nie tylko nie biorą pod uwagę „najgorszego scenariusza”, ale całkowicie bezpodstawnie kreślą abstrakcyjny plan „ewolucyjno-realistyczny” – równie oderwany od rzetelnej prognozy, jak od doświadczeń przeszłości.

Za najpoważniejsze uchybienie „ustaleń i rekomendacji” SPBN trzeba uznać przemilczenie roli Rosji i obecnej polityki Kremla, a szerzej – zagrożeń wynikających z położenia geopolitycznego III RP. Jest to zaniechanie tym bardziej rażące, że na wstępie opracowania gen. Koziej zwraca uwagę, iż „*geopolityczne położenie Polski między Zachodem a Wschodem było najważniejszym strategicznym czynnikiem kształtującym tożsamość narodową i państwowość, a także determinującym charakter interesów narodowych i celów strategicznych w dziedzinie bezpieczeństwa.*”

Wprawdzie w jednym z dokumentów podsumowujących Przegląd, zatytułowanym „*Aspekty bezpieczeństwa militarnego w ujęciu SPBN*”, jest mowa o „*moce mocarstwowych ambicjach Rosji oraz jej dążeniu do przekształcenia systemu bezpieczeństwa Europy w rodzaj nieformalnego koncertu mocarstw*”, to już wnioski z tej oceny zawarte w „*zadaniach operacyjnych dla Sił Zbrojnych RP*” ograniczają się do inadequatego postulatu „*budowania zaufania w stosunkach z Rosją przez rozszerzanie współpracy w dziedzinie wojskowej w ramach istniejących możliwości wynikających z członkostwa w NATO*”. Kolejne z opracowań znajdujących się w podsumowaniu SPBN – „*Rosja wobec wewnętrznych wyzwań i zagrożeń w najbliższych latach*” nie zawiera zasadniczej refleksji nad działaniami rosyjskich „siłowników” i jest zbiorem medialnych doniesień oraz projekcją życzeń pod adresem wschodniego sąsiada. Konkluzja, że „*w Rosji potrzebne są reformy*” jednak „*w najbliższym czasie nie dojdzie do gruntownych zmian, a wprowadzane będą jedynie kosmetyczne decyzje pozornie usprawniające państwo*” – nie zasługuje na miano analizy wieńczącej przegląd bezpieczeństwa narodowego. Tem do tego typu opracowań jest natomiast jedna z wcześniejszych rekomendacji ekspertów BBN-u, mówiąca o tym, iż „*Rosję należy przyjąć taką jaka ona jest i chce być*”.

W żadnym miejscu „ustaleń i rekomendacji” nie znajdziemy wzmianki o zagrożeniu wynikającym z nadzwyczajnej aktywności służb Federacji Rosyjskiej (o skali porównywalnej z okresem „zimnej wojny”), o skutkach nowej doktryny wojskowej Kremla, wzroście nakładów na broń, wrogich posunięciach militarnych w obwodzie kaliningradzkim czy o agresywnej i konfrontacyjnej polityce propagandowej. Opracowanie SPBN przemilcza następstwa procesu integracji na obszarze poradzieckim (rozumianej przez Putina w kategoriach sowieckiego „uskorienienia”), ignoruje skutki stosowania „miękkiej siły” jako narzędzia w rosyjskiej polityce zagranicznej i zdaje się nie dostrzegać zagrożeń związanych z perspektywą szantażu energetycznego bądź cyberataku ze strony wschodniego sąsiada.

Ekspertów SPBN najwyraźniej nie interesują ostrzeżenia służb czeskich, holenderskich, słowackich, łotewskich czy gruzińskich mówiące o rosyjskiej ofensywie wywiadowczej, raporty najważniejszych ośrodków analitycznych przestrzegających przed groźbą akcji militarnej ze strony Rosji czy wnioski zawarte w raporcie Komisji Obrony brytyjskiej Izby Gmin – „*Russia: a new confrontation?*”, w którym podkreśla się, że „*Rosja staje się zagrożeniem dla świata i może doprowadzić do nowej zimnej wojny. Choć nadal jest słaba militarnie i gospodarczo, to potrafi zmuszać Zachód, by finansował odbudowę jej imperium*”.

W miejsce poważnej refleksji, warunkowanej sytuacją geopolityczną i realną oceną zagrożeń, otrzymujemy zbiór bezużytecznych komunałów o budowaniu „*zintegrowanego systemu bezpieczeństwa narodowego*” oraz równie zbędnych definicji w rodzaju – „*Opcja usamodzielnienia systemu bezpieczeństwa narodowego oznacza konieczność przygotowania systemu bezpieczeństwa narodowego, którego priorytetem jest maksymalizacja narodowego potencjału bezpieczeństwa, zdolnego przede wszystkim do realizacji zadań związanych z bezpośrednim bezpieczeństwem Polski i w następnej kolejności zadań międzynarodowych.*”

Trudno pozbyć się wrażenia, że ten pseudonaukowy żargon i ucieczka od konkretów, skrywa nie tylko niekompetencję twórców SPBN czy brak zdolności do formułowania rzeczowych wniosków, ale ma na celu zakamufłowanie prawdziwych intencji środowiska Belwederu. Realny kształt strategii bezpieczeństwa będzie bowiem uzależniony od efektu prac legislacyjnych i zostanie zatwierdzony poza wzrokiem opinii publicznej. Zapowiadana „*implementacja wyników SPBN*” oznacza konieczność nowelizacji szeregu ustaw i tworzenia nowych. Istotną cechą każdego z określań użytych w „ustaleniach i rekomendacjach” jest możliwość dowolnej interpretacji – bez narażenia na zarzut odstępstwa od wypracowanej „strategii”. Podkreślanie „*nieprzewidywalności i niedookreśloności*” pozwala natomiast na modyfikację dotychczasowej polityki bezpieczeństwa, a nawet rewizję sojuszy militarnych, zaś kluczowe słowo SPBN – „integracja”, otwiera pole do konsolidacji struktur siłowych i budowania reżimu prezydenckiego na wzór kremlowski. Wyniki Przeglądu trzeba oceniać w powiązaniu z dotychczasową, prorosyjską polityką ośrodka belwederskiego, definiowaną w jednej z rekomendacji jako „*normalizacja stosunków wzajemnych i pojednania polsko-rosyjskiego*”.

Jeśli takie intencje leżały u podstaw opracowania „nowej strategii”, środowisko skupione wokół Belwederu otrzymało użyteczne narzędzie propagandowe do realizacji własnych celów. Przy jego pomocy można uzasadnić niemal każdy projekt i forsować dowolne rozwiązania w sferze bezpieczeństwa. Nie ma jedynie pewności, że będą to rzeczy służące bezpieczeństwu Polski.

LUTY

759. PRZYJACIELE LUDOBÓJCÓW

23 lutego 1944 roku był najbardziej tragicznym dniem w historii Czechenii. Na ten dzień sowieccy bandyci wyznaczili datę deportacji do Kazachstanu i Azji Środkowej prawie pół miliona osób zamieszkujących Czecheno-Inguszką ASRS. Operacja deportacyjna pod kryptonimem „Góry” zajęła tylko kilka dni i została przeprowadzona według następującego planu: do republiki, jakoby w celu przeprowadzenia manewrów, wkroczyły wojska. Do przeprowadzenia i zabezpieczenia operacji ściągnięto z innych obwodów 19 tysięcy funkcjonariuszy NKWD, KGB i „Śmiersza”, 100 tysięcy oficerów i żołnierzy wojsk NKWD, z których część brała wcześniej udział w wysiedlaniu Karaczajów i Kałmuków.

23 lutego 1944 roku wszyscy mieszkańcy zostali aresztowani, a stawiający opór byli rozstrzeliwani na miejscu. Ludzi ładowano na ciężarówki i przewożono na stacje kolejowe. W drodze ginęły tysiące, ludzie byli zabijani, umierali z głodu i zimna. Martwych wyrzucano z eszelonów na otwartą przestrzeń mijanych stepów. Wiele wsi, których z różnych powodów nie można było deportować z Czecheno-Inguszetii po prostu palono wraz z mieszkańcami.

7 lutego, w wysokogórskiej wsi Chajbach, żywcem spalono i zamordowano około 700 osób. Zaśnieżona „Droga Śmierci” w ciągu dwudziestu dni została zasłana tysiącami zamrożonych ciał. W pierwsze tygodnie deportacji z głodu, zimna i chorób zmarło 70 tysięcy osób. Ogółem sowieccy ludobójcy wymordowali wówczas ponad 400 tysięcy Czechenów i Inguszków.

Przez dziesiątki lat „wolny świat” nie chciał nic wiedzieć o tej zbrodni. Podobnie, jak o ludobójstwie dokonanym w Katyniu czy deportacjach setek tysięcy Polaków w latach 1939-41 i 1944-46. Józef Mackiewicz w „Zwycięstwie prowokacji” napisał: *„Polityka Zachodu podczas wojny kierowała się względami narzuconymi jej przez sojusz z Sowietami; polityka Zachodu po wojnie kieruje się względami narzuconymi jej przez chęć pokojowej koegzystencji z Sowietami.”*

Przywódcy Zachodu stali się de facto współnikami zbrodni sowieckiej, przyjmując również moralną odpowiedzialność za „rozbestwione kłamstwo”.

Historia uczy, że każda nienazwana i nierozliczona zbrodnia zostanie powtórzona. 50 lat później, w odpowiedzi na ogłoszenie niepodległości Czeczenii, wojska rosyjskie rozpoczęły zakrojone na ogromną skalę operacje wojskowe. W wyniku trwającej od 1994 roku agresji rosyjskiej i okupacji terytorium Czeczenii zginęło ok. 250 tys. Czeczenów (z czego ok. 45 tys. dzieci), a setki tysięcy znalazły się na wygnaniu. Obozy uchodźców w krajach ościennych, będące najbliższym schronieniem dla uciekinierów, zostały przymusowo zlikwidowane pod naciskiem władz rosyjskich jako dowód na rzekome „stabilizowanie się sytuacji” w regionie.

Krystyna Kurczab – Redlich pisała w 2007 roku: *„Terrorystami okrzyknięto Czeczenów. Nie wojnę im objawiono, a „operację antyterrorystyczną”. Władimir Putin stanął na jej na czele. I 21 października 1999 roku na rynek centralny w Groznm, na klinikę położniczą oraz pocztę główną spadły ogromne bomby fachowo nazywające się rakietami taktycznymi „Toczek V” (Punkt V). Bomby były wyposażone w kasety z małymi bombami kulkowymi. W ciągu paru sekund zginęło ponad sto czterdzieści osób, ponad dwieście zostało rannych. Na rynku brodziło się we krwi, wśród kończyn, głów, wnętrzności.*

Tego nie pokazała już żadna telewizja, bo nie było tam dziennikarzy. Przystępując do nowej wojny z Czeczenią, Kreml nie powtórzył błędów dawnej otwartości: wiedział, że prawdziwa wygrana to wygrana w mediach. I murem zakazów zablokował ich przedstawicielom drogę do republiki. Od tego czasu świat właściwy (czyli widzownia telewizyjna) wiedział to, co zechciała pokazać władza Federacji Rosyjskiej. Informację zastąpiła dezinformacja. Kłamstwo. Fałsz.”

Dzień 23 lutego jest Światowym Dniem Czeczenii, ale wspomnienia o tej dacie próżno poszukiwać w mediach III RP. Reżim Tuska i Komorowskiego od lat buduje „przyjacielskie” relacje z ludobójcami i chce zmusić nas do „polsko-rosyjskiego zbliżenia i pojednania”.

Tekst, który dziś przypominam powstał we wrześniu 2010 roku, gdy władze III RP wykonując dyrektywy Kremla aresztowały Ahmeda Zakajewa - premiera emigracyjnego rządu Czeczenii Iczkerii. Zakajew przybył wówczas do Polski na obrady Światowego Kongresu Narodu Czeczeńskiego. Delegaci Kongresu wezwali ONZ do utworzenia Międzynarodowego Trybunału ds. Czeczenii, który miałby się zająć wyjaśnianiem zbrodni dokonanych na narodzie czeczeńskim. Chcieli również, by Rada UE i PE zorganizowały międzynarodową konferencję nt. Czeczenii. W wydanym wówczas „Przesłaniu do świata” napisali - *Przez was mamy swój holokaust*. Na te apele – przedstawiciele „wolnego świata” odpowiedzieli milczeniem.

Gdyby ktoś dociekał – dlaczego piszę o Światowym Dniu Czeczenii i przypominam tekst sprzed trzech lat, odpowiedzią niech będą słowa zamieszczone wówczas przez jednego z komentatorów - **„Czytam o Czeczeni, a widzę Polskę.”**

„Wiosną tego roku nad rzeką Assa w Inguszetii siedziała przy ognisku grupka dzieci. Przeleciały nad nią dwa rosyjskie śmigłowce wojskowe, zawróciły, spuściły bombę. Ognisko się dopalało, oświetlając trzy trupy i kilkoro ciężko rannych. Niedługo potem patrzyłam w oczy matki jednego z zabitych chłopców. Patrzyłam też w oczy matki, która pochowała trzech synów, kilkunastoletków - przy tym dwóch porwanych przez żołnierzy, a potem porzuconych gdzieś przy drodze, z wypatroszonymi wnętrznościami. Widziałam dzieci bez oczu i bez dłoni, okaleczone przez zabawki zrzucane na Czeczenię z rosyjskich śmigłowców. Widziałam dziewczynkę z dziurą w czaszce, pod którą pulsuje przykryty przezroczystą błoną mózg. Widziałam inną, zupełnie sparaliżowaną przez odłamek bomby, który utkwiał w okolicy kręgosłupa. Rozmawiałam z piętnastoletnim świadkiem rozpruwania brzuchów dwóm żywym chłopcom czeczeńskim, których wnętrzności pijani żołnierze rzucali psom...”

Krystyna Kurczab - Redlich dla Rzeczypospolitej

Premier Polski Donald Tusk uważa psucie stosunków z Rosją, poprzez zbyteczne akcentowanie tematu czeczeńskiego, za nierozumne. O tym szef rządu Polski powiedział w środę na konferencji prasowej w Warszawie, komentując informację, że pod Warszawą od 16 do 18 września 2010 roku odbywać się będzie Światowy Kongres Narodu Czeczeńskiego.

Obozy filtracyjne – tak oficjalnie nazywa się obozy, do których trafiają podejrzani schwytani przez rosyjskich żołnierzy. Każdego dnia specjalne oddziały rosyjskie wyłapują potencjalnych przyszłych bojowników, także dzieci, które ukończyły 15 rok życia. Wszyscy którzy przeszli przez obozy nazywają je nie obozami filtracyjnymi, ale obozami koncentracyjnymi, gdzie człowiek jest pozbawiony jakichkolwiek praw. [...] Zatrzymani byli przetrzymywani w bardzo ciężkich warunkach: były to cysterny albo boksy, które były wypełnione do połowy kolan wodą, bez znaczenia czy to było lato czy zima. Jednak prawdziwy dramat zaczynał się w czasie przesłuchań tych osób, świadectwo na to dają osoby, które przeżyły „filtry śmierci”. Na porządku dziennym były tortury, katowanie przesłuchiwanym.

Tortury psychiczne:

- poniżanie godności osobistej więźnia oraz jego wierzeń religijnych
- przymusowe przyglądanie się jak inni więźniowie są torturowani
- pozorowane rozstrzelanie (stosowane notorycznie)

Tortury fizyczne:

- „jaskółka”, czyli podwieszanie na związanych ze sobą rękach i nogach
- zakładanie maski gazowej na twarz więźnia, a następnie zamykanie dopływu powietrza do momentu aż torturowany utraci przytomność.
- Torturowanie prądem elektrycznym miejsc podatnych na ból: uszy, nos, ale przede wszystkim organów płciowych.
- Wyrywanie paznokci podczas przesłuchań, a następnie polewanie ich lodową lub gorącą wodą.
- Gwałty, wypalanie ogniem różnych symboli na ciele więźniów.

Częstym procederem żołnierzy rosyjskich, którzy sprawowali pieczę nad obozami filtracyjnymi, była możliwość wykupu więźniów (martwych lub żywych) lub wymiana ich za jeńców rosyjskich. [...] Rodzinna osoby, która trafiła do obozu filtracyjnego, od razu kontaktowała się z odpowiednią osobą wyznaczoną do negocjowania ceny, jeśli udało się zebrać określoną sumę pieniędzy, które najczęściej były zbierane po znajomych, udawało się odzyskać członka rodziny. Czas jaki minął od trafienia do obozu do odzyskania wolności wynosił kilka dni, takiej osoby nie omijały tortury obozu, jeżeli udało się jej wyjść z niego dzięki rodzinie najczęściej nie nadawał się do normalnego życia.

Jeńcom i zakładnikom mordowanym w obozach filtracyjnych Rosjanie usuwają organy wewnętrzne do transplantacji. Rodziny wykupują z obozów ciała pozbawione organów lub odnajdują w terenie.

„Rosyjscy żołnierze zatrzymali mnie na drodze w celu „sprawdzenia tożsamości”, choć nawet nie zajrzeli do papierów – opowiadał 16 stycznia 2004r. w Groznych trzydziestoletni Łom Ali. – Dokąd mnie zabrali – nie wiem. W pomieszczeniu bez okien, obitym dźwiękochłonną materią, podłączono mnie do aparatu przypominającego telefon i puszczono prąd. Żądali, żebym się przyznał do posiadania dwóch granatów, czterech automatów, pistoletu i ośmiu granatów F-1. Odmówiłem...”

Potem Alemu szpikulcem do szaszłyków przybito lewą rękę do drewnianej ściany łaźni i tak trzymano kilka godzin. W dwa dni później, gdy ponownie odmówił podpisania czegokolwiek, przykuto tę samą rękę jeszcze raz. Łamano żebra, prawie do pęknięcia czaszki ściskano głowę specjalnym narzędziem, gaszono na nim papierosy, duszono plastikowym workiem... Żądano, by się przyznał do wysadzenia rządowego budynku w Groznych w grudniu 2002 roku. Obok znęcano się nad piętnastolatkiem z Urus-Martanu. Krócej. Umarł. Łom Alego po pół roku znalazła i wykupiła rodzina.

Wysadzanie ludzi w powietrze to nowość wprowadzona przez wojska federalne wiosną 2002 roku. Najefektywniej zastosowano ją 3 lipca w Meskier Jurcie, gdzie eksplodowało 21 związanych lontem i wrzuconych do dołu mężczyzn, kobiet i dzieci. Ten sposób unicestwiania nie pozwala określić liczby zlikwidowanych ciał. Od wiosny, niemal co dzień w różnych zakątkach republiki psy wygrzebuja fragmenty ludzkich ciał

„Prawdopodobnie przez długie lata będziemy czekać zanim kwestia Czeczenii znajdzie dobre rozwiązanie. Są politycy w różnych miejscach, także wśród emigracji czeczeńskiej, którzy nie zawsze ułatwiają pracę” – Donald Tusk 15.09.2010 r.

„Gwałty i tortury na dzieciach w obozie filtracyjnym” w Czernokozowie”.

Amnesty International otrzymała niepokojące zeznanie od człowieka ocalałego z "obozu filtracyjnego" w Czernokozowie, że osoby zatrzymane, włączając kobiety i dzieci, są gwałcone i poddawane brutalnym torturom.

Amnesty International przeprowadził wywiad w Inguszetii z 21 - letnim "Musą", który był przetrzymywany w obozie Czernokozowo między 16 stycznia a 5 lutym. Został zatrzymany we wsi Znamenskiy, kiedy uciekał od ostrzału Grozny'ego autobusem z jego matką i bratem. Musa został zatrzymany z 10 innymi ludźmi, włączając dwóch nastoletnich chłopców.

"Musa" został poważnie pobity i był torturowany kilka razy każdego dnia podczas jego zatrzymania. 18 stycznia, został zmuszony, by przejść między "ludzkim korytarzem" 20-25 zamaskowanych ludzi uzbrojonych w pałki i młotki, którzy bili jego i inne zatrzymane osoby "Musa" został uderzony z tyłu młotkiem, który złamał mu kręgosłup.

"Musa" świadczy, że 14 letnia dziewczyna została zgwałcona przez tuzin strażników więzienia w korytarzu na zewnątrz celi, w których on i inne osoby zatrzymane były trzymane. Dziewczyna przyszła odwiedzić jej zatrzymaną matkę i za cenę 5,000 Rubli ona dostała pozwolenie na pięciominutowe spotkanie. Jej pięciominutowe spotkanie stało się czterodniową próbą, podczas której została zamknięta w celi, bita i wielokrotnie zgwałcona przez strażę.

"Musa" powiedział też Amnesty International o około 16 letnim chłopcu nazywanym Albert, pochodzącym ze wsi Davydenko, który został przeniesiony do jego celi po zbiorowym gwałcie i ciężkim pobiciu przez strażę więzienia. Jedno z jego uszu zostało ucięte i strażę odnosili się do niego przez żeńskie imię "Maria". "Musa" sądzi, że, aż 10 ludzi zostało zgwałconych w obozie w czasie jego 21 - dni zatrzymania.

"Musa" dzielił celę przez jeden tydzień z Andrejem Babitskim, dziennikarzem Radia Wolności.

Pomiędzy jego innymi kolegami z celi podczas jego 21 - dni zatrzymania, był człowiek, którego ręce zostały ciężko spalone zapalniczkami przez strażę więzienia i 17 letni chłopak, którego zęby były spiłowane metalowym pilnikiem i jego wargi zostały postrzępione, zostawiając go niezdolnym, do jedzenia, picia albo mówienia. "Musa" oszacował, że 10-15 nowych osób aresztowanych było sprowadzanych do obozu każdego dnia. Między nimi on widział 13-14-letnie dziewczyny. [...] Szokujące doświadczenie "Musy" jest zgodna z innymi doniesieniami, które pojawiały się z Rosyjskich "obozów filtracyjnych", wbrew bezustannym zaprzeczeniom przez rosyjski rząd w stronę międzynarodowej społeczności i mediów, tortury i gwałty są powszechne w tych obozach, stwierdza Amnesty International. [...]

Ahmed Yassin

„Mieszkałyśmy w Groznych niedaleko wiaduktu kolejowego, koło sklepu "Bogatyry". Była jeszcze zima, kiedy do naszej piwnicy weszli federalowcy. Znęcali się nad mamą, zrobili co chcieli, a potem ją zastrzelili. Widziałam wszystko, co było wcześniej, ale nie widziałam, jak ją zabijali. Wyprowadzili ją do innej piwnicy. Nie znaleźliśmy jej ciała, dom się zawalił i przygniotły ją stropy. Całą wojnę spędziłam w Groznych z różnymi kobietami[...]

Dziewięcioletniego Salmana Musajewa spotkało to co setki czeczeńskich dzieci: podniósł z ziemi błyszczący przedmiot. Przypominał "Czupa-czipsa" - ulubionego przez dziecko lizaka. Okazał się bombą. Dwa oderwane palce lewej ręki, trzy prawej.

(z relacji czeczeńskich dzieci)

„Te dzieci, gdy je kaleczono i zabijano krzyczały zapewne głośniejsz, niż dzieci ze szkoły nr. 1 w Biesłanie, ale miały mniej szczęścia; ich cierpienia to codzienność Czeczenii. Dzieci z Biesłanu są ważniejsze; cierpią odświętnie, na oczach przyklejonego do telewizorów świata.”

Krystyna Kurczab – Redlich, wrzesień 2004.

„Dowódca 45. pułku Aleksiej Romanow pokazuje mi doły, do których po łapankach "zaczystkach" wrzuca się Czeczeńów. Troskliwie mnie podtrzymuje - żebym nie zjechała po błocie do głębokiego na 6 metrów wykopu. Dół wygląda dokładnie tak, jak go opisywało niezliczone mnóstwo siedzących w nim ludzi. Od góry zwisa sznur, po którym trzeba wspinać się na przesłuchania. Chociaż trzyma mróz, z dołu unosi się specyficzny smród. Taki tu zwyczaj: Czeczeńcy powinni załatwiać się sobie pod nogi. I dwadzieścia cztery godziny na dobę stać na tej samej ziemi. A jak chcą mogą też siedzieć [...]”

Anna Politkowska - Druga wojna czeczeńska.

Wieś Samaszk 1997 rok: Zarządzono blokadę całej wsi i w ten sposób uniemożliwiono mieszkańcom ucieczkę - nastąpił zmasowany ostrzał. Wojska federalne i OMON-owcy w chustach z napisem „urodzony do zabijania” rozpoczęły „zaczystkę”. Do piwnic pełnych ludzi wrzucano granaty. Domostwa podpalano i rabowano. Gdy ktoś próbował ucieczki: kobieta, mężczyzna, dziecko – kosili go serią z automatów, a trupy palili miotaczami ognia. Na ulicach, podwórkach i w domach leżały trupy mieszkańców. Na klatce piersiowej jednego z zamordowanych mężczyzn leżało serce wyrwane razem z kawałkiem płuca. Wszędzie wały się jednorazowe strzykawki z promedalem, jednym z narkotycznych analgetyków. Tych, których nie zabito od razu, transportowano do Mozoduku, gdzie ich potwornie bito, torturowano przy użyciu prądu, a potem zabijano... strzałem w tył głowy.

To co się działo wewnątrz wioski, najlepiej oddają relacje naocznych świadków:

Malika Gielgajewa: „Wjechał transporter, weszli do domu. Pamięta, że jeden miał ze dwa metry wzrostu, siostra w ogóle bała się otworzyć oczy. Zapytali czy są u nas bojownicy. „Tu leży ranny, proszę nas zostawić” Ten dwumetrowy powiedział „Dobra, niech będzie”. I poszli. Wszyscy się ucieszyli, a tamci znowu przyszli. Rzucili dwa granaty. Siostra i Aminat padły na ziemię. Raisę raniło. Dołożyli snajperską serię. Znowu podeszli i z miotaczami ognia. Dopiero wtedy sobie poszli. Ojciec z córką płonęli”

Sabidat: „Przyszli, zabijali ludzi, podpalali domy. Widziałam, jak podpalili dom, wrzucając do środka ogień. Dwóch ludzi się paliło”.

Ukrainka obserwująca zajście z drugiego brzegu rzeki: „Na ulicy omonowcy bili jakiegoś starca, podbiegła czternastoletnia dziewczynka, żeby go obronić- żołnierze spalili ją miotaczem ognia”, „Kobiecie wyrwali z ręki dziecko i zastrzelili na jej oczach. Krzyczała: „Za co?! Przecież my nie jesteśmy bojownikami!” Odpowiedzieli: „Wystarczy, że jesteście Czeczeńcami”, „Na dworcu żołnierze powiesili dziesięcioro dzieci, potem jeszcze dwoje w szkole”, „Kobiety, dzieci, starców zapędzili do magazynu zbożowego. Wszystkich 130 mężczyzn rozstrzelali”

„Zjazd partyzantów czy zebranie terrorystów? Światowy Kongres Narodu Czeczeńskiego pod Warszawą” – „Głos Rosji” 15.09.2010r.

„Polska nie po raz pierwszy występuje w roli gospodarza przyjmującego czeczeńskich bojowkarzy, którym w ich ojczyźnie przedstawiono zarzuty o terroryzm - o wysadzenie w powietrze domów mieszkalnych, o ataki na szkoły, szpitale, o mordowanie starszych ludzi, kobiet i dzieci. [...] Obecnie sytuacja w polsko-rosyjskich stosunkach zaczęła się poprawiać. Bronisław Komorowski, od razu po wybraniu go na prezydenta państwa, ogłosił kurs na polepszenie stosunków z Moskwą. „Będę sprzyjać rozpoczętemu procesowi polsko-rosyjskiego zbliżenia i pojednania” - te słowa z przemowy inauguracyjnej prezydenta dały powód do mówienia o "resetowaniu" stosunków także na tym ważnym odcinku. Jednak dzisiejsze zebranie pod Warszawą może poddać w wątpliwość szczerłość słów o "zbliżeniu" i "pojednaniu".

Jednocześnie wszystko świadczy o tym, że polska opinia publiczna doskonale rozumie: nadszedł czas na nawiązanie dobrych stosunków z Rosją.”

„Sytuacja jest skomplikowana. Czasami spotykam polskich polityków, którzy chcieliby zepsuć stosunki polsko-rosyjskie, nadmiernie akcentując temat czeczeński. Uważam, że to nierozumne. Tutaj najważniejsze są umiarkowanie i zdrowy rozsądek” - Donald Tusk 15.09.2010r.

„Uwzględniając konieczność stworzenia bezpiecznej Europy, nie ogarniętej strachem, Polska przykłada siłę, aby polepszyć stosunki z Rosją. To jest zgodne z naszymi wspólnymi interesami – zarówno Polski i Rosji, jak i całej Unii Europejskiej. Polska wspiera to zbliżenie z Rosją. Obrany kurs na polepszenie stosunków jest produktywny i przynosi pierwsze rezultaty” - Bronisław Komorowski 31.08.2010 r.

„Wy, państwowi działacze i politycy będziecie robić wrażenie, że nic nie wiecie o terrorze, którego ofiarą stała się mała Czeczenia, zakładniczka Kremla.... Ścisłanie przez was ręki Putinowi będzie oznaczać aprobatę przejęcia doświadczeń Buchenwaldu i Oświęcimia przez rosyjskich okupantów Czeczenii. A wasze oklaski będą przyjęte przez moskwiaków jako zachwyt nad zamordowaniem 45 tysięcy czeczeńskich dzieci...”

- Prezydent Czeczeńskiej Republiki Iczkeria Abdul-Chalim Sadulajew

Źródła:

<http://czeczenia.blog.onet.pl/2006/02/22/23-lutego-swiatowy-dzien-czeczenii/>
<http://www.miesiecznik.znak.com.pl/Tekst/pokaz/9575/calosc>
<http://www.wystawa.czeczenia.com.pl/>
<http://www.chechnya.250x.com/foto.htm>
http://www.amnesty.org.uk/news_details.asp?NewsID=12978
<http://www.memo.ru/eng/news/index.htm>

<http://polish.ruvr.ru/2010/09/15/20593503.html>

<http://polish.ruvr.ru/2010/09/15/20581723.html>

<http://wiadomosci.onet.pl/kraj/kongres-narodu-czeczenskigo-potrzebny-umiara-i-roz.1.3688004.wiadomosc.html>

http://czeczenia.com.pl/index.php?option=com_content&task=view&id=151&Itemid=76

<http://cogito.salon24.pl/229867.przyjaciele-ludobojcow>

760. ANTYKOŚCIELNA KAMPANIA BRATNICH REŻIMÓW

Od dnia ogłoszenia decyzji Benedykta XVI o rezygnacji, nie słabnie antykościelna kampania propagandowa, prowadzona w sposób planowy i skoordynowany. Gdy przewodniczący watykańskiej Kongregacji Nauki Wiary, niemiecki arcybiskup Gerhard Ludwig Mueller, w wypowiedzi dla "Die Welt" uznał, że *„szermuje się przeciwko chrześcijaństwu argumentami w rodzaju tych, jakimi posługiwały się reżimy totalitarne, takie jak nazizm i komunizm”* – precyzyjnie wskazał dwa „ideowe” wsporniki obecnej kampanii.

Jeśli w początkowym okresie, mogły istnieć wątpliwości odnośnie wykorzystania „motywu przewodniego”, dziś bez trudu można wskazać, że stanie się nim temat homoseksualizmu i działalności „gejowskiego lobby w Watykanie”. Ten wybór wskazuje nie tylko na genezę obecnego ataku, umiejscawiając go w tezach „braterskiej” propagandy faszystowsko-komunistycznej. Pozwala też dostrzec, że rozgrywanym motywem będzie szczególnie zainteresowane środowisko „wojującego homoseksualizmu”, wykorzystując go do zdyskredytowania nauczania Kościoła - w tym podważenia braku akceptacji dla tzw. związków partnerskich.

Najnowszą odsłonę obecnej kampanii symbolizuje doniesienie lewackiego dziennika "La Repubblica", w którym stwierdza się, jakoby *„Benedykt XVI zrezygnował z bycia papieżem ze względu na odkrytą w Watykanie „siatkę gejowską”, szantażowaną przez osoby zewnątrz”*. Gazeta powołuje się na tezy 300-stronicowego raportu, przedstawionego Benedyktowi XVI przez trzech kardynałów, którzy badali tzw. aferę Vatileaks z 2012 roku. Wówczas ze Stolicy Apostolskiej wyciekały tajne dokumenty, ukazujące kulisy walki o władzę między duchownymi. Raport miał opisywać m.in. podziały wewnątrz Kościoła, w tym działalność *„siatki zjednoczonej przez orientację seksualną”*. Gazeta twierdzi, że na osoby z *„gejowskiej siatki”* ktoś z zewnątrz wywierał wpływy, które *„należałoby nazywać szantażem”*.

Na czym miał polegać ów szantaż i w jaki sposób miałby mieć związek z rezygnacją papieża – gazeta nie zechciała sprecyzować.

Wyjaśnienia tej zagadki trzeba zatem szukać na drugim końcu, tego samego łańcucha propagandowego.

Na długo przed tym, zanim "La Repubblica" podzieliła się swoimi rewelacjami, w organie propagandowym Kremla – „Głosie Rosji” (edycja włoska) ukazał się tekst zatytułowany „I segreti di San Pietro che hanno tolto le forze al Papa” (Tajemnice św. Piotra, które zabrały siły papieżowi). Po tygodniu, ten sam tekst ukazał się w polskojęzycznej wersji „Głosu Rosji”.

Autor - niejaki Mario Sommosa, pisał, iż *„niezwykłość sytuacji pobudza nas, nawet nie chcąc, do wysuwania innych prawdopodobnych hipotez o przyczynach tak niezwykłego postępu papieża Benedykta XVI.”* i po krótkich deliberacjach zmierzał do właściwej konkluzji:

„Mamy natomiast dwa przypuszczenia, które pojawiły się w naszych nieufnych umysłach. Pierwsze związane jest z działaniami, podjętymi przez papieża zanim został głową Kościoła. Józef Ratzinger w większym stopniu niż inni ponosi odpowiedzialność za ukrywanie licznych skandali związanych z księżmi-pedofilami, którzy nie mogli stanąć przed sądem cywilnym. Podczas wewnętrzkościelnych śledztw prawie zawsze w charakterze kary musieli jedynie opuścić swoje parafie, w których popełniono przestępstwa. Po czym wysyłano ich do innego miejsca pełnienia posługi lub przesuwano na inne stanowisko. A jeśli ktoś, kto dysponuje nowymi informacjami, mógłby pociągnąć obecnego papieża do odpowiedzialności za skrywanie tych faktów? Albo też bezpośrednio związać go z tymi sprawami?”

Czy był to szantaż pod adresem papieża, czy też po prostu przewencyjna informacja pewnych służb specjalnych? Jednak skandal, w który została wmieszana głowa Stolicy Apostolskiej, mógłby zadać śmiertelny cios całemu kościołowi. Jeśli takie przypuszczenie zgodne jest z rzeczywistością, wtedy słowa papieża Benedykta XVI, iż „jego abdykacja podyktowana jest dobrem kościoła” nabierają zupełnie innego znaczenia.”

Nie ma wątpliwości, że tekst włoskiego dziennika trzeba odczytywać w kontekście wcześniejszej publikacji „Głosu Rosji” (13.02). Dopiero z tej perspektywy można zrozumieć, czego dotyczy passus mówiący o „szantażu”, w związku z działalnością rzekomej „gejowskiej siatki”. Autor „Głosu Rosji” wyraźnie sugeruje, że mogła być to forma „prewencyjnej informacji pewnych służb specjalnych”, co (zważywszy na miejsce publikacji), jest rzeczą wartą dostrzeżenia. Przedstawia również „drugą hipotezę”, którą – ze względu na jej mętne przesłanki, trzeba interpretować jako dodatek immunizujący „właściwą” teorię.

Taka konstrukcja przekazu, pozwala nie tylko połączyć ze sobą dwa, pozornie odległe źródła, ale dostrzec, że zbudowano go z zachowaniem wszelkich reguł profesjonalnej dezinformacji. Funkcjonująca już w świadomości wielu odbiorców teza o „naciskach” wywieranych na Benedykta XVI, zyskała tu „racjonalne” uzasadnienie i została osadzona w popularnej konwencji „gry służb specjalnych”. Odtąd z powodzeniem może być rezonowana w różnych środowiskach i powielana w mediach „prawicowych” jak „lewicowych”. Dla jednych będzie dowodem, że Benedykt XVI stał się „ofiara” prowokacji służb lub uległ tajnemu „lobby gejowskiemu”, drugim posłuży do generowania ataków na Kościół i uzasadnieniu tezy, że obłuda owego „lobby” stoi na drodze uznania „związków partnerskich”.

Jakiegokolwiek dementi ze strony Stolicy Apostolskiej zostanie odczytane jako niewiarygodne i podyktowane intencją ukrycia prawdziwych przyczyn rezygnacji papieża.

Na koniec przypomnę cytāt, który pozwoli zrozumieć, dlaczego w obecnej kampanii można dostrzegać rysy dwóch, bratnich totalitaryzmów :

„Jestem zupełnie przekonany, że cały kler starał się stworzyć męskie stowarzyszenie erotyczne i tym samym ocalić ów istniejący od dwóch tysięcy lat bolszewizm, jakim było chrześcijaństwo. Kler kościoła chrześcijańskiego, który podporządkował sobie po nieskończeniu długich bojach kościoł aryjski, próbuje od najwcześniejszych wieków ustanowić celibat księży. Odwołuje się w tym celu do Świętego Pawła i pierwszych apostołów, którzy uznawali kobietę za symbol grzechu, a małżeństwo dopuszczali jedynie jako legalny środek uniknięcia wszeteczeństwa, jak to jest zapisane w Biblii. Kler szedł dalej tą samą drogą przez stulecia aż do roku 1139, kiedy to celibat księży stał się rzeczywistością. Jestem zresztą przekonany, że sakrament spowiedzi pozwala kapłanom, którzy nie chcą popaść w homoseksualizm, prokurować sobie kobiety i dziewczęta,

których potrzebują. Dotyczy to w szczególności wiejskich proboszczów. Moim zdaniem większość z nich jest heteroseksualna, przeszło 50 procent; podczas gdy w klasztorach 90 do 95 procent to homoseksualiści.

Jeśli zaczęlibyśmy dziś przygotowywać procesy przeciw księżom homoseksualistom i jeśli traktowalibyśmy ich z punktu widzenia prawa jako obywateli niemieckich, mogę zagwarantować 200 albo i więcej wyroków w czasie trzech najbliższych lat. Jeśli nie przeprowadzamy tych procesów, to nie dlatego, że brakuje przypadków, ale po prostu nie dysponujemy jeszcze wystarczającą liczbą funkcjonariuszy i sędziów. Mam jednak nadzieję, że za cztery lata dostarczymy bardzo przekonujących dowodów na to, że Kościół tak na poziomie swych przywódców, jak i zwykłych kapłanów, konstituuje stowarzyszenie erotyczne mężczyzn, które terroryzuje ludzkość od 1800 lat.” –

Reichsführer SS Heinrich Himmler - Do generałów SS, (1937r.) [w:] Himmler, Heinrich, Geheimreden 1933–1945 und andere Ansprachen, hg. von Bradley F. Smith und Agnes F. Pettersen, Frankfurt 1974

761. MUZEUM WYKLĘTE

W latach trzydziestych XX wieku, u zbiegu ulic Chałubińskiego i Oczki w Warszawie, wybudowana została okazała siedziba szefostwa Korpusu Ochrony Pogranicza. Budynek przetrwał zawieruchy wojenne, w tym Powstanie 1944 roku. Tuż po wojnie, w budynku zainstalowało się sowieckie NKWD. Gmach został szybko przystosowany do nowej roli - siedziby Głównego Zarządu Informacji Wojskowej – najbardziej zbrodniczej, sowieckiej organizacji przestępczej, spełniającej funkcję wojskowej policji politycznej. Szczególnie przydatne okazały się podpiwniczenia budynku, przebudowane i przeznaczone na areszt - miejsce kaźni i tortur.

14 sierpnia 2006 roku, po wieloletnich staraniach rodzin oficerów Wojska Polskiego zamordowanych w gmachu siedziby GZIW - odsłonięto tablice upamiętniające ofiary. Podczas uroczystości odczytano również Apel Pamięci:

Rodacy. Żołnierze Wojska Polskiego! Słuchajcie Wszyscy!

Stajemy dziś do Apelu Pamięci, aby oddać hołd ofiarom terroru komunistycznego - żołnierzom Wojska Polskiego i osobom cywilnym, dla których wolność i suwerenność Rzeczypospolitej były cenniejsze niż własne życie.

Spotykamy się w budynku, gdzie miał siedzibę Główny Zarząd Informacji, który przez dwanaście powojennych lat wywoływał wśród Rodaków strach i rozpacz. To właśnie tu, w tych murach byli więzieni, przesłuchiwani, torturowani i mordowani polscy patrioci, których jedyną winą było to, że nie godzili się z systemem i władzą narzuconą siłą Polsce, że byli wierni swoim ideałom, że pragnęli Ojczyzny wolnej i niepodległej.

Dziś Ojczyzna oddaje im należną cześć. Odsłonięte tablice pamiątkowe świadczą o wiecznej pamięci o Nich.

Wzywam do apelu żołnierzy nieugiętych, którzy nie chcieli pogodzić się z narzuconym reżimem i zapłacili za to najwyższą cenę - własne życie. Wzywam:

- pułkownika pilota Bernarda Adameckiego
- pułkownika dyplomowanego Józefa Jungrawa
- pułkownika pilota Augusta Menczaka
- pułkownika Feliksa Michałkowskiego
- komandora Stanisława Mieszkowskiego
- pułkownika dyplomowanego Mieczysława Oborskiego
- pułkownika Aleksandra Rode
- komandora Jerzego Staniewicza
- pułkownika pilota Szczepana Ścibiora
- podpułkownika Zdzisława Barbasiewicza
- podpułkownika Aleksandra Kitę
- podpułkownika dyplomowanego Stanisława Michowskiego
- podpułkownika nawigatora Władysława Minakowskiego
- podpułkownika Mariana Orlika
- komandora porucznika Zbigniewa Przybyszewskiego
- podpułkownika pilota Romana Rypsona
- podpułkownika nawigatora Zygmunta Sokołowskiego
- majora dyplomowanego Zefiryna Machallę
- majora Benno Zerbsta
- porucznika marynarki Zdzisława Ficka

Wzywam Was, wszyscy - znani i bezimienni - patrioci zamordowani przez reżim komunistyczny w śledztwie, zmarli w więzieniach, pochowani w bezimiennych mogiłach. Stańcie do Apelu! Cześć Ich Pamięci!

Do Was wołam, żołnierze podziemia niepodległościowego, których po wojnie spotkały represje, prześladowania, upokorzenia i szykany. Wzywam Tych, co nigdy nie zwątpili, że Polska odrodzi się wolna i suwerenna, że znajdzie się ponownie wśród demokratycznych państw świata. Dziś Ojczyzna czcí Waszą pamięć i oddaje należyty hołd.

Chwała Bohaterom! Cześć Ich Pamięci!

Kilka miesięcy później, 12 grudnia 2006 roku, w gmachu nowej Służby Kontrwywiadu Wojskowego, powstałej w miejsce sukcesora GZI – Wojskowych Służb Informacyjnych, została otwarta Izba Pamięci Ofiar Terroru Komunistycznego, w której udostępniono multimedialną ekspozycję odsłaniającą kulisy komunistycznych zbrodni.

Otwierając Izbę, szef SKW, minister Antoni Macierewicz powiedział:

Chciałbym dzisiaj zwrócić się przede wszystkim do tych z Państwa, dla których to miejsce jest miejscem pamięci własnego cierpienia i do tych, którzy tu zostawili pamięć o swoich najbliższych. Jesteście dotknięci i rozgoryczeni nie tylko pamięcią tamtej tragedii, tamtego poświęcenia, cierpienia, często upodlenia, często strasznego odrzucenia, ale także przez te wszystkie lata musieliście cierpieć, mając przekonanie, że nic się nie dzieje, nic się nie zmienia. Od czasu do czasu tylko kilku oficjeli złoży kwiaty, a w waszej sytuacji i w sytuacji narodu nie ma żadnej zmiany. Ja wiem, że bardzo trudno jest przekonać w takiej sytuacji, że coś się zmienia, ale przyrzekam na pamięć tych, którzy mi są najbliżsi, że tym razem na pewno się zmieni.

Bowiem Polska naprawdę się odradza, powoli się to dzieje i łatwiej jest położyć kwiaty i pokazać się w telewizji, niż odgrzebać pamięć o narodzie, który cierpiał i walczył, dzięki któremu w ogóle możliwe są zmiany, jakich doświadczamy. Poświęcenie jednostek składało się na łańcuch wysiłku całego narodu. Gdy czekaliśmy na rozpoczęcie tej uroczystości, słyszałem jak tłumaczono wam, że nie można się dokopać do tutejszych piwnic. Rzeczywiście sytuacja była paradoksalna albo nawet tragiczna.

Plany tego budynku są w Moskwie, ale nie ma ich w Warszawie. Tak wygląda polska rzeczywistość, w której próbujemy odbudować niepodległość, ale plan tej niepodległości ciągle jest poza nami. Ale to się naprawdę zmienia. Bohaterstwo tych, którzy byli tutaj dręczeni, którzy byli mordowani w całej Polsce naprawdę nie pójdzie na marne. Dzisiaj zostaje otwarta ta izba, zaledwie jako drobne zobowiązanie, iż całość zbrodni ujrzy światło dzienne, a winni tego, co się stało zarówno w przeszłości, jak też ci, którzy przez ostatnie piętnaście lat nic w tej sprawie zmienić nie potrafili, zostaną przykładowo ukarani.

Mam nadzieję, że państwo uzyskają przede wszystkim wiedzę, gdzie wasi bliscy naprawdę zostali pochowani. Żeby można było uczcić ich pamięć, i żeby było wiadome, że Polska zostanie odbudowana na solidnych podstawach.

W historii naszego kraju są karty, których zapomnieć nie wolno. Na zawsze pozostaną takimi zbrodniami dokonane przez funkcjonariuszy reżimu komunistycznego, w tym Informacji Wojskowej. Dla licznej rzeszy oficerów o przed-wrześniowym rodowodzie, żołnierzy Polskiego Państwa Podziemnego i Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie ta nazwa oznaczała więzienie, prześladowania, często bezimienną mogiłę. Dla prawie 17 tysięcy aresztowanych była synonimem terroru i bezprawia. Komunistyczne władze uczyniły wiele, by ukryć prawdę o haniebnym działaniu Informacji Wojskowej, o zbrodniach popełnionych przez prokuratorów i sędziów wojskowych oraz oficerów czerpiących z sowieckich wzorów. Te władze odmawiały przez wiele lat pełnej rehabilitacji ofiar, a sprawców zbrodni honorowały odznaczeniami i wysokimi stopniami wojskowymi. Zaledwie dwaj z nich stanęli przed sądem. Pozostali uniknęli, jak dotąd, odpowiedzialności. Dopiero teraz, w wolnej Polsce, możemy dać świadectwo prawdzie, pokazać, że zbiorowa pamięć narodu jest silniejsza niż wysiłki zawodowych propagandzistów. Możemy wreszcie zbrodnię nazywać zbrodnią, możemy pochylić czoła przed jej ofiarami, możemy pokazać rodzinom więzionych, że ich cierpienia nie poszły na marne, że stały się fundamentem zmian w Polsce i tego, co jest w niej teraz najlepsze. Tablica, którą odsłonięto 15 sierpnia tego roku i otwierana dziś Izba Pamięci Ofiar Terroru Komunistycznego w Wojsku, są symbolami triumfu prawdy i sprawiedliwości. Poznaliśmy prawdę i ona czyni nas wolnymi. Straszne doświadczenia komunizmu zawsze jednak będą dla nas przestrogą. Budując Polskę wolną, suwerenną, dostatnią, nie zapomnijmy o losach tutaj męczonych i o latach zniewolenia. Nie pozwolimy zapomnieć o ludziach, którzy stali się ofiarami terroru, dlatego że o takiej Polsce marzyli. Będziemy pamiętać o żołnierzach niepodległościowego podziemia, o bohaterach okresu wojennego, którzy zginęli w tym budynku i innych katowniach reżimu. Wspomnienia o tych, którzy przeszli gehennę komunistycznych więzień prześlemy następnym pokoleniom. Dziś składamy im hołd w imieniu wszystkich polskich żołnierzy. Cześć ich pamięci!

W piwnicach budynku Służby Kontrwywiadu Wojskowego, w roku 2007 powstało Muzeum Zbrodni Komunizmu – Głównego Zarządu Informacji. Po dojściu do władzy obecnej ekipy, jedna z pierwszych decyzji ówczesnego szefa SKW, płk Grzegorza Reszki dotyczyła zamknięcia i likwidacji Muzeum.

W listopadzie 2010 roku, w dniu Wszystkich Świętych, pod tablicą upamiętniającą Polaków zamordowanych w katowni GZI, stał stary, dawno wypalony znicz. W ten sposób, „odzyskana” przez grupę rządzącą Służba Kontrwywiadu Wojskowego czciła pamięć naszych Rodaków. Prof. Józef Szaniawski – ostatni więzień polityczny PRL-u powiedział wówczas – „To skandal. To pokazuje, kim są ci ludzie. Siedziałem na ul. Oczki dwa i pół dnia, kiedy mnie aresztowano w stanie wojennym. Tam mordowano i torturowano ludzi. To było coś gorszego niż więzienie na ul. Rakowieckiej. O ile „bezpieka”, NKWD czy KGB były pośrednimi organami represji, o tyle Wojskowa Służba Wewnętrzna i IW były w samej swej istocie instytucjami sowieckimi. Jeżeli obecne władze kontrwywiadu wojskowego nie chcą pamiętać o tym, kogo tam zamordowano, to znaczy, że utożsamiają się z tymi, którzy w tym budynku urzędowali”.

MARZEC

762. JAKA OPOZYCJA

Ponad dwie dekady kłamstw i nachalnej propagandy sprawiły, że tylko niewielu Polaków dostrzega dziś prawdziwy kontekst wydarzeń przełomu lat 80/90., a jeszcze mniej ma świadomość, że tzw. okrągły stół nie tylko uratował komunistów od odpowiedzialności za zbrodnie przeciwko narodowi, ale doprowadził do legalizacji PRL-u i z komunistycznej „nowej świadomości” uczynił podwaliny tworu zwanego III RP. . Dopiero w perspektywie „transformacji ustrojowej”, można docenić dalekowzroczność komunistycznej strategii tworzenia fałszywej opozycji oraz zrozumieć, jakie znaczenie miało zaprzęgnięcie jej do pracy nad „uświadomieniem” Polaków.

Jakub Berman, jeden z największych zbrodniarzy – agentów sowieckich, instalujących w Polsce reżim komunistyczny, nie bez racji wierzył, że „suma konsekwentnie i umiejętnie prowadzonych działań stworzy nową świadomość”. W budowaniu „nowej świadomości” komuniści sięgali po wszystkie środki – zniewalając Polaków terrorem, ale też zabiegając o zmianę mentalność polskiego społeczeństwa.

Ten obszar - stosunkowo najmniej rozpoznany, zdecydował o trwałości okupacji sowieckiej i ugruntowaniu przekonania, jakoby PRL była państwem polskim - wprawdzie ułomnym, o ograniczonej suwerenności, jednak gwarantującym ciągłość polskiej racji stanu. Takie przekonanie opierało się w istocie na akceptacji powojennego porządku i uznaniu, że jest on efektem nieuniknionych „uwarunkowań geopolitycznych” i nie może zostać zmieniony bez narażania nas na całkowitą utratę państwowości.

Jeśli nawet część Polaków nigdy nie pogodziła się z represjami i ograniczeniem wolności, nie uznała reguł narzuconych przez komunizm i niemal w całości gardziła jego „ideologią”, do faktycznej akceptacji, a w konsekwencji do legalizacji, wystarczył tylko jeden czynnik – rezygnacja z podstawowej dychotomii My-Oni i wyzbycie się świadomości, że komunizm jest tworem całkowicie obcym i wrogim polskości. Stąd był tylko krok do potraktowania komunistów jako partnerów, nazwania ich Polakami, a następnie nobilitowania polemiką i obdarzenia „zdobyczy socjalizmu” wartością dyskursywną.

Celem „nowej świadomości”, było zatem oswojenie Polaków z obcym tworem komunizmu i stworzenie powszechnego przekonania, że jest on częścią naszej tożsamości, czymś związanym z polskością, wartym refleksji intelektualnej i miejsca w

historii. By wykreować taką świadomość i dogłębnie zainfekować polskość, należało zabić nie tylko autentyczną elitę, ale uśmiercić naturalny mechanizm obronny – polski antykomunizm, wyniesiony z tradycji niepodległej II Rzeczypospolitej. To zadanie nigdy nie udało się „polskim komunistom”. W czasach PRL-u, zetknięcie komunizmu z polskością, zawsze ujawniało przepaść różnych systemów wartości, odrębności języka, kultury i tradycji. Napotymano ją szczególnie tam, gdzie komuniści próbowali mieszać porządki; godzić patriotyzm z dogmatem internacjonalizmu lub integrować państwowy ateizm z polskim katolicyzmem.

Sztuka połączenia tych nieprzystawalnych światów udawała się tylko osobnikom praktykującym postawy konformistyczne – z jednej strony „otwartym katolikom”, w rodzaju Mazowieckiego czy Wielowieyskiego, z drugiej – „marksistowskim schizmatykom”, jak Kuroń i Michnik. Z połączenia tych postaw stworzono zatem grupę „demokratycznej opozycji”, by znaleźć w niej partnerów do rozmów z komunistami.

Ten system selekcji pozwala zrozumieć, dlaczego niemal wszyscy ludzie owej „opozycji” – budujący z ekipą Jaruzelskiego podwaliny III RP, to osoby w różny sposób związane z partią komunistyczną: jej członkowie, sympatycy, beneficjanci ówczesnych władz, artyści uwikłani w zależność od reżimu, uczestnicy życia publicznego PRL, piewcy wszelakich odmian komunizmu „z ludzką twarzą”, wieloletni agenci bezpieki, a w najlepszym przypadku – „pożyteczni idioci”, pełniący z nadania SB rolę kompanów i magdalenkowych statystów.

W ramach tej samej strategii doprowadzono do sytuacji, w której Polacy uwierzyli, że owa grupa samozwańczych „reprezentantów narodu” przyczyniła się do obalenia zbrodniczego reżimu i wywalczenia niepodległości. Ta wiara, podawana dziś jako dogmat historyczny, ma wymiar gigantycznego kłamstwa. W rzeczywistości bowiem – to komunizm i jego bezpośredni sukcesorzy stworzyli groźną hybrydę państwowości i obrócili w ruinę nasze dążenia do niepodległości.

Dopiero III RP urzeczywistniła bermanowski postulat „nowej świadomości” i doprowadziła do tragicznej w skutkach asymilacji komunizmu i polskości. To państwo jest szczytowym produktem strategii podstępów i dezinformacji, a jednocześnie modelowym przykładem „nowoczesnego”, przepoczwarzonego komunizmu, który – ku ucieście gawiedzi, przyjął maskę „europejskości” i sznyt „socjaldemokracji”. Państwo takie mogło powstać, bo społeczeństwu polskiemu wmówiono, że komunizm „umarł”, znikł z naszej rzeczywistości równie szybko, jak alkohol z kieliszków opróżnianych w Magdalence.

Kolejną fazę – umacniania „nowej świadomości”, powierzono już wrogom ulokowanym wewnątrz społeczeństwa, ukrytym za parawanem „wolnych mediów”, szermującym hasłami demokracji, okrytych społecznym zaufaniem i przywłaszczonym mianem „autorytetów”. Prymitywna falsyfikacja języka, tworzenie symulowanych podziałów, rewizja polskiej historii, walka z pamięcią, niszczenie kultury i szkolnictwa, propagowanie zachowań antyspołecznych i amoralnych – wyznaczały drugi i znacznie groźniejszy proces dezintegracji. Były czasem, o którym Gustaw Herling Grudziński pisał, że ma „zabić w ocalałych, w ich dzieciach, wnukach i prawnukach smak, wartość i godność życia zreszczonego”.

Dramat polegał na tym, że ten wróg działał za aprobatą ogromnej części społeczeństwa, był uznawany za „swojego”, akceptowany i obdarzony demokratycznym glejtem.

Leopold Tyrmand w „Cywilizacja komunizmu” pisał – *„Najbardziej kurczowym wysiłkiem komunistów jest próba wmówienia całemu światu, a także i sobie samym, jednoznaczności interesów partii, państwa i społeczeństwa. Tymczasem życie na każdym kroku ujawnia trójstronną, przepastną rozbieżność tych interesów. Ktokolwiek żyje w komunizmie ma świadomość męki jaka towarzyszy każdej próbie pojednawczości czy uzgodnienia tego co sam chce czy zamierza, z tym co od niego wymaga partia i państwo. Rezultatem jest wieczna połowiczność wszystkiego, niemożność pogodzenia się z tym co człowieka otacza”*.

Kto poznał realia życia w III RP, musiał dostrzec nie tylko ową „przepastną rozbieżność interesów” grupy rządzącej i społeczeństwa, ale zrozumieć, że nawet komunistycznym sukcesorom nie udało się pokonać tej dychotomii. Jest ona znakiem obcości władzy – nawet wówczas, gdy obcość ta bywa głęboko skrywana i kamuflowana pseudodemokratycznym bełkotem.

Obecny reżim z niezwykłą łatwością wmówił Polakom, jakoby archaiczna konstrukcja okrągłego stołu była jedyną, na której można budować państwowość. Próba podważenia tego fundamentu jest traktowana niczym zamach na Polskę. Wywołuje histeryczne oburzenie „elit” i prowadzi do miotania najcięższych oskarżeń. Dzięki stosowaniu takich mechanizmów, w świadomości społeczeństwa ma powstać przeświadczenie, że każda próba „obalenia republiki” jest zamachem na państwo, musi prowadzić do „anarchii” i „godzenia w interes narodowy”.

Źródła tych zachowań również zdradzają rodowód obecnej władzy. Dążeniem komunistów było przecież tworzenie „frontów jedności narodu”, „kolektywów” i fałszywych „wspólnot”, w których czynnikiem integrującym miały być hasła niesione na partyjnych sztandarach. Każde podważanie fundamentów „socjalistycznego państwa” lub próba rewizji systemu okupacyjnego, była niedopuszczalna. Ta sama bliźniacza obsesja, wsparta kazuistyczną retoryką, towarzyszy od lat działaniom grupy rządzącej. Ujawnia ona rzeczywisty lęk przed dychotomią My-Oni, przed wytyczeniem ostrych podziałów, w których pojęcia „swój” i „obcy” nabierają elementarnego znaczenia i decydują o dokonywanych wyborach.

Wydawałoby się, że w takim systemie nietrudno określić rolę autentycznej opozycji. Jeśli jej celem ma być obalenie reżimu – nie może być miejsca na żadną „zgodę narodową”, na „konstruktywne dialogi”, poszukiwanie „płaszczyzn porozumienia”. Gmach III RP wsparty na komunistycznym fundamencie, wyklucza jakiegokolwiek „modyfikację”, stosowanie „programów naprawczych” i „reform”. Bezcelowe i wręcz groźne jest podtrzymywanie fikcji państwa praworządnego i demokratycznego. Nie leży to w interesie opozycji, lecz tych, którzy wykorzystują owe mechanizmy dla zalegalizowania łajdactw i umocnienia władzy monopartii.

Jeśli opozycyjność miałaby znaczyć więcej niż werbalny sprzeciw, jeśli ma być mądra i prowadzić do wykreowania nowej rzeczywistości, musi zatem odrzucać wszystko co proponuje III RP – z jej mediami, establishmentem i samozwańczymi elitami. Nie tylko ze względu na fałsz, intelektualną marność i semantyczne zaprzęstwo, ale dlatego, że niemożliwe jest budowanie społeczności ludzi wolnych wraz z tymi, którzy noszą piętno komunistycznego niewolnictwa. Kto próbuje takiej sztuki – nie tylko nie ocali niewolników, ale zgubi ludzi pragnących wolności.

W ramach obecnej postawy, zwanej opozycyjną, można oczywiście dążyć do reformy lub modyfikacji systemu – nigdy jednak do jego obalenia. Ta postawa zakłada zaledwie sprzeciw wobec „form postkomunistycznych”, nie doprowadzi jednak do zanegowania samego fundamentu III RP. W ramach tej postawy jest miejsce na współpracę z komunistami i ich sukcesorami, na polemikę z wytworami medialnych terrorystów, na budowanie „programów politycznych” i wiarę w mechanizmy demokracji. Nie ma natomiast miejsca na „ostre widzenie świata”, na wytyczenie granic polskości i nazywanie po imieniu „obcych”, na podważenie filarów, na których wspiera się karykatura obecnej państwowości.

W istocie – niewiele różni ją od zachowań ludzi „demokratycznej opozycji”, dostrzegających w komunistach partnerów i rzeczników polskich interesów.

Taka postawa - zamiast twardej negacji i bezkompromisowej walki, przynosi Polakom miraż pseudodemokracji i karmi nasze nadzieje populistycznym placebo. Nie jest ozdrowieńczym „serum” podawanym mieszkańcom Oranu, dotkniętym plagą szczurów - lecz usypiającym narkotykiem, po którym przychodzi bolesne przebudzenie lub śmierć.

763. USTAWA O REAKTYWACJI WSI

W cieniu symulowanych konfliktów, medialnych inscenizacji i nagłaśniania tematów zastępczych, postępuje proces budowy reżimu prezydenckiego. Środowisko skupione wokół Belwederu, nie napotykając najmniejszych przeszkód ze strony opozycji sprawnie pokonuje kolejne etapy i narzuca „implementację” wyników Strategicznego Przeglądu Bezpieczeństwa Narodowego (SPBN). Rozwiązania te pełnią rolę narzędzia w wykreowaniu legislacyjnych podstaw nowego reżimu, służą uzasadnieniu prorosyjskiej „koncepcji bezpieczeństwa” i zmierzają wprost do konsolidacji struktur siłowych, na których oprze się fundament władzy prezydenckiej.

Belwederski plan składa się w istocie z dwóch założeń: reformy dowodzenia Siłami Zbrojnymi RP, mającej na celu wzmocnienie lobby wojskowego i poszerzenie zakresu zwierzchnictwa prezydenta nad armią oraz z dogłębnej przebudowy służb specjalnych, dokonywanej pod hasłem „integracji i koordynacji”, której efektem będzie m.in. wyłonienie nowej formacji (powstałej z połączenia Agencji Wywiadu ze Służbą Wywiadu Wojskowego) – jako „zbrojnego ramienia” reżimu prezydenckiego. Prezydent sprawujący zwierzchnictwo nad SZ RP, za pośrednictwem ministra obrony narodowej, będzie nie tylko faktycznym decydem w kwestiach bezpieczeństwa, ale uzyska realny wpływ na działania potężnej służby.

Rządowi Donalda Tuska powierzono rolę wykonawcy planów, przy czym dyspozycyjność w tym zakresie wydaje się dziś decydująca w kwestii przyszłości rządu. Opinia wyrażona niedawno przez gen. Kozieja, iż *„obrany kierunek zmian jest zbieżny z wnioskami ze Strategicznego Przeglądu Bezpieczeństwa Narodowego”*, a *„w obecnej chwili nie ma różnic w tym zakresie pomiędzy ośrodkiem prezydenckim a strukturami rządowymi”* – pozwala przypuszczać, że jest to układ nadal stabilny.

Belwederskie plany zakładają powrót do modelu służb sprzed 2006 roku oraz powierzenie stanowisk dowódczych w nowej formacji wyłącznie żołnierzom zawodowym. Wymusza to przygotowanie rozwiązań prawnych, które reaktywują układ personalny byłych Wojskowych Służb Informacyjnych i przywrócą tej służbie „dobre imię”, utracone w wyniku publikacji Raportu z Weryfikacji. Warto pamiętać, że w rekomendacjach powstałych w ramach SPBN, likwidację WSI uznaje się za akt „szkodzący bezpieczeństwu państwa polskiego”, zaś lokator Belwederu należy do zdecydowanych zwolenników tego środowiska.

Reaktywacja wpływów WSI nie ograniczy się z pewnością do służb specjalnych. Nie można wykluczyć, że w tle proponowanych reform istnieje zamiar powierzenia ludziom wojskowi nadzoru nad technologiami wojskowymi oraz zaangażowanie ich w procesy związane z modernizacją Sił Zbrojnych. Również prezydencki projekt „polskiej tarczy antyrakietowej”, zakładający uwzględnienie *„polskiego przemysłowego potencjału obronnego”*, wydaje się wpisywać w taki scenariusz.

Jednym z legislacyjnych narzędzi, służących realizacji tych celów jest nowelizacja ustawy - Przepisy wprowadzające ustawę o Służbie Kontrwywiadu Wojskowego oraz Służbie Wywiadu Wojskowego oraz ustawę o służbie funkcjonariuszy Służby Kontrwywiadu Wojskowego oraz Służby Wywiadu Wojskowego. Projekt MON z dnia 16 października 2012 roku jest obecnie przedmiotem zaawansowanych konsultacji i uzgodnień, do których zaproszono również żołnierzy byłych WSI, skupionych w stowarzyszeniu SOWA.

Projekt powstał w związku z orzeczeniem Trybunału Konstytucyjnego z dnia 27 czerwca 2008 r. sygn. akt K 51/07, w którym trybunał orzekł o niekonstytucyjności art. 70a ustawy, dotyczącego sporządzenia przez Przewodniczącego Komisji Weryfikacyjnej raportu o działaniach żołnierzy i pracowników WSI. Zdaniem TS, poprzednia ustawa nie gwarantowała zainteresowanym osobom dostępu do akt sprawy, odmawiała prawa do wysłuchania w przedmiocie zebranych informacji oraz nie zapewniała środków prawnych umożliwiających uruchomienie sądowej kontroli decyzji o podaniu do publicznej wiadomości danych osobowych objętych raportem Komisji Weryfikacyjnej.

Projekt powstały w MON idzie jednak dalej. Stwierdza się w nim, że nowelizacja ustawy ma służyć *„określeniu na nowo procedury weryfikacji treści raportu”*, a jej zakres będzie się odnosić do instytucji *„uzupełnienia raportu”*. Należy zatem rozumieć, że środki prawne przewidziane w nowelizacji mają ułatwić ponowną weryfikację żołnierzy i funkcjonariuszy byłych WSI oraz przygotować ewentualne „uzupełnienia” raportu. Zgodnie z ustawą mogą je sporządzić tylko Szefowie Służby Kontrwywiadu Wojskowego lub Służby Wywiadu Wojskowego. W perspektywie planowanej „reformy służb”, staje się oczywiste, że szefowie tych służb mogą zostać postawieni wobec alternatywy – albo sporządzą „uzupełnienie”, zgodnie z wolą „pokrzywdzonych” raportem ludzi WSI albo odejdą ze stanowisk. Ponieważ Kancelaria Prezydenta od wielu miesięcy rozsyła pisma do urzędów i służb podległych premierowi, pytając je o lokalizację materiałów badanych przez Komisję Weryfikacyjną, można przyjąć, że są to działania służące temu samemu celowi.

Dla osób „pokrzywdzonych” treścią „raportu Macierewicza” (tak w projekcie noweli nazywa się dokument przejęty postanowieniem Prezydenta Lecha Kaczyńskiego z 16 lutego 2007 i ogłoszony w Monitorze Polskim nr 11) przewiduje się wyjątkowe w polskim prawie postępowanie rehabilitacyjne. Osoby te będą mogły wystąpić do sądu z wnioskiem *„o wydanie orzeczenia ustalającego sytuację prawną zainteresowanego w kontekście opublikowanego już raportu”*. Sądem właściwym będzie Sąd Okręgowy w Warszawie, orzekający w składzie trzech sędziów. Samo postępowanie byłoby jednak farsą, ponieważ ustawa przewiduje zastosowanie trybu nieprocesowego, w którym sąd wydawałby końcowe postanowienie wyłącznie na podstawie wniosku osoby „pokrzywdzonej”. Nie wiadomo, jak wówczas miałoby wyglądać postępowanie dowodowe, szczególnie, jeśli weryfikacja wniosku wymagałaby ujawnienia materiałów objętych klauzulą tajności. Kolejną farsą jest zapis, w którym proponuje się obowiązkową obecność prokuratora - jako *„gwaranta ochrony praworządności, przestrzegania praw obywateli i interesu społecznego”*. Praktyka obecnych działań prokuratury (również w odniesieniu do zawiadomień Komisji Weryfikacyjnej WSI) dowodzi, że jej przedstawiciel byłby raczej rzecznikiem interesów grupy rządzącej, niż interesu społecznego.

Projekt przewiduje, że na podstawie takiego trybu sądowego zapadałoby orzeczenie *„stwierdzające fakt zamieszczenia w raporcie informacji nieprawdziwych lub informacji wykraczających poza zakres przedmiotowy określony ustawą, albo orzeczenie oddalające wniosek”*. Po upływie 30 dni od uprawomocnienia orzeczenia, byłoby one przesyłane szefowi MON w celu opublikowania jego sentencji w Dzienniku Urzędowym Monitor Polski.

Jakie intencje towarzyszą tej regulacji, można również wnioskować na podstawie opinii przesłanych przez instytucje, do których trafił projekt ustawy.

Szef BBN Stanisław Koziej „*poddaje pod rozagę*” ministrowi obrony narodowej, iż ustawa powinna umożliwiać występowanie do sądu wszystkim osobom, o których wspomina Raport z Weryfikacji WSI, nie tylko zaś tym, które posiadają wcześniejsze orzeczenie sądowe. Jest to stanowisko zgodne z postulatami środowiska WSI. Publikacja postanowienia sądowego w Dzienniku Urzędowym, byłaby, zdaniem Koziej – „*zadośćuczynieniem idei uzupełnienia treści raportu, który w tym dzienniku został już ogłoszony*”. Koziej zwraca również uwagę, że „*część osób zainteresowanych publicznym, oczyszczeniem z zarzutów zawartych w ‘Raporcie’[...] może dysponować innymi dokumentami i dowodami, które pozwolą sądowi zweryfikować treść ‘Raportu’ w odniesieniu do wnioskodawcy*”. To przypuszczenie prezydenckiego ministra może sugerować, że w posiadaniu ludzi byłych WSI znajdują się „*zbiory prywatne*”, których ujawnienie – w przypadku bierności prokuratury i ograniczeniu postępowania dowodowego, pozwoliłoby uzyskać korzystne postanowienia sądowe. Podobne uwagi zawiera pismo Prezesa Naczelnego Sądu Administracyjnego, który utrzymuje, że prawo do występowania do sądu „*powinno obejmować wszystkie osoby wymienione w raporcie*”, a nadto wyraża troskę, czy osoby te winny ponosić koszty postępowania (w projekcie mowa jest o 200-zł), skoro „*zostały poszkodowane przez organ państwa*”.

Trzeba przypomnieć, że w liście z maja 2011 roku skierowanym do Donalda Tuska, gen. Marek Dukaczewski pisał: „*Pragnę podkreślić, że do chwili obecnej nasze problemy nie zostały rozwiązane mimo deklaracji przedwyborczych partii Pana Premiera oraz oburzenia wyrażonego w tzw. ‘Antyraporcie’, jak również mimo uchwalenia przez posłów Platformy Obywatelskiej zmian w ustawie znoszącej WSI w dniu 25 lipca 2008 r., która nie uwzględnia zapisów zawartych w wyrokach Trybunału Konstytucyjnego*”. Miesiąc później, Dukaczewski w piśmie do premiera wyraził nadzieję, że „*sprawa skrzywdzonych przez Raport Antoniego Macierewicza i Komisje Weryfikacyjna żołnierzy i pracowników WSI zostanie w końcu rozwiązana zgodnie z zasadami obowiązującymi w demokratycznym państwie*”. Kolejne pisma szefa SOWY zawierają już nieco inną retorykę.

We wrześniu 2012 roku Dukaczewski proponował, by MON przestało stowarzyszeniu nie tylko projekt omawianej tu ustawy, ale również projekty dokumentów „*dotyczących tematyki: wywiadu, rozpoznania, kontrwywiadu, ochrony informacji niejawnych i bezpieczeństwa teleinformatycznego oraz zmian struktur jednostek organizacyjnych zajmujących się tymi obszarami*.” Zdaniem Dukaczewskiego „*duża wiedza i doświadczenie*” ludzi WSI „*mogą być pomocne i wydawnie przyczyniać się do podniesienia jakości prawa*”.

Również sam projekt noweli autorstwa MON nie zadowala w pełni środowiska WSI. W przesłanym do ministerstwa stanowisku, SOWA żąda m.in. prawa do postępowania sądowego dla każdej osoby „*pokrzywdzonej*” Raporem, postuluje ograniczenie lub usunięcie art.70d ust.2 i 3 ustawy, pozwalającego na sporządzenie kolejnych „*uzupełnień*” raportu oraz stawia zarzut, iż ustawa nie normuje „*sposobu zadośćuczynienia*”. Zdaniem środowiska WSI, osoby wymienione w Raporcie „*uległy stygmatyzacji jako przestępcy*”, ustawa powinna zatem wprowadzać „*rodzaje i tryb przyznawania odszkodowań oraz zasady umieszczania przeprosin*”. W piśmie zawarto też propozycję dotyczącą Aneksu z Weryfikacji WSI, przekazanego prezydentowi Lechowi Kaczyńskiemu w listopadzie 2007 roku. Ludzie WSI proponują, by dokument pozostający dziś w dyspozycji Bronisława Komorowskiego został przekazany do tajnego archiwum, z zastrzeżeniem, że może być udostępniony po 50 latach, tj. po 2056 roku, lub otrzymał „*kategorię archiwalną Bc*” i był „*przekazany na makulaturę*”.

10 – stronicowe stanowisko ludzi WSI kończy się pouczeniem, które ze względu na użytą retorykę, warto jest zacytować: „*Przedstawiciele władzy powinni mieć świadomość, że takie stanowienie prawa i taki sposób jego realizacji, jak również bezpodstawną zwłoka w naprawieniu wyrządzonych krzywd podważa zaufanie obywateli do własnego państwa, które mieniąc się demokratycznym, wobec żołnierzy i pracowników WSI zastosowało naganną zasadę odpowiedzialności zbiorowej. Wierzymy, że po pięciu latach państwo polskie naprawi w końcu wyrządzone przez swoich urzędników krzywdy wszystkim niesłusznie oskarżonym żołnierzom, którzy zgodnie z prawem wykonywali swoje obowiązki stojąc na straży bezpieczeństwa narodowego*”.

Jeśli dostrzec, że na „*wiedzy i doświadczeniu*” ludzi byłych WSI są dziś budowane fundamenty reżimu prezydenckiego, trudno przypuszczać, by ich żądania nie zostały spełnione.

764. ZAMACH W DRODZE KONSULTACJI

Komunikaty rosyjskiego Komitetu Śledczego i polskiej prokuratury w sprawie badań na obecność śladów materiałów wybuchowych, tylko pozornie wydają się sprzeczne. Przed kilkoma dniami rzecznik Komitetu Śledczego Rosji Władimir Markin oświadczył, że „*przeprowadzona wspólnie przez specjalistów z Rosji i Polski nowa ekspertyza szczątków polskiego Tu-154M nie wykazała na nich śladów wybuchu*”. Kilka godzin później, na konferencji zorganizowanej w Moskwie, ppłk Karol Kopczyk poinformował, że „*w Smoleńsku nie były prowadzone żadne badania i nie były wykonywane żadne ekspertyzy*”, zaś Naczelna Prokuratura Wojskowa (NPW) wydała komunikat, w którym napisano - „*Polscy biegli oraz prokurator wojskowy nie uczestniczyli na terenie Federacji Rosyjskiej w żadnych badaniach (tym bardziej – laboratoryjnych) pod kątem wykrycia materiałów wybuchowych*”.

Komentując tę sytuację, Antoni Macierewicz uznał, że „*może chodzić o próbę narzucenia stanowiska polskiej prokuraturze na przyszłość. Prokuratura rosyjska chce zamanifestować, iż takiego właśnie wyniku badań ze strony prokuratury polskiej się spodziewa i takiego żąda. Ślady wybuchowe mają nie zostać znalezione i już*.” Szef zespołu smoleńskiego dopuszcza również że to Rosjanie mówią prawdę. „*Nie da się przecież wykluczyć*”, - oświadczył Macierewicz, że Rosjanie wymusili takie wspólne badania, uzyskali wspólną ekspertyzę, mają ją w kieszeni i teraz przy jej pomocy szantażują polskie instytucje organów ścigania i świat polityczny”.

Warto zauważyć, że sprzeczność oświadczeń dotyczy jedynie wzmianki o „*wspólnej ekspertyzie*”. W wystąpieniu Rosjan z pewnością można dostrzec czynnik dyscyplinujący polskich śledczych oraz kolejny objaw dominacji strony rosyjskiej. Nie ma natomiast wątpliwości, że na obecnym etapie, organy śledcze obu państw są całkowicie zgodne, iż w pobranych próbkach nie było śladów materiałów wybuchowych. W tym samym dniu, w którym wydano oświadczenia, wojskowa prokuratura oznajmiła, że „*pojawienie się na wyświetlaczu użytego urządzenia napisu TNT nie jest tożsame z wykryciem trotylu*”, a w komunikacie NPW z 5 marca br. napisano, iż „*biegli prowadzący badania laboratoryjne próbek, zabezpieczonych w Smoleńsku na przełomie września i października 2012 r., na obecnym etapie nie stwierdzili śladów materiałów wybuchowych*”. W tej, zasadniczej kwestii nie istnieje zatem rozbieżność stanowisk polskiej i rosyjskiej prokuratury. Wprawdzie w grudniu 2012 roku, podczas obrad sejmowej Komisji Sprawiedliwości i Praw Człowieka prokuratorzy wojskowi trzykrotnie przyznali, że „*urządzenia wykazały na czynnikiach cząsteczki trotylu*”, jednak – ich zdaniem, fakt ten nie może przesądzać o obecności

materiałów wybuchowych, ponieważ spektrometry używane przez śledczych mają rzekomo tak samo reagować na materiały wybuchowe, jak na... pastę do butów.

Nietrudno też zauważyć, że od kilku miesięcy, podstawowe zadanie polskich śledczych, realizowane wspólnie z rządowymi mediami i politykami PO, polega na dezawuowaniu tezy o obecności śladów trotylu oraz podważaniu kolejnych doniesień wolnej prasy i wyników niezależnych badań. W tym obszarze istnieje pełna zgodność stanowisk Moskwy i Warszawy. Przypomnę, że już w maju 2010 roku Andrzej Seremet poinformował, iż „*wykluczono ze znacznym stopniem prawdopodobieństwa hipotezę wybuchu przy użyciu materiałów konwencjonalnych*”, zaś główną troską prokuratury było sporządzenie „*obrazu psychicznego pilotów z możliwością reagowania na stres, czyli inaczej odporności stresowej*”. Po trzech latach śledztwa, stanowisko to nie uległo zmianie, o czym świadczy niedawne przekazanie Rosjanom trzech tomów akt zawierających szczegółową dokumentację odnoszącą się do pilotów Tu-154M, w tym danych o imionach, nazwiskach, datach urodzenia, stanie cywilnym, wykształceniu, wykonywanym i wyuczonym zawodzie członków załogi oraz ich rodziców, dziadków, rodzeństwa i małżonków. Intencje prokuratury ilustruje także wniosek ppłk Jarosława Seja o przeprowadzenie badań toksykologicznych próbek materiału biologicznego pobranych z ciał ofiar tragedii, na obecność alkoholu i środków odurzających.

Wydaje się więc, że oświadczenia rzecznika Komitetu Śledczego Rosji Władimira Markina, nie należy traktować jako próby narzucenia stanowiska w kwestii wyników badań. Do tej chwili, mamy do czynienia ze wspólnym i spójnym stanowiskiem rosyjsko-polskim i nic nie wskazuje, by miało się to zmienić. Potwierdza to również wypowiedź Bronisława Komorowskiego, który na dwa dni przed komunikatem rosyjskim stwierdził - „*Zaakceptowałem zasadniczą myśl raportu ministra Millera, że źródłem nieszcześciu była próba lądowania w niedopuszczalnie złych warunkach pogodowych. Reszta to już dodatki, błędy natury technicznej czy mankamenty natury technicznej na lotnisku*”.

Oświadczenie Markina mogło natomiast powstać w reakcji na ubiegłotygodniową publikację „Gazety Polskiej” – „*To jednak był trotyl*”, w której znajdowała się informacja, że na przebadanych już próbkach wykryto cząstki materiałów wybuchowych. Wiadomość przekazana przez osoby związane ze śledztwem, dotyczyła wyników badań przeprowadzonych w Polsce, wykonanych na podstawie próbek pobranych na przełomie września i października ub.r. W grudniu przywiózł je z Moskwy ppłk Kopczyk, informując, że 255 pojemników zostanie poddanych badaniom z zakresu fizykochemii. Ten sam materiał dowodowy został również zabezpieczony na potrzeby śledztwa prowadzonego przez rosyjski Komitet Śledczy.

Jest taki był cel oświadczenia, trzeba je oceniać jako propagandowe dementi i wyraz pomocy udzielonej „polskim przyjaciółom”, borykającym się z nazbyt niezależnymi mediami. Oświadczenie – wywołując wprawdzie pewien medialny zamęt, w niczym nie koliduje ze stanowiskiem prokuratury wojskowej, a zawarte w nim podkreślenie efektów „wspólnej pracy” odpowiada dotychczasowej praktyce. Zawiera natomiast ważną, wyprzedzającą informację. Nikt przecież nie może wątpić, że przeprowadzone przez Rosjan badania tych samych próbek, nie wykażą obecności materiałów wybuchowych. Ta okoliczność wydaje się najważniejsza w ocenie zaistniałej sytuacji, ponieważ już dziś pozwala poznać oficjalne wyniki polskich badań.

Trzeba przyjąć, że w tak zasadniczej sprawie musi istnieć całkowita zgodność stanowisk i nie warto doszukiwać się żadnego konfliktu. Przynajmniej od grudnia 2010 roku powinniśmy wiedzieć, że efekty śledztwa smoleńskiego nie mogą być oparte na ustaleniach niezależnych organów państwa lecz wynikają z dwustronnych uzgodnień politycznych.

Wówczas wraz z prezydentem Rosji Miedwiediewem, przybyła do Polski delegacja rosyjskich prokuratorów, na czele z Prokuratorem Generalnym Jurijem Czajką. Delegacji towarzyszył minister sprawiedliwości Rosji Aleksander Konowałow. Głównym punktem wizyty było podpisanie w dniu 6 grudnia 2010 memorandum o współpracy pomiędzy prokuraturami obu krajów. Zawarto w nim ramowe zasady współpracy „*w dziedzinie walki z przestępczością oraz ochrony praw i wolności człowieka przy wykorzystaniu najbardziej skutecznych metod i środków*”. Memorandum przewiduje m.in. „*przeprowadzanie konsultacji w kwestiach prawnych*” oraz świadczenie „*wzajemnej pomocy prawnej*”. Zgodnie z jego postanowieniami „*wszelkie sprawy sporne związane ze stosowaniem niniejszego Memorandum Strony rozwiązują w drodze konsultacji i pertraktacji*”.

Dokument, mający umacniać „*ochronę praw i wolności człowieka*”, Prokurator Generalny Seremet podpisał z byłym sowieckim prokuratorem Czajką – jednym z najbardziej zaufanych ludzi płk Putina. To za kadencji Czajki doszło do setek aktów łamania praw człowieka; ludobójstwa w Czeczeni, mordów politycznych, zabójstw dziennikarzy, represji wobec dysydentów i wolnych mediów. Z polecenia Putina, Czajka nadzorował śledztwa w sprawie Chodorkowskiego, zabójstwa Politkowskiej i zamachu na Litwinienkę. On również nadzoruje dochodzenie w sprawie katastrofy smoleńskiej, a tuż przed podpisaniem memorandum doprowadził do unieważnienia protokołów zeznań kontrolerów z lotniska Sewiernyj, które w pierwotnej wersji mówiły o dyspozycjach wydawanych z Moskwy i podawaniu załozce polskiego samolotu fałszywych informacji o warunkach pogodowych oraz wspominały o obecności w budynku kontroli lotów trzeciej osoby – oficera FSB. Polska prokuratura przyjęła bez sprzeciwu te mactwa i kilka dni później doszło do podpisania memorandum.

Nie sposób przecenić wagi tego dokumentu - podpisanego wyraźnie w kontekście sprawy smoleńskiej. Jeśli nawet bywa on przemilczany w oficjalnych wystąpieniach, o jego znaczeniu powinny decydować słowa Dmitrija Miedwiediewa, wypowiedziane podczas przemówienia w Pałacu Prezydenckim w obecności polskich oficerów. W dniu podpisania memorandum, rosyjski prezydent oświadczył - „*Nie dopuszczam możliwości, by w sprawie katastrofy smoleńskiej śledczy polscy i rosyjscy doszli do różnych ustaleń. Odpowiedzialni politycy, przywódcy struktur śledczych powinni wyjść z obiektywnych danych*”. Te słowa, prócz skandalicznej sugestii związanej z końcowym efektem śledztwa, zawierały wyraźną namowę, by politycy grupy rządzącej zadbali o ostateczny kształt ustaleń prokuratury, a wyniki dochodzenia zostały poddane politycznym regulacjom.

Późniejsze wydarzenia związane ze śledztwem smoleńskim, zachowania polskich decydentów i prokuratorów świadczą, że dyrektywa rosyjskiego satrapy jest ściśle przestrzegana, zaś ostateczny wynik śledztwa będzie efektem uzgodnień na szczeblu politycznym.

765. CENA SMOLEŃSKIEGO WRAKU

Publikacje prasy rosyjskiej, czy audycje kremlowskiej tuby – „Głosu Rosji”, są zawsze ważnym wskaźnikiem aktualnych relacji łączących reżim Tuska z putinowską Rosją. Gdybyśmy na tej postawie mieli dokonać ich przeglądu w okresie pierwszych miesięcy 2013 roku, widoczny będzie stan mocnego napięcia i krytyczna ocena działań szefa polskiego rządu. Ze względu na ton tej krytyki, niektóre z publikacji mogłyby nawet konkurować z artykułami naszej prasy opozycyjnej.

Aktualny przekaz o sprawach polskich budowany jest według najprostszej formuły „kija i marchewki”, ujawniając przy tym cyniczną grę rosyjskich decydentów i przedmiotowe traktowanie ekipy rządzącej Polską. Z jednej strony mamy publikacje o złych rządach Tuska, wezwania do „*niewykorzystywania smutnych kart historii w polityce*”, czy opowieści o rosnącej rusofobii

Polaków, której przejawem ma być zamiar instalacji amerykańskiej tarczy antyrakietowej. Z drugiej, zapewnienia o „konstruktywnej współpracy” i „rosyjsko-polskim dialogu” oraz deklaracje przygotowań do „programu 2020 stosunków rosyjsko-polskich” i ogłoszenia roku 2015 roku „rokiem Polski w Rosji i Rosji w Polsce”.

Są tematy, które wydają się szczególnie absorbować uwagę rosyjskich przekąźników – sprawa zwrotu Tu-154, rozmieszczenie elementów amerykańskiej tarczy antyrakietowej oraz wizja wykorzystania polskich pokładów gazu łupkowego. W trakcie kontaktów dyplomatycznych dominuje zaś kwestia udzielenia Rosjanom wsparcia w sprawie umowy o współpracy między Unią Europejską a Rosją oraz starań o otwarcie granic z UE.

Nietrudno zauważyć, że temat oddania Polsce wraku tupolewa jest od wielu miesięcy rozgrywany jako rodzaj „marchewki”, którą „polscy przyjaciele” otrzymają gdy spełnione zostaną rosyjskie warunki. O takim przeznaczeniu sprawy świadczą również wypowiedzi rosyjskich oficjeli, w których zapewnia się, że wrak zostanie zwrócony „po zakończeniu śledztwa”, co w realiach rosyjskich oznacza – w każdej chwili, gdy uznamy to za stosowne. Niedawne oświadczenie rzecznika Komitetu Śledczego Rosji Władimira Markina, iż „rosyjscy śledczy zakończyli wspólne z polskimi kolegami śledztwo w sprawie katastrofy samolotu prezydenckiego Tu-154”, wydaje się precyzyjnie wskazywać okoliczności, które mogłyby ułatwić Polakom odzyskanie samolotu.

Można przypuszczać, że właśnie idei zamknięcia śledztwa smoleńskiego były poświęcone dwie wizyty prokuratora Seremeta w Rosji, o niej też rozmawiano podczas konsultacji Sikorskiego z Ławrowem i pobytu gen. Kozieja w Moskwie. Dopóki polskie śledztwo nie zostanie definitywnie zakończone, zwrot wraku nie wydaje się możliwy.

Rosjanie już zrozumieli, że ustalenia parlamentarnego zespołu Antoniego Macierewicza niosą zbyt duże zagrożenie dla ich interesów i są dla Tuska poważnym problemem. Jeśli pod wpływem informacji ujawnionych przez zespół, prokuratura została zmuszona do podjęcia szeregu zaniechanych wcześniej czynności, a reżim do propagandowych kontrakcji -kremlowscy siłowicy nie mogą mieć pewności, że oddanie tupolewa bez zamknięcia śledztwa, nie skończy się obaleniem rosyjskiej wersji zdarzeń i nie wywołaniem potężnego wstrząsu. Gwarancją dla Rosjan ma być nie tylko zakończone śledztwo polskiej prokuratury ale bezwzględna lojalność „polskich przyjaciół”.

Dla nich zaś, sprawa jest tym ważniejsza, że zwrot wraku miałby ogromne znaczenie polityczne i wizerunkowe. Leżący w Smoleńsku polski samolot jest przecież symbolem wasalnych relacji Tusk-Putin i dowodzi całkowitej nieudolności i uległości obecnego reżimu. Oddanie wraku poprawiłoby nie tylko osłabione notowania rządu, ale pozwoliło zamknąć sprawę tragedii smoleńskiej i ukrócić postulaty opozycji.

Rosjanie, mając świadomość, jak ważny jest to czynnik, robią oczywiście wszystko, by osiągnąć maksymalne korzyści z tej transakcji i skłonić ekipę Tuska do najdalej idącej współpracy. W najbliższych miesiącach możemy być świadkami zdarzeń, które warto oceniać z tej perspektywy.

Nie wykluczam, że ogłoszona właśnie rezygnacja USA z umieszczenia w bazie w Redzikowie nowoczesnych antyrakiet SM-3, jest jednym z pierwszych wydarzeń na tej liście. Decyzja ma wprawdzie wymiar symboliczny, (dotyczy roku 2022 i nieistniejącej jeszcze broni) lecz wpisuje się w intencje Rosjan i pogłębia proces militarnego wycofywania USA z Europy. Zapewnie nie dowiemy się, jaki wpływ na tę decyzję miały oficjalne deklaracje, w związku z belwederskim pomysłem „polskiej tarczy antyrakietowej”. Duże znaczenie mógł mieć również projekt utworzenia „Wyszehradzkiej Grupy Bojowej” - która z punktu widzenia USA stanowi akt wymierzony w spójność NATO i jest reakcją państw „zawiedzionych i niezadowolonych” z dotychczasowej współpracy w ramach Sojuszu.

Kierunek rosyjskich postulatów wyznaczają słowa sekretarza Rady Bezpieczeństwa Rosji Patruszewa, który podczas konsultacji szefa BBN w Moskwie, stwierdził, iż „Rosja ma nadzieję, że Polska udzieli pomocy w zapewnieniu gwarancji, że system obrony przeciwrakietowej nie będzie wymierzony przeciwko Rosji”.

Z kolei, złożona niedawno w Brukseli deklaracja Sikorskiego – „Życzylibyśmy sobie, by w związku z przystąpieniem Rosji do Światowej Organizacji Handlu ruszyły wreszcie rozmowy o nowej całościowej umowie o współpracy między Unią Europejską a Rosją”, (nawiązująca wprost do ustaleń Sikorski-Ławrow) niesie zapowiedź włączenia polskiej dyplomacji w starania o podpisanie takiego dokumentu. Przypomnę, że w roku 2009 postawa polskiego prezydenta Lecha Kaczyńskiego pokrzyżowała rosyjskie plany związane z przyjęciem traktatu Rosja-UE. Słowa Sikorskiego – „Polska będzie warunkowo popierać ruch bezwizowy dla Rosji i w tym samym tempie dla krajów Partnerstwa Wschodniego” świadczą natomiast, że po otwarciu granicy polsko-rosyjskiej przechodzi czas na wyważenie drzwi do Europy i w tym zakresie przewidziano kolejne zadanie dla „polskich przyjaciół”.

Jednak najważniejszym „tematem negocjacyjnym” będzie z pewnością sprawa polskich łupków. Na arenie światowej od długiego czasu trwa historyczna kampania propagandowa sterowana przez Moskwę. Jej ślady znajdziemy w „politycznie zaangażowanych” produkcjach filmowych Hollywoodu, (film „Promised Land”, ukazujący „mroczną stronę eksploatacji gazu łupkowego”) czy niespodziewanych wystęпах prezesa Rosnieftu Igora Sieczina podczas niedawnej konferencji IHS CERAWeek w Houston, na której zebrali się szefowie największych koncernów paliwowych.

Sprawie polskich złóż poświęcono wiele publikacji w prasie rosyjskiej, zwracając uwagę, że „Polska i Ukraina, które dysponują rękoma dwiema trzecimi wszystkich europejskich zasobów tego surowca, przymierzają broję 'zbawicieli przed dyktatem gazowym ze strony Rosji’”. W tekście „Łupkowe fiasko Europy”, publicysta „Głosu Rosji” szydził - „Wygląda na to, że Polacy, którzy ogłosili gaz łupkowy priorytetem swojej polityki energetycznej, nie przyjmują się kosztami. Donald Tusk oświadczył, że w 2014 roku Polska rozpocznie przemysłowe wydobywanie gazu łupkowego. Obecnie, ze względu na brak rezultatów w większości szybów, premier milczy.[...] Z czym więc mamy do czynienia? Prawie żaden z polskich szybów nie przyniósł dobrych rezultatów. Prawie wszystkie firmy zachodnie zawiesiły tu swoje badania geologiczne.”

Zablokowanie eksploatacji polskich złóż będzie priorytetem rosyjskich starań, a decyzje rządu Tuska w tej kwestii będą pilnie obserwowane. Choć sprawy te dotyczą perspektywy kilku najbliższych lat, już dziś widać rosnący niepokój Rosjan i próby rozgrywania tematu. Również po polskiej stronie. Jedną z niedawnych inicjatyw dotyczących rozwoju technologii wydobywania gazu – utworzenie konsorcjum Polimex-Mostostal z Wojskową Akademią Techniczną, może oznaczać, że nad tym obszarem zostanie rozciągnięty parasol środowiska związanego z wojskiem. Biorąc pod uwagę belwederskie plany „reformy armii”, mające na celu wzmocnienie lobby wojskowego i poszerzenie zakresu zwierzchnictwa prezydenta nad Siłami Zbrojnymi oraz prorosyjskie stanowisko Komorowskiego w sprawie gazu łupkowego, to rozwiązanie może okazać się decydujące.

W obecnej konstelacji politycznej, to Bronisław Komorowski i budowany przezeń ośrodek władzy prezydenckiej mają stać się najmocniejszymi gwarantami rosyjskich interesów. Rząd Tuska pełni w tym zakresie rolę mniej lub bardziej przydatnych wykonawców, których wartość jest na bieżąco weryfikowana i poddawana ocenie. Na taką ocenę składa się nie tylko kwestia wykonywania kolejnych dyrektyw. Wprawdzie Rosja ugrała już wiele dzięki ekipie Tuska, to – chcąc ugrać jeszcze więcej, musi podjąć grę w całkowicie innej konwencji.

Perspektywa zwrotu wraku tupolewa, zamknięcia śledztwa smoleńskiego i wyciszenia sprawy katastrofy, może skłaniać Kreml do podjęcia gry na zastąpienie ekipy Tuska nowym, w pełni kontrolowanym „rozdaniem”. W takich działaniach warto dostrzec intencję pozbycia się nazbyt uciążliwego współnika oraz potrzebę wykreowania grupy, która potrafi sprostać strategicznym planom Kremla. Obecna ekipa, choćby z uwagi na współdziałanie z Putinem w rozgrywkach przeciwko prezydentowi Kaczyńskiemu oraz posiadania wiedzy o rzeczywistych zachowaniach Rosjan w związku z tragedią z 10 kwietnia, staje się mocno kłopotliwym sojusznikiem. Oczywiście - nie dlatego, iżby Tusk i spółka mogli wykorzystać tę wiedzę lub próbować uwolnić się od kurateli Moskwy. Jest to raczej kłopot, jaki może sprawiać zbyt skompromitowany i nieprzydatny już pomocnik, dla mocodawcy, który zaplanował przejście z „szarej strefy” do legalnego biznesu. Takie intencje Rosjan można dostrzec w związku z ich ofensywną polityką „marszu na Europę” i szukaniem dostępu do unijnych pieniędzy. Tusk „rozdarty” między moskiewskimi powinnościami, apetytem na unijną posadę i rolą „chłopca do poklepywania” dla Merkel – staje się mało wygodnym pomocnikiem. Niewykluczone, że z chwilą otrzymania stanowiska w strukturach unijnych, jego notowania wzrosną i może liczyć na nowe zadania.

Obecne pomruki Kremla oraz krytyczne publikacje na temat rządu Tuska, trzeba odczytywać nie tylko jako czynnik mobilizujący czy wyraz dezaprobaty, ale zwiastun potencjalnych przetasowań politycznych. Jeśli na „podskubywanie” Tuska i jego rządu pozwalają sobie ośrodki propagandy III RP, dzieje się tak zwykle w przypadku zakulisowych rozgrywek o podział łupów lub dla wymuszenia korzystnych decyzji. Bez wątpienia, część tych wystąpień może być inspirowana przez środowiska prokremlowskie i mieć związek z intencją zastąpienia obecnej ekipy przez grupę mniej skompromitowaną i dostosowaną do nowych powinności.

W tej grze wiodącą rolę odegra środowisko Bronisława Komorowskiego, a ponieważ tylko on może liczyć na pełne zaufanie Moskwy, „nowe rozdanie” odbędzie się pod dyktando Belwederu i uzyska jego akceptację. Opinie niektórych publicystów o walce na linii Tusk-Komorowski i rzekomych obawach lokatora Belwederu o przyszłą elekcję – nie zasługują na poważne traktowanie. Obecna hierarchia została ustalona na początku 2010 roku, zaś ówczesna rezygnacja Tuska z ubiegania się o prezydenturę nadal wyznacza ścisły podział ról.

Gdyby obecny premier wyraził zamiar ubiegania się o to stanowisko w roku 2015 lub chciał postawić na innego kandydata PO, po kilku tygodniach mielibyśmy przyspieszone wybory parlamentarne.

Polski samolot leżący dziś w Smoleńsku staje się zatem ważną „monetą przetargową” i byłoby naiwnością sądzić, że Rosjanie oddadzą go za małą cenę. Jeśli wrak odzyska ekipa Tuska, będzie to okupione głębokimi ustępstwami na rzecz Moskwy i rozszerzeniem zadań w ramach misji rosyjskiego konia trojańskiego. Może to nastąpić wyłącznie „z inicjatywy” Komorowskiego i służyć umocnieniu pozycji lokatora Belwederu.

Bardziej prawdopodobne wydaje się jednak, że odbiór samolotu zarezerwowano dla kolejnej ekipy rządzącej. Akt ten stałby się symbolem „nowego otwarcia” w stosunkach polsko-rosyjskich i został wykorzystany dla definitywnego zakończenia sprawy smoleńskiej.

766. ROSJA – IMPERIUM CZY POTĘGA MITU

Od wielu miesięcy otrzymujemy doniesienia o postępującej modernizacji armii rosyjskiej oraz gigantycznych wydatkach przeznaczanych na zbrojenia.

Projekt budżetu rosyjskiego resortu obrony na lata 2013-2015 zakłada systematyczne zwiększanie rocznych wydatków, aż do kwoty 97 mld. dolarów w 2015 r. Przy obecnym poziomie środków przeznaczonych na obronność, daje to blisko 60 procentowy wzrost (budżet Min. Obrony FR w 2012 r. wyniósł 61 mld. dolarów). Plan zbrojeń przewiduje, że do 2017 roku udział nowej broni i sprzętu wojskowego w siłach zbrojnych ma osiągnąć co najmniej 70 proc., a do roku 2020 roku 100 proc. Na realizację programu modernizacji Rosja zamierza przeznaczyć gigantyczną kwotę 20 bln rubli (ponad 650 mld dolarów). To 4 proc. rosyjskiego produktu krajowego brutto. Dla porównania - tyle swojego PKB wydaje na obronę USA, Anglia i Francja około 2 proc., a Chiny i Niemcy - 1,4 proc.

Słowa Putina - *„Rosja się zbroi i będzie się zbroić. Nie będzie odwrotu”* – są zatem uważane za zapowiedź ofensywnych planów Kremla.

Jednocześnie rosyjscy politycy i wojskowi prześcigają się w przekazywaniu informacji mających utwierdzać nas w przekonaniu, że państwo Putina staje się autentyczną potęgą militarną.

Stałym zajęciem rosyjskich generałów są konferencje prasowe, podczas których świat dowiaduje się o kolejnych postępach w modernizacji sił zbrojnych. Szef Sztabu Generalnego generał-pułkownik Walery Gierasimow zapewniał niedawno, że *„rosyjska armia jest gotowa do wojny na wielką skalę”*, zaś dowódca 20. armii Zachodniego Okręgu Wojskowego gen. dyw. Aleksander Łapin, informował, że jego armia otrzyma wkrótce nowe systemy rakietowe Iskander-M i czołgi T-90. Zostanie również uzbrojona w pojazdy opancerzone Tigr-M, systemy wojskowej obrony przeciwlotniczej i nowe środki łączności. Kilka dni później poinformowano, że Rosja rozmieszcza eskadry MiGi- 31 na Arktyce, a tzw. źródła w przemyśle zbrojeniowym zapewniały, że w roku 2014 armia otrzyma nowoczesne samoloty-cysterny Il-78M-90A. W 2013 r. wojska specjalne mają dostać śmigłowiec szturmowy Mi-8AMTSz, wyposażony w stację poszukiwawczą i radar omijania przeszkód terenowych. Śmigłowiec posiada system nawigacyjny na bazie GLONASS i ma umożliwiać loty nocą. Kolejne doniesienia mówiły o rozmieszczeniu zestawów rakiet S-400 na południowych granicach FR. Mają one zastąpić przestarzałe S-300 w Południowym Okręgu Wojskowym. Dowiadujemy się również, że w roku 2013 jednostki wojsk radiotechnicznych Sił Powietrznych Rosji zostaną wyposażone w najnowszej generacji stacje radiolokacyjne serii „Niebo”. Rosyjscy generałowie chwalą się, że pod względem podstawowych parametrów przewyższają one urządzenia zagraniczne. Ministerstwo obrony zapewnia też, że prowadzone są prace zmierzające do *„stworzenia środków pasywnej lub półaktywnej radiolokacji do ukrytego monitorowania sytuacji w całej przestrzeni powietrznej.”* Do prasy przedostały się informacje o nowym kontrakcie na budowę trzech okrętów rakietowych w ramach projektu 21631 Bujan-M. Latem tego, roku Flota Kaspijska ma zaś otrzymać nowoczesny okręt flagowy „Grad Swijażsk”. Ministerstwo Obrony złożyło też zamówienie na bojowe pojazdy piechoty do przeprowadzania desantu z lotniskowców Mistral. W tym roku planuje się rozpoczęcie produkcji lotniczych systemów bezzałogowych – czyli dronów, w oparciu o technologię izraelskiej firmy IAI, a do roku 2015 armia ma dostać kilkadziesiąt takich maszyn.

Rosjanie chwalą się również najnowszymi technologiami. Gazeta Izwiestija powołując się na „dobre źródło” w Ministerstwie Obrony informowała o projekcie zbudowania na potrzeby wywiadu FR *„wielopozycyjnego systemu wywiadowczo-informacyjnego”*. System ma monitorować ruch samolotów i statków w zasięgu kilku tysięcy kilometrów, a jego wdrożenie zaplanowano już w 2013 roku. To samo źródło powiadamia o nowoczesnym wyposażeniu dla Strategicznych Wojsk

Rakietowych. Otrzymają one instalacje inżynierskie MIOM 15M69, zdolne do imitowania wyrzutni rakietowych. W tym roku podjęto też decyzję o wznowieniu prac nad laserem bojowym o nazwie „Sokół-Eszełon”, zdolnym do rażenia samolotów, satelitów i pocisków balistycznych.

Lista tego typu informacji jest imponująca.

Dodatkowe wrażenie sprawiają reformy podjęte w rosyjskiej armii. Liczbę okręgów wojskowych zmniejszono z sześciu do czterech. Korpus oficerski zredukowano z 315 do 220 tys., a generalski - ze 1100 do 900. O połowę zmniejszono też personel resortu obrony. Zredukowano również liczebność samej armii - do 1 mln osób. Zmniejszono liczbę wojskowych uczelni i zreformowano wojskową służbę zdrowia. Rosja szkoli już własnych komandosów. Powstająca formacja ma stanowić „*silną pięść do działań w lokalnych wojnach*”, zaś dotychczasowe jednostki specjalne - Seneż, Alfa czy Wypieł, zostaną rozbudowane i dozbrojone.

Przed kilkoma tygodniami, wicepremier Rogozin, odpowiedzialny za program zbrojeniowy oświadczył – „*W 2020 r., gdy zrealizujemy nasz program, będziemy żyć w zupełnie innym kraju*”.

Trzeba przyznać, że tego rodzaju doniesienia mogą potęgować wrażenie rosnącej potęgi militarnej Rosji, a nawet prowadzić do wniosku, że państwo Putina szykuje się do wojny. Przekonanie to jest wzmacniane bojową retoryką polityków rosyjskich, twardą polityką wobec UE i USA, raportami o aktywności wywiadu oraz postępującym procesem „integracji” euroazjatyckiej i odbudową wpływów w byłych republikach ZSRR. Dodatkowym czynnikiem może być fakt zacieśniania wojskowej współpracy rosyjsko-chińskiej, czego dowodem były niedawne wspólne manewry.

Nie ma wątpliwości, że doniesienia rosyjskiej prasy czy buńczuczne wystąpienia generałów, podlegają uważnej analizie służb zachodnich i amerykańskich i są szczegółowo weryfikowane. W publikacjach analityków i raportach służb wspomina się zatem o rosnącym zagrożeniu rosyjskim cyberterroryzmem oraz uaktywnieniu rosyjskiej agentury. Próżno jednak szukać alarmujących doniesień o wzroście rosyjskiego potencjału militarnego.

Wydaje się, że realnej oceny tego potencjału dokonano już w roku 2008, podczas rosyjskiej agresji na Gruzję. Zdaniem wielu analityków, ta wojna ukazała ogromną nieporadność i słabości rosyjskiej armii – począwszy od przestarzałego sprzętu i fatalnej gotowości bojowej, po błędy w rozpoznawaniu celów i złą koordynację działań. Atak na Gruzję ukazał też stan rosyjskiego lotnictwa, które samo straciło 11 maszyn, a z powodu braku samolotów do lotów nocą nie było w stanie zniszczyć gruzińskiej artylerii. Skargi rosyjskich żołnierzy, którzy przez kilka dni nie dostawali jedzenia, dopełniały obrazu „bohaterskiej” armii Putina.

Ważnych informacji dostarczyła obserwacja rosyjskich manewrów „Ładoga” i „Zachód” z roku 2009, których scenariusz miał wiele w wspólnego z planowanymi obecnie ćwiczeniami rosyjsko-białoruskimi w pobliżu polskiej granicy. Zdaniem analityków Komitetu Wojskowego NATO, manewry pokazały, że Rosja ma ograniczone możliwości prowadzenia wspólnych operacji wojskowych, w dalszym ciągu dysponuje przestarzałym sprzętem, a nawet nie jest w stanie kontynuować działań bojowych podczas złych warunków pogodowych. Z obserwacji wynikało że Rosjanie potrafia sprostac małym, regionalnym konfliktom, nie mogą natomiast prowadzić jednocześnie walk w różnych obszarach geograficznych i nie mają zdolności działania na dużą skalę. Ocena ta dotyczyła konwencjonalnych operacji bojowych, również z użyciem taktycznej broni jądrowej.

Kolejnym testem dla modernizowanych Sił Zbrojnych FR miały stać się manewry „Wschód 2010”, prowadzone na dalekowschodnich obszarach Rosji. Chwalono Rosjan za „*odwagę w wyznaczeniu hipotetycznego przeciwnika*”. Ćwiczenia miały bowiem symulować obronę Syberii od ataku chińskiej armii. Zaangażowano w nie ponad 20 tys. żołnierzy, więcej niż 5000 jednostek sprzętu wojskowego, ponad 40 okrętów, 75 samolotów i śmigłowców. Dmitrij Miedwiediew obserwując ćwiczenia z pokładu okrętu atomowego „Piotr Wielki” dziękował żołnierzom za „*wysoki profesjonalizm*” i orzekł, że „*Rosja była i pozostaje wielką potęgą morską i jest gotowa do obrony swoich interesów*”. Zdaniem wojskowych obserwatorów, manewry okazały się źle przygotowane, a rosyjscy dowódcy nie byli w stanie sprostać zbyt wygórowanym zadaniom. Nie dostrzeżono też postępów w modernizacji armii. Opinia jednego z analityków, iż „*Rosja potwierdziła, że nie jest jeszcze gotowa by bez walki poddać się Chinom*”, ukazuje ton ówczesnych ocen. Krytyczną opinię, m.in. na temat rosyjskiego lotnictwa przedstawił również chiński dziennik „China Daily”.

Przełomowe miały okazać się manewry „Kaukaz-2012”, podczas których Rosjanie planowali wykorzystanie najnowocześniejszych technologii informatycznych i elektronicznych. Tymczasem dowódca rosyjskiej armii gen. Makarow sam przyznał, że „*podczas ćwiczeń napotkano pewne problemy*”. Choć Rosja odmówiła obserwatorom dostępu na miejsce ćwiczeń, w opinii wojskowych analityków „pewne problemy” polegały na nieskoordynowaniu poszczególnych formacji, błędach w systemie dowodzenia, brakach kadrowymi (brygady musiano uzupełniać setkami nieprzygotowanych rezerwistów) oraz niezadowolającej synchronizacji działań bojowych. Nie zaobserwowano też, by rosyjska armia dysponowała nowoczesnym sprzętem.

Nietrudno zauważyć, że istnieje poważna rozbieżność, między rzeczywistym stanem, a deklaracjami kremlowskich polityków i doniesieniami mediów. Wyjaśnienia tej rozbieżności trzeba szukać w dwóch obszarach, przy czym pierwszy z nich pozwala zrozumieć propagandowy wymiar rosyjskiej megalomanii.

Planowane wydatki zbrojeniowe są bowiem raczej wyrazem mocarstwowych ambicji Rosji, niż jej realnych możliwości. Stan rosyjskiej gospodarki w żaden sposób nie pozwala na prognozę tak gigantycznych kosztów. Główne bogactwo Rosji – ropa i gaz stanowią prawie 70 proc. jej eksportu. Po to, by Rosja mogła przeznaczyć na zbrojenia zadeklarowane sumy, przez najbliższe kilka lat cena ropy naftowej musiałaby zwiększyć się i osiągnąć ok. 150 dolarów za baryłkę. Nie wydaje się to możliwe. Zdaniem ekspertów, obecny poziom cen może utrzymać się przez najbliższe 2 lata, po czym zacznie opadać, aż do osiągnięcia pułapu 80-90 dolarów za baryłkę. Dla państwa uzależnionego od sprzedaży surowców, którego rezerwy walutowe wynoszą zaledwie 8 proc. PKB, taka cena stanowi „krytyczną granicę”, poza którą rozpościera się głęboki kryzys. Podczas styczniowego Forum Ekonomicznego w Davos, zwracano uwagę, że Rosja stoi w obliczu spadku PKB z 3,4 proc. w roku 2012 do 2,5 proc. w 2013 i zagrożeniem inflacją rzędu 6,7 proc. (5,1 proc. w r. 2012). To zaledwie jedna z przesłanek nakazujących z dużą powściągliwością traktować plany zbrojeniowe Kremla. Są one tak dalece zawieszane w budżetowej próżni, że poziomem ambicjonalnej życzeniowości dorównują jedynie pomysłom Bronisława Komorowskiego, związanym z projektem „polskiej tarczy antyrakietowej”.

Niemniej poważną przeszkodą jest wszechobecna korupcja i nieokiełznany bałagan panujący w rosyjskiej armii. Wielu obserwatorów zwraca uwagę, że pieniądze przeznaczane na modernizację, w pierwszej kolejności zasila kieszenie generalicji, tysiący pośredników oraz szefów firm zbrojeniowych. Reszta zostanie utopiona w wadliwym systemie rozdziału środków lub zmarnotrawiona z powodu niewydolności rosyjskiego przemysłu.

Po cóż zatem Rosja odgrywa ten teatr i próbuje przekonać świat o swojej militarnej potędze? Odpowiedź nie wydaje się skomplikowana. Coraz wyraźniej widać, że rozkaz Putina dotyczący użycia „miękkiej siły” w celu poprawy wizerunku Rosji, oznacza w istocie zastosowanie dezinformacji - na tak rozległą skalę, by obejmowała nie tylko działania dyplomatyczne, ale prowadziła do wytworzenia fałszywej wizji rosyjskiego militarizmu i mocarstwowości.

Już Anatolij Golicyn w książce *„Nowe kłamstwa w miejsce starych. Komunistyczna strategia podstęp i dezinformacji”* przypominał, że rosyjska dezinformacja opiera się na błędach przeciwnika, na przyswojonych przez niego stereotypach myślenia. Z nich czerpie siłę i inspirację. Po to, by podstęp był wiarygodny i skuteczny, musi zatem jak najpełniej odpowiadać oczekiwaniom tych, którzy mają być przezeń oszukani. Putinowska Rosja, skrywając pod atrapą pseudodemokracji najgorsze tradycje przepoczwarzonego komunizmu, sięga dziś po dezinformację tym chętniej, że państwa „wolnego świata” są wobec niej całkowicie bezbronne. Nieliczne, trafne opinie ekspertów czy analityków, nie są w stanie zrównoważyć powszechnego przekonania, że Rosja jest potęgą, zdolną do globalnych działań wojennych i kierowania losami świata. Cyklicznie przypominana agresywność Rosji, utwierdza w przeświadczeniu, że mamy do czynienia z państwem w dużym stopniu nieobliczalnym, które w obronie swoich interesów gotowe jest do totalnej konfrontacji. Nie powinno zatem dziwić, że kwestia zbrojeń i rozbudowy potencjału militarnego jest jednym z najważniejszych obszarów, w których Rosja sięga po dezinformację. Na przykładzie wielu zdarzeń rozgrywanych na arenie międzynarodowej, widać, że specyfika rosyjskiej (a wcześniej sowieckiej) dezinformacji polega na tym, że czerpie ona ze słabości zachodnich i amerykańskich polityków, niezdolnych do postrzegania Rosji w jej rzeczywistym wymiarze politycznym i militarnym. Obecna mistyfikacja jest tym łatwiej akceptowana, że spełnia oczekiwania tych, którzy z powodu błędu, strachu lub z wyrachowania, chcą w państwie Putina dostrzegać równorzędnego partnera lub groźnego przeciwnika. Znajdziemy tu analogię do postawy, jaką w latach 80. wobec Związku Sowieckiego przejawiał „wolny świat”. Tylko niewielu wówczas rozumiało, że ma do czynienia z mocarstwem, które najbardziej obawia się otwartej, zbrojnej konfrontacji, a swoją siłę czerpie z dezinformacji i propagandowej ofensywy.

Jeśli dzisiejsza Rosja musi imitować mocarstwo i straszyć nas hardą retoryką – oznacza to tylko tyle, że państwo Putina staje się coraz słabsze i jest zmuszone sięgać do arsenału komunistycznych środków. Nic też nie wskazuje, by to państwo było w stanie sprostać globalnemu konfliktowi lub miało dążyć do jego sprowokowania. Taka konfrontacja przyniosłaby militarną klęskę Rosji i spowodowała utratę jej najważniejszej broni - ekspansywnej sieci intryg i dezinformacji oplatającej współczesny świat.

Głosy publicystów i polityków straszących nas wojną z Rosją lub roztaczających wizję rosnącej potęgi militarnej państwa Putina, są dziś ważnym wkładem w rosyjską strategię podstęp i dezinformacji i – choćby nieświadomie, wpisują się w plany Kremla.

767. ŻYCZENIA PROSTE JAK WIARA

Nasze cierpienia, nasze krzyże możemy ciągle łączyć z Chrystusem, bo proces nad Chrystusem trwa. Trwa proces nad Chrystusem w Jego braciach. Bo aktorzy dramatu i procesu Chrystusa żyją nadal. Zmieniły się tylko ich nazwiska i twarze, zmieniły się daty i miejsca ich urodzin. Zmieniają się metody, ale sam proces nad Chrystusem trwa. Uczestniczą w nim ci wszyscy, którzy zadają ból i cierpienie braciom swoim, ci, którzy walczą z tym, za co Chrystus umierał na krzyżu. Uczestniczą w nim ci wszyscy, którzy usiłują budować na kłamstwie, fałszu i półprawdach, którzy poniżają godność ludzką, godność dziecka Bożego, którzy zabierają współrodakom wartość tak bardzo szanowaną przez samego Boga, zabierają i ograniczają wolność. [...]

Każdy z nas mógłby wymienić nie kończącą się liczbę krzyży, które przeżył lub których był świadkiem. Te wszystkie krzyże życia naszego osobistego i społecznego muszą doprowadzić do zmartwychwstania Ojczyzny w pełni wolnej i sprawiedliwej. Od chwili, gdy Chrystus poniósł śmierć na krzyżu, już nas nie może hańbić żadne cierpienie ani poniżenie. Hańba przychodzi na tych, którzy są jej przyczyną.
(Ksiądz Jerzy Popiełuszko)

Z okazji Świąt Wielkiej Nocy wszystkim, którzy odwiedzają mój blog składam serdeczne życzenia pogodnego i spokojnego przeżywania Zmartwychwstania Pańskiego. Niech świąteczny czas będzie okazją do spotkań w gronie rodzinnym, do refleksji i zadumy, niech przyniesie radość i wiele dobra. Obyśmy nigdy nie utracili prostoty wiary płynącej ze świadomości Krzyża i Zmartwychwstania, a pamiętając na słowa księdza Jerzego - byli silni nadzieją i zdolni do pokonania wszelkich przeciwności.

KWIECIEŃ

768. PODZWONNE OD BONDARYKA

Ludzi rosyjskich służb musiał rozbawić raport ABW zatytułowany *„Współpraca SB MSW PRL z KGB ZSRR w latach 1970-1990 – próba bilansu”*. Szef największej służby specjalnej III RP przyznając na wstępie, że *„pomimo upływu ponad 20 lat od upadku PRL i ZSRR oraz zakończenia współpracy ich służb wewnętrznych, (...) opisanie jej skutków i pozostałych po niej układu oraz aktywów ma nadal istotne znaczenie ze względu na wciąż możliwy wpływ tej współpracy na aktualny stan bezpieczeństwa RP”* - stwierdza tym samym, że jego ponad dwudziestoletnia kariera „Bondy” oraz szefowanie Agencji przez ostatnie pięćdziesiąt lat, były pasmem porażek w walce z sowiecką i rosyjską agenturą. Fakt, że dopiero po dwóch dekadach polski kontrwywiad dostrzegł to zagrożenie i podjął próbę opisanie zjawisk, które ukształtowały cały system bezpieczeństwa III RP, wystawia polskim służbom jak najgorsze świadectwo. Można byłoby powiedzieć – lepiej późno niż wcale, gdybyśmy nie mieli do czynienia ze zdarzeniem, którego kontekst ma niewiele wspólnego z intencją ukrócenia wpływów agentury, wygląda za to na element pijarowskiej akcji w obronie wizerunku służby Krzysztofa Bondaryka.

Nie zamierzam zajmować się treścią tego wiekopomnego dokumentu (tym bardziej, że nie zawiera on szczególnych rewelacji) lecz – w odniesieniu do zdarzeń z ubiegłych miesięcy, zastanowić się nad czynnikami, które doprowadziły do jego powstania.

Warto zauważyć, że od czasu gdy środowisko Belwederu narzuciło plan gruntowej przebudowy systemu bezpieczeństwa i wykreowania nowej formuły reżimu prezydenckiego, mamy do czynienia z niezwykle aktywnością ludzi ABW. Przypomnę, że projekty opracowane w ramach Strategicznego Przeglądu Bezpieczeństwa Narodowego przewidują m.in. podporządkowanie Agencji ministrowi spraw wewnętrznych oraz ograniczenie jej zadań do ochrony kontrwywiadowczej. ABW miałyby przekazać Policji (CBŚ) zadania w zakresie nielegalnego wytwarzania, posiadania i obrotu bronią i amunicją, a do Ministerstwa Finansów oddać kompetencje dotyczące zagrożeń korupcyjnych i ekonomicznych. Doprowadzi to do znaczącego ograniczenia wpływów ABW na szereg procesów decyzyjnych oraz odebrania tej służbie prymatu w sprawach bezpieczeństwa.

Wkrótce doszło do zdarzeń, w których funkcjonariusze Agencji występowali w roli rozgrywanych i rozgrywających. Ujawnienie afery Amber Gold, kreowanej i wzmacnianej przez niektóre ośrodki medialne, przypominało kombinację operacyjną inspirowaną przez środowisko konkurencyjne wobec ABW. Było też działaniem wymierzonym w Donalda Tuska i ludzi, którzy przez lata tworzyli tzw. układ trójmiejski. Media służące dotąd interesom władzy zaczęły rozpisywać się o poczynaniach syna premiera, kojarzyć z aferą polityków PO, a nawet dywagować o zaniedbaniach prokuratury i ABW. To Agencja miała odpowiadać za to, że szef rządu nie posiadał pełnej wiedzy o Amber Gold i nie wiedział o uwikłaniu syna w niejasne interesy. Rozgrywanie tego wątku (m.in. sprawy notatki ABW) miało podważyć zaufanie Tuska do Bondaryka i sprawić, by szef rządu zaakceptował propozycje Belwederu w zakresie „reformy” służb. Intencje zostały trafnie odczytane, bowiem wkrótce po ujawnieniu afery, premier zapowiedział zmiany w funkcjonowaniu służb specjalnych. W komunikacie dla PAP sprecyzowano, że *„zespół przygotowujący propozycje zmian w służbach korzystał z dorobku prowadzonego przez BBN Strategicznego Przeglądu Bezpieczeństwa Narodowego”*.

Od tego momentu następują wydarzenia, których konkluzja wydaje się niezwykle czytelna – tylko ABW jest niezastąpioną służbą specjalną zdolną chronić interesy układu rządzącego.

Taki wniosek można wyprowadzić ze sprawy Brunona K., w związku z którą miało pojawić się zagrożenie terrorystyczne ze strony *„osoby motywowanej względami narodowościowymi, nacjonalistycznymi i ksenofobicznymi”*. Kombinacja ta, rozegrana zgodnie z zasadami klasycznej dezinformacji manipulacyjnej (stosowanej chętnie przez SB) wyglądała niczym próba uwiarygodnienia w oczach decydentów i wykazania, że operacje realizowane przez ABW służą rządzącym i są niezbędne w walce z opozycją.

W podobny sposób trzeba widzieć sprawę anonimowych listów kierowanych do premiera, w których grozono mu śmiercią. Tu również do działań przystąpili funkcjonariusze ABW, a z medialnych przecieków wynikało jakoby autorem listów była osoba ze „środowiska pseudokibiców”, wobec których Donald Tusk wykazuje szczególne „wyczulenie”.

Kilka dni później premier i jego koledzy mogli ponownie poczuć zagrożenie ze strony hakera-altruisty włamującego się do sieci Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. Wykazał on przy tym wielce propaństwową postawę, bo nie tylko nie wykradł żadnych wrażliwych danych (m.in. z konta Tomasza Arabskiego) ale w wydanym oświadczeniu zapewnił, że *„celem ataku było sprawdzenie, jaki jest stan zabezpieczeń najważniejszych sieci w państwie.”* Poza Kancelarią Premiera, hakerowi udało się włamać do sieci MON, MSZ i Kancelarii Prezydenta. Zadeklarował przy tym, że w przyszłym roku będzie próbował ponownie pokonać zabezpieczenia sieci rządowej i ma nadzieję, że *„do tego czasu instytucje odpowiedzialne za cyberbezpieczeństwo poradzą sobie z załatwieniem wszystkich luk”*. Wobec takiego dictum, organom państwa nie pozostało nic innego, jak oprzeć się na działaniach ABW i zapewnić tej służbie odpowiednie narzędzia do walki z „cyberterrorystami”.

Wkrótce pojawiła się informacja, że MON powierzyło Bondarykowi *„projekt naukowo-badawczy, którego celem jest powołanie Narodowego Centrum Kryptografii”* (NCK). Dotychczas przeznaczono na ten cel 10 mln zł, a ponieważ potrzeba co najmniej kilkuset milionów, rząd będzie zmuszony znaleźć środki na sfinansowanie tak ważnego przedsięwzięcia. Zrobi to tym chętniej, gdy okazało się, że powołanie Bondaryka na stanowisko pełnomocnika ds. utworzenia NCK przyniosło nadszpiewane efekty bowiem polscy kryptolodzy złamali właśnie szyfr GOST 28147-89, wykorzystywany przez rosyjskie instytucje rządowe i banki.

Na publikację raportu o współpracy SB ze służbami sowieckimi warto spojrzeć w perspektywie szczególnie trudnej sytuacji, w jakiej znalazła się ABW. Przez ostatnie pięć lat byliśmy świadkami postępującej „bondaryzacji” III RP, nadzwyczajnego poszerzania uprawnień Agencji oraz ingerencji tej służby w wiele obszarów życia publicznego. Regulacje podjęte przez obecny rząd w zakresie bezpieczeństwa państwa, zmierzały do skupienia władzy w rękach ABW i uczynienia z tej służby „zbrojnego ramienia” grupy rządzącej.

Belwederski projekt prowadzi natomiast do wyłonienia „nowego rozdania” i odebrania Agencji szeregu najważniejszych prerogatyw. Musi to wywoływać sprzeciw, a nawet kontrakcje ze strony ludzi ABW. Może też prowokować do działań, których celem jest wykazanie sprawności i profesjonalizmu tej służby oraz jej uwiarygodnienie w oczach decydentów i opinii publicznej. Pojawienie się raportu o *„współpracy SB MSW PRL z KGB ZSRR”* wydaje się służyć budowaniu pozytywnego wizerunku ABW – jako nowoczesnej, propaństwowej służby dbającej o bezpieczeństwo państwa, walczącej z zagrożeniami ze strony obcej agentury i wolnej od wpływów peerelowskiej bezpieki. Ten obraz nie ma oczywiście nic wspólnego z prawdziwym obliczem Agencji.

Dość wspomnieć, że już w roku 2008 ówczesny szef BBN Władysław Stasiak mówił o odradzaniu wpływów SB pod rządami Krzysztofa Bondaryka. *„Prawie 20 lat po odzyskaniu przez Rzeczypospolitą niepodległości, służby specjalne odwołują się do doświadczenia SB”* – alarmował szef BBN. To za czasów Bondaryka do służby wrócili m.in.: pezetpeerowski aparaczkowy Andrzej Barcikowski, od roku 2008 doradca Bondaryka, radomski esbek Zdzisław Skorża, czy Janusz Fryłow. W ostatnich latach ABW współpracowała z białoruskim KGB i służbami chińskimi, a partnerem Agencji w sprawach związanych z informacjami niejawnymi stało się Krajowe Stowarzyszenie Ochrony Informacji Niejawnych (KSOIN), zarządzane przez płk Koczkowskiego z Zarządu III WSi (uczestnika kursu KGB z 1982 r), w którym ekspertami byli ludzie szkoleni przez GRU.

Zawarta w raporcie ABW lista esbeków związanych ze służbami sowieckimi, wydaje się znakiem rozpoznawczym autora projektu. Jako szef białostockiego UOP-u w latach 90., Krzysztof Bondaryk miał prowadzić rejestr osób, które posiadały kontakty w krajach dawnego ZSRR oraz ustalać nazwiska ludzi współpracujących z KGB na terenie Białostocczyzny. Sporządzona przez niego lista podobno nigdy nie trafiła do kontrwywiadu UOP.

Rozchwytywany przez media raport ABW, ma jeszcze inne przeznaczenie. Jest nie tylko efektem „wojny służb” i gry różnych grup interesów, ale może stanowić rodzaj polisy ubezpieczeniowej byłego szefa ABW. Taką polisą byłyby informacje, których raport wprawdzie nie ujawnia lecz sugeruje ich istnienie. Mogą dotyczyć obecnych współpracowników służb rosyjskich oraz wiedzy o działaniach szczególnie cennej agentury.

769. SPÓR O ANTYKOMUNIZM

Rafał Brzeski, pisząc przed laty o prowadzeniu „wojny informacyjnej”, wskazywał na jej poszczególne etapy: *„W wojnie informacyjnej zniewala się społeczeństwo stopniowo. Trwa to latami. Polem walki jest ludzka świadomość. W pierwszej fazie wyznaczona do podboju społeczność jest demoralizowana, żeby złamać jej moralny kręgosłup. W kolejnej fazie burzy się obowiązujący w niej od wieków porządek wartości, potem pozbawia się ją poczucia własnej godności, zakłamuje osiągnięcia przodków, wpaja poczucie ogólnej niemożności, by wreszcie zniechęcić do stawiania oporu tłumacząc, że wszelki sprzeciw jest bezsensowny, bo trzeba płynąć z prądem”*.

W naszej, polskiej wojnie, czas PRL-u był zaledwie pierwszym etapem podboju, nie najgroźniejszym w skutkach, bo prowadzonym przez rozpoznawalnego, zewnętrznego wroga. Przypominał plagę szczurów, roznoszących „czarną śmierć” w „brzydkim, pozbawionym ptaków, drzew i ogrodów” Oranie. Prawdziwa epidemia zaczęła się wówczas, gdy szczury zniknęły z ulic miasta, gdy *„ujrzeliśmy mediolańskie saturnalia na skraju grobów”* i to, co powinno przerazić stało się obrazem powszednim.

Kolejną fazę powierzono wrogom ulokowanym wewnątrz społeczeństwa, ukrytym za parawanem „wolnych mediów”, szermującym hasłami demokracji, okrytym społecznym zaufaniem i przywłaszczonym mianem autorytetów. Prymitywna falsyfikacja języka, tworzenie symulowanych podziałów, rewizja polskiej historii, walka z pamięcią, niszczenie kultury i szkolnictwa, propagowanie zachowań antyspołecznych i amoralnych – wyznaczały drugi i znacznie groźniejszy proces dezintegracji. Były czasem, o którym Gustaw Herling Grudziński pisał, że ma *„zabić w ocalałych, w ich dzieciach, wnukach i prawnukach smak, wartość i godność życia zrzeszonego”*

Dramat polegał na tym, że ten wróg działał za aprobatą ogromnej części społeczeństwa, był uznawany za „swojego”, akceptowany i obdarzony wiarą w dobre intencje.

Narzucenie Polakom tezy o „uśmierceniu” komunizmu, znakomicie ułatwiło walkę z antykomunizmem. Skoro komunizm umarł, zbędna też stała się postawa antykomunistyczna i odwoływanie do niej trąciło anachronizmem i donkiszoterią.

A. Michnik, w artykule „Szare jest piękne” mógł zatem napisać – *„Naprzeciwko siebie stanęły dwa odmienne światy wartości. Z jednej strony pragmatyczny, nierzadko nasycony pogardą i cynizmem świat ludzi dawnego reżimu. Z drugiej: anachroniczny patriotyzm ludzi konserwatywnych wartości, którzy w przeszłości stawiali opór komunizmowi. Dawny heroizm świata odpornego na represje teraz objawił drugą twarz: nietolerancji, fanatyzmu, odporności na idee modernizacyjne.”*

„Rozprawy” z antykomunizmem stały się ulubionym motywem twórczości żurnalistów, ustępując jedynie miejsca równie zajmującym tematom - „polskiego antysemityzmu” czy „megalomanii narodowej”. O proveniencji tych motywów wspominałem wcześniej, zatem ich propagandowa reaktywacja dowodziła skuteczności komunistycznych narzędzi i biegleści sukcesorów.

Jacek Kwieciński w artykule „O wolną Polskę” przypominał – *„Oto A. Michnik w tekście wręcz zasadniczym pisał już w 2000 r. (artykuł „Mantra zamiast rozmowy”) o „kłamstwie komunizmu i kłamstwie antykomunizmu”, „Kłamstwo stare – kłamstwo komunistów rozliczających faszyzm – zostaje zastąpione kłamstwem nowym: kłamstwem antykomunistów rozliczających komunizm”*.

Postawienie na równi najbardziej zakłamanego, niszczącego ludzką świadomość, ludobójczego systemu i autentycznej niechęci do niego mogłoby wydawać się szokujące. Ale to i tak eufemizm, bo potępienie absolutnego zła komunizmu jest dla Michnika przejawem postawy „prostackiej”. A już powiedzenie, że komunizm jest straszny już od samych podstaw, z natury i założeń, a nie tylko zbrodni, to herezja zupełna, temat tabu. Oczywiście nie tylko w Polsce. Bo niemal obowiązuje ideologia anty-antykomunizmu – niejako element poprawności politycznej.”

Wspominana przez Kwiecińskiego „ideologia anty-antykomunizmu” nie jest samoistnym dziełem grupki medialnych krzykaczy. Jak każde z narzędzi w komunistycznym arsenale pojęć – paralizatorów, nie znajduje oparcia w faktach ani w elementarnej logice. Bo jeśli komunizm był złem – czego nie negują nawet postaci „opozycji demokratycznej”, jakże walka z nim i próby rozliczenia, również mogą być złe? Niedorzeczność „ideologii anty-antykomunizmu” znajduje usprawiedliwienie tylko wówczas, gdy służy ona obronie komunizmu i chce postrzegać w nim dobro. Wtedy jednak jest składnikiem komunistycznego oszustwa i nie zasługuje na najmniejszą refleksję. Powinna zostać odrzucona, bez wdawania się w polemikę i zaśmiecania dyskursu publicznego.[...]

Tadeusz Zawadzki, jedna z głównych postaci mackiewiczowskiej „Drogi donikąd”, przedstawiając sytuację pod rządami Sowietów, mówił *„Słowa mają tu znaczenie odwrotne albo nie mają żadnego. Odbierz ludziom pierwotny sens słów, a otrzymasz właśnie ten stopień paraliżu psychicznego, którego dziś jesteśmy świadkami. To jest w swej prostocie tak genialne, jak to zrobił Pan Bóg, gdy chciał sparaliżować akcję zbuntowanych ludzi, budujących wieżę Babel: pomieszał im języki”*.

„Genialna prostota” semantycznego terroryzmu polegała na tym, że zachowania moralnie dobre (sprzeciw wobec komunizmu, głoszenie prawdy historycznej, patriotyzm, szacunek dla tradycji), przedstawiano jako rzeczy negatywne, nadając im znaczenie sprzeczne z elementarnymi normami etycznymi. To co w każdej normalnej i silnej społeczności byłoby wyznacznikiem pożądanym, obywatelskich postaw lub stanowiło fundament wolnego państwa – w III RP zostało sprowadzone do moralnego absurdu, stając się synonimem szkodliwego obskurantyzmu i znakiem wykluczenia.

Ten ciasny, ograniczony sposób erystyki, tuszujący w istocie nienawiść wobec polskości cechuje całą, prostacką umysłowość tzw. elit III RP i od dwóch dekad zatruwa życie milionów Polaków.

W takich praktykach trzeba dostrzegać najgroźniejszy manifest, wiodący wprost do oswajania z „normami” komunizmu i budowania niewolniczej świadomości, w której polskość – z jej ważnym atrybutem antykomunizmu - ma być postrzegana jako kompromitujący i bezużyteczny багаż. [...]

Obecny reżim z niezwykłą łatwością wmówił Polakom, jakoby archaiczna konstrukcja okrągłego stołu była jedyną, na której można budować polską państwowość. Próba podważenia tego fundamentu jest traktowana niczym negowanie zdobyczy Rewolucji i burzenie ustroju narzuconego Polakom siłą sowieckich bagnetów. Wywołuje histeryczne oburzenie „elit” i prowadzi do miotania najcięższych oskarżeń. Dzięki stosowaniu takich mechanizmów, w świadomości społeczeństwa ma powstać przeświadczenie, że każda próba „obalenia republiki” jest zamachem na Polskę, musi prowadzić do „anarchii” i „godzenia w interes narodowy”.

Już tylko ta retoryka ujawnia „nieprawę” pochodzenie grupy rządzącej III RP, obnaża jej lęk przed demistyfikacją i jest dowodem, że fundamenty tego państwa są zbudowane na patologicznych, antypolskich podstawach. [...]

Niemalą rolę w rozprawie z antykomunizmem odegrali intelektualści- pochylający się z uwagą nad wytworami medialnych terrorystów, podejmujący spór z prostackim bełkotem lub szukający „konsensusu” z epigonami komunizmu. Była

to postawa diametralnie różna od tej, jaką wobec komunizmu i jego pochodnych zajmowali najwybitniejsi intelektualiści II Rzeczypospolitej, odmawiający uznania „obcego” za przedmiot godny polemiki. [...] Prowadzony na wielu poziomach „spór o właściwą interpretację komunizmu” powinien być rozstrzygnięty, nie poprzez pseudonaukowe wywody, ale prostym rachunkiem krzywd wyrządzonych przez ludobójców. „Właściwą interpretację” komunizmu wyznacza ilość przestrzelenych potylic i liczba ofiar ubeckich katowni. Próba intelektualizacji i przeniesienia „sporu” na grunt polemiczny kończy się zawsze porażką rozumu i prowadzi do „strasznego zamazania”. Obcując z komunistycznym zafałszowaniem, łatwo zapomnieliśmy, że „świat zaczyna się od dokładnego, ostrego widzenia. Ostrego widzenia przedmiotów w jasnym obiektywnym świetle. Bez cienia.”

Tymczasem programowa kampania wyszydzania postaw antykomunistycznych, a nawet przydawania im błazeńskiej, bolszewickiej gęby, sprawiła, że niewielu Polaków potrafiło przyznać się do takiego „wynaturzenia”, a jeszcze mniej rozumiało, na czym polega prawdziwy antykomunizm. Ryszard Legutko tak opisywał przed laty sytuację antykomunizmu:

„Pojawiły się i nadal pojawiają sugestie, że istnieje jakieś powinowactwo duchowe między komunistą a antykomunistą, że antykomunizm trzeba się strzec, bo stanowi on niemal zwierciadlane odbicie komunizmu. Doszło do sytuacji paradoksalnej: okazało się, że komunizm był zły, ale niezależnie od tego jak bardzo był zły, antykomunizm nigdy nie był dobry.” [...]

Jest oczywiste, że podobna aberracja, pozwalająca wyszukiwać „powinowactwo duchowe między komunistą a antykomunistą” nigdy nie miałyby miejsca, gdyby żalosne dylematy ludzi zaczadzonych bolszewickim fetorem potraktowano z całą „ostrością widzenia”, na jaką zasługiwały. Słowa Zbigniewa Herberta z rozmowy z Jackiem Trznadłem przecinają te niedorzeczne dywagacje, jakże sensowną refleksją - „Na początku była mała grupka agentów, którzy uczepili się intelektualistów, a intelektualiści odegrali na cześć „nowego” symfonię patetyczną... To było małe, głupie, nędzne, zakłamane.”

Stąd wynikała potrzeba usprawiedliwienia – tak upiornego, by dobro wymieszać ze złem i polski antykomunizm skazić rzekomym „powinowactwem duchowym”. Przez dwie dekady akceptowano fałszywą „krytykę antykomunizmu” i znoszono tyrady o „polskim szowinizmie” czy „rusofobii” – nie próbując uwolnić się od prostackiej retoryki ani zignorować pokrzykiwań komunistycznych epigonów. Nie logika i nie siła argumentów decydowała o znaczeniu tych opinii, ale przyzwolenie na racjonalizowanie czegoś, co nigdy nie zasługiwało na miejsce w polskiej kulturze umysłowej i tradycji.

„Nie było z kim polemizować i o co polemizować. Nie było języka. Język był sprzedany, zakłamany, zupełnie jak w czasach hitlerowskich” – mówił Herbert o polemice z komunistami i dodawał – „Bo to jest ustrój nierzeczywisty, ustrój widmowy, i dlatego tak trudny do zwalczania. Ja mu odmówiłem ontologicznego statusu.”

Na taki racjonalizm nigdy nie zdobyli się intelektualiści III RP, a wraz nimi – miliony Polaków niepokorzonych z tą hybrydą. Nie zastosowano go ani wobec pojękiwań zaczadzonych komunizmem durniów, ani wobec dyrdymałów głoszonych przez Michnika i jego semantycznych terrorystów. Wór pustosłowia i arsenał demagogicznych narzędzi do rozgrywania „polskich wad narodowych” potraktowano z intelektualnym patosem, nadając im wartość dyskursywną i nobilitując rzeczowymi polemikami. Zrobiono dokładnie to, na co liczyli komuniści, infekując Polaków obcym i wrogim tworem - usankcjonowano „rozbestwione kłamstwo” i brudnego Golema uznano za godnego Prometeusza.

Powyższy tekst jest fragmentem jednego z rozdziałów (VIII) książki „Antykomunizm-Broń utracona”. Książka zostanie wydana w kwietniu br. przez wydawnictwo Bollinari Publishing House.

770. GDYBY PAN COGITO PISAŁ O SMOLEŃSKU...

Nad trumnami ofiar nie może być ciszy. W tej sprawie jest współniczką łotrów i kryjówką tchórzy. Żadne komisje, sądy i prokuratury, nie zagrodzą też drogi do poznania prawdy. Nie wygasi jej jazgot kanalii ani bełkot idiotów dławionych moskiewskim kneblem.

Nie pomogą **łańcuchy tautologii i parę pojęć jak cepy**. Bo choć zamknięto nas **w niskim siodle doliny zasnutej gęstą mgłą**, przez którą mieliśmy podziwiać **migotanie nicości** i fałsz „pojednania” – nawet ta mgła nie zasłoniła widoku sprawców, **oczu pałających, łakomych pazurów i paszczy**.

Ta zbrodnia będzie nazwana, jej okoliczności odkryte. Wówczas przyjdzie chwila, by zrozumieć, że **dowodem istnienia potwora są jego ofiary** i zmierzyć się nie tylko z prawdą o mechanizmach zbrodni, ale stokroć straszniejszą wiedzą o istnieniu potwora.

To nie będzie łatwe, bo **gdyby nie duszny ciężar i śmierć którą zsyła można by sądzić, że jest majakiem, chorobą wyobraźni. Jak ogromna depresja rozciągnięta nad krajem nie da się przebić piórem, argumentem, włóczęgią**. Nie próżno nosi pancerz niewiedzy, czasem zbroję naszej głupoty. Zedrzeć ją tym trudniej, że przestawialiśmy z nim przez dwie dekady i wykarmiliśmy go częścią własnego życia. Chodzi teraz za nami niczym **przepaść Pana Cogito**- przykryta **starannie kawałkiem starej materii. Za płytka żeby pochłonęła głowę ręce i nogi**. I nie wiadomo - czy nie zabraknie odwagi by dostrzec **najgorszą ze wszystkich - twarz zdrady**? Czy usprawiedliwi nas wówczas prawda i doniosłość racji moralnych?

Rozsądni mówią, że można współżyć z potworem, należy tylko unikać gwałtownych ruchów, gwałtownej mowy. Tak, rozsądni wierzą w mechanizmy demokracji, deliberują uczenie o potrzebie konsensusu i próbują omijać potwora szerokim łukiem - zapewniając siebie i innych o potęgze karty wyborczej i potrzebie konstruktywnych działań. Ich **strach nie ma twarzy umarłego, umarli są dla nich łagodni**.

Rozsądni uznali więc, że ocalili **aby żyć**, a ich **świadećstwo** ma być dane w warunkach „demokracji parlamentarnej”, w czasie politycznych debat i rzeczowej polemiki. Być może już dziś czelują swoje przyszłe wystąpienia lub z kilku sofizmów próbują skleić logiczne wyjaśnienie – **nie mieliśmy dokąd odejść, zostaliśmy na śmietniku, zrobiliśmy porządek, kości i blachę oddaliśmy do archiwum**.

Rozsądni „chcą łączyć nie dzielić”, głoszą potrzebę reformowania i budowy „mostów porozumienia”. Wprawdzie **dialektyka oprawców** nadal brzmi złowrogo i nie da się dostrzec **żadnej dystynkcji w rozumowaniu**, rozsądni ufają w cywilizowane normy i pokładają nadzieję w państwie prawa. Wierzą też w mądrość Polaków, a nawet w to, że polskość jest wartością dodaną do miejsca urodzenia. Nie ma ceny, za którą odważyliby się wskazać bękartów zaludniających nasz skrawek ziemi. Nie zrobią tego nawet wówczas, gdy opadnie groza, **pogasną reflektory i odkryjemy że jesteśmy na śmietniku w bardzo dziwnych pozach, jedni z wyciągniętą szyją, drudzy z otwartymi ustami z których sączyła się jeszcze ojczyzna**. W ucieczce przez potworem - tak bardzo chcieliby ocalić **życie na niby** i na końcu swoich dni **ponieść zwyczajną śmierć, bez glorii, powalenia bezwładem**.

Czas, w którym zbrodnia będzie nazwana, nadejdzie nieuchronnie. Ci, którzy są jej winni już budzą się z krzykiem, gdy nocą nawiedza ich **sen cesarza szukającego szpary, w którą mógłby się wcisnąć**. Z obawy, że **podłoga jest gładka i śliska** posyłają kolejnych żołnierzy by **chodzili wokół sypialni z obnażonymi mieczami**. To już niczego nie zmieni.

Czas, w którym zbrodnia zostanie nazwana - postawi nas twarzą w twarz z potworem. Nie takim, jakiego widzieliśmy dotąd na ekranach telewizorów: ubranym w drogie garnitury i służbowe grymasy. Do końca nie wiadomo – czy będzie miał wtedy spoconą gębę i przyspieszony ze strachu oddech czy tylko przywdzieje kolejną maskę i śmiejąc się z gapiów regulaminowo zastuka kopytami. O jego twarzy zdecydują rozsądni, wybierając jedną ze ścieżek - **na prawo** (gdzie) **było źródło** lub **na lewo** (gdzie) **było wzgórze**. Oni wiedzą, że **nie można mieć zarazem źródła i wzgórza idei i liścia i przelać wielość bez szatańskich pieców ciemnej alchemii zbyt jasnej abstrakcji**.

Drogę na wprost wskażą tylko poeci i kilku nieuleczalnych marzycieli.

Kiedykolwiek nadejdzie ten czas, na krótką chwilę przywróci nam prawa utracone przed laty. Pierwsze – do czerpania ze śmierci tych, których dosięgła nienawiść. Przed siedemdziesięcioma laty i dziś. Drugie – do semantycznego ładu i prostoty wyboru: tak lub nie. Ten czas rozstrzygnie - czy dołączymy do grona przodków czy staniemy się potworem.

Polecam: Zbigniew Herbert - Potwór Pana Cogito, Potęga smaku, Raport z oblężonego miasta, Nasz strach, Przebudzenie, Sen cesarza, Ścieżka, Przepaść Pana Cogito.

771. WIDZIAŁEM NA WŁASNE OCZY

Józef Mackiewicz o swoim pobycie na miejscu zbrodni w Katyniu.

Znany literat i dziennikarz wileński p. Józef Mackiewicz powrócił przed kilku dniami ze Smoleńska, gdzie był obecny przy wydobywaniu zwłok w lesie katyńskim pomordowanych oficerów polskich. Współpracownik naszego pisma zwrócił się do p. Mackiewicza z prośbą o wywiad. Odpowiedzi, które przytaczamy poniżej, oddane są z dokładnością stenograficzną i przez p. Mackiewicza autoryzowane.

Pierwsze pytanie jest najtrudniejsze i dlatego wypada trochę bezprzedmiotowo: – „Więc był pan tam?” – Oczywiście wiedzieliśmy, że był.

– Tak jest. Widziałem na własne oczy.

I znów nasuwają się pytania, których liczbę i formę trudno od jednego razu opanować: – „Jak to wygląda?” – „Jak tam jest?” – „Więc istotnie?” – „Czy bardzo strasznie, wstrząsająco, okropnie?” – Właściwie chodzi o wszystko razem, o ogólny obraz, całokształt wrażenia i jednocześnie szczegóły, jak najwięcej szczegółów. Interpelowany nie chce nam pomóc przy pierwszych krokach, być może jest tylko zmęczony podróżą.

– Jest pan ciągle pod wrażeniem?

– Nie wiem, czy podobna to nazwać „wrażeniem”. Wrażenie zyskuje się raczej na skutek jakiegoś, najczęściej pojedynczego zdarzenia czy faktu, w sobie ograniczonego. Smoleńsk, który widziałem, Katyń, zbrodnie, trupy, ruiny, bolszewizm, który sam przeszedłem, i listy, listy dzieci do swych ojców, zaczynające się od słów: „Kochany Tatusiu”, czy „Kochany Ojczulku”, wydobywane dziś ze stosów sprasowanych, cuchnących ciał, z tej mazi śmierci lub na wpół zasuszonych mundurów polskich... Tak, wszystko to razem wytwarza jakby długi łańcuch asocjacji, myśli, refleksji, zapadający głęboko w duszę. Nie nazwałbym tego wrażeniem. To raczej przeżycie.

– Czy mógłby pan zatem przedstawić nam w kolejności obrazy, jakie rzuciły się panu w oczy, tam, w Katyniu?

– Był to chłodny dzień... Słusznie pyta pan tylko o „obrazy”. Nie mam bowiem zamiaru powtarzać całego materiału rzeczowego, tylokrotnie już opublikowanego w licznych komunikatach, enuncjacjach, raportach komisji międzynarodowej, tudzież Polskiego Czerwonego Krzyża. To są rzeczy znane. Prace nie zostały jeszcze ukończone. Trafiłem na ich tok, jakkolwiek zbliżyć się wydają ku końcowi. – Był tedy chłodny dzień i nad Smoleńsk, od strony frontu ciągnęły szkwiałowe chmury, zlewając deszczem okoliczne ruiny domów. Jechaliśmy do Katynia pośród tych ruin, zwalisk żelaza, wypalonych wozów i wagonów, sterczących sztab żelaznych i łóżek żelaznych, tkwiących jeszcze w rumowiskach. Ludzie obcy twierdzili, że jest to pogoda najodpowiedniejsza. Zimno i deszcz, wiatr rozpędza swąd trupi, no i nie ma much. Można zatem wytrzymać. W pewnym miejscu szosa przekracza szyny kolejowe i biegnie wśród wyrębów. „Tu” – powiedział ktoś – „zaczyna się ta Golgota”...

– Przepraszam, jak to „tu”, to znaczy gdzie?

– To znaczy od stacji Gniezdowo. Na stację Gniezdowo przywożono naszych oficerów. Stąd tylko cztery kilometry do lasu katyńskiego. Te cztery ostatnie kilometry swego życia jechali tak samo jak my teraz, mijając te same drzewa, powiedzmy, tę oto czy tamtą brzoźkę, której wygląd chciałbym sobie zapamiętać, ale która, jak to bywa, zatraca się zaraz w pamięci wśród szeregu innych brzoźek i innych krzaków. Lasek Katyński nie jest duży. Obejmuje kilka hektarów. Dziś wjazd do niego strzeżony jest przez wartę, szlaban i tablicę z odpowiednim napisem. Droga gruntowa w głąb wysłizgana gumami samochodów. Stąd już tylko kilkanaście kroków. Przy wyjściu z auta uderza nas wnętrze lasu, odpowiadającego strefie naszego klimatu, a więc takiego samego jak nasz, wileński, gdy się składa z młodych sosenek, brzoźek, mchu i świeżej, wiosennej trawy. Ale nie pachnie tam ani wilgotnym mchem, ani igliwiem. Przytłacza ohydnie cuchnący, słodkawy, lepki swąd trupi. Był on pomimo zimna i wiatru tak dotkliwy, że cofnąłem się odruchowo o krok w tył i właśnie wtedy nastąpiłem na przedmiot, który się ugiął pod nogą. Była to czapka oficera polskiego o ciemnozielonym otoku naszej artylerii. Podniosłem ją i odłożyłem na dywanik rosnących w tym miejscu nieśmiertelników. Może zakrawa to trochę na patos, że zwróciłem uwagę na rosnące kwiatki...

– Proszę, proszę, niech pan opowiada dalej.

– A więc podłoże lasu w tym miejscu wygląda brzydko. Wygląda po prostu tak, jak powiedzmy, podmiejski lasek opuszczony przez majówki i wycieczkowiczów niechłujnych, którzy w niedziele rozkładają się pod drzewami, a później pozostawiają po sobie odpadki, niedopałki, papiery, śmiecie. W Katyniu pomiędzy tymi śmieciami rosną nieśmiertelniki. Przy bliższym przyjrzeniu stajemy przykuci niezwyklej widokiem. Nie są to bowiem żadne śmiecie. Osiemdziesiąt ich procent stanowią pieniądze. Polskie papierowe banknoty złotowe, przeważnie wyższych emisji. Leżą niektóre w paczkach po sto, po

pięćdziesiąt złotych, po dwadzieścia. Leżą pojedynczo i drobniejsze, wojennej emisji dwuzłotówki, w jednym wypadku widziałem czerwonce. Wyblakłe, oblaźłe, przesiąkłe trupim odorem i ciecżą trupów. Tuż obok cygarniczki drewniane, papierosy, strzępy sowieckich gazet, guziki z orłami, rękawiczki, kawałki mundurów, chustki do nosa, skórzane portmonetki... Wszystko to są rzeczy wydobyte z grobów. Dzieje się tak nie na skutek lekceważenia lub braku sumiennosci ze strony pracującej tu komisji Polskiego Czerwonego Krzyża, która przeciwnie, jak to opowiem dalej, z pełnym samozaparciem i poświęceniem pracuje nad zidentyfikowaniem pomordowanych i zachowaniem pozostałych po nich pamiątek. Dzieje się tak dlatego, że pomordowane tysiączne ofiary, rzucane były do straszliwych dołów łącznie z całym ich osobistym życiowym balastem codzienności. Jest tego strasznie dużo, co każdy człowiek nosi przy sobie i czym wypycha kieszenie za życia, gdy się to mu wydaje ważne. Ale po śmierci ważne są tylko rzeczy niektóre. Dla komisji przede wszystkim wszystko, co służy do zidentyfikowania zwłok, jak legitymacje, listy, pamiętniki itd. Poza tym wszystkie przedmioty metalowe, nie ulegające psuciu, podlegające oczyszczeniu, mogące pozostać drogą relikwią dla rodziny. Wszystko inne, bezwartościowe, na wpół przegniłe, przesiąkłe na wieki już jadem rozkładu, usuwa się na razie na bok. I to leży. Leży teraz w postaci świadectwa, strasznego, ponurego świadectwa, bezładnymi strzępami wśród drzewek lasu katyńskiego.

– A właściwe groby, czy doły z trupami, znajdują się obok?

– Tak, jest ich, a raczej było, siedem. W dwóch największych warstwa trupów sięgała dwunastu rzędów w głąb.

– I pan to widział?

– Czy widziałem! Straszliwy odór przyprawił mnie w pierwszej chwili o mdłości, zanim całym wysiłkiem woli zdołałem się opanować. Poszliśmy ścięzką usianą wydobytych już rzędami trupów i tam, za grubą sosną, za wałem świeżo wykopanego piasku, spojrzaliśmy w dół.

– Straszne...

– Straszne. Jeden, dwa, trzy trupy ludzkie robią już ciężkie i przygniatające wrażenie. Proszę sobie wyobrazić ich tysiące, tysiące, i wszystkie w mundurach oficerów polskich... Kwiat inteligencji, rycerstwo Narodu! Tworzą warstwy w głąb, warstwy ciał ludzkich jedno na drugich. W tej okropnej chwili przychodzi mi strasliwe porównanie ich do wielkiej skrzyni sardynek. Ułożone są jak sardynki, przekładane nawzajem to nogami, to głową, sprasowane, spłaszczone w trupim soku, który na dnie niektórych dołów ustaje się nieraz w postaci zielonej, martwej cieczy, nie odbijającej ani wierzchołków drzew, ani obłoków na niebie. Obnażyliśmy głowy i stali nieruchomo, jakieś ptaszki ćwierkały na sośnie. Deszcz akurat przestał padać, błogosławiony wiatr odegnał na przeciwną stronę grobu odurzający swąd. I nawet na chwilę wyjrzało słońce. Był to moment, którego nie zapomnę nigdy, bo promienie tego słońca padły i zabyły nagle na złotym zębie czyichś tam, w głębi, na wpół otwartych ust. Odchyliłem głowę, by zmienić kąt odbicia i nie patrzeć na te słoneczne igraszki. W takich chwilach samo życie wydaje się cynizmem. Wiosna nad dołem splecionych nawzajem rąk, nóg, wykrzywionych twarzy, zlepionych włosów, oficerskich butów, strupieszalnych mundurów, pasów. Pomyśleć sobie, że każda z tych pozycji leżących, skrzywienie kolana, odrzut głowy był ostatnim odruchem najwyższej męki, rozpacz, strachu, bólu... czy ja wiem zresztą, jakich najgorszych odczuwań ludzkich.

– Nie stawiali oporu?

– Owszem, stawiali. Znaczna część skrępowana była sznurami, niektórzy pokłuci bagnietami. Tego dnia, gdy opuszczałem Katyń, wydobyto zwłoki, które tym się różniły od innych, że nie były strzelane tym stereotypowym strzałem w potylicę czaszki, jak to już powszechnie wiadomo, a wykazywały postrzał z tyłu między łopatki, przebite poza tym prawie na wylot bagnietem i kilkakrotnie jeszcze pokłute w różnych miejscach. Właśnie stawiających opór, jak to wykazały badania, krępowano. Widziałem ten charakterystyczny węzeł. Nie potrafię go powtórzyć, ale chodzi w nim głównie o to, że którąkolwiek bądź rękę poruszy delikwent, zaciska wszystkie więzy. Niektórym sznury założone były na szyi, w takim wypadku szarpnięcie skrępowaną ręką zaciskało jednocześnie pętlę na szyi i dusiło. Ostatni raport dr Mariana Wodzińskiego, przesłany do centrali Polskiego Czerwonego Krzyża mówi, że 0,4 procent zwłok wykazało podwójny postrzał w potylicę, zaś 1,5 procent podwójny postrzał szyi. Kaliber jak wiadomo był zawsze ten sam 7,63, nie dający zresztą dużej detonacji. Również na kilka dni przed moim przybyciem dokonano wstrząsającego odkrycia, o którym doprawdy mówić można tylko przez zaciśnięte zęby: oto w jednym z dołów znaleziono warstwy oficerów, których kładziono żywcem twarzami na dół na poprzednio już zabite warstwy albo jeszcze drgające w konwulsjach przedśmiertnych, i strzelano ich w pozycji leżącej.

– Ach, jakież to straszne! W jaki sposób fakt ten został ustalony?

– W ten sposób, że delikwent leżał twarzą w dół, w czapce. Daszek tej czapki był załamany na czole, a kula tkwiła w daszku. W każdej innej pozycji taka okoliczność byłaby niemożliwa.

– Jak dokonywano tych zbrodni? To znaczy chodzi mi o techniczny po prostu przebieg. Przecież tyle tysięcy oficerów...

– Widzi pan, poruszamy tu temat może kulminacyjny tej tragedii, która dziś nie jest już tragedią poszczególnych osób czy ich rodzin, ale całego Narodu. Wiem, że pytanie postawione jest po to, aby odpowiedź, czy opowieść następnie opublikować. Jestem zupełnie głęboko przekonany i nie wstydzę się tego, i nie ukrywam, i nie ukrywałem nigdy, że najszerze warstwy naszego Narodu, jak zresztą wszystkich narodów, powinny zrozumieć głębszy sens i niebezpieczeństwo bolszewizmu. Sięgamy tu jednak w dziedzinę okropności. Dla obcych być ona może źródłem sensoryjnych deszczów tylko. Dla Polaków winna być sprawą ich wewnętrznej przeżywanej dziś męki. Nie chciałbym, aby cokolwiek powiem, miało posmak sensacji. Otóż pytanie, które pan postawił, przyznam, mrozące krew w żyłach, zadawałem sobie i innym w Katyniu nieraz. W tej chwili nie znamy świadka, który by na nie mógł dać wyczerpującą odpowiedź. Istnieją hipotezy, które ozdobić możemy literacko-psychologiczną fantazją.

[...]

– Poza już wymienionymi zeznaniami świadków, byłem obecny przy pracy wydobywania zwłok i następnej identyfikacji. Zaznaczyłem już na początku, że trafiłem w chwili, gdy prace te były w toku. Prace prowadzi Polski Czerwony Krzyż. Delegacją składa się z siedmiu osób, na czele z panem Wodzinowskim. Kieruje zaś robotami zaproszony przez Polski Czerwony Krzyż dr Marian Wodziński z Instytutu Medycyny Sądowej w Krakowie. Tak jak wszystko w Katyniu widziałem również na własne oczy, jak się to robi.

– Mianowicie...

– Mianowicie robotnicy miejscowi wkraczają do dołów, w których spoczywają zabici, oddzielają pojedyncze zwłoki, często przy tym zmuszeni są je odrywać, tak bardzo spłaszczone i sprasowane są warstwy trupów. Układają je na nosze i niosą na wolną przestrzeń, gdzie zostają złożone na ziemi. Inna grupa robotników, pod ścisłym kierownictwem członków i funkcjonariuszów Polskiego Czerwonego Krzyża wydobywa wszystko, co się przy zwłokach znajduje. Widziałem stan zwłok i stan mundurów. Gleba piaszczysto-gliniana sprzyja częściowo mumifikacji znanej w nauce pod nazwą „tłuszczowosk”. Mundury są oczywiście sprasowane, zlepione, kleiste, bezbarwne. O odpinaniu guzików mowy być nie może. Operuje się nożami. Rozcina się więc kieszenie i kieszonki, nawet cholewy butów, aby wydobyć wszystko, co człowiek ten nosił przy sobie za życia. I oto nastaje

chwila, w której niemy, ponury grób zaczyna przemawiać. Przed oczyma naszymi przesuwają się obrazy prywatnego życia i politycznego, i duchowego, i rodzinnego, i więziennego, i... no i tak dalej. Przy niektórych zwłokach znajdują się tylko drobne ułamki ich osobistych spraw. Przy niektórych liczne i nawet bardzo liczne wskazówki, które pomagają stwierdzić datę, historię ostatnich tygodni, nastroje, nazwiska, stan rodzinny, stopień wojskowy, zawód cywilny. Nie wstydźmy się powiedzieć, że z grobu tego, z cuchnącej zbrodni, o której pokoleniom zapomnieć nie będzie wolno, idzie ku nam człowiek już nie żywy, który kiedyś żył jak inni, cieszył się, cierpiał, marzył, pił, modlił, romansował, płakał, czytał, pisał, myślał, grał, miał wady i zalety. Na światło dnia tej wiosny, wydobywane jest z grobu wszystko, co było jego: zgniecione zapalki, ostatnie nie wypalone papierosy, pieniądze, medaliki i legitymacje, order i portmonetki, książeczka do nabożeństwa obok gazety sowieckiej, świadectwa szczepienia w Kozielsku, pamiętnik i fotografie, a nade wszystko listy. Atrament i chemiczny ołówek najczęściej nie wytrzymują próby wilgotnego grobu. Natomiast świetnie zachowuje się pisane ołówkiem zwykłym i słowo drukowane. Oto proszę pana...

Pan Mackiewicz ma w tej chwili wyraz człowieka nad wyraz zmęczonego, gdy sięga po plik fotografii.

– ...oto proszę zobaczyć, jak się to robi, jak rozcina mundury, bada i sprawdza, segreguje rzeczy potrzebne od niepotrzebnych. A oto jeszcze dowód, bardzo przykry, bardzo cuchnący, ale coś począć...

Sięga teraz po paczkę, zawiniętą w ogromną ilość gazet. Rozwija. Zwolna w powietrzu zawisa swąd trupi. Jeszcze jeden papier, jeszcze jeden papier. Potem widzimy mały, drewniany portcygar, w nim trzy, dobrze zachowane papierosy. Obok guziki z ołami. Gazetę sowiecką z grudnia 1939 roku. Papierowe 2 złote. Kulę wyjętą z czaszki. Naramienniki majora z liczbą trzy i naramienniki kapitana.

– I tak mniej więcej wyglądają wszystkie te rzeczy tam, w Katyniu. Taki jest ich stan. Oto na przykład kładą na stole zwłoki o nieco podkurczonych nogach, z głową odrzuconą na bok, z czoła której zieje dziura wylotowa kuli. Władysław Bielecki. Kartka pocztowa doskonale zachowana. Stempel pocztowy wskazuje datę. Białystok 14.I.1940 r. W bocznej kieszeni „Głos Radziecki” z dnia 29 marca 1940 r. Druk przebija wyraźnie poprzez lepką wilgoć: „Towarzysze. Idziemy ku lepszemu jutru. Przychodzą nowi ludzie, którzy naszą ojczyznę... Towarzysz Stalin...” no itd. Następny. List do Kozielska. Nazwisko nieczytelne. Książeczka do nabożeństwa. Portfel. Doktor Wodziński otwiera go i nagle na nas wszystkich, którzyśmy zbliżyli głowy, patrzy mokra, tak dziwnie wyraźna, kobieta, jasna, o dużych oczach, blondynka, z dzieckiem na ręku. Może ma na tej fotografii trochę niemodną i przydługą suknię, może się komuś wydać banalną... To jego żona z córeczką. Poszedł z nimi do grobu. Kula siedzi mu jeszcze w czaszce, co się zdarza rzadko.

– Tak, proszę panów – mówi dalej pan Mackiewicz – fotografie i listy, to drugi tom tej tragedii, a dla mnie osobiście ten tom drugi wydaje się jeszcze smutniejszy, jeszcze bardziej rozdzierający. Mówiłem poprzednio o kulminacyjnym punkcie tematu. Dotyczy on wszakże strony niejako rzeczowej, tych oficerów, tych mężczyzn rodaków naszych, którzy ginęli mordowani w nieludzki sposób przez największego z naszych wrogów. Jest jeszcze inny punkt kulminacyjny, gdy oderwawszy wzrok od trupów pomordowanych ojców, skierujemy go na listy ich dzieci. Te które miałem w ręku, wszystkie pisane były do Kozielska.

„Kochany Tatusiu. Jesteśmy niespokojni, bo nie mamy wiadomości ani listu. Wysłaliśmy 100 rubli i paczkę, i rzeczy, o które Tatusz prosił. My jesteśmy zdrowi i na tym samym miejscu. Proszę się o nas nie bać. Gdy się zobaczymy... Podpisane: Twoja Stacha. 15 lutego 1940 r.”

„Drogi Ojczulku. Dziękuję Ci bardzo i życzę również zdrowia i wszystkiego, wszystkiego najlepszego. Do szkoły nie chodzę. Z powodu mroźów jest zamknięta. Na Hnidówce nie byliśmy bo daleko i mroź. Znaczkę pocztową zbieram...”

Jakże ważną wydawała się ta wiadomość synka, która turkotała po szynach sowieckich kolei, zanim dosięgła ojca na niewiele dni przed jego straszliwą śmiercią: Tadzio zbiera znaczki. Tadzio wierzy: „...kiedy wrócisz” – pisze. Ten refren powtarza się ciągle: „gdy wrócisz”, „jak będziemy razem”, albo: „zobaczysz”, „Tatusz zobaczy”... Nie!! nie zobaczył już nigdy! Dzieci są pełne zaufania. Wierzą w dobry koniec, w samo przez się zrozumiały powrót do domu. Przebija w nich taka doza wiary i tęsknoty, że czytając te listy, tam w Katyniu, nad przedziurawionymi czaszkami, jakaś gorzka ślina dusi w gardle. Tu mam jeszcze jeden, tak pełny miłości dziecinnej, tak tchnący troską o los „najukochańszego Tatusia”, a jednocześnie wiarą i otuchą, że nie waży się go przytoczyć, ani wymienić imienia. Mimo wszystko byłoby to świętokradztwem. List ten doszedł na krótko przed końcem. Widziałem na własne oczy, jak w stosie trupów wyglądał ten, do którego był adresowany. Złożył on to pismo dziecinne, pisane ołówkiem, wielkimi literami, skrupulatnie we czworo i schował w portfelu. Teraz dopiero go wydobyło z cuchnącego padółu. Ale nie zdaje mi się, żeby pisany był daremnie. Dziś już przeadresowany jest na imię Boga i wołać będzie o pomstę.

[...]

„Goniec Codzienny” Wilno, nr 577; 3 czerwca 1943 r.

Tekst (z moimi skrótami) pochodzi z książki Józef Mackiewicz – „Katyń-Zbrodnia bez sądu i kary”, (oprac. Jacka Trznadla) Polska Fundacja Katyńska Wydawnictwo ANTYK 1997 t.2 str. 209-216

772. DOKTRYNA KOMOROWSKIEGO

9 kwietnia br. Rada Ministrów podjęła uchwałę w sprawie przyjęcia „Strategii rozwoju systemu bezpieczeństwa narodowego Rzeczypospolitej Polskiej 2022”. Dokument zakłada budowę „zintegrowanego systemu bezpieczeństwa opartego na sojuszniczych i bilateralnych zabezpieczeniach oraz stopniowo rozbudowywanym własnym potencjale cywilno-militarnym” i stanowi bezpośrednią „implementację” też autorskiego projektu gen. Kozieja - Strategicznego Przeglądu Bezpieczeństwa Narodowego (SPBN). Poziomem ogólnikowości i niejednoznaczności dorównuje temu wiekopomnemu dziełu, a choć zawiera wiele niepokojących i „rewolucyjnych” stwierdzeń, nie wywołał najmniejszego zainteresowania mediów i opozycji.

12 kwietnia br. Bronisław Komorowski podpisał nowelizację ustawy o modernizacji technicznej i finansowaniu Sił Zbrojnych. Ma ona zagwarantować finansowanie tzw. „polskiej tarczy antyrakietowej” – niedorzecznego pomysłu ogłoszonego przez Komorowskiego w ubiegłym roku. Nowelizacja będzie obowiązywać w latach 2014-2023. Przewiduje ona, że w ramach 1,95 proc. PKB, które co roku w budżecie jest zapisywane na obronność, kwoty wynikające ze wzrostu gospodarczego będą przeznaczane na wyposażenie wojska w środki obrony przeciwrakietowej i przeciwlotniczej. Recenzję tego projektu przedstawiłem w tekście „POLSKA TARCZA – ROSYJSKI POLIGON” z sierpnia 2012. Zakładając optymistycznie, że budowa systemu musiałaby kosztować kilkanaście miliardów dolarów - ze względu na ograniczenia i niewydolność budżetową III RP, jest to projekt w zupełności nierealny.

Wprawdzie „polska tarcza” nie zostanie nigdy zbudowana, pozwoli jednak na polityczną eksploatację tezy o tworzeniu „własnego potencjału obronnego” oraz generowanie olbrzymich środków na rzecz środowisk związanych z przemysłem zbrojeniowym. Pomysł ten może mieć zatem związek z reaktywacją wpływów byłych WSI i należy go oceniać w kontekście planów politycznych związanych z budową reżimu prezydenckiego. Jednym z elementów planu wydaje się zamysł powierzenia ludziom byłych WSI nadzoru nad technologiami wojskowymi oraz zaangażowanie w procesy gospodarcze związane z modernizacją Sił Zbrojnych. Warto ponownie zwrócić uwagę na wypowiedź prof. Jadwigi Staniszkis dla 5 numeru pisma „Rzeczy Wspólne”, z sierpnia 2011 roku. Znana socjolog stwierdziła, że lokator Belwederu „*mógłby – i powinien – patronować odbudowie polskiego przemysłu*”, dodając, że „*kołem zamachowym naszej gospodarki mogłyby być technologie wojskowe*”. Zachęcając zaś czytelników do „*spojrzenia na polską rzeczywistość z lotu ptaka*”, prof. Staniszkis uznała, że „*to, co było dotychczas dla mnie jedną z największych wad prezydenta Komorowskiego, to, że w jego otoczeniu są ludzie z dawnych Wojskowych Służb Informacyjnych, być może okaże się zaletą*”.

W wymiarze globalnym, pomysł budowy „polskiej tarczy antyrakietowej” wychodzi naprzeciw rosyjskim oczekiwaniom: ma służyć utraceniu projektu amerykańskiej tarczy przeciwrakietowej oraz dalszemu ograniczaniu obecności USA na Starym Kontynencie. Tak też został on odebrany przez rosyjskich komentatorów, a tuba propagandowa Kremla „Głos Rosji” podkreślił że „*Komorowski proponując zbudowanie w kraju własnego systemu obrony przeciwrakietowej uznał za błąd udzielenie przez Polskę zgody na budowę europejskiego systemu obrony przeciwrakietowej z rozmieszczeniem na jej terytorium 10 rakiet przeciwlotniczych*”.

Zgłoszona przez Komorowskiego nowelizacja została przyjęta przez Sejm 22 lutego br. zgodnymi głosami posłów PO, PSL, SP, RP i PiS-u.

17 kwietnia br. szef BBN, gen. Koziej ogłosił „doktrynę Komorowskiego”. Obecny lokator Belwederu postanowił pójść w ślady kremlowskiego satrapy i obdarzając własnym nazwiskiem zbiór kilku ogólników, ogłosił plan częściowo zbliżony do założeń tzw. „doktryny Putina”. Wspólnym mianownikiem obu koncepcji jest zatem zapowiedź zwiększania nakładów na zbrojenia, budowa „potencjału obronnego” oraz modernizacja przemysłu zbrojeniowego.

Ogłaszając „doktrynę Komorowskiego” gen. Koziej podkreślił, że opiera się ona na dwóch, podstawowych założeniach:

- *Własny potencjał obronny jest pierwszym i najważniejszym filarem naszego bezpieczeństwa. Wszystkie inne: NATO, UE, partnerzy – to filary wspierające,*

- *Nasz potencjał powinien być przygotowywany przede wszystkim z myślą o obronie polskiego terytorium, jako tej części wspólnego terytorium NATO, za bezpieczeństwo którego odpowiadamy.*

Te na pozór słuszne przesłanki, trzeba oczywiście zweryfikować w świetle realnych możliwości. Ponieważ III RP nie stać na zbudowanie silnego i samodzielnego „potencjału obronnego”, nietrudno zgadnąć, że mamy do czynienia z groźną fikcją i myśleniem życzeniowym. Nie to jednak jest najważniejsze w „doktrynie Komorowskiego”.

Za surrealistyczną ideą oparcia bezpieczeństwa Polski na fundamencie „własnego potencjału”, może skrywać się całkiem trzeźwa intencja dalszej dezintegracji Sojuszu Północnoatlantyckiego. Wiele z działań obecnego reżimu – by wspomnieć utworzenie pod patronatem Niemiec i Francji tzw. Wyszehradzkiej Grupy Bojowej, jako reakcji państw „zawiedzionych i niezadowolonych” z dotychczasowej współpracy w ramach Sojuszu – służy temu właśnie celowi. Zawarty w „doktrynie Komorowskiego” zamysł „*usamodzielnienia systemu bezpieczeństwa narodowego*” może sygnalizować zmianę dotychczasowych priorytetów lub zapowiadać kroki w kierunku wyjścia Polski z NATO. Tego rodzaju plany nie zostałyby oczywiście upublicznione, a sam proces powolnego „schładzania” relacji będzie rozciągany w czasie. Biorąc pod uwagę tezy zawarte w prezydenckim SPBN, taki scenariusz wydaje się jednak wielce prawdopodobny.

773. CZY PUTIN WYPOWIEDZIAŁ WOJNĘ AMERYCE ?

Informacja o mieszkańcach Kaukazu dokonujących zamachu w Bostonie, musi doprowadzić do starcia dwóch podstawowych hipotez: o akcie terrorystycznym ze strony islamskich fundamentalistów lub działaniach inspirowanych przez służby Federacji Rosyjskiej.

Nie ma wątpliwości, że pierwsza z hipotez zostanie natychmiast upubliczniona i powtórzona w tysiącach mediów. Niezależnie od wyników śledztwa, przyjęcie jej już dziś jest wręcz „naturalnym” odruchem światowej opinii publicznej, usprawiedliwionym zresztą doświadczeniem płynącym z setek podobnych zdarzeń. Hipoteza ta zostanie wzmocniona, jeśli prowadzone przez USA śledztwo wykaże, że zamachowcy byli związani z którąkolwiek z organizacji islamskich lub sympatyzowali np. z syryjskimi powstańcami.

Narzucenie opinii publicznej takiego scenariusza, okaże się tym łatwiejsze, że od kilku tygodni aparat dyplomatyczny i medialny Federacji Rosyjskiej usilnie pracuje nad umocnieniem opinii na temat zagrożenia islamskiego. Ma to oczywisty związek ze wspieraniem przez Rosję bandyckiego reżimu Baszara al-Asada, ale w świetle obecnych wydarzeń, nabiera głębszego znaczenia.

Rosyjskie media już przed miesiącem nagłaśniały tezy raportu MSW Wielkiej Brytanii, w którym znalazło się ostrzeżenie, że setki muzułmanów posiadających obywatelstwo krajów unijnych, walczących dziś po stronie syryjskich ugrupowań opozycyjnych, może wkrótce powrócić do Europy i dokonywać tam aktów terroru. Rosjanie ostrzegali też, że „*dzisiejszy europejski system polityczny nie jest do zdolny do powstrzymania islamskiego terroryzmu*” i sugerowali, że kraje te powinny skorzystać z doświadczeń służb FR. O zagrożeniu terrorystycznym dla UE i USA ze strony bojowników islamskich od dawna ostrzegali też tzw. eksperci i politolodzy rosyjscy, wskazując m.in., że bazą przerzutową dla przyszłych terrorystów jest Turcja. Podana dziś przez jedną z agencji informacja, że bracia Carnajew przybyli do USA z Turcji i mają tureckie obywatelstwo, mocno koresponduje z tą tezą. Przed tygodniem rosyjskie MSZ oświadczyło, że „*Rosja jest zaniepokojona wzrostem zainteresowania członków międzynarodowej organizacji terrorystycznej Al Kaida Syrią, którą ta organizacja planuje przekształcić w swój najważniejszy przyczółek na Bliskim Wschodzie*”. Opinię tę powtórzył przedwcześniej minister spraw zagranicznych Rosji Siergiej Ławrow, ostrzegając, iż „*próba wojskowego rozwiązania kryzysu w Syrii grozi wybuchem terroryzmu*”.

Nietrudno zauważyć, że profil zamachowców i dokonany przez nich akt terroru wydają się potwierdzać diagnozę Rosjan. Amerykanie już poinformowali, że skłaniają się ku teorii, iż zamachy bombowe „*były motywowane islamiskim ekstremizmem*” i ta, wstępna hipoteza, zostanie zapewne przyjęta. Przeprowadzony w Bostonie atak musiał wymagać drobiazgowych przygotowań, szkoleń, a przede wszystkim pieniędzy. Zamachowcy musieli zatem mieć wspólników lub grupę,

która udzielała im wsparcia. Choć dziś nie dysponujemy pełnymi informacjami, można przypuszczać, że trop syryjsko-islamski, w tym powiązania zamachowców z Al Kaidą, zostaną wkrótce nagłośnione.

„Islamski ekstremizm” można oczywiście eksploatować również w odniesieniu do Czeczenii. Agencje podkreślają, że bracia mieszkali i pracowali w tym kraju, zaś ich ojciec - Anzor Carnajew, przebywa w sąsiadującym z Czeczenią Dagestanie. Zamach w Bostonie wpłynie zatem na umocnienie tezy o „czeczeńskich terrorystach”, może zaszkodzić sprawie wolnej Czeczenii i stać się wygodnym argumentem do kolejnej rozprawy z walczącym o niepodległość narodem. Rosyjskim najeźdźcom stwarza wręcz wymarzoną okazję do ostatecznego rozegrania sprawy czeczeńskiej i narzucenia światu haniebnej zasłony milczenia nad zbrodniami ludobójstwa. Tylko te czynniki pozwalają stwierdzić, że następstwa zamachu w Bostonie mogą się okazać niezwykle korzystne dla interesów Rosji.

Czy mogą jednak uzasadniać drugą z hipotez i prowadzić do wniosku, że zamachowcy byli inspirowani lub przygotowani przez służby FR?

Wydaje się, że wskazane tu potencjalne korzyści, polegające na umocnieniu reżimu syryjskiego czy przyzwoleniu na rozprawę z Czeczenami, nie rekompensują ryzyka, jakie musiałby podjąć Putin. Akt terroru dokonany na terytorium USA, to nie to samo co wysadzenie kilku bloków mieszkalnych w Moskwie, czy zamordowanie przeciwnika politycznego. W przypadku wykrycia powiązań ze służbami rosyjskimi, Putin musiałby liczyć się z gigantycznymi konsekwencjami, które z pewnością przekreśliłyby wszystkie dotychczasowe „zdobycze” Rosji na arenie międzynarodowej i mogły doprowadzić do końca władzy siłowników.

Motywacja do zastosowania „sekwencji zamachu” musiałaby być zatem na tyle mocna, by równoważyła to ryzyko. Myślę, że taką motywację można dziś wskazać. Znalazła ona wyraz nawet w depeszy kondolencyjnej wysłanej przez Putina po zamachach w Bostonie. Rosyjski przywódca napisał w niej, że *„w razie konieczności Rosja będzie gotowa do udzielenia pomocy w związku z prowadzonym przez władze Stanów Zjednoczonych śledztwem”* i podkreślił, że *„walka z terroryzmem wymaga aktywnej koordynacji wysiłków całej wspólnoty światowej”*.

Już przed dwoma laty, przy okazji zamachu dokonanego przez Breivika podkreślałem, że Rosja prowadzi szeroko zakrojoną kampanię na rzecz uwiarygodnienia w roli partnera w walce z terroryzmem. Jeśli uda jej się przekonać przywódców USA i UE, że jest doświadczone i pewnym sprzymierzeńcem, będzie odgrywać znacznie większą rolę w kształtowaniu światowej polityki bezpieczeństwa, a istniejące w Rosji rozwiązania w zakresie „demokracji kierowanej” (szczególnie dotyczące Internetu, terroryzmu wewnętrznego i „prawicowego ekstremizmu”) zostaną przeniesione na inne państwa. Można wskazać co najmniej kilkadziesiąt wypowiedzi polityków rosyjskich, w których przewija się ten temat. Jest on dziś bodaj najważniejszym zadaniem rosyjskiej dyplomacji i priorytetem w działaniach służb.

Uwiarygodnienie FSB w roli ważnego sojusznika państw natowskich oraz dostęp do obszaru decyzyjnego w sprawach bezpieczeństwa światowego - to dostateczny powód, by podjąć ryzyko zamachu. Dla państwa, które od dziesięcioleci wspiera wszelkie formy terroryzmu i stosuje go przeciwko własnym obywatelom, taka zdobycz jest bezcenna. Tym bardziej, że w obecnych realiach USA, przy słabości administracji Obamy, rozprężeniu NATO i warunkach politycznego „resetu”, możliwość ujawnienia rosyjskich inspiracji wydaje się niewielka. Warto też pamiętać, że inspiracja nie oznacza bezpośredniego udziału ludzi służb rosyjskich. Tym bardziej, związki takie nie muszą być ujawnione podczas analizy kontaktów utrzymywanych przez zamachowców. Oni sami również nie muszą wiedzieć, kto naprawdę zalecił im zamach. Jeśli okażą się „islamskimi ekstremistami” potwierdzi to jedynie, że FSB dobrze wykonało swoją robotę. Warto przy tym zwrócić uwagę na znamienne reakcję putinowskiej marionetki, tzw. prezydenta Czeczenii Kadyrowa, który po opublikowaniu informacji o związkach zamachowców z Czeczenią, kazał natychmiast ogłosić, że *„rodzina Carnajewów wiele lat temu przeniosła się z Czeczenii do innego regionu Rosji i nie ma żadnego związku z Republiką Czeczeńską”*. Jako miejsce ich pobytu, rzecznik Kadrowa wskazał Stany Zjednoczone i nie zapomniiał dodać, że *„jeśli zostali oni terrorystami, to powinno się o to pytać tych, którzy ich wychowywali”*. To wyraźne „odcięcie” od zamachowców można odczytywać jako wyprzedzające działanie propagandowe.

Trzeba też wspomnieć, że w sprawie pojawia się jeden, za to bardzo charakterystyczny trop. Przed kilkoma dniami zwracałem uwagę na twitterze, że konstrukcja bomby użytej w zamachu może wskazywać na rosyjski ślad. Przypomnę, że bomby te wykonano z szybkowarów wypełnionych metalowymi odłamekami, gwoździami i kulkami z łożysk, a jako materiału wybuchowego użyto czarnego prochu. Otóż identycznych bomb użyto 8 stycznia 1977 roku podczas trzech zamachów terrorystycznych w Moskwie. O ich przeprowadzenie Sowietzi oskarżyli członków podziemnej organizacji ormiańskiej, skazując ich na śmierć. Rosyjscy dysydenci twierdzili jednak, że w zamach byli zamieszani ludzie KGB, a sprawę nadzorował Jurij Andropow - wieloletni szef tej służby.

Nie ma wątpliwości, że dzisiejsza informacja o kaukaskich zamachowcach mogłaby zapoczątkować przełom w relacjach amerykańsko-rosyjskich, a nawet doprowadzić do globalnego, politycznego „trzęsienia ziemi”. Mogłaby, gdyby nie fakt, że Stanami Zjednoczonymi kieruje dziś najsłabszy w historii prezydent, a na Kremlu zasiada godny następca Stalina i Andropowa.

774. DYLEMAT WIĘZNI

Główny negocjator umowy gazowej z Rosją, wicepremier Waldemar Pawlak, użył kiedyś odwołania do teorii gier i pisząc o okolicznościach, w jakich powstaje umowa, wspominał o *„optymalnej strategii w dylemacie więźnia”*. Ów „dylemat więźnia” miał opierać się na wymuszonej współpracy obu stron i sugerować, że stojąc przed trudnym wyborem, mają one jednakowe prawa i startują z równorzędnych pozycji. Odwoływał się do gry, w której każdy z graczy może zyskać oszukując przeciwnika, jednak stracą oboje, gdy zaczną oszukiwać się nawzajem. Ten propagandowy humbug miał objaśniać relacje grupy rządzącej ze stroną rosyjską i był równie prawdziwy, jak obraz silnego i odważnego wicepremiera, ustalającego z Gazpromem warunki korzystnej dla Polski umowy.

Kolejna odsłona w rosyjskim spektaklu gazowym przypominała nam, że reżim Tuska zajmuje w tej grze postawę niewolnika skazanego na egzekucję, a oszukanym przez obie strony - jest polskie społeczeństwo. W sprawach bezpieczeństwa energetycznego, co najmniej od 2009 roku mamy do czynienia ze stanem permanentnej kapitulacji i jedyny „dylemat” dotyczy rozstrzygnięcia - czy wynika to z tchórzostwa i głupoty grupy rządzącej, czy z celowego zaprzaństwa?

Wbrew upowszechnianej w mediach wizji premiera, który „nic nie wie” o memorandum na budowę Jamał II, uważam, że Donald Tusk nie tylko doskonale wiedział o projekcie, ale podjął w tym zakresie świadomą grę, prowadzącą do dalszego uzależniania nas od wpływów Kremla.

Warto przypomnieć kilka faktów, których wymowa podważa obecne deklaracje premiera i jego współpracowników oraz pozwala dostrzec, że w tej rozgrywce wyznaczono jeszcze inne cele.

Koniec ubiegłego roku przyniósł informację o podpisaniu przez PGNiG i Gazprom porozumienia – aneksu do umowy gazowej, dotyczącego obniżenia cen gazu kupowanego przez Polskę. Ogłoszone „wielkim sukcesem”, miało ono świadczyć o partnerskich relacjach i „elastyczności” Rosjan. Komentując porozumienie, szef Rosyjskiego Towarzystwa Gazowego Walerij Jaziew powiedział, że „doszło do poważnej poprawy stosunków” i poinformował, że „wpłynęły ciekawe propozycje dla Gazpromu, między innymi, odnośnie jego ewentualnego udziału w rozbudowie branży elektroenergetycznej w Polsce i zgłoszono także inne bogate w treść oferty”. Szczegóły zwyczajowo ukryto za tarczą tajemnicy handlowej, jednak podczas konferencji prasowej w dniu 6 listopada ub.r. wiceprezes PGNiG Radosław Dudziński nieopatrznie ujawnił, że „podpisane porozumienie czyści nam pole do rozmów na inne tematy” i przypomniał, że można wrócić do projektu budowy II nitki gazociągu jamalskiego i pozyskania przez PGNiG rosyjskich kontraktów wydobywczych. Wprawdzie oświadczenie Dudzińskiego próbowano natychmiast dementować, to stało się jasne, że strona polska już wówczas podjęła temat budowy Jamał II i prowadzi w tej sprawie rozmowy z Rosjanami. O innych ustaleniach i polskich „propozycjach dla Gazpromu”, mogliśmy się dowiedzieć wkrótce.

W grudniu 2012 pojawiła się informacja, że PGNiG wstępnie porozumiał się z Aleksandrem Gudzowatym w sprawie wykupu jego udziałów w gazociągu jamalskim. Przypomnę, że pozbycie się szefa Bartimpexu i przejęcie pełnej kontroli nad firmą zarządzającą rurociągiem, było jednym z niezrealizowanych dotąd żądań Putina zgłoszonych podczas wizyty w Polsce we wrześniu 2009r. Rosyjski premier wyraził wówczas życzenie, by rurociąg jamalski należał do Gazpromu i PGNiG, (w stosunku 50:50) a spółka Gas Trading, w której 36 proc. akcji posiadał Gudzowaty zniknęła z akcjonariatu EuRoPol Gazu – właściciela polskiego odcinka gazociągu. Wykluczenie Gas Trading, miało doprowadzić do zwiększenia wpływów Rosjan na zarządzanie EuRoPol Gazem. Obecnie, jeśli zarząd tej spółki nie podejmie decyzji zwykłą większością głosów o wyniku głosowania rozstrzyga prezes nominowany przez PGNiG, w którym większość udziałów posiada polski rząd. Po pozbyciu się Gudzowatego - w myśl dyrektywy Putina, kluczowe decyzje w spółce miałyby zapadać na zasadzie jednomyślności, co w praktyce oznaczało dyktando Gazpromu. Jest oczywiste, że narzucona przez Putina struktura właścicielska firmy zarządzającej gazociągiem, musi być niekorzystna dla Polski; prowadzi bowiem do uzależnienia w kwestii przesyłu i opłat za transport gazu oraz grozi utratą kontroli nad polskim odcinkiem. To zaś nadaje „wielkiej rurze” ogromne znaczenie polityczne i może doprowadzić do sytuacji, gdy na obszarze III RP będziemy mieli eksterytorialny korytarz rosyjski. Przed trzema laty Aleksander Gudzowaty zapowiadał powiadomienie prokuratury o sprzecznych z interesem Polski działaniach urzędników państwowych i ujawnił, że według posiadanych przez niego informacji, to rząd Donalda Tuska zabiegał u Putina o pozbycie się Gas Trading. Aleksander Gudzowaty zmarł w lutym br., a miesiąc później, prezes Bartimpexu Grzegorz Ślāk zapowiedział, że jeszcze w tym półroczu udziały Gaz Trading w spółce EuRoPol Gaz zostaną sprzedane.

Doprowadzenie do sprzedaży akcji tej spółki wydaje się jednym z warunków ubiegłorocznego porozumienia PGNiG i Gazpromu. Rosja deklaruje natomiast „uchylenie drzwi” i liberalizację w dostępie innych podmiotów i spółek do zagospodarowania rosyjskiego szelfu kontynentalnego. W tej decyzji, można z kolei dostrzec zapowiedź pozyskania przez PGNiG kontraktów wydobywczych w Rosji oraz szansę dla takich firm jak Petrolinvest Ryszarda Krauzego.

Wydaje się, że podpisane obecnie memorandum z Gazpromem, musiało być negocjowane od dawna i – gdyby nie prowokacja Putina, miało dla nas pozostać tajemnicą. Zaledwie 3 kwietnia br. prezydent Rosji stwierdził, że „trzeba powrócić do projektu budowy drugiej nitki gazociągu Jamał-Europa”, by dwa dni później wicepremier Piechociński gnał już do Moskwy na rozmowy w tej sprawie. Tak nie zachowuje się wicepremier dużego, unijnego państwa. Tak reaguje oszukany i „wystawiony” gracz, którego współnik zdradził i ujawnił kulisy intrygi.

W tym samym dniu, tj. 5 kwietnia, EuRoPol Gaz podpisał memorandum z Gazpromem. Przygotowanie dokumentu wymaga czasu i uzgodnień, przede wszystkim na szczeblu rządowym. Warto zwrócić uwagę na wypowiedź byłego prezesa PGNiG Marka Kossowskiego, który informował jak wygląda skomplikowana i czasochłonna procedura przygotowania memorandum. O intencjach EuRoPol Gazu może natomiast świadczyć wypowiedź Mirosława Dobruta – szefa tej firmy, a jednocześnie prezesa Izby Gospodarczej Gazownictwa z dnia 4 kwietnia br. (a zatem dzień przed podpisaniem memorandum). Pytany o wypowiedź Putina, Dobrut stwierdził – „trudno mi z naszej strony komentować ich decyzje”, a wyjaśniając – czy jest zwolennikiem rozmów z Rosjanami w sprawie Jamał II, oświadczył – „Tak. Można przecież podyskutować o problemach. To nie kosztuje zbyt wiele. Jednak należy powiedzieć, że rozmowy powinny być realizowane na szczeblu rządowym.” W wywiadzie udzielonym dla portalu gospodarczego wnp.pl, nie pada choćby słowo o mającym nastąpić dzień później podpisaniu memorandum. Jest za to stwierdzenie, iż „decyzje muszą podjąć przedstawiciele rządu” i te słowa wydają się świadczyć, że decyzje takie już zapadły, zaś memorandum jest tylko ich potwierdzeniem.

Niezależnie od tego – czy Jamał II jest realnym projektem, czy tylko rosyjską grą na postraszenie Ukrainy i przejęcie kontroli na EuRoPol Gazem, staje się oczywiste, że ten „dylemat więźnia” przynosi kolejną klęskę reżimu Donalda Tuska. Putin udowodnił, że najwięcej można zyskać zdradzając, a najwięcej stracić idąc na współpracę.

Problem polega na tym, że ogrywając rządzących Polską „więźniów”, rosyjski prezydent nie wyrządził szkody im, lecz milionom Polaków, którzy poniosą konsekwencje owego dylematu.

Artykuł opublikowany w nr 17/2013 Gazety Polskiej.

MAJ

775. BOSTON – ŚMIERTELNA ROZGRYWKĄ SŁUŻB

W sprawie zamachu bostońskiego znajdujemy tak wiele wątków prowadzących w stronę Rosji, że pominięcie ich milczeniem lub rezygnacja z rozważenia hipotezy o inspirującej roli służb rosyjskich byłaby niewybaczalnym błędem.

Podstawowym faktem godnym rozważenia jest informacja o półrocznym pobycie w Rosji Tamerlana Carnajewa. Starszy z braci zamachowców wylądował na lotnisku Szeremietiewo w Moskwie 12 stycznia 2012 roku i powrócił do Nowego Jorku dopiero 17 lipca. Jako oficjalny powód wizyty podaje się odwiedzin u rodziców i krewnych, mieszkających w Dagestanie. Warto przy tym zauważyć, że jedna z siostr Tamerlana mieszka z mężem w czeczeńskim mieście Ursus-Martan. Przedstawiciele opozycji czeczeńskiej podkreślają, że członkowie tej rodziny pracują w ministerstwie spraw wewnętrznych Ramzana Kadyrowa – putinowskiej marionetki osadzonej na stanowisku prezydenta Czeczenii, a ojciec zamachowca, byłby oficer rosyjskiej armii, Anzor Carnajew, w wywiadzie dla radia „Wolność” przyznał, że jest zwolennikiem pro moskiewskiego prezydenta. Tę informację trzeba skonfrontować z komunikatem wydanym przez Kadyrowa, z którego wynika jakoby rodzina

Carnajewów nie miała żadnych związków z Czeczenią. Jednocześnie odpowiedzialnością za zamach Kadyrow obarczył służby amerykańskie.

W związku z pobytem starszego z zamachowców w Rosji, pojawia się najważniejsze pytanie – jak mogło dojść do tego, że FSB wpuściła do kraju człowieka, o którym rok wcześniej informowała amerykańskie służby, że jest „groźnym zwolennikiem radykalnego islamu”?

W roku 2011 rosyjskie służby zwróciły się do USA z prośbą o przekazanie danych na temat Carnajewa, twierdząc, iż chce on się przyłączyć do jednego z ugrupowań islamskich. FBI nie potwierdziło takich związków, zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i za granicą. Służby USA nie mogły mieć w tej kwestii żadnych wątpliwości, skoro dwa miesiące później - 11 września 2011 roku, Tamerlan otrzymał obywatelstwo amerykańskie.

Pomimo posiadania takich informacji, w styczniu 2012 roku, Rosjanie pozwolili Carnajewowi na przylot do Moskwy i (przynajmniej oficjalnie) nie monitorowali jego pobytu. Tuż po zamachu, agencja ITAR-TASS podała zaś wiadomość, że bracia „nie figurują w rosyjskich bazach danych osób podejrzanych bądź osób, które mogły mieć związek z organizacjami terrorystycznymi”.

Pobyt starszego z zamachowców w Rosji okryty jest tajemnicą. Ojciec Tamerlana twierdzi, że przez cały czas syn był z nim w Dagestanie. Przeczy temu wersja podana przez ciótkę Carnajewów - Patimat Suleimanową. Utrzymuje ona, że Tamerlan pojawił się w Machaczkałe dopiero w marcu 2012 rok, a z ojcem spotkał się w maju. Nie wiadomo, co robił i gdzie przebywał przez pozostałe miesiące. Podczas pobytu w Rosji Tamerlan Carnajew miał również kontakt z rodziną siostry, jej mężem i jego braćmi pracującymi w czeczeńskim MSW. Biorąc pod uwagę sytuację z 2011 roku, jest wielce prawdopodobne, że FSB śledziło Tamerlana lub nawiązało z nim kontakt. Czas ten można było również wykorzystać do zwerbowania i przeszkolenia przyszłego zamachowca.

Na temat pobytu Carnajewa w Dagestanie, portal Kavkazcenter.com zamieścił oświadczenie, w którym możemy przeczytać: *„Władze prowincji Dagestanu podkreślają w kontekście tych doniesień, że kaukascy mudżahedini nie walczą z USA. Jesteśmy w stanie wojny z Rosją, która jest odpowiedzialna nie tylko za okupację Kaukazu, ale również za haniebnne zbrodnie przeciwko muzułmanom”*.

W tym kontekście, szczególnego znaczenia nabiera informacja zamieszczona 20 kwietnia br. na izraelskim portalu internetowym Debka. Zaprezentowano tam tezę opartą na „źródłach wywiadowczych”, z której wynika, że bracia Carnajewowie byli podwójnymi agentami zwerbowanymi przez wywiady USA i Arabii Saudyjskiej. Ich zadanie miało polegać na przeniknięciu do kaukaskich środowisk islamistycznych i nawiązaniu kontaktów z organizacjami terrorystycznymi w tym regionie. Mieli oni jednak zdradzić interesy USA i ulec retoryce islamskich radykalistów.

Gdyby tak istotnie było, informacja ta objaśniałaby nie tylko zachowanie FBI po zamachu i okoliczności podróży Tamerlana do Rosji, ale w nowym świetle stawiała fakt zainteresowania nim służb rosyjskich.

Jeśli bowiem Rosjanie wiedzeli o związkach Carnajewów z wywiadem amerykańskim, mogli tę wiedzę wykorzystać dla przewerbowania agenta lub (co bardziej prawdopodobne) do skłonienia go do współpracy z którąś z grup nadzorowanych przez Kadyrowa i FSB. Wpuszczony do Rosji Tamerlan był łatwym celem, a szukając kontaktów z „islamskimi braćmi” mógł trafić na ludzi współpracujących z FSB. W tej sytuacji, przyszły zamachowiec nie musiał nawet wiedzieć, że za „bojownikami czeczeńskimi” stoi kremlowska marionetka ani mieć świadomości, że wykonuje robotę na rzecz Moskwy. Można także przypuszczać, że władze USA posiadały wiedzę o podwójnej misji Carnajewów, a nawet mogły znać personalia bostońskich zamachowców przed opublikowaniem ich zdjęć.

Gra podjęta przez Rosjan tuż po zamachu, w tym deklaracja Putina o współpracy i udzieleniu pomocy USA, ale przede wszystkim kierunek, w jakim zmierzają śledztwo prowadzone przez FBI, mogą sugerować, że obie służby będą chciały przykryć niewygodne dla siebie fakty. Wówczas likwidacja Tamerlana Carnajewa i ograniczenie możliwości składania zeznań przez jego brata Dżochara, wydają się okolicznościami optymalnymi dla zatuszowania sprawy.

Nietrudno przewidzieć, że ujawnienie mechanizmów tej, przegranej przez USA gry wywiadowczej, okazałoby się fatalne dla administracji Obamy, zagroziło politycznym zdobyczom „resetu” i „procesom normalizacji” dokonywanym w porozumieniu z Putinem. Wojna w Syrii, wyjście z Afganistanu czy zakończenie konfliktu koreańskiego, to tylko niektóre ze spraw, w których Rosjanie rozdają karty.

Utrzymywanie zatem, że zamachowcy byli „samotnymi wilkami”, wyciszenie wątków rosyjskich i epatowanie opinii publicznej „czeczeńskim terroryzmem”, należy postrzegać jako działania w interesie obu stron. Już dziś widać, że sprawa zamachów bostońskich może zostać wyciszona i skierowana na ślepy tor.

Nie ma wątpliwości, że jedynym wygranym będzie wówczas Władimir Putin. Wiedza o zachowaniu służb amerykańskich i „taktyka współmilczenia” z Obamą, daje Rosjanom niezwykle mocne narzędzia nacisku i politycznego szantażu. Eksponowanie „kaukaskiego śladu” ma natomiast przekonać światową opinię do akceptacji rosyjskich zbrodni i przemilczenia ludobójstwa dokonywanego w Czeczeni. Nie to jednak będzie główną zdobyczą.

Po zamachach w Bostonie, Rosja uwiarygodni się w roli partnera w walce z „islamskim terroryzmem”, a jej służby osiągną status niezbędnych w zwalczaniu „wspólnych zagrożeń”. W perspektywie Igrzysk Olimpijskich w Soczi, ma to kolosalne znaczenie. Państwo Putina zacznie odgrywać większą rolę w kształtowaniu światowej polityki bezpieczeństwa, a istniejące w Rosji rozwiązania w zakresie „demokracji kierowanej” (szczególnie dotyczące Internetu, terroryzmu wewnętrznego i „prawicowego ekstremizmu”) zostaną przeniesione na inne państwa. Uwiarygodnienie FSB w roli ważnego sojusznika państw natowskich oraz dostęp do obszaru decyzyjnego w sprawach bezpieczeństwa światowego, są dostatecznym powodem, by służby Putina podjęły złożoną grę wywiadowczą i zainspirowały działania zmierzające do zamachu.

Na przestrzeni ostatnich lat, trudno byłoby wskazać wydarzenie, którego następstwa mogą okazać się tak korzystne dla rosyjskich celów. Nie tylko dlatego pojawia się analogia z tragedią smoleńską i sposobem traktowania spraw polskich przez światowe mocarstwa. Z tym większą uwagą powinniśmy śledzić temat zamachu w Bostonie i nie ulegać w tej kwestii tezom propagandy i medialnej dezinformacji.

776. WĘGIERSKI EPILOG AFERY MARSZAŁKOWEJ

Opisana przed kilkoma dniami afery, w której ludzie węgierskich służb specjalnych i mafii zbierali haki na partię opozycyjną, ujawnia mechanizmy znane nam doskonale z afery marszałkowej. Przypomnienie tych mechanizmów skłania jednocześnie do smutnej refleksji nad jakże różnym finałem obu spraw.

Z tekstu Grzegorza Górnego opublikowanego w portalu wpolityce.pl wynika, że węgierski parlament powołał speckomisję mającą wyjaśnić okoliczności działań podejmowanych przez służby w 2008 roku. Władzę na Węgrzech sprawowali wówczas

socjaliści, a z przedwyborczych sondaży niezbieżnie wynikało, że najbliższe wybory wygra Fidesz Viktora Orbana. Ta perspektywa sprawiła, że w czerwcu 2008 roku doszło do spotkania Tamasa Portika, jednego z mafijnych bossów z Sandorem Laborcem, szefem węgierskiego Biura Bezpieczeństwa Narodowego. Rok wcześniej partia opozycyjna ujawniła, że Sandor Laborc zataił w swoim życiorysie niewygodny dlań okres, czyli studia w moskiewskiej Akademii Wojskowo-Politycznej im. Feliksa Dzierżyńskiego. Polskim absolwentom tej zacnej uczelni warto przypomnieć słowa Ervina Demetera, byłego szefa węgierskich służb specjalnych, który stwierdził, że „*absolwenci tej akademii automatycznie stawali się agentami KGB*”. Mimo sprzeciwów opozycji, Laborca wybrano jednak szefem węgierskiego BBN, a w lutym 2008 roku został nawet przewodniczącym Komitetu Wywiadu NATO.

Podczas spotkania w roku 2008, Tamas Portik zaofiarował Laborcowi zamieszczanie materiałów promujących partię socjalistyczną na kontrolowanych przez mafię stronach internetowych. Szef BBN miał jednak inny pomysł. Chciał, by Portik organizował prowokacje wobec polityków Fideszu, składając im m.in. propozycje korupcyjne i nagrywając odpowiednie kompromatały. Miały zostać wykorzystane do szantażowania członków partii Viktora Orbana. Na takie działania obie strony uzyskały zgodę ówczesnego ministra ds. służb specjalnych, György'a Szilvásy'ego.

Wprawdzie Sandor Laborc i Szilvásy zostali aresztowani w roku 2011 roku i postawiono im zarzuty szpiegostwa na rzecz Rosji, to sprawę kontaktów z mafią ujawniono dopiero teraz, po odsłonięciu podsłuchu rozmów prowadzonych przez byłego szefa BBN.

Analogia tej sprawy z aferą marszałkową wydaje się oczywista. Przypomnę, że w roku 2007 polityk PO Bronisław Komorowski nawiązał kontakt z grupą byłych oficerów Wojskowych Służb Informacyjnych. Mieli oni uzyskać dostęp do tajnego aneksu z Raportu z Weryfikacji WSI, a gdy okazało się to niemożliwe, podjąć działania zmierzające do skompromitowania członków Komisji Weryfikacyjnej i polityków PiS-u. Chodziło przy tym o zdezwuowanie treści zawartych w aneksie oraz uprzedzenie ewentualnych zarzutów dotyczących powiązań ludzi Platformy ze środowiskiem wojskowej bezpieki. Nazwisko Komorowskiego pojawia się na kartach Raportu ponad 60 razy i wymieniane jest w kontekście wielorakiej odpowiedzialności tego polityka.

W październiku 2007 r. pojawiły się natomiast publikacje prasowe, w których wskazywano na udział Komorowskiego w inwigilacji członków sejmowej komisji ON w roku 2000. Informowano także o wezwaniu ówczesnego kandydata na marszałka Sejmu przez Komisję Weryfikacyjną WSI. W tym samym czasie, Leszek Misiak zamieścił artykuł, w którym ujawniał fakt wieloletniej znajomości Komorowskiego z płk Aleksandrem L., byłym szefem komunistycznego kontrwywiadu wojskowego, absolwentem moskiewskich kursów GRU.

Obecny prezydent spotykał się z wielokrotnie z Aleksandrem L. (podejrzewanym przez wywiad o kontakty ze służbami rosyjskimi) i przystał na jego propozycję uzyskania dostępu do informacji stanowiących ścisłą tajemnicę państwową, a następnie umówił się z nim w kwestii dalszych kontaktów. 27 lipca 2008r., składając zeznania w Prokuraturze Krajowej w Warszawie w sprawie sygnatura akt PR-IV-X-Ds. 26/07, Bronisław Komorowski pod rygorem odpowiedzialności karnej zeznał: „*Ja wyraziłem wstępnie zainteresowanie jego propozycją. Umówiliśmy się, że on odezwie się, gdy będzie miał możliwość dotarcia do tych dokumentów*”. Komorowski spotykał się także z byłym oficerem Zarządu III WSI płk Leszkiem Tobiaszem, absolwentem kursów GRU, wobec którego prokuratury prowadziły w tym czasie postępowanie karne w sprawach o fałszowanie dokumentów i złożenie nieprawdziwego oświadczenia weryfikacyjnego. Tobiasz miał zająć się uzyskaniem „materiałów dowodowych” obciążający członków Komisji Weryfikacyjnej i dziennikarza Wojciecha Sumlińskiego. Na początku listopada 2007 r., z inicjatywy Komorowskiego doszło z kolei do spotkania Tobiasza z szefem ABW Krzysztofem Bondarykiem, płk. Grzegorzem Reszką (p.o. szefa Służby Kontrwywiadu Wojskowego) oraz Pawłem Grasiem (ówczesnym zastępcą przewodniczącego sejmowej komisji ds. służb specjalnych). Na spotkaniu poczyniono ustalenia w zakresie działań dotyczących członków Komisji Weryfikacyjnej. W efekcie - płk Tobiasz, w oparciu o zgromadzone kompromatały złożył zawiadomienie do prokuratury o podejrzeniu korupcji wokół Komisji Weryfikacyjnej, obciążając Aleksandra L., Wojciecha Sumlińskiego oraz Piotra Bączka. Jednocześnie uruchomiono zmasowaną kampanię dezinformacyjną, mającą na celu wytworzenie fałszywego przekonania, że doszło do „wycieku” aneksu, a sprawa ma podłoże korupcyjne.

Afera marszałkowa nigdy nie została wyjaśniona, a jej główny bohater nie poniósł żadnych konsekwencji. Obowiązująca do dziś zmowa milczenia sprawia, że sprawa została ukryta przed opinią publiczną i żadne z jej elementów nie pojawiły się w trakcie kampanii prezydenckiej Komorowskiego. Partia opozycyjna dwukrotnie próbowała odwołać marszałka Sejmu, powołując się m.in. na zarzuty związane z aferą. Toczący się obecnie proces sądowy Aleksandra L. i Wojciecha Sumlińskiego nie wywołuje (co zrozumiałe) zainteresowania ośrodków propagandy, ale jest również ignorowany przez „nasze” media.

Istnieje szereg wątpliwości dotyczących faktycznej roli Komorowskiego i jego współpracy z oficerami komunistycznej bezpieki. Autor słów „*muszę zobaczyć aneks przed publikacją*” skutecznie uchylał od udzielenia odpowiedzi na pytania posłów PiS-u, odmawiał stawienia przed Komisją Weryfikacyjną i wielokrotnie wykorzystywał swoją pozycję, by uciec od składania wyjaśnień. Po śmierci płk Tobiasza wiadomo również, że nie dojdzie do konfrontacji odmiennych zeznań, złożonych w tej sprawie przez Komorowskiego i Tobiasza. Nie można natomiast wykluczyć, że podobnie jak w ujawnionym obecnie skandalu węgierskim, tak w aferze marszałkowej, mogą istnieć dowody w postaci nagrań.

W roku 2007 swoje rozmowy z Komorowskim nagrywał bowiem Krzysztof W. - biznesmen z Podkarpacia, wywodzący się „z kręgu służb specjalnych”. Prosił on polityka PO o interwencję w sprawie zaległości płatniczych za wykonane przez jego firmę usługi. Rozmowa W. z ówczesnym marszałkiem Sejmu objęła również tematy polityczne. Gdy obiecana przez Komorowskiego pomoc nie nadeszła, biznesmen złożył doniesienie do jednej z warszawskich prokuratur, informując o możliwości popełnienia przez Komorowskiego przestępstwa. Miało ono polegać na szukaniu „haków” na przeciwników politycznych. Doniesienie zawierające m.in. obszerny opis całego zdarzenia i oświadczenie świadka rozmowy, trafiło do prokuratury w 2009r. Ta zaś przez wiele miesięcy nie mogła ustalić, kto jest właściwą jednostką do zbadania sprawy. Po wyborze Komorowskiego na prezydenta, jesienią 2010r., Krzysztof W. zainteresowała się natomiast Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego, a 28 czerwca 2011r. policja aresztowała biznesmena. Dzień później dokonano przeszukania jego domu, w trakcie którego zabezpieczono archiwum nagrań dokonywanych przez W., w tym zapewne taśmy rozmowy z Komorowskim. Opisując tę sprawę przed rokiem, Leszek Pietrzak zauważył, że rozmowa miała miejsce w czasie gdy pracowała jeszcze Komisja Weryfikacyjna WSI, a poseł Komorowski poważnie obawiał się wyników jej prac.

O ile nie ma wątpliwości, że węgierska afera z rosyjską agenturą w tle zostanie wyjaśniona, o tyle sprawa działalności ludzi wojskowej bezpieki i marszałka Komorowskiego, z pewnością nie znajdzie sądowego finału. Nazwałbym ją „matką” wszystkich późniejszych afer, ponieważ doszło wówczas do zawiązania groźnego triumwiratu polityków obecnego reżimu, funkcjonariuszy służb oraz ludzi komunistycznej bezpieki. W tle tej kombinacji operacyjnej są też interesy obcych służb,

dążących do zablokowania procesu weryfikacji i przywrócenia wpływów „*peryskopu, za pomocą którego Rosjanie pozyskiwali wiedzę o mechanizmach funkcjonowania naszego państwa*” – jak nazwał WSI prof. Andrzej Zybertowicz. Powstały wówczas układ, był wykorzystany w kolejnych działaniach z udziałem tych samych środowisk. Można go dostrzec w aferze stoczniowej czy hazardowej. Jednocześnie – ta sprawa powinna utwierdzać w przekonaniu, że kluczem do zrozumienia szeregu procesów zachodzących w ostatnich latach jest osoba Bronisława Komorowskiego. Wydarzenia z udziałem tego polityka – poczynając od afery marszałkowej, poprzez farsę „prawyborów” i kampanię prezydencką, aż po skutki tragedii smoleńskiej – spina spójna i logiczna klamra. Sens tych wydarzeń wyznacza zaś kierunek, w jakim obecnie zmierza III RP. Gdyby afera marszałkowa została rzetelnie wyjaśniona, a jej mechanizmy ujawniono społeczeństwu, zablokowałoby to karierę Bronisława Komorowskiego, uniemożliwiło mu start w wyborach prezydenckich i oszczędziło Polakom wielu bolesnych doświadczeń i upokorzeń. Odstąpienie patologicznych relacji już w roku 2008 uchroniłoby nas od niebezpieczeństw wywołanych wpływem Rosji na polskie życie polityczne, zapobiegło obcym knowaniom w ramach konfliktu rząd-prezydent, a w rezultacie – o czym jestem przeświadczony – udaremniło pułapkę smoleńską i tragedię z 10 kwietnia. Nie trzeba tworzyć alternatywnej historii, by zrozumieć, że płacimy dziś cenę za zignorowanie tego największego zagrożenia.

777. OD ALBINA DO GOWINA

Gdyby na miano ludzi prawych zasługiwali ci, których wyrzucano z reżimowej ferajny, musielibyśmy je przyznać Bucharinowi i Zinowjewowi – usuniętym z partii bolszewickiej za „opozycyjność” i „prawicowe odchylenie”. W realiach PRL-u powinniśmy nimi obdarzyć Gierka i Jaroszewicza, których nie tylko wykluczono z komunistycznej zgry, ale internowano i próbowano sądzić.

Dla ludzi trzeźwo oceniających obecną rzeczywistość, wydaje się oczywiste, że oparcie oceny prawości na tak niepewnym gruncie, jest głęboko niedorzeczne i fałszywe.

Jak zatem wytłumaczyć zachowania tych polityków i publicystów, którzy od wielu dni fundują nam żenujący spektakl „Gowiniady” i próbują przedstawić postać byłego ministra sprawiedliwości jako niezłomnego, prawego „konserwatystę”, skrzywdzonego przez Donalda Tuska?

Zagadka jest tym mocniej intrygująca, że ci sami ludzie, deklarujący dziś „uchylanie drzwi” dla Gowina, dopatrują się w naszej rzeczywistości analogii z czasami PRL-u, otwarcie mówią o władzy monopartii dążącej do „miękkiego totalitaryzmu” i obarczają reżim Tuska odpowiedzialnością za setki poważnych afer oraz śmierć polskiej elity.

Jarosław Gowin miałaby być w tym układzie „szlachetnym wyjątkiem” - tylko dlatego, że w jakiś marginalnych kwestiach przeciwstawiał się szefowi rządu, został pozbawiony stanowiska i wyrzucony z państwowej posady.

Trudno byłoby wskazać inne przyczyny, bo budowane ad hoc opowieści o „konserwatyzmie” Gowina, można włożyć między bajki. Zrozumie to każdy, kto prześledzi zachowania tej postaci od czasu dojścia do władzy koalicji PO-PSL lub dostrzeże sejmowe wybory Gowina w sprawach związanych z tragedią smoleńską czy licznymi aferami koalicji PO-PSL. Te elementarne kryteria pozwalają uznać, że mamy do czynienia z konformistą podążającym zawsze za linią partii, którego pryncypialność ogranicza się do werbalnych deklaracji.

Obecny spektakl ma jednak głębsze przyczyny. Do ulubionych zajęć wielu publicystów i tzw. analityków życia politycznego III RP, należy opowiadanie historyjek o „wewnętrznych konfliktach”, „walkach frakcyjnych” i „podziałach” w łonie partii rządzącej. W ostatnich latach powstało kilkadziesiąt tekstów, których autorzy zachłystywali się wojną Tuska ze Schetyną, wieścili rychłą zemstę „schetynistów”, dopatrywali w PO istnienia frakcji konserwatywnej lub oczekiwali na kontratak „liberalnego skrzydła”.

Opowieści o „decydującym starciu” Tuska z Gowinem należą do najnowszych odmian owych dykterek. Mają nas przekonać o nadchodzącej klęsce Tuska i dowieść istnienia w PO zróżnicowanych i skonfliktowanych środowisk. Nie warto nawet przypominać, ileż to razy w czasie ostatnich sześciu lat miało dochodzić do podobnych rozłamów itp. kataklizmów politycznych. Miarą prawdziwości takich analiz jest oczywiście fakt, że do tej chwili w reżimowej monopartii nie nastąpił żaden podział, nikt nie zagroził pozycji premiera i w żadnym obszarze nie widać oznak rozpadu. Gdyby wywody owych analityków miały jakiegokolwiek sens, powinniśmy już wielokrotnie doświadczyć zbawiennych skutków takich „wojen” i być świadkami przyspieszonych wyborów parlamentarnych. Jedynie słabej pamięci odbiorców zawdzięczamy fakt, że podobne opinie są bezkarnie rozgłaszane. Chcąc zrozumieć - skąd biorą się takie analizy trzeba cofnąć się w odległą acz niezamkniętą przeszłość.

Przez kilkadziesiąt lat PRL-u funkcjonowały propagandowe mity o „frakcjach” w łonie partii komunistycznej. W latach 50. wyodrębniano podziały na „puławian” i „natolińczyków”, dziesięć lat później na „grupę śląską” i „partyzantów”, w latach 80. słyszeliśmy zaś o rozbiciu na „skrzydło liberalno-postępowe” i konserwatywny „partyjny beton”. Przedstawicielem pierwszego miał być tow. Rakowski, drugi zaś godnie reprezentował tow. Siwak. U podłoża tych podziałów miały leżeć „różnice ideologiczne” wśród członków PZPR, stosunek wobec Moskwy, chęć „wybicia na niezależność” lub „dążenia do przeprowadzenia reform”. W rzeczywistości, chodziło zawsze o wykreowanie nowego rozdania, podział łupów lub likwidację jednej bandy przez drugą.

Warto pamiętać, że dzięki stosowaniu tej retoryki mogła wyłonić się tzw. lewicowa opozycja, w ramach której, członkowie PZPR – Kuroń i Modzelewski podjęli krytykę partii za „odejście od prawdziwego socjalizmu”. Z tego nurtu zbudowano później środowisko „komandosów”, by po latach arcymistrzowskiej gry dezinformacyjnej przekonać Polaków, że ludzie, którzy byli zaledwie schizmatykami wiary komunistycznej, stali się „demokratyczną opozycją” i wspólnie z pewnym elektrykiem obalili ustrój komunistyczny.

W obecnej odmianie tej mitologii, mamy do czynienia z projekcją poglądu, jakoby ludzie PO należało różnicować - ze względu na wyznawany system wartości, stosunek do problemów etycznych, ambicje polityczne czy reakcje wobec opozycji. Zdaniem niektórych komentatorów wśród członków Platformy powinniśmy dostrzegać przeciwników dyktatury Tuska, zdeklarowanych konserwatystów czy liberałów. Ma to prowadzić do konkluzji, że w łonie grupy rządzącej są ludzie mniej i bardziej zdegenerowani, a nawet tacy, z którymi można prowadzić dialog i traktować ich jak sprzymierzeńców. Wielu też sądzi, że szansa na zmianę sytuacji tkwi w „rozgrywaniu” jednych przeciw drugim, w stosowaniu makiawelicznej strategii gier i politycznych podchodów.

Głosiciele takich opinii zdają się zapominać, że prawdziwym „credo” wokół którego integruje się wyznawców PO nie są żadne programy polityczne ani kwestie moralne, ale najbardziej prostacka nienawiść do partii Jarosława Kaczyńskiego, niechęć wobec polskości i niepohamowana żądza władzy. Dzięki temu pod szyldem PO znajdziemy wszelkiej maści renegatów, wyrachowanych cwaniaków i nieudaczników - co czyni z tego środowiska skansen agresywnych, twardogłowych typów,

złączonych wspólnotą interesu i żądzą odwetu. Po 10 kwietnia 2010 roku doszła równie silna motywacja – ukrycia win, zatuszowania aktów zaprzaństwa i uniknięcia odpowiedzialności. Ona decyduje o tym, że członkowie PO mogą wprowadzić kierować się ambicjami, wzajemnie zwalczać lub nienawidzić, jednak w stosunku do „wroga” muszą stanowić monolit. Próba znalezienia wśród nich sojuszników lub postaci „świadka koronnego” jest skazana na porażkę – nie tylko dlatego, że nie ma tam ludzi honorowych i godnych zaufania, ale przede wszystkim z tej przyczyny, że każdy wie, co czeka tych, którzy próbowali zerwać patologiczne więzy.

Kto chciałby zatem różnicować tych ludzi i głosić pochwałę Gowina nad Niesiołowskim, niech wpierw się zastanowi - jak zachowywali się w obliczu śmierci naszych rodaków i jak postępowali w sprawach tragedii smoleńskiej. Bez uwzględnienia tego kryterium, wszelkie rozważania „o wyższości dżumy nad cholera” – są bezwartościowym bełkotem, po którym pozostaje czkawka niestrawnego relatywizmu.

Trwający dziś festiwal „Gowiniady” jest dobrą okazją, by uświadomić sobie jak groźna jest mitologia wywodząca się z komunistycznej strategii podstęp i dezinformacji. Prowadzi nie tylko do zafalszowania polskiej rzeczywistości i narzucenia nam tematów trzeciorzędnych, ale skutecznie tumani wyborców PiS-u, zwalnia ich z głębszej refleksji i konkretnych działań. Jest rodzajem medialnego narkotyku i erzacem pseudodemokracji, po których odbiorca nabywa przeświadczenia o „normalności” życia politycznego III RP. Sprawia, że wielu zaczyna wierzyć, iż nadzieje na zmianę sytuacji można pokładać w „grach frakcyjnych” lub w aktywności ludzi pokroju Gowina czy Schetyny. Podobne spustoszenia wyrządza w szeregach partii opozycyjnej, skłaniając niektórych polityków do poszukiwania „trzecich dróg” i głoszenia zwodniczych konsensusów.

Ludzie prezentujący takie oceny wyrządzają większą szkodę niż propaganda reżimowych gadzinówek i póki Polacy nie zrozumieją, jak głęboki fałsz kryje się w podobnych „analizach”, póty pozostaną pod władzą miernot i cwaniaków.

778. DOKUMENTY ZBRODNI

12 maja 1983 r. Grzegorz Przemyk, 19-letni maturzysta Liceum im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego, został zatrzymany przez funkcjonariuszy MO na Placu Zamkowym w Warszawie, a następnie zabrany do komisariatu przy ul. Jezuickiej na Starym Mieście. Tam dyżurujący milicjanci skatowali go, zadając kilkadziesiąt ciosów pałkami oraz ciosy łokciem lub pięścią w brzuch. Przewieziony do szpitala Grzegorz, zmarł po dwóch dniach w wyniku ciężkich urazów jamy brzusznej.

Dla komunistycznej władzy rzeczą najważniejszą stało się zatuszowanie tej zbrodni i osłona milicyjnych oprawców. To wówczas przeprowadzono „próbę generalną” funkcjonowania mechanizmów fałszerstwa, które później wykorzystano w sprawie zbrodni dokonanej na księdzu Jerzym Popieluszcze.

Decyzją Biura Politycznego KC PZPR z 24 maja 1983 „sprawa Przemyka” otrzymała miano „nadzwyczajnej”. Utworzono specjalny zespół na czele z sekretarzem KC i członkiem BP Mirosławem Milewskim w celu „koordynacji spraw wynikających z przebiegu śledztwa” oraz przygotowania działań propagandowych. Cały aparat represji został postawiony na nogi i zaangażowany w kampanię kłamstwa. Zastraszano i bito świadków, aresztowano mecenas Bednarkiewicza, pełnomocnika Barbary Sadowskiej, a wobec drugiego obrońcy, Władysława Siły-Nowickiego uchwalono specjalną ustawę, ograniczającą możliwość pracy adwokatów po ukończeniu 70 roku życia. Skutecznie zastraszano też innych adwokatów. Z obrony głównego oskarżonego, Michała Wysockiego, zrezygnował mecenas Wiesław Johann.

Natychmiast też utworzono specjalny zespół prokuratorów, na czele z osławioną Wiesławą Bardonową. Ułożono fikcyjny scenariusz zbrodni, a po zmuszeniu sanitariuszy pogotowia do przyznania, nauczono ich, co mają zeznawać. W wizji lokalnej odtwarzano fakty niebyłe, nieprawdopodobne i wręcz niemożliwe. Instruowano sąd co do przebiegu rozprawy, zaś adwokaci milicjantów otrzymali wskazówki, jak mają zachowywać się na sali rozpraw.

Przed pięciu laty opublikowałem na tym blogu szczególne dokumenty zbrodni. Trzeba je przypomnieć również dziś, gdy w realiach III RP dostrzegamy te same mechanizmy zafalszowania, a obecny reżim coraz częściej sięga do sądowo-prokuratorskich praktyk PRL-u.

W archiwach IPN zachował się rozkaz ministra spraw wewnętrznych Czesława Kiszczaka o przyznaniu nagród funkcjonariuszom szczególnie zasłużonym w fałszowaniu sprawy Przemyka. Uzasadnienie tego rozkazu jest wstrząsającym świadectwem cynizmu Kiszczaka i z dzisiejszej perspektywy pozwala zrozumieć, że pod mianem „człowieka honoru”, jakim obdarzyła go III RP, kryje się pospolicity tchórz, pragnący za wszelką cenę uniknąć odpowiedzialności.

Polska Rzeczpospolita Ludowa

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych

Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych w Gdańsku

Rozkaz Nr 189/DK Ministra Spraw Wewnętrznych z dnia 2 września 1984 r. w sprawie wyróżnienia funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa.

W maju ubiegłego roku opozycja polityczna w kraju i ośrodki dywersji ideologicznej na zachodzie rozpętały szeroko zakrojoną akcję propagandową skierowaną przeciwko resortowi spraw wewnętrznych. Pretekstem do tej oszczerczej kampanii była śmierć 19-letniego Grzegorza Przemyka.

Wbrew oczywistym faktom – jak się później okazało – znanym doskonale rodzinie i kolegom oraz niektórym działaczom opozycji politycznej, z całą perfidią skonstruowano zarzuty przeciwko funkcjonariuszom MO i resortowi spraw wewnętrznych, posługując się plotką, kłamstwem i pomówieniami oraz prowokując oficjalne wystąpienia, listy i petycje indywidualne i grupowe. W ten sposób starano się osiągnąć szersze cele polityczne i wykazać, że w naszym kraju proces stabilizacji jest fikcją, a społeczeństwo jest prześladowane przez władzę, która wykorzystując służby resortu spraw wewnętrznych, stosuje przestępcze metody w walce z przeciwnikami politycznymi. Zmierzano do rozbicia naszego aparatu, do wytworzenia atmosfery powszechnego potępienia i zohydzenia go społeczeństwu. Część społeczeństwa na skutek tej zorganizowanej kampanii, umiejętnie sączonej nienawiści, uwierzyła w rzekomy scenariusz wydarzeń, według którego śmierć Grzegorza Przemyka była następstwem pobicia go w Komisariacie MO.

Resort spraw wewnętrznych, nie poczuwając się w najmniejszym stopniu do jakiegokolwiek zawinienia śmierci G. Przemyka, nie mógł pozostać obojętnym wobec jawnej prowokacji i kampanii oszczerstw skierowanej na nasz aparat. Podjęte zostały wielokierunkowe działania zmierzające do nadania śledztwu obiektywnego charakteru, ustalenia faktycznych sprawców, pociągnięcia ich do odpowiedzialności i ujawnienia wobec opinii publicznej rzeczywistej prawdy.

W wyniku długotrwałej, żmudnej pracy, prowadzonej przez wielu funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa, zgromadzono materiał procesowy obrazujący faktyczny przebieg zdarzenia i rolę jego uczestników,

stanowiący zarazem podstawę do uniewinnienia funkcjonariuszy MO i skazania rzeczywistych sprawców śmierci G. Przemyska.

Wyrok sądu był nie tylko moralną satysfakcją oskarżonych funkcjonariuszy MO, ale stanowił jednocześnie zadośćuczynienie dla wszystkich, przez szereg miesięcy atakowanych w niewybredny sposób, funkcjonariuszy naszego resortu. Stanowił on swoistą rehabilitację naszego aparatu w oczach społeczeństwa. Była to też dotkliwa porażka tych, którzy na osobistej tragedii młodego człowieka chcieli zbić swój kapitał polityczny, a zostali publicznie zdyskredytowani.

W toku postępowania karnego ujawnione zostały mechanizmy tworzenia ordynarnych prowokacji dla osiągnięcia ogólniejszych celów politycznych przez opozycję antysocjalistyczną. Z tymi środkami walki politycznej opinia publiczna została zapoznana w toku przewodu sądowego.

Za włożony wysiłek, pełne zaangażowanie, wykazanie wysokiej odpowiedzialności, inicjatywę i osiągnięte efekty, następujących funkcjonariuszy nagradzam:

kwotą 20.000 zł

1. gen. bryg. Jerzego GRUBĘ – Zastępcę Komendanta Głównego MO

kwotą 15.000 zł

2. płk. Kazimierza OTŁOWSKIEGO – Dyrektora Biura Dochodzeniowo-Śledczego KG MO

3. płk. Zbigniewa PUDYSZA – Dyrektora Biura Śledczego MSW

4. płk. Józefa MUNIAKA – Z[astęp]cę Szefa Stołecznego Urzędu Spraw Wewnętrznych ds. MO

5. płk. Stanisława PRZANOWSKIEGO – Z[astęp]cę Szefa Stołecznego Urzędu Spraw Wewnętrznych ds. SB

6. płk. Ryszarda ZAJKOWSKIEGO – Naczelnika Wydziału II Głównego Inspektoratu Ministra

kwotą 12.000 zł

7. ppłk. Stanisława SAWICKIEGO – Naczelnika Wydziału II Biura Dochodzeniowo-Śledczego KG MO

8. ppłk. Wiesława LEWANDOWSKIEGO – Naczelnika Wydziału Kontroli Biura Kontroli i Analiz KG MO

9. kpt. Zbigniewa SUPRYNA – Inspektora Biura Dochodzeniowo-Śledczego KG MO

10. kpt. Zdzisława CHWASZCZA – St. inspektora Biura Kryminalnego KG MO

kwotą 10.000 zł

11. ppłk. Stanisława OLEJNIKA – St. inspektora Departamentu III MSW

12. mjr. Andrzeja SADLIŃSKIEGO – Z[astęp]cę Naczelnika Wydziału Prasowego Gabinetu Ministra S[praw] W[ewnętrznych]

13. por. Jacka ZIÓŁKOWSKIEGO – Inspektora Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego S[tołecznego] U[rzędu] S[praw] W[ewnętrznych].

Rozkaz podać do wiadomości wszystkim funkcjonariuszom resortu spraw wewnętrznych.

gen. broni Czesław Kiszczak

Źródło: IPN Gd 0046/392, t. 1, k. 3–5, kopia, mps.

Nad prawidłowym przebiegiem procesu sądowego czuwał również naczelny propagandzista PRL Jerzy Urban, którego III RP honoruje dziś mianem „dziennikarza”. On właśnie sporządził scenariusz, w którym znalazły się szczegółowe instrukcje dotyczące m.in. osłony propagandowej procesu.

W aktach Biura Prasowego Urzędu Rady Ministrów przechowywanych w archiwum MSWiA, zachowało się pismo Urbana, skierowane do sekretarza KC PZPR Jana Głowczyka, w sprawie propozycji organizacji obsługi prasowej sprawy Grzegorza Przemyska.

Nie ma wątpliwości, że planowane przez Urbana „rozmowy z prezesem sądu”, mogłyby odbyć się również dziś, zaś ujawnione w dokumencie mechanizmy kreowania „dobrych dziennikarzy” są nadal praktykowane.

JU/2740-3/84a 1984-05-14

POUFNE

Towarzysz Jan Głowczyk

Sekretarz Komitetu Centralnego PZPR

W związku z przygotowywanym procesem w sprawie śmierci G[rzegorza] Przemyska przedstawiam propozycje dotyczące obsługi procesu przez dziennikarzy zagranicznych.

Generalne zasady propozycji (bez szczegółów) uzgodniłem z Min[istrem] Domerackim, który uzgodnił [je] z gen. Kiszczakiem i obaj aprobowali. Konsultowałem też z tow. Kohorewiczem.

1. Wydaje się pożytecznym dopuścić w ograniczonym stopniu i w sposób kontrolowany dziennikarzy zagranicznych do procesu w sprawie Przemyska. Inaczej bowiem będą nadawać jednostronne informacje czerpane z kół opozycyjnych (będą one znały dokładny przebieg zdarzeń) i określać, że proces toczy się przy drzwiach zamkniętych.

2. Dopuszczenie dziennikarzy zachodnich implikuje dopuszczenie w jakimś stopniu dziennikarzy z k[rajów] s[ocjalistycznych]. Będzie dla nich szokujące, że na ławie oskarżonych zasiadają milicjanci. Jednakże ten fakt i tak będzie im znany. Szok może zostać wzmocniony ewentualnym wysłuchiowaniem ostrych pytań i oskarżeń pod adresem milicji. Refleksje na tym tle przekażą oni jednak w zamkniętym obiegu informacji, który jest ważny, jednakże mniej ważny moim zdaniem od rezonansu publicznego na Zachodzie.

3. Wychodząc z tych przesłanek, proponuję przyjęcie następujących zasad obsługi procesu przez prasę zagraniczną;

a) Zakazać nagrywania przez TV, radio (i w ogóle na magnetofony) przebiegu procesu z wyjątkiem ogłoszenia wyroku i uzasadnienia go, gdzie można dopuścić polską TV i radio, które sprzedadzą to za granicę.

b) Podzielić cały – długotrwały, jak wiem – proces na segmenty (w przyszłym tygodniu mam to omawiać z prezesem sądu) – chodzi o to, aby z góry ściśle przewidzieć, co się którego dnia, czy przez połowę dnia będzie działo, rozpisać to w czasie i przerywać rozprawę po wyczerpaniu planowanych czynności sądowych, nawet gdyby zostawał czas na podjęcie następnych.

c) Wydrukować wejściówki opiewające wyłącznie na jeden dzień rozprawy (ewentualnie połowę dnia). Rozdzielać je będzie Centrum „Interpress”.

d) Opracować ścisły plan pracy [, którzy] dziennikarze zagraniczni wejdą na jaką część rozprawy. Stosować zasadę: fragmenty procesu, które chcemy, aby Zachód słyszał, są dostępne dla 3–4 dziennikarzy zachodnich (to samo powinno dotyczyć wschodnich, aczkolwiek mogą wchodzić w grę inne fragmenty rozprawy). Fragmenty procesu, którym nie chcemy

nadawać rozgłosu, obsadzone są przez specyficznie dobranych dziennikarzy (np. Chińczyk, Hindus) albo w ogóle nie będzie na nie zaproszeń.

e) Odbywać się będą w miarę potrzeby spotkania reprezentanta sądu z prasą zagraniczną (szerzej dostępne) dla naświetlenia, co było na procesie, jak i co rozumieć, jakie są aspekty prawne różnych zagadnień. Nie byłyby to konferencje prasowe (powodowałyby one przesadny rozgłos), lecz mniej niż briefingi – rozmowy konsultacyjne.

4. Poprosiłem o sporządzenie listy dziennikarzy różnego rodzaju, którzy mogą czy powinni dostać zaproszenia wg kryteriów: a) nadają się do siedzenia na poszczególnych segmentach rozprawy, b) powinni dostać premię za dobre sprawowanie, c) zapewnią nam odpowiednie nagłośnienie na Zachód niektórych, korzystnych dla nas zeznań czy wątków procesu.

Szczegółowe propozycje mógłbym ustalić po zaplanowanej rozmowie z prezesem sądu i ewentualnie innymi jeszcze czynnikami (MSW, Prokuratura).

Proszę o rozważenie propozycji i ewentualne uwagi i instrukcje.

Jerzy Urban

Źródło: BPR URM, 2, k. 44–45, kopia, mps.

Powyższe dokumenty zostały opublikowane w artykule Sławomira Cenckiewicza i Grzegorza Majchrzaka „Wielka manipulacja”, zamieszczonym w Biuletynie IPN nr 5 (40) z maja 2004r.

779. DLACZEGO PUTIN WYBRAŁ SKW ?

Ujawniona dziś decyzja Putina o nawiązaniu współpracy między Federalną Służbą Bezpieczeństwa i Służbą Kontrwywiadu Wojskowego, jest w pełni logiczna, zgodna z interesem Rosji i spójna z dotychczasową praktyką.

1. Dowodzi doskonałego rozeznania w belwiderskim projekcie tzw. reformy służb. Projekt ten zakłada m.in. utworzenie „jednej Agencji Wywiadu z wyodrębnionym pionem cywilnym i wojskowym (z połączenia Agencji Wywiadu ze Służbą Wywiadu Wojskowego) oraz jej podporządkowania ministrowi obrony narodowej, z zastrzeżeniem, że stanowiska dowódcze mają być obsadzone przez żołnierzy zawodowych.” Istotą proponowanego rozwiązania jest powrót do koncepcji sprzed 2006 roku, w której Wojskowe Służby Informacyjne znajdowały się w strukturze sił zbrojnych III RP. Plany powstałe w BBN zakładają również podporządkowanie SKW ministrowi obrony narodowej (z wyłączeniem postępowań administracyjnych wynikających z ustawy o ochronie informacji niejawnych) i włączenie jej do Sił Zbrojnych RP. Oznacza to, że gestii ministra obrony narodowej znajdują się dwie największe służby specjalne – Agencja Wywiadu i Służba Kontrwywiadu Wojskowego. Tak rozumiana „integracja” służb jest jednym z najważniejszych składników budowy reżimu prezydenckiego i opiera się na sprawdzonym sowieckim modelu „kułaka”. Ponieważ zwierzchnictwo nad Siłami Zbrojnymi leży w kompetencjach prezydenta zaś narzucone przez Belweder projekty legislacyjne znacząco umacniają tę władzę –Komorowski stanie się faktycznym decydem w kwestiach bezpieczeństwa narodowego, mając jednocześnie zapewniony bezpośredni wpływ na działalność potężnej służby specjalnej. Ścisła współpraca kontrwywiadów wojskowych Rosji i III RP jest w tej sytuacji rzeczą fundamentalną dla Rosji, a uczynienie z SKW „rosyjskiego peryskopu” wydaje się oczywiste. Poprzez kontakty na szczble służb, FSB uzyskuje dogłębną wiedzę o polskich Siłach Zbrojnych oraz wgląd w sprawę NATO. Wpływy rosyjskie mogą też dotyczyć obsady stanowisk czy rozstrzygnięć w sprawach przetargów dla armii.
2. Podpisanie porozumienia o współpracy usankcjonuje dotychczasową praktykę ścisłych kontaktów SKW z przedstawicielami służb rosyjskich. W ostatnich latach obejmowały one m.in.:
 - regularne wizyty przedstawicieli rosyjskich służb specjalnych w siedzibie SKW na ul. Oczki. Rosjanie wjeżdżali na teren siedziby SKW swoim samochodem, który nie był sprawdzany pod kątem ujawnienia urządzeń rejestrujących emisję elektromagnetyczną. Takie wizyty na terenie Rosji w siedzibach rosyjskich służb specjalnych są niemożliwe ze względu na procedury bezpieczeństwa stosowane przez te służby;
 - cykliczne spotkania kierownictwa SKW z przedstawicielami rosyjskich służb specjalnych m.in. na terenie Krakowa;
 - regularne spotkania osób z kierownictwa SKW z przedstawicielami rosyjskich służb specjalnych w Moskwie;
 - budowę przez SKW niejawnego kanału łączności z rosyjskimi służbami specjalnymi bez informowania prezesa Rady Ministrów, ministra obrony narodowej oraz NATO;
 - wyrażenie przez szefa SKW zgody na szkolenie kierownictwa SKW przez rosyjskie służby specjalne w Moskwie.
 (źródło: interpelacja nr 14981 posła Marka Opióły w sprawie nieprawidłowości w działaniu Służby Kontrwywiadu Wojskowego).
3. SKW jest służbą specjalną, w której nagromadzenie wszelkiego rodzaju patologii przybrało szczególnie groźne rozmiary. Stworzoną przez Antoniego Macierewicza, profesjonalną i nowoczesną formację zdegradowano do roli, jaką przez lata wykonywały Wojskowe Służby Informacyjne i nadano jej charakter daleki od intencji twórców. Służba ta pełni de facto rolę policji politycznej i działając na wzór peerelowskich poprzedników próbuje kontrolować ludzi opozycji i wywierać wpływ na sprawy publiczne. To SKW odpowiada za inwigilację posłów Marka Opióły i Tomasza Kaczmarska oraz prowadzenie inwigilacji prokuratora Pasionka za oficjalne kontakty z oficerami łącznikowymi USA. SKW ponosi odpowiedzialność za brak reakcji na informację o planowanym na 10 kwietnia 2010 r. porwaniu rządowego samolotu jednego z państw UE, za rozliczne błędy i zaniedbania w związku z zabezpieczeniem lotu do Smoleńska oraz brak nadzoru nad remontem i przebudową wnętrza tupolewa. Na SKW ciążyą zarzuty związane z nieprawidłowościami podczas misji wojskowej w Afganistanie, dotyczące m.in. braku wyszkolenia żołnierzy wysyłanych do ochrony kontrwywiadowczej oraz ukrywania informacji o zamachach terrorystycznych na polskich żołnierzy. Pod adresem kierownictwa SKW kierowane są zarzuty o nepotyzm, przekroczenie uprawnień, brak profesjonalizmu czy niedopełnienie obowiązków. O tych sprawach więcej informacji w tekście [W STRONĘ WOJSKOWEJ BEZPIEKI](#) SKW nie jest w stanie zagwarantować Siłom Zbrojnym profesjonalnej ochrony kontrwywiadowczej i nie potrafi wywiązywać się ze swoich ustawowych obowiązków. Jest to formacja słaba i nieudolna, podatna na wpływy polityczne i oddziaływanie obcych służb. W tej sytuacji, podpisanie porozumienia o współpracy z Rosją i kontakty ludzi SKW z funkcjonariuszami FSB stwarzają wielorakie zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa. Wybór tej formacji przez Putina, nie wydaje się przypadkowy.

4. Decyzja Putina ma również uzasadnienie formalnie. Wbrew stwierdzeniu byłego szefa Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, pana Bogdana Świączkowskiego, który dziwił się, że cywilna FSB chce współpracować z kontrwywiadem wojskowym, w tej decyzji nie ma niczego zaskakującego. W służbach rosyjskich to właśnie Federalna Służba Bezpieczeństwa odpowiada za kontrwywiad wojskowy, a w strukturze FSB znajduje się Zarząd Kontrwywiadu Wojskowego. Jest zatem odpowiednikiem polskiej SKW.

780. OBCA GRA

Ekipa Donalda Tuska coraz częściej musi doświadczać poczucia zagrożenia, jeśli w wypowiedziach członków rządu pojawiają się bezpośrednie sugestie na temat rosyjskich intryg. Słowa szefa MSW o traktowaniu sprawy zwrotu Tupolewa jako „przełącznika do temperatury wewnętrznej w Polsce” wskazują, że grupa rządząca ma świadomość gry prowadzonej przez kremlowskich „przyjaciół”. Gry tak zaawansowanej, że nie warto już pytać - czy Rosjanie zmienią nam premiera, lecz – kiedy to nastąpi i jak w tej sytuacji powinna zachować się opozycja?

Od wielu miesięcy w działaniach Kremla można dostrzec intencję pozbycia się nazbyt skompromitowanego współnika oraz zamysł wykreowania grupy, która potrafi sprostać nowym, strategicznym planom Kremla. Podgrzewanie atmosfery wokół wraku, prowokacyjne wypowiedzi kremlowskich decydentów, publikacja zdjęć ofiar tragedii czy blamaż Tuska w rozgrywce jamalskiej – to tylko niektóre z elementów rosyjskiej strategii. Obrazu dopełniają kąśliwe publikacje rosyjskich mediów i coraz bardziej krytyczne oceny polskojęzycznych rezonatorów, „podszczypujących” premiera i jego ministrów.

Rosja wie, że obecna ekipa nie tylko traci poparcie Polaków, ale staje się coraz słabszym i bezwolnym przedmiotem w europejskich rozgrywkach. Nagromadzenie rozlicznych patologii związanych z funkcjonowaniem tej ekipy sprawia, że coraz trudniej radzi sobie z własnym społeczeństwem i nie potrafi zadowolić Moskwy w roli rosyjskiego konia trojańskiego.

Niemniej ważną przesłanką jest fakt, że ludzie obecnego reżimu współdziałali z Putinem przeciwko polskiemu prezydentowi i stali się zakładnikami kłamstwa smoleńskiego. Współpraca ta, nazwana w zeznaniach ministra Arabskiego „grą równoległą”, miała wyeliminować Lecha Kaczyńskiego z polityki zagranicznej i ośmieszyć go na arenie międzynarodowej. Wiedza o tych działaniach daje Rosjanom potężne narzędzia nacisku i może być wykorzystana w obecnej rozgrywce. Spotkania z wysłannikami Putina czy ustalenia dotyczące współpracy, szczególnie w obszarze służb specjalnych, są jednak mocno niewygodnym depozytem. Oczywiście - nie dlatego, iżby Tusk i spółka odważyli się wykorzystać tę wiedzę lub próbowali uwolnić od kurateli Moskwy. Jest to raczej kłopot, jaki sprawia skompromitowany i wyeksploatowany współnik, dla przestępcy, który zaplanował przejście z szarej strefy do legalnego biznesu.

Taki zamysł Kremla można dostrzec w związku z ofensywną polityką „marszu na Europę”, szukaniem dostępu do unijnych pieniędzy i oczekiwaniem na zawarcie umowy o współpracy między Unią Europejską a Rosją. Niedawna deklaracja Putina o „nieodwracalnym wyborze Rosji na korzyść demokracji” oznacza również tyle, że sprawa Smoleńska staje się kłopotliwym багаżem w procesie „europeizacji” kremlowskiego reżimu i w perspektywie kilkunastu miesięcy Rosja może dążyć do zamknięcia śledztwa i wyciszenia tematu.

W takiej konfiguracji - słaby i nieudolny Tusk, rozdarty między moskiewskimi powinnościami, apetytem na unijną posadę i rolą „chłopca do poklepywania” dla Merkel – jest nie tylko uciążliwym, ale mało wydajnym pomocnikiem.

Nie można wykluczyć, że obecna ekipa, świadoma celów rosyjskiej gry, będzie próbowała przyjąć medialny wizerunek „oblężonej twierdzy” i przekonać Polaków, że rząd Tuska stał się przedmiotem rosyjskich knowań. W takim scenariuszu, premier może kreować się na tego „co Moskwie się nie kłania” i odwołując do antyrosyjskich nastrojów podjąć próbę ratowania swojej pozycji. Byłaby to rozgrywka *va banque*, obliczona na zachowanie władzy, wybielenie wizerunku i obnażenie intencji przeciwników, w tym głównego decydenta na polskiej scenie politycznej – Bronisława Komorowskiego.

Nie ma wątpliwości, że w rozdaniu obowiązującym po 10 kwietnia 2010 roku, to lokator Belwederu i budowany przezeń reżim prezydencki mają być najmocniejszymi gwarantami rosyjskich interesów. Hierarchia została ustalona na początku 2010 roku i ówczesna rezygnacja Tuska z ubiegania o prezydenturę, nadal determinuje ten podstawowy podział.

Dlatego przyjęcie tezy o rosyjskiej grze na zmianę premiera, oznacza przede wszystkim uwzględnienie roli Belwederu - jako środowiska obdarzonego szczególnym zaufaniem Moskwy i realizującego dziś scenariusz „nowego rozdania”. Od wielu miesięcy jest on już dokonywany w obszarze polityki bezpieczeństwa narodowego, funkcjonowania sił zbrojnych i służb specjalnych. Wymiana ekipy rządzącej będzie wieńczyć dzieło, zaś rok 2015, ogłoszony „*rokiem Polski w Rosji i Rosji w Polsce*” wydaje się datą graniczną i nieprzypadkową.

Przyjęcie takiej tezy musi prowadzić do konkluzji, że „grupa zastępcza”, powołana pod kuratelą Moskwy i Belwederu – niezależnie od jej składu i politycznych konotacji, będzie ekipą kolejnych figurantów, konserwujących patologie III RP i umacniających hegemonię Kremla.

Dlatego wszelkie symulowane zmiany, w tym wymiana Tuska na mniej skompromitowany „model”, nie może leżeć w interesie opozycji, zaś współdziałanie w tym zakresie z lokatorem Belwederu (co sugerują niektórzy medialni doradcy PiS-u), byłoby wręcz szaleństwem. Podobnie trzeba oceniać próby „poszerzania elektoratu” - poprzez różnego rodzaju umizgi do koalicyjnej partii reżimowej czy poszukiwanie „konsensusu” z rywalami Tuska w PO. Takie konfiguracje nie przyniosą żadnego przełomu i zostaną wykorzystane w planach Moskwy.

Rosyjski scenariusz jest bowiem wymierzony w dążenia całego obozu patriotycznego: ma zamknąć sprawę Smoleńską, „oczyścić” atmosferę polityczną, spacyfikować niezadowolenie społeczne, wzmocnić pozycję Komorowskiego i dać Polakom zwodniczy substytut wolności i demokracji.

Powodzenie scenariusza zależy w dużej mierze od tego, jak zachowa się partia Jarosława Kaczyńskiego i w jakim zakresie będzie zdolna przeciwstawić się wspólnej grze Kremla i Belwederu. Zadanie to tym trudniejsze, że dla pokonania przeciwnika nie wystarczy już krytyka pod adresem Tuska, wiara w sondaże i pokładanie nadziei w wynikach wyborów parlamentarnych. Rządzący Polską układ perfekcyjnie opanował medialne inscenizacje „demokracji kontrolowanej”, zaś ostatnie wybory obsługiwane przez serwery rosyjskiej firmy Internet Partners pokazały, że opozycja nie ma żadnego wpływu na „gry wyborcze w technologii IT”. Można się spodziewać, że w przypadku realnego zagrożenia zwycięstwem PiS-u, takie środki zostaną ponownie użyte. W posiadaniu Komorowskiego są także niezwykle skuteczne narzędzia, zawarte w ustawie o stanie wojennym. Pozwalają one zablokować lub zmienić każdy wynik wyborczy i w dowolnym momencie wprowadzić stan wyjątkowy.

Świadomość tej gry, powinna więc skłonić opozycję do podjęcia elementarnych działań prewencyjnych, w tym: pokazania opinii publicznej głównych uczestników spektaklu, ich intencji i rzeczywistych celów, podkreślenia szczególnej roli Belwederu i

zagrożeń związanych z budowaniem reżimu prezydenckiego, rezygnacji z nieskutecznych półśrodków, w postaci tworzenia „programów naprawczych”, kierowania wotum nieufności, wniosków personalnych i praktykowania tym podobnych „mechanizmów demokracji”, dzięki którym PiS marnuje czas, energię i społeczny potencjał. Uwiarygodnianie fałszywych mechanizmów nie leży w interesie opozycji i w tym zakresie nie powinna mieć Polaków złudnymi nadziejami. Jeśli bowiem Rosja planuje nam „wymienić premiera”, dokona tego nie w wyniku spektakularnych przewrotów lecz przy pomocy karty wyborczej i wykorzystania fikcyjnych „procesów demokracji”. Stając się uczestnikiem tej mistyfikacji, opozycja skazuje się na bolesną porażkę.

CZERWIEC

781. CENA STRACHU

Po złożeniu homagium przez Prezydium Konferencji Episkopatu Polski, podpisaniu orędzia z wysłannikiem płk Putina, publikacji „przesłania” Komorowskiego w śpiewniku uczestników Orszaku Trzech Króli, mamy kolejny akt politycznego serwilizmu. Akt szczególnie niegodziwy i podstępny, bo odnoszący się do młodzieży zgromadzonej na modlitewnym spotkaniu na polach Lednicy.

Zapraszając Komorowskiego na XVII Spotkanie Młodych Lednica 2000, ojcowie dominikanie poczynili wyrazisty gest polityczny po adresem środowiska Belwederu. Ta decyzja nie znajduje innego uzasadnienia i nie wolno doszukiwać się w niej sensu religijnego czy patriotycznego. Komorowskiego nie zaproszono ze względu na jego życiową postawę lub przymioty osobiste. Nie wpuszczono go dlatego, że swoim życiem zasłużył na miano „ojca narodu” czy „męża stanu”. Ta wizyta leżała w interesie obu stron i tylko w kontekście interesu należy ją oceniać.

Ten kto podjął decyzję, wykorzystał cynicznie nie tylko tradycję spotkań lednickich, ale potraktował instrumentalnie polską młodzież i świadectwo wiary dawane przez młodych Polaków.

Ojciec Jan Góra, odznaczony przed dwoma laty Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, niespecjalnie ukrywał, że zaproszenie lokatora Belwederu jest formą „pijaru”, który ma przyciągnąć zainteresowanie mediów. *„Cieszymy się, że pierwsza osoba w państwie daje swoją pieczęć dla tego spotkania. Dzięki temu wiele osób, które zapomniały o Lednicy, nagle sobie o niej przypomniało. Z wielokrotnością się też obecność mediów”* – stwierdził inicjator spotkania. Oceniając rzecz w takich kategoriach, można się spodziewać, że na następne spotkania w Lednicy, Jan Góra zaprosi zespoły rockowe i kilka skandalizujących „gwiazdek”.

Nie mam wątpliwości, że decyzja o zaproszeniu Komorowskiego ma wymiar na wskroś propagandowy, służy budowaniu medialnego wizerunku lokatora Belwederu i jest kolejną fałszywą inscenizacją, w której wykorzystuje się zaufanie jakim Polacy obdarzają Kościół i kapłanów. Tym większa wina tych, którzy ze spotkania modlitewnego zrobili prostacki wiec i obrazem „tańczącego prezydenta” próbują narzucić polskiej młodzieży fałszywe, parciane wzorce.

W takim działaniu wolno się dopatrywać szczególnie groźnej intencji. Ludzie, którzy chcieliby uczynić z Komorowskiego „wzór ojcostwa” i „konserwatyzmu” wydają się liczyć na to, że zapomnimy, kim naprawdę jest ten człowiek, jakim wartościom politycznym hołdował, z kim przystawał, co mówił i robił w swojej karierze.

W narzuconej Polakom optyce mamy nie pamiętać, że lokator Belwederu przez lata wspierał „czerwoną generalicję” i środowisko wojskowej bezpieki, stając się najzagorzalszym obrońcą i politycznym patronem ludzi WSi. Mamy zapomnieć jego pełne pogardy słowa na temat przeciwników politycznych i nie pamiętać o nienawiści, jaką żywił wobec prezydenta Kaczyńskiego. Mamy wymazać z pamięci obraz roześmianej twarzy Komorowskiego, gdy nasz prezydent wracał w trumnie z nie ludzkiej ziemi.

Mamy nie rozumieć, skąd brała się radość kremlowskich satrapów po wyborze tego człowieka i nie dostrzegać jego rozlicznych kontaktów z ludźmi służącymi Moskwie. Mamy zapomnieć, że jego serdecznym przyjacielem i alter ego jest poseł na P. i to czego nie mógł zrobić i powiedzieć lokator Belwederu, zawsze wykonywał jego kamrat. Bo i to mamy zapomnieć, że za sprawą Komorowskiego rozpętano walkę z krzyżem upamiętniającym ofiary Smoleńska, że pod jego siedzibą drwiono ze zmarłych, bito i łżono modlących się ludzi. Zapomnieć mamy tym szybciej, że w tym samym czasie polski Episkopat słał do Komorowskiego zadziwiające homagium, a opluwanych i bitych przez motłoch Polaków nazwano „fanatyczną sektą” i ludźmi „zadymionymi PiS-em”.

Jeśli ojciec Góra i podobni mu ludzie Kościoła, chcą młodym Polakom stawiać „na wzór” postać Komorowskiego – niech mają dość odwagi, by zmierzyć się z prawdą o tej postaci. Jeśli tej odwagi im brakuje – niech własnych słabości i przyziemnych interesów nie osłaniają powagą mojej wiary i mojego Kościoła.

Przez najbliższe dwa lata będziemy świadkami wielu podobnych mistyfikacji i wytyczania „drogi do cerkwi”, podczas których postać lokatora Belwederu będzie wręcz gloryfikowana i stawiana na piedestał. Taka jest logika ludzi budujących sojusz tronu i ołtarza, w którym reżim prezydencki ma stać się gwarantem małych i większych interesów. Ten proceder nie ominie polskiego Kościoła, nie oszczędzi też „naszych” mediów i środowisk politycznych.

Zamiast mocnego głosu sprzeciwu – usłyszymy nieczysty fałset medialnych wyrobników, poznamy „nowy Dekalog” i etykę, sprowadzoną do roli użytecznego narzędzia. Zamiast słów twardych i prostych – dostaniemy miazgę bełkotu lub otchłań haniebnego milczenia.

W tym przyzwoleniu na tryumf podłości, gnie z oczu rzecz najważniejsza. Prezydentura Komorowskiego była możliwa tylko dlatego, że na nie ludzkiej ziemi zginął Lech Kaczyński i elita polskiego narodu. Ci, którzy uciekają od prawdy o osobie lokatora Belwederu, niech już dziś szukają odpowiedzi na pytanie – jaką cenę zapłacą Polacy za kolejną kadencję?

782. JAK SB BUDOWAŁA „PAŃSTWO SOCJALISTYCZNE NOWEGO TYPU”

„To co się działo w 1989 r. nie miało nic wspólnego z wyborami i w tamtym czasie wszyscy to jeszcze nie tylko rozumieli ale i głośno mówili, nawet zwolennicy tej operacji. Po latach jednak sejm RP przyjmuje uchwałę nazywającą wydarzenia 1989 r. ‘wolnymi wyborami’. Ta operacja językowa jest niesłychanie ważna i groźna zarazem. Dla ludzi Platformy Obywatelskiej wywodzących się z ugrupowania powstałego przy okrągłym stole i z niego czerpiących swoje siły fikcja demokracji u źródeł III RP jest przesłanką usprawiedliwiającą ograniczenie, a nawet likwidację demokracji obecnie. Platforma wychodzi bowiem z założenia, że społeczeństwo, które nie potrafiło wywalczyć demokracji i niepodległości, a następnie pogodziło się z ich fikcją

da sobie odebrać istniejące wciąż namiastki demokratycznych instytucji” - powiedział Antoni Macierewicz w referacie wygłoszonym w grudniu 2009 podczas sejmowej konferencji zorganizowanej przez Annę Walentynowicz.

Wielka inscenizacja z 1989 roku stała się podstawą wszystkich procesów politycznych nowego państwa i pozwoliła zastąpić autentyczną demokrację agenturalno-esbeckim erzacem. Nawiązywała wprost do tradycji sfalszowanych wyborów roku 1947, z których komunistyczni najeźdźcy wywodzili swoje prawa do rządzenia Polakami. Podobnie jak pierwsze powojenne wybory stały się jednym z najważniejszych elementów mitu założycielskiego PRL, tak farsa roku 1989 jest do dziś fundamentem legitymizacji układu okrągłego stołu.

Historyk Maciej Korkuć w artykule „Wybory 1947 – mit założycielski komunizmu” (Biuletyn IPN 1-2/2007) pisał: *„Niepodległe państwo polskie nie uporało się dotychczas pod względem prawnym z dziedzictwem komunizmu w Polsce. Dokonana w dniu 31 grudnia 1989 r. przez ostatni, „kontraktowy” Sejm PRL zmiana nazwy państwa i jego godła miała znaczenie przede wszystkim w wymiarze symboli. Mimo że w roku 1991 odbyły się pierwsze wolne wybory parlamentarne, w sensie prawnym została podtrzymana w sposób niezakłócony ciągłość porządku prawnego zapoczątkowanego utworzeniem PKWN w Moskwie w 1944 roku. Od 1989 roku potwierdzały to także kolejne nowelizacje wywodzącej się z 1952 roku stalinowskiej konstytucji, przekształcające Polskę w państwo demokratyczne, ale nie podważające expresis verbis legalizmu władzy komunistycznej z lat 1944–1989, której faktycznym i najważniejszym źródłem były jednoosobowe decyzje Józefa Stalina.”*

Istnieje dokument, którego treść znakomicie ukazuje okoliczności powstawania III RP i weryfikuje propagandowe wyobrażenia o tamtym okresie. Sporządzony przez Służbę Bezpieczeństwa i datowany na dzień 26 lipca 1989 r, dokument ten znalazł się w teczce Wydziału II MSW, zatytułowanej *„Analiza sytuacji po wyborze Tadeusza Mazowieckiego na premiera”* i – jak wynika z pisma przewodniego, został przesłany przez kierownika Grupy Operacyjno-Sztabowej w Sekretariacie Szefa SB MSW płk Leonarda Kaczorkiewicza do ministra Czesława Kiszczaka.

Data sporządzenia świadczy, że powstał on przed powołaniem rządu Tadeusza Mazowieckiego, tuż po artykule Michnika „Wasz prezydent, nasz premier” i po wyborze Jaruzelskiego na prezydenta. Jak każe nam wierzyć propaganda III RP, był to czas, gdy pokonaliśmy komunę, a tzw. wybory parlamentarne otworzyły drogę do „nowej Polski”.

Prezentowany dokument to projekt przystosowania Służby Bezpieczeństwa do wymogów nowych czasów. Sporządzony przez samych esbeków i nazwany „koncepcją wstępną”, omawia wiele aspektów życia publicznego i wskazuje na te jego obszary, w których rola SB – jako policji politycznej, zostanie utrzymana. Z treści opracowania wynika jednak, że bezpieka przypisała sobie funkcje daleko wykraczające poza ramy „ochrony bezpieczeństwa”. Sami esbecy przyznają zaś, że w „nowej Polsce” będą dbać o „poprawne kształtowanie wzajemnych stosunków między społeczeństwem, a organami władzy” i wpływać na szereg procesów politycznych i gospodarczych. Przemianowanie SB na UOP, brak opcji zerowej w służbach i fikcja tzw. weryfikacji, w pełni potwierdziły zasadność „koncepcji wstępnej”.

Każdy z czytelników znających historię III RP może sam ocenić – na ile projekty SB znalazły zastosowanie po 4 czerwca 1989 r. i na ile są do dziś aktualne. W tekście znajduje się kilka (wytluszczonych przeze mnie) fragmentów, które kapitalnie ukazują zakres realnych wpływów bezpieki na proces budowania III RP i ujawniają zamiar zachowania funkcji kontrolnych przez ludzi Kiszczaka.

Już pierwsze zdanie tego tekstu - o „państwie socjalistycznym nowego typu”, zdumiewa trafnością diagnozy. By uzasadnić celność tego określenia, zacytuję fragment innego dokumentu z tego okresu – „załącznika do informacji dziennej z dn.07.04.1989 r”, w którym SB przedstawiło komentarze różnych środowisk po zakończeniu obrad okrągłego stołu. Czytamy tam m.in.:

„Środowiska inteligenckie we wstępnych komentarzach paraflowanie komunikatu o zakończeniu obrad „okrągłego stołu” oceniał jako wydarzenie mające historyczne znaczenie dla Polski. Dominuje pogląd, że wynikiem rozmów jest stworzenie nowego, zreformowanego systemu społeczno- politycznego, którego podstawą będzie społeczeństwo obywatelskie, funkcjonujące w państwie socjalistycznej demokracji parlamentarnej”.

Określenie „socjalistyczna demokracja parlamentarna” wydaje się niezwykle trafne na określenie bytu państwowego, jaki wyłonił się z porozumienia komunistów z koncesjonowaną opozycją. Przyjęcie tej nomenklatury pozwala też pełniej zrozumieć zacytowane na wstępie słowa Antoniego Macierewicza. Bo skoro nie potrafiliśmy wywalczyć prawdziwej niepodległości i pogodziliśmy się z fikcją demokracji w postaci „socjalistycznej demokracji parlamentarnej”, czy można się dziwić, że obecny reżim z taką łatwością odbiera nam nawet ten substytut wolnego państwa?

Warszawa. 1989.07.26

Tajne egz.nr.1

OCHRONA BEZPIECZEŃSTWA WEWNĘTRZNEGO PAŃSTWA W NOWYCH WARUNKACH SPOŁECZNO - POLITYCZNYCH I GOSPODARCZYCH.

/ koncepcja wstępna/

I. Polska Rzeczpospolita Ludowa przeobraża się w państwo socjalistyczne nowego typu. Realizowane są uchwały X Plenum KC PZPR i porozumienia zawarte przy "okrągłym stole. Zaistniała nowa sytuacja społeczno polityczna, która wyraża się w daleko idącym pluralizmie parlamentarnym i zarysowującym się liberalizmie gospodarczym. Rozluźnieniu uległy dotychczasowe więzi koalicyjne partii i stronnictw politycznych, do Sejmu i Senatu weszła licząca się opozycyjna siła polityczna.

Przemiany te powodują konieczność dostosowania organizacji państwa oraz sposobu sprawowania władzy do potrzeb społeczeństwa, w którym w ostatnich dziesięcioleciach zaszły istotne przewartościowania i zmiany strukturalne. Skutkiem pogłębiającej się demokratyzacji życia społecznego będzie m.in. zwiększenie parlamentarnej kontroli nad funkcjonowaniem służb resortu spraw wewnętrznych. Świadczy o tym nasilające się żądanie opozycji nowelizacji ustawy o Urzędzie Ministra Spraw Wewnętrznych i odpolitycznienie resortu. Należy się liczyć także z jakościową zmianą zadań Służby Bezpieczeństwa i ich charakteru. **Zapewne zmianie ulegnie także charakter służby - z aparatu o charakterze dotychczas partyjno-politycznym przekształci się w służbę typu państwowej policji politycznej, który nie musi być tożsamy z interesem poszczególnych partii politycznych.** Stanie się organem wykonawczym o stosunku do ustawy zasadniczej.

Zalegalizowanie istnienia i działalności opozycji politycznej, swoboda zrzeszania się i głoszenia poglądów spowoduje, że zmieni się zakres pojęcia wrogiej działalności ideologicznej i politycznej, co znacznie ograniczy merytoryczny zakres

zainteresowań Służby Bezpieczeństwa. Podobnie w sferze gospodarczej, niektóre zjawiska przestaną być zaliczane do przejawów wrogiej działalności.

Niezależnie od powyższych nieuchronnych przekształceń powinnością Służby Bezpieczeństwa będzie służyć narodowi polskiemu, bez względu na układ sił politycznych w kraju i dynamikę przemian polityczno-ustrojowych. Podstawowym zadaniem SB jest i będzie ochrona bezpieczeństwa państwa, które należy rozumieć jako stan rzeczy zapewniający warunki do nie zakłóconego funkcjonowania organów władzy i administracji, a społeczeństwu umożliwiający korzystanie z pełni praw i swobód obywatelskich przysługujących suwerenowi.

Ochrona tak rozumianego bezpieczeństwa wewnętrznego kraju będzie polegać na poprawnym kształtowaniu wzajemnych stosunków między społeczeństwem, a organami władzy i innymi instytucjami państwowymi realizującymi podstawowe zadania w interesie ogólnonarodowym, z poszanowaniem praw i interesów jednostek. Z drugiej zaś strony, będzie polegać na niedopuszczaniu do powstawania i na likwidowaniu zaistniałych czynników zakłócających lub mogących zakłócić harmonijne funkcjonowanie społeczeństwa i ustanowionych przez nie organów państwowych.

Z przedstawionego sposobu zdefiniowania ochrony bezpieczeństwa wewnętrznego, wynika, że jej realizowanie jest w gestii organów władzy, a także powołanych do tego instytucji państwowych mających wpływ na poprawne kształtowanie stosunków ze społeczeństwem, do czego są zobligowane ze względu na socjalistyczny charakter państwa.

Natomiast w zakresie zapobiegania powstawaniu i likwidowaniu zagrożeń o charakterze politycznym, obowiązek ochrony bezpieczeństwa spełniać musi specjalnie do tego celu powołana wyspecjalizowana służba państwowa, którą jest obecnie SB. Służba ta w zakresie szeroko rozumianego zapobiegania zagrożeniom bezpieczeństwa wewnętrznego państwa winna prowadzić także wykrywanie i rozpoznawanie wszelkich przejawów naruszenia bezpieczeństwa i interesów państwa bez względu na to, kto się tego dopuścił. Do zadań służby ochrony bezpieczeństwa wewnętrznego państwa winno należeć przede wszystkim:

- ochranianie porządku konstytucyjnego w kraju,
- ujawnianie ekstremalnej działalności politycznej godzącej w porządek prawny państwa,
- wykrywanie i likwidowanie organizacji terrorystycznych, niezależnie od ich charakteru politycznego, [...]

II. W nowej sytuacji społeczno politycznej i gospodarczej, określonej m.in. przez zmiany w ustawodawstwie, resort SW nie może być - tak jak obecnie - angażowany bezpośrednio i w tak szerokim zakresie, jak dotychczas w doraźne działania o charakterze politycznym. Konieczne stanie się wypracowanie nowych form i metod, pozwalających na to, aby resort SW był w dalszym ciągu gwarantem stabilności państwa.

Służby resortu przede wszystkim prowadzić winny działania operacyjne koncentrując się na ujawnianiu, zapobieganiu i zwalczaniu szeroko rozumianej działalności skierowanej nie przeciwko jakiegokolwiek legalnie działającej organizacji politycznej lecz przeciwko podstawowym interesom państwa. Z tego też względu, w większym niż dotychczas zakresie należy dążyć do wytworzenia obrazu Służby Bezpieczeństwa, jako służby, której zadaniem jest strzec praworządności i działać zgodnie z interesami i oczekiwaniami całego społeczeństwa.

W związku z utratą możliwości ingerencji resortu w procesy powoływania i rejestracji stowarzyszeń, towarzystw., itp. oraz dotychczasowej kontroli ich funkcjonowania, zmianom muszą ulec formy i metody pracy, mające głównie na celu operacyjną kontrolę tych organizacji i ich liderów. W tym zakresie należy rozszerzyć współdziałanie poszczególnych służb WUSW z wydziałami społeczno-administracyjnymi Urzędów Wojewódzkich. Działania resortu z oddziaływań administracyjnych winny przejść w prewencyjne. W sferze gospodarczej musi pogłębić się współdziałanie MSW z systemem bankowym i aparatem fiskalnym. Wynika to m.in. z możliwości dopływu i zaangażowania kapitału zagranicznego do sektora państwowego i prywatnego gospodarki narodowej.

Wskazane byłoby m.in. rozważenie stworzenia systemu precyzyjnego pozamerytorycznych wymagań wobec kandydatów na określone stanowiska w administracji i gospodarce państwowej, z uwzględnieniem ochrony bezpieczeństwa państwa. Wynika to m.in. z decyzji o odchodzeniu od dotychczasowego systemu nomenklatury.

Wydaje się konieczne, aby w zakresie problematyki wyznaniowej praca operacyjna była głęboko zakonspirowana. Z uwagi na uregulowania prawne stosunków między państwem, a Kościołami niezbędne jest wypracowanie nowych metod pracy na tym odcinku.

III. Szczegółowe rozważania zależne są od ustalenia w nowych warunkach polityczno - ustrojowych miejsca i roli SB w strukturze naczelných organów administracji państwowej. Pozwoli to m.in. na :

- selekcję zainteresowań służby ochroną sfery politycznej i gospodarczej;
- określanie zadań priorytetowych o znaczeniu strategicznym/długofalowym/, jak i taktycznych /instrumentalnych/;
- reformę struktury wewnętrznej resortu z określeniem zadań na poszczególnych szczeblach centralnym i koncepcyjno - sztabowym; wojewódzkim - koordynacyjno - nadzorczym; rejonowym - wykonawczym.

IV. Zachodzi potrzeba określenia - odpowiednio do zaistniałej sytuacji - nowej organizacji wewnętrznej SB i jej miejsca w strukturze organów państwowych.

Celowe wydaje się, aby rozważyć zasadność utrzymania SB w systemie Rady Ministrów jako jednego z wyspecjalizowanych organów MSW. Takie usytuowanie stwarza szerokie możliwości ingerencji i kontroli inspirowanych przez przedstawicieli różnych ugrupowań politycznych w parlamencie i rządzie.

Rozwiązaniem alternatywnym bardziej korzystnym byłoby podporządkowanie SB jako państwowej policji politycznej Prezydentowi PRL będącemu organem właściwym także w sprawach bezpieczeństwa państwa.

[...]

Opracowano w Służbie Bezpieczeństwa.

Źródło:

http://www.rok1989.pl/porta1/r89/1158/8675/Archiwum_Centrali_IPN.html

783. KRĘGI PIEKŁA RODZINY OLEWNIKÓW

„Panie Premierze, nie ulega wątpliwości, że w porwaniu naszego syna, jego okrutnym i zwyrodniałym dręczeniem i w konsekwencji mordem brały udział osoby z organów państwowych, które powinny służyć obywatelowi do ochrony jego bezpieczeństwa, a które to gwarantuje konstytucja. W tej chwili dzieje się wszystko odwrotnie, pomimo nagłośnienia medialnego naszej sprawy, pomimo wręcz sztywności mediów oraz społeczeństwa nawet wpływowych polityków z naszej sprawy”. (z listu Włodzimierza Olewnika do Donalda Tuska z 13.02.2010 r.)

Trudno oprzeć się wrażeniu, że od czasu, gdy ojciec zamordowanego Krzysztofa skierował do premiera list, w którym zawarł oskarżenia pod adresem obecnego układu, celem organów III RP i wspomagających je ośrodków propagandy, stały się ataki na rodzinę Olewników. Od wielu miesięcy próbuje się narzucić fałszywą interpretację sprawy zabójstwa, reaktywuje skompromitowaną wersję samouprawdzenia i tworzy przeświadczenie, że ofiara miała być zamieszana w „zabójstwo prostytutki”, a rzecz dotyczy lokalnych porachunków. Ostatnim akordem były przeszukiwanie domostw rodziny Olewników i postawienie prokuratorskich zarzutów „nielegalnego posiadania broni i amunicji” Włodzimierzowi Olewnikowi i Klaudiuszowi C. Ojca Krzysztofa próbowano już oskarżać w roku 2008, gdy publicznie oświadczył, że *„za porwaniem syna stali wpływowi politycy. Ukarani zostali tylko wykonawcy, prawdziwi mordercy są wciąż na wolności”*. Kilka miesięcy później prokuratura postawiła mu zarzut „naruszenia nietykalności cielesnej” prokuratora Grzegorza Pluto, którego Olewnik miał uderzyć.

Inicjatorzy obecnej kampanii mają świadomość, że Polacy nie posiadają rzetelnej wiedzy na temat sprawy i chętnie przyjmą miałą argumentację medialnych demiurgów. Zmierzają ona do pozbawienia Olewników zaufania społecznego, skierowania na nich podejrzeń o mactwa, a w konsekwencji – zmuszenia ich do milczenia i kapitulacji. Rządowe media, korzystając z prokuratorskich przecieków, nie cofają się przed formułaniem najbardziej absurdalnych hipotez lub wykorzystywaniem oświadczeń osób zamieszanych w sprawę. Tak było w przypadku Mikołaja B., podejrzewanego o wyłudzenie 13 tys. zł od Włodzimierza Olewnika i utrudnianie śledztwa. Ten poszukiwany od 2011 roku człowiek, skarżył się na łamach jednego z tygodników, że *„boi się”* polskich służb i *„ma ku temu konkretne powody”*. Twierdził nawet, że gdyby trafił do więzienia to na pewno z niego nie wyjdzie. Jednocześnie oskarżał Włodzimierza Olewnika i twierdził jakoby ojciec zamordowanego *„systematycznie ukrywał dowody mogące świadczyć o ciemnej stronie życia Krzysztofa”*. Można przypuszczać, że kontakty Mikołaja B. z mediami zaowocowały zawarciem jakiejś formy ugody z prokuraturą. Zatrzymany, przesłuchany i wypuszczony na wolność w listopadzie 2012 roku, Mikołaj B. w cudowny sposób odzyskał *„wiarę w prawo i w polskie sądy”* i zadeklarował współpracę z prokuraturą. W podobny sposób media traktują słowa Jacka K., dawnego przyjaciela Krzysztofa Olewnika, którego rodzina zamordowanego oskarża o udział w porwaniu i zabójstwie. Przebywający na wolności i brylujący w programach telewizyjnych, Jacek K. chętnie atakuje Olewników i opowiada, iż ojciec zamordowanego to *„bardzo wyrafinowany człowiek i w interesach bezwzględny”*.

Aktywność organów państwa i rządowych mediów nie jest skierowana na wyjaśnienie prawdziwych okoliczności mordu lub wskazanie mocodawców. W relacjach z rozpoczętego właśnie procesu policjantów wskazuje się np. na „nowe ustalenia” prokuratury, podważające wersję sądową z 2007 roku. Nowość tych ustaleń polega jednak na tym, że prokuratura za „szczególnie niewiarygodne” uznaje przebieg zdarzeń z nocy zaginięcia Krzysztofa i forsuje tezę, jakoby porwanie miało związek *„z innym zdarzeniem o kryminalnym charakterze”*. Nie ma też wątpliwości, że śledztwo podlega uwarunkowaniom politycznym i jest obiektem szczególnego zaangażowania „nieznanych sprawców”.

Warto pamiętać, że od czasu objęcia rządów przez PO-PSL, mamy do czynienia ze złowrogą sekwencją zdarzeń: likwidowaniem niewygodnych świadków, próbami zastraszania, niszczeniem dowodów oraz wieloma innymi incydentami, świadczącymi, iż mocodawcy tej zbrodni czują się całkowicie bezkarni.

- w kwietniu 2008 roku samobójstwo popełnił Sławomir Kościuk – jeden ze skazanych za zabójstwo Olewnika,
- w maju 2008 roku splądrowano dom Danuty Olewnik. Włamanie zostało odebrane jako próba zastraszania rodziny.
- 12 czerwca 2008 r. w magazynie olsztyńskiego CBS, gdzie przechowywano dowody ze sprawy doszło do „awarii sieci kanalizacyjnej”, przez co zniszczeniu uległo 46 pudełek i kopert, w których przechowywano istotne dla sprawy dowody. O tym fakcie poinformowano dopiero w 2009 roku.
- w styczniu 2009 roku, w celi więziennej w Sztumie, popełnił samobójstwo Robert Pazik – kolejny skazany w procesie Olewnika. Brat Pazika twierdził, że więźnia zmuszono do odebrania sobie życia.
- 17 lipca 2009 r. samobójstwo popełnił strażnik więzienny, który w czerwcu 2007 roku pełnił dyżur w olsztyńskim więzieniu, gdy w celi powiesił się rzekomy „mózg” siatki porywaczy Wojciech Franiewski (prawdopodobnie wieloletni tajny współpracownik służb PRL). Prokuratura uznała, że śmierć strażnika nie ma związku z czynnościami służbowymi.
- w lipcu 2009 r. doszło do włamania w domu adwokat Jolanty Turczynowicz-Kieryłło – obrońcy policjantów podejrzanych o zaniedbania w sprawie Olewnika. Sprawcy ukradli m.in. laptopy, w których były informacje dotyczące sprawy i niepublikowany wywiad z Remigiuszem M., szefem policyjnej grupy poszukującej porwanego. Jednocześnie dokonano włamania do skrzynki e-mailowej męża prawniczki. Znajdowały się tam te same materiały, co w skradzionych laptopach.
- w październiku 2010 Gazeta Polska ujawniła, że z Komendy Policji w Sierpcu zginęły dowody, które mogły pomóc w ustaleniach związanych z Ireneuszem Piotrowskim, skazanym w procesie o zabójstwo Olewnika.

Ojciec zamordowanego w liście do premiera przypominał zaś, że za czasów obecnego układu awansowano policjantów oskarżonych o niedopełnienie obowiązków i utrudnianie śledztwa, a jednym z szefów CBA uczyniono Janusza Czerwińskiego - *„nieudacznika nad nieudacznikami, a być może nawet jednego z decydentów w uprowadzeniu i zamordowaniu mojego syna”* – jak określa tę postać Włodzimierz Olewnik.

Przez pewien czas nadzieje na wyjaśnienie sprawy dawała sejmowa komisja śledcza, powołana w roku 2009 dzięki determinacji rodziny Olewników. Działając w ramach zakreślonych przez marszałka Komorowskiego i kierowana przez Marka Biernackiego z PO, nie wyszła jednak poza analizę błędów policji i prokuratury. Ujawniła to tylko, co można było bezpiecznie odsłonić, nie narażając głównych decydentów i mocodawców. Koronna konkluzja została sprowadzona do tezy, że szefostwo policji i MSWiA było wprowadzane w błąd przez policjantów niższego szczebla, a zatem wykluczona została nawet odpowiedzialność zwierzchników i polityków odpowiedzialnych za nadzór nad służbami. Konsekwencji nie ponieśli również prokuratorzy prowadzący śledztwo. Końcowy raport nie zawierał żadnych wątków politycznych, a wręcz starannie omijał kwestię odpowiedzialności najwyższych przedstawicieli państwa.

Pisząc przed laty o tej sprawie, nadałem jej miano „kręgów piekła”. Rodzina Olewników ma prawo doznawać podobnych odczuć, jakich doświadczał autor „Boskiej komedii”, gdy wchodząc do Piekła przeczytał nad bramą napis - *„Lasciate ogni speranza, voi ch'entrate”* - *Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy wchodzicie*.

Stojący za tą zbrodnią ludzie wiedzą, że ujawnienie prawdy groziłoby rozbiciem mafijnego układu III RP. Dlatego Krzysztof Olewnik i prawda o jego śmierci umiera na naszych oczach po raz drugi.

784. ROKITIADA – O SUKCESORACH MICHNIKOWSKIEJ METODY

Z rosnącą irytacją i zdumieniem obserwuję cyrk rozpętany wokół prominentnej postaci PO - Jana Rokity. Nie dziwi mnie, że autorami spektaklu są dziennikarze portalu „wPolityce” i bliskie im grono „niepokornych” żurnalistów. Po nagłaśnianiu dywagacji Staniszkis, żenującej inscenizacji z Gowinem i grze wokół Wiplera – trzeba wielkich pokładów prostoduszności, by upierać się, że mamy do czynienia z poważnymi „analitykami” życia politycznego lub nie dostrzegać intencji tego środowiska. Irytuje natomiast, że ten niewybredny spektakl, rozgrywany w fatalnej odsadzie i przewidywalnym scenariuszu, znajduje tylu bezkrytycznych odbiorców, a nawet jest wspierany przez polityków opozycji. W państwie, w którym tysiące zwykłych obywateli jest krzywdzonych i prześladowanych przez kastę komorniczą i tzw. wymiar sprawiedliwości, deklaracja Jarosława Kaczyńskiego o udzieleniu pomocy Rokicie, brzmi co najmniej niemądrze. Byłoby lepiej, gdyby politycy opozycji miast bawić się w „pijarowskie” zagrywki, twardo walczyli z sądowo-prokuratorskimi patologiami i wskazali Polakom realne środki na przywrócenie prawa i elementarnej sprawiedliwości. Mówienie po raz setny o „zagrożeniu demokracji” i potrzebie „działań naprawczych” – nie należy do arsenału takich środków.

Warto sobie uświadomić, że czynienie z polityka Platformy osoby prześladowanej przez reżim, to siarczyście policzek wymierzony tym wszystkim, którzy przez ostatnie lata zostali doświadczeni podłością, cynizmem i głupotą przedstawicieli „trzeciej władzy”. Nie przypominam sobie, by prezes Kaczyński deklarował wsparcie finansowe dla uczestników obchodów tragedii smoleńskiej, ukaranych grzywnami za „zaśmieszanie miejsca dostępnego dla publiczności” lub chciał pomagać kobiecie, którą aresztowano w nocy z powodu niezapłaconej grzywny, a jej dzieci umieszczono w pogotowiu opiekuńczym. Nie słyszeliśmy takich deklaracji w sierpniu 2012 roku, gdy Krzysztofowi Wyszkowskiemu groziło zlicytowanie przez komornika ani rok wcześniej, gdy warszawska policja zatrzymała i badała na wykrywaczu kłamstw człowieka, który usunął kwiaty spod pomnika Armii Sowieckiej.

Medialny cyrk wokół Rokity jest częścią tej samej kampanii, jaką zorganizowano wcześniej w sprawie „konserwatysty” Gowina. Jak napisałem wówczas - prowadzi ona do zafałszowania polskiej rzeczywistości i narzucenia nam tematów trzeciorzędnych, skutecznie tumani wyborców PiS-u, zwalnia ich z głębszej refleksji i nakazu dotarcia do prawdy.

Nie znam publikacji owych żurnalistów, w których przypominano by rolę Rokity w obaleniu rządu Jana Olszewskiego lub przedstawiono realne efekty prac tzw. komisji Rokity, powołanej przez Sejm X kadencji do zbadania działalności peerelowskiego MSW. Jedna tylko wypowiedź tego polityka dla komunistycznej „Trybuny” z 20 lipca 1992 roku pozwala ocenić jego intencje. Odmawiając Olszewskiemu pełnienia roli w życiu politycznym, ówczesny polityk UD twierdził, że należy środowisko premiera „politycznie izolować” i perorował - *„Ich działalność bowiem, sprowadzająca się ostatnio do kłamstw, oszczerstw i szantażu, staje się coraz częściej czynnikiem szkodzącym interesom państwa polskiego, grupy Olszewskiego działa już na granicy prawa. Jeżeli ją przekrocza, państwo ze swoją siłą powinno im się przeciwstawić”*. Rok później, to Rokita zdecydował o posłaniu policji w celu bezwzględnego rozbięcia manifestacji w rocznicę obalenia rządu Olszewskiego, a jej uczestników nazwał „siłami antypaństwowymi” i „niekonstruktywną opozycją”.

Przy okazji obecnej inscenizacji, nie dowiemy się nic o wpływach tego polityka na stworzenie tzw. układu krakowskiego w służbach, występowaniu w obronie Bondaryka czy promowaniu Wojciecha Brochwicza – Raduchowskiego. Nawet deklaracja Rokity z sierpnia 2007 roku - *„dekacyzacja Polski jest konieczna”*, nie wywoła dziś refleksji nad tragicznymi skutkami owej „dekacyzacji” i nie sprowokuje do postawienia politykowi Platformy pytań o jego sprzeciw wobec działań partyjnych kamratów w latach 2008-2013.

Próżno też poszukiwać jedynej sensownej konkluzji z „casusu Rokity”, a mianowicie, że ma on stanowić łagodne ostrzeżenie dla tych byłych i obecnych polityków PO, którym przyszkolono do głowy występowanie przeciwko interesom reżimu lub kusiloby ich wyjawienie tajemnic grupy rządzącej. Taki obraz nie pasuje do partyjnych „mechanizmów demokracji”, przy pomocy których większość żurnalistów opisuje rzeczywistość III RP, bo w miejsce bredni o odcinaniu „skrzydeł konserwatywnych” wymagałby dogłębnej refleksji i sięgnięcia po terminologię mafijną.

W publikacjach „wPolityce” można natomiast dostrzec projekcję poglądu, jakoby ludzi PO należało różnicować - ze względu na wyznawany system wartości, stosunek do problemów etycznych, ambicje polityczne czy reakcje wobec opozycji. Za sprawą Rokity, do tego fałszywego katalogu dochodzi dziś kategoria „prześladowanych” prominentów, którą za kilka miesięcy będzie można zapełnić kilkoma innymi postaciami. Zdaniem niektórych żurnalistów, wśród członków Platformy powinniśmy dostrzegać przeciwników dyktatury Tuska, zdeklarowanych konserwatystów lub światłych liberałów. To z kolei ma prowadzić do konkluzji, że w łonie grupy rządzącej są ludzie mniej i bardziej zdegenerowani, a nawet tacy, z którymi należy prowadzić dialog i traktować ich jak sprzymierzeńców.

Uwzględniając różnice historyczne i skalę „dokonań” polityków PO, warto zrozumieć, że mamy tu do czynienia z takim samym mechanizmem, jakim posługiwał się Michnik i ludzie okrągłego stołu, osławiający Polaków z reżimem komunistycznym i „ludzkim obliczem” Kiszczaka i Jaruzelskiego. W miejsce prawdy o tych postaciach i rozliczenia zbrodni reżimu – dano nam relatywistyczny bełkot, zatarto podstawowe granice i w poszukiwaniu „historycznego konsensusu”, wymieszano dobro ze złem.

To co robią dziś „nasi” dziennikarze - gloryfikując Gowina i „stygmatyzując” Rokitę – nie jest w istocie niczym innym.

785. SB I TRADYCJE ORĘŻA

Decyzja Europejskiego Trybunału Praw Człowieka o odrzuceniu roszczeń blisko dwóch tysięcy byłych esbeków, skarżących Polskę w sprawie tzw. ustawy dezubekizacyjnej, oznacza fiasco wieloletniej kampanii prowadzonej przez środowisko zrzeszone w Związku Byłych Funkcjonariuszy Służb Ochrony Państwa (ZBFSOP) i Federacji Stowarzyszeń Służb Mundurowych (FSSM). Trybunał Europejski odmówił rozpatrzenia skargi na ustawę z 2009 r. obniżającą im emerytury i orzekł, iż *„praca skarżących w tajnej policji powołanej w celu naruszania podstawowych praw człowieka (...), powinna być uważana za istotną okoliczność dla wyznaczenia kategorii osób, które mogą być objęte redukcją świadczeń emerytalnych”*.

Byli esbecy nie zamierzają pogodzić się z tym stanowiskiem. Zarząd Główny ZBFSOP zapowiedział już podjęcie „konsultacji z kancelariami prawniczymi co do rodzaju dalszego postępowania osób dotkniętych ustawą zmniejszającą emerytury”, zaś na stronie internetowej posła Janusza Zemke – rzecznika tego środowiska, można przeczytać pełne oburzenia głosy weteranów z SB: *„No i to jest sprawiedliwość strasburska”, „zdaniem Trybunału „ubek” pomimo ustawy dezubekizacyjnej ma i tak więcej niż*

inni i ma się dobrze? „Trybunał zlekceważył tysiące polskich obywateli, czyniąc z nich wyrzutków tzw. polskiego demokratycznego państwa prawa”, „Nie składamy broni. Szukajmy sprawiedliwości w polskich sądach”. Warto dostrzec, że wiara byłych esbeków „w polskie sądy” wydaje się opierać na szczególnych przesłankach. „Bójki właśnie na salach rozpraw, ostatni rzut tortem nie „osłodził” sędziom pracy. Mam nadzieję, że ten wybryk, niezrównoważonego kombatanta walki o „tę Polskę” spowoduje, że Temida wyda stosowny wydykt z wnioskami na przyszłość. Dziś tort jutro bomba – granat? Tak być nie może!” – perorował u posła Zemke „były pracownik służb dt”.

Informacja o orzeczeniu Trybunału przypominała nam o istnieniu doskonale zorganizowanego i aktywnego środowiska byłych esbeków i oficerów LWP. Dla ochrony ich interesów, za czasów koalicji PO-PSL powołano Federację Stowarzyszeń Służb Mundurowych (FSSM), w której znalazły się m.in.: Związek Żołnierzy Wojska Polskiego, Stowarzyszenie Emerytów i Rencistów Policyjnych, Stowarzyszenie Generałów Policji, Stowarzyszenie SOWA, Związek Byłych Funkcjonariuszy Służb Ochrony Państwa. Przed rokiem, FSSM podjęła współpracę z tzw. Międzynarodową Radą Konsultacyjną Związków Oficerów Rezerwy (IAC) – organizacją powołaną w Moskwie przez weteranów Armii Sowieckiej. Członkowie FSSM należą dziś do najbardziej gorliwych obrońców praw człowieka i są piewcami zasad prawa i demokracji.

W kwietniu br., tuż przed ogłoszeniem wyroku Trybunału, przedstawiciele FSSM zorganizowali w siedzibie Senatu Międzynarodową Konferencję z okazji 60-lecia wejścia w życie Europejskiej Konwencji Praw Człowieka. Głównym punktem konferencji było przyjęcie apelu do prezesa Europejskiego Trybunału Praw Człowieka – Dean’a Spielmanna. W trosce o „przywrócenie demokratycznego porządku prawnego w naszym kraju”, reprezentanci FSSM zwrócili się do Spielmanna z apelem „o pomoc w zapewnieniu praw wynikających z artykułu 6 ustęp 2 i 3 Traktatu o Unii Europejskiej” i napisali:

„Mimo upływu ponad 20 lat od chwili likwidacji systemu komunistycznego w naszym kraju jesteśmy poddawani jako grupa zawodowa nieustającemu szykanowaniu ze strony oficjalnych przedstawicieli władz państwa, organów sądowiczych, polityków i wybranych grup społecznych. Odmawia się nam prawa do udziału w życiu społecznym, zawodowym i politycznym. Jesteśmy traktowani jak obywatele drugiej kategorii.”

Pod tą szczególną skargą na państwo polskie widnieją podpisy: prezydenta FSSM - gen. Adama Rębacza, szefa ZBFSOP - płk Macieja Niepsuja oraz byłego komendanta wojewódzkiego MO, a dziś prezesa stowarzyszenia Emerytów i Rencistów Policyjnych- płk Henryka Borowińskiego. Gen. Rębacz, który do roku 2001 był dowódcą Śląskiego Okręgu Wojskowego, w czasie stanu wojennego dowodził 23 Pułkiem Czołgów w Słubicach, a w latach 1987-1989 był słuchaczem Akademii Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych ZSRR w Moskwie. W roku 2008, gdy rozpoczął się proces sądowy Jaruzelskiego i członków WRON, Adam Rębacz, jako prezes Zarządu Głównego Związku Byłych Żołnierzy Zawodowych i Oficerów Rezerwy WP pisał do generała - „pragnę zapewnić Pana o naszym największym szacunku. Szanowny Generale, Pan już wygra! Tylko „mali” tego dzisiaj nie potrafią lub nie chcą zrozumieć”.

Z kolei Maciej Niepsuj, to funkcjonariusz kontrwywiadu SB, czyli Departamentu II MSW, który w roku 1988 przeszedł szkolenie w moskiewskiej szkole KGB im. Feliksa Dzierżyńskiego. W latach 2002-2005, Niepsuj był „konsultantem” ABW.

Ci zasłużeni weterani, w piśmie do przewodniczącego ETPC skarżyli się - „Większość z nas to osoby w wieku podeszłym, które znalazły się na granicy nędzy i nie potrafią dochodzić swoich praw. Nie widzimy też możliwości uzyskania znaczącego wsparcia w kraju, gdyż osoby lub instytucje, które chcą nam pomóc są napiętnowane.”

Europejski Trybunał nie wykazał współczucia nad losem gnębionych weteranów. I choć zdecydowały o tym argumenty prawne, to również realia III RP zadają kłam twierdzeniom zawartym w „apelu” FSSM. Byli esbecy i oficerowie „ludowego” wojska są bowiem grupą szczególnie uprzywilejowaną, która nie tylko odniosła największe korzyści z procesu „transformacji ustrojowej” ale do dziś ma zapewniony wpływ na sprawy kraju. To oni zajmują stanowiska w armii, służbach i urzędach państwowych, są „specjalistami ds. bezpieczeństwa”, pełnomocnikami ochrony informacji niejawnych, zasiadają w rozlicznych spółkach, działają w biznesie, prowadzą firmy informatyczne, ochroniarskie czy detektywistyczne. Większość polskich emerytów i ludzi prześladowanych przez komunistyczny reżim, chętnie dokonałaby zamiany swoich dzisiejszych uposażeń na ową „granice nędzy”, o której dywagują weterani PRL-u.

Nie jest też prawdą, że środowiska FSSM są „piętnowane” przez przedstawicieli obecnej władzy lub odmawia im się prawa do udziału w życiu publicznym. Praktyka wskazuje na coś wręcz przeciwnego, bo sygnatariusze skargi to ludzie, których koalicja PO-PSL wspiera i honoruje w sposób szczególny.

Generał Rębacz informując Europejski Trybunał, iż jest szykanowany i traktowany „jak obywatel drugiej kategorii” najwyraźniej zapominał, że przed rokiem był serdecznie przyjmowany w Belwederze, jego organizacja korzysta z przychylności MON, a przed dwoma laty obecny reżim uroczyście obchodził rocznicę 30-lecia Związku Żołnierzy Wojska Polskiego, zrzeszającego w większości weteranów „ludowej” armii. Na ręce Rębacza – prezesa Zarządu Głównego ZZWP, gratulacje i życzenia skierował wówczas minister obrony narodowej Klich, szef Sztabu Generalnego gen. Cieniuch i dowódca Wojsk Lądowych gen. Głowienka. O zasłużonych bojownikach LWP nie zapomniał również lokator Belwederu, kierując do nich specjalny list. Bronisław Komorowski przesyłał im serdecznie pozdrowienia i gratulacje z okazji 30-lecia ZZWP i pisał: „Z uznaniem myślę o Państwa działalności, której celem jest nie tylko dobro uczestników tego stowarzyszenia, ale również umacnianie zdolności obronnych i bezpieczeństwa naszej Ojczyzny. (...) Działalność Związku przyczynia się do pielęgnowania tradycji polskiego oręża i kształtowania pozytywnego wizerunku wojska w społeczeństwie”. Komorowski podkreślał również, iż docenia zaangażowanie ZZWP – „w wymiarze międzynarodowym niepozostające bez wpływu na to, jak polska armia i związane z nią środowiska są postrzegane przez naszych sojuszników i partnerów”.

Współpracująca z sowieckimi kombatantami organizacja gen. Rębacza, z pewnością wybrała właściwych sojuszników i partnerów. Wysyłając skargę do prezesa ETPC na „szykany” i „wykluczenia”, dowiodła Polakom, jakim tradycjom pozostaje wierna.

786. PAŃSTWO BAUMANA

Rozgrywana od kilku dni prowokacja z udziałem byłego funkcjonariusza PPR/PZPR Z. Baumana, pozwala sformułować oceny dotyczące III RP i znakomicie ułatwia dostrzeżenie głębokich więzów historycznych i aksjologicznych, spajających obecny reżim z komunizmem.

Po pierwsze, należy rzecz postawić „na nogi” i uświadomić sobie, że zdarzenie rozegrane na Uniwersytecie Wrocławskim ma cechy ewidentnej prowokacji, wymierzonej w Polaków.

To bowiem, że agenci obcego mocarstwa, zwani „polskimi komunistami” obdarzyli kiedyś majora Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego mianem „naukowca” i nadali mu tytuł profesorski – jest problemem tychże komunistów i w żaden sposób nie

wiąże nas obowiązkiem uznania „dorobku naukowego” tego człowieka. Dla porządku przypomnę, że historia totalitaryzmu pełna jest postaci „literaturoznawców”, „filozofów” lub doktorów prawa, dokonujących najgorszych zbrodni. Dla Polaków, doświadczonych półwieczem sowieckiej okupacji, której gwarantami byli tzw. „polscy komuniści” – najważniejszym kryterium winna być antypolska działalność Zygmunta Baumana w sowieckich organach represji. Począwszy od pracy w sowieckiej milicji, poprzez funkcję oficera KBW, po rolę agenta zbrodniczej Informacji Wojskowej i szefa Zarządu Politycznego Propagandy i Agitacji LWP. Ta działalność jest dostateczną i moralnie usprawiedliwioną przesłanką dla sformułowania negatywnej oceny Baumana. Na tej podstawie, mamy pełne prawo decydować o naszym stosunku do tak jednoznacznie odrażającej postaci. Z polskiego punktu widzenia jest niezwykle istotne, że Bauman nigdy nie został rozliczony z działalności w przestępczych organach represji, nie zadośćuczynił za swoje czyny, nie poddał się moralnym i prawnym sankcjom.

Jest zatem oczywiste, że zapraszanie człowieka o takiej przeszłości do instytucji zwanej „polskim uniwersytetem” i prezentowanie go polskiej młodzieży, jako „wybitnego socjologa i naukowca”, należy odbierać jako groźną prowokację – tym groźniejszą, że wymierzona w ludzi młodych i obliczona na zanegowanie polskiej historii i polskich tradycji intelektualnych.

Nikt nie ma prawa wymagać, by ludziom pokroju Baumana przysługiwało uznanie i szacunek, względnie na „dorobek naukowy”, pozycję społeczną czy wiek. Fakt, iż rządzący III RP establishment nigdy nie odważył się nazwać ani rozliczyć zbrodni komunizmu, a samozwańcze „autorytety” tego państwa obdarzyły bandytów mianem „ludzi honoru” – w niczym nie umniejsza naszego prawa do dokonywania samodzielnych ocen, zgodnych z zasadami elementarnej etyki, logiki i prawdy historycznej.

Tego prawa nie odbierze Polakom fałszywy bełkot funkcjonariuszy medialnych czy sofistyczne brednie głoszone przez premiera i wrocławskich urzędników. Nie ma i nie może być żadnego dyktatu w okazywaniu szacunku ludziom takim jak Bauman. Nie tylko nie zasługuje on na miano „polskiego naukowca”, ale nie może stanowić wzoru i autorytetu dla polskiej młodzieży. Mamy prawo wymagać, by była ona szczególnie chroniona od takich wzorców i nie poddawana obcej indoktrynacji.

Ludzie o przeszłości Baumana winni znaleźć się na marginesie życia publicznego, zasłużyć na całkowity ostracyzm i wykluczenie ze społeczności, zaś w państwie prawa i sprawiedliwości musieliby ponieść surowe konsekwencje swoich czynów.

Trzeba sobie jasno powiedzieć, że żadne akcje policyjne, sądowe represje i wrzaski medialnych wyrobników, nie mogą stłumić prawa do wyrażania przez Polaków negatywnej oceny takich osób jak Zygmunt Bauman.

Po wtóre – wszyscy powinniśmy czuć się dłużnikami tej grupy młodych ludzi, którzy w obliczu fałszowania prawdy historycznej i niszczenia elementarnych zasad moralnych, mieli odwagę wyrazić swój sprzeciw wobec obecności Baumana na Uniwersytecie Wrocławskim. Nazwanie ich przez jakiegoś urzędnika „nacjonalistyczną hołotą”, ujawnia nie tylko nienawiść i strach wobec polskości, ale jest policzkiem wymierzonym tym wszystkim, których oburza promowanie podobnych postaci i nie zgadzają się na kreowanie majora KBW na „autorytet naukowy”. Owemu urzędnikowi trzeba uświadomić, że tylko komuniści kojarzyli polskość z nacjonalizmem i w każdym przejawie patriotyzmu upatrywali szowinizm i „narodową megalomanię”. Polakom obce są takie skojarzenia.

Tym młodym ludziom winniśmy wdzięczność również dlatego, że ich interwencja na UW – jak żadne inne wydarzenie – obnażyła prawdziwe oblicze III RP. Wrzask ośrodków propagandy, historyczne reakcje przedstawicieli reżimu, zapowiedź represji i „twardego egzekwowania prawa” – nie wynikają przecież z wierności zasadom demokracji, czy – jakże chętnie deklarowanego – „liberalizmu” i „tolerancji”.

Po prowokacji wrocławskiej padły ze strony reżimu ostre słowa: „*nie ma zgody na obrażanie polskich uczonych*”, „*to rodzaj bandytyzmu, który trzeba zwalczać*”. Nie mogą dziwić, bo nie po raz pierwszy ta władza wykorzystuje sprowokowane przez siebie wydarzenia do zaostreżania prawa, udzielania dodatkowych uprawnień służbom i przygotowań do rozprawy z ludźmi o odmiennych poglądach. Cytowane słowa brzmią tym bardziej obłudnie, że obecny reżim ma w głębokim poważaniu polską naukę, a jeszcze głębiej – walkę z bandytyzmem.

W tym przypadku, chodzi jednak o coś więcej.

Tak gwałtowna reakcja na normalne w cywilizowanych państwach zachowania młodych ludzi, wyrażających sprzeciw wobec obecności na uczelni agenta Informacji Wojskowej, ma – z punktu widzenia reżimu, racjonalne i uzasadnione podstawy.

Stając w obronie Baumana, obecna władza broni w istocie historyczny i aksjologiczny fundament, na którym opiera się dzisiejsza III RP. Znajdują one źródło w komunistycznym fałszowaniu i życiorysach takich postaci jak funkcjonariusz sowieckich organów represji. Jeśli u podstaw III RP leży sojusz z komunistami, to jednym z najważniejszych jego elementów jest ochrona roztaczana przez państwo nad ludźmi pokroju Baumana. Widzimy ją na przykładzie Jaruzelskiego, Kiszczaka czy Kociołka, w kontekście esbeków obdarzanych mianem „specjalistów od bezpieczeństwa” czy oficerów „ludowego” wojska noszących dziś generalskie lampasy. Dzięki temu sojuszowi, Polacy nie tylko zostali zmuszeni do uznania PRL-u za jakiś „element polskości” ale do rezygnacji z podstawowej dychotomii My-Oni, dającej świadomości, że komunizm jest tworem obcym, wrogim i zawsze antypolskim.

Wprawdzie III RP zbudowano na fundamencie PRL-u, wespół z tysiącami donosicieli, zdrajców i bandytów, wprawdzie zachowano ciągłość personalną i nie rozliczono zbrodni komunizmu, wprawdzie w życiu publicznym brylują esbecy, kapusie i ludzie kompartii, wprawdzie mediami rządzą esbeckie klany, a gospodarką agenturalne układy, wprawdzie niszczy się pamięć o ofiarach komunizmu, walczy z polską kulturą i patriotyzmem – to w powszechnym przekonaniu jest ona państwem polskim, w pełni suwerennym i niepodległym, a rządzące nią mechanizmy definiuje się pojęciami prawa i demokracji.

Casus z majorem Baumanem powinien nam uświadomić, jak fałszywa jest to wizja. Fakt, że w obronę Baumana włącza się premier, ministrowie i ośrodki propagandy, nie dowodzi bynajmniej, że mamy do czynienia z jakąś aberracją czy nadgorliwością urzędników. Podobnie – honorowanie Jaruzelskiego, jednanie z moskiewskimi kagebistami czy propagowanie antypolskich filmów, to nie dowód na „kryzys wartości” bądź „zaburzenia demokracji”.

To państwo działa konsekwentnie i racjonalnie, a to czego jesteśmy świadkami wypływa z najgłębszych fundamentów obecnej państwowości i jest oznaką wierności zasadom wypracowanym przy okrągłym stole. Okres rządów PO-PSL to nie jakiś fatalny „powrót do PRL-u” ale logiczne ukoronowanie długiego okresu hodowania komunistycznej hybrydy i zarządzających nią bękartów. Jest dowodem skuteczności dwóch dekad indoktrynacji i niszczenia polskości.

Prowokacja z Baumanem musi prowadzić do wniosku, że nie ma żadnej innej – zdrowej i normalnej III RP. Pora skończyć z tą zabójczą mitologią, która czyni z Polaków stado niewolników. To państwo ma właśnie twarz Zygmunta Baumana i nigdy nie będzie inne. Zostało zbudowane po to, by chronić podobnych mu „polskich komunistów”.

Wobec zalewu pustostłowia i wrzasku towarzyszącego obecnej prowokacji, trzeba przyjąć postawę, jaką proponował Polakom Jarosław Marek Rymkiewicz – „*Nawet nazywać ich nie warto – w ogóle nie warto się nimi zajmować, najlepiej jest*”.

uznać, że ich nie ma. Trzeba wychodzić, kiedy wchodzą, odwracać się, kiedy do nas podchodzą. Polska należy do nas, a oni niech sobie gadają w swoich postkolonialnych telewizjach, co chcą, niech sobie piszą w swoich postkolonialnych gazetach, co im się podoba. Nas to nie dotyczy."

787. NASI I OBCY – W STRONĘ UKŁADU WARSZAWSKIEGO

„Władza nie może się odcinać szyframi i kodami od społeczeństwa” – perorował przed rokiem szef BBN Stanisław Koziej, gdy hakerzy zaatakowali „zabezpieczone przez ABW” strony kancelarii premiera i złamali supertajne hasła „admin” i „admin1”. Koziej najwyraźniej lekceważył wówczas zagrożenie związane z akcją grupy Anonymus i usprawiedliwiał rządzących, że przecież *„każdy zostawia te loginy jakie mu zostawiono. A my nie mamy jeszcze świadomości życia w cyberprzestrzeni”*. Gdy w marcu br. haker-filantrop dokonał kolejnego włamania do sieci kancelarii premiera, kancelarii prezydenta, MON i MSZ, BBN również nie wykazało niepokoju, a w wydanym komunikacie stwierdzono jedynie, iż *„Kancelaria Prezydenta RP jest świadoma incydentu informatycznego związanego z bezpieczeństwem sieci teleinformatycznej KPRP”*.

Jakże inną reakcję szefa BBN mogliśmy zobaczyć przed kilkoma dniami, gdy światowe media obieły „rewelacje” rozgłaszane przez Edwarda Snowdena - pracownika CIA, najprawdopodobniej zwerbowanego przez chiński wywiad. Koziej zapytany - jak chronione są w internecie instytucje państwowe, przytoczył przykład zeszłorocznych protestów przeciwko ACTA i stwierdził - *„Okazało się wówczas, że nie ma większych kłopotów z buszowaniem w cyberprzestrzeni wszystkich instytucji państwowych. Co więcej, zabezpieczenia przed włamaniami na te strony okazały się bardzo słabe”*. Zdaniem Kozieja *„dla uporządkowania działań potrzebne jest przyjęcie cyberstrategii państwa, która nakreśli priorytety i wskaże skoordynowane kierunki działania instytucji. W cyberprzestrzeni nie może być działów administracji rządowej”* – podkreślił minister i zapowiedział, że BBN ma plany, by rozpocząć prace nad taką strategią.

Mogłoby się wydawać, że w ocenie prezydenckiego urzędnika, ataki hakerów na strony rządowe oraz włamania do skrzynek ministerialnych niosą mniejsze zagrożenie dla bezpieczeństwa III RP niż program amerykańskiej Narodowej Agencji Bezpieczeństwa. Swoją obecną reakcję Koziej tłumaczy nam jednak troską o ...dobro obywateli. *„Zwykli obywatele są zupełnie bezbronni w internecie i nie zdają sobie sprawy ze skali zagrożeń takich jak PRISM”* – podkreśla szef BBN.

Przyznaję, że ja również nie wiem - jakież to zagrożenia dla polskich użytkowników sieci płyną z programu PRISM i co mają z nim wspólnego „zwykli obywatele”? Z pewnością jednak gen. Koziej potrafi dostrzec „skalę zagrożeń” ze strony amerykańskiego wywiadu. Jako żołnierz I Zarządu Sztabu Generalnego LWP, członek egzekutywy PZPR i uczestnik kursu GRU, brał przecież udział w opracowaniach planu ataku wojsk Układu Warszawskiego na państwa NATO. Znamy też jego ocenę działań płk Ryszarda Kuklińskiego. Szef BBN uznał, że *„współpraca z obcym wywiadem jest czymś nie do zaakceptowania. Sprawa płk Kuklińskiego przez następne pokolenia nie będzie możliwa do jednoznacznej oceny. Będzie ciągle rozpięta między bohaterstwem i zdradą.”*

Postawę Kozieja celnie scharakteryzował wówczas śp. Jacek Kwieciński, w „Gazecie Polskiej” z 23.02.2011 r - *„To Koziej pracował na rzecz zniewalającego nas obcego mocarstwa, to jego postawa była ewidentnie zdradziecka wobec Polski. „Obcy wywiad” to było GRU. [...] Dla Kozieja „obcych” uosabiali Amerykanie, a „swoich, naszych” „sojusznicy” z Układu Warszawskiego, zarządzanego z Moskwy”*.

Echa tego podziału są najwyraźniej wciąż żywe, bo reakcja prezydenckiego ministra na „rewelacje” Snowdena i troska o obywateli rzekomo zagrożonych amerykańską inwigilacją, są czymś niespotykanym w państwie należącym do NATO. Zastanawiające jest również, że ani Koziej ani inni „eksperti od bezpieczeństwa” nie dostrzegali podobnych zagrożeń, gdy przed rokiem pojawiły się doniesienia o projekcie „CleanIT”, finansowanym przez Komisję Europejską. Chodzi o projekt współpracy rządów państw UE i firm obsługujących sieć internetową. Celem ma być „walka z terroryzmem”, prowadzona poprzez zastosowanie tzw. dobrowolnych środków kontrolowania aktywności użytkowników. Dostawcy usług internetowych, kierując się wytycznymi KE oraz *„własnymi zasadami i etyką biznesu”* zostali zobowiązani do aktywnego nadzorowania klientów oraz blokowania i filtrowania treści, które sami uznają za kontrowersyjne.

O tym, że „CleanIT” został wprowadzony, nie musimy nawet wiedzieć. Oparty o tzw. koncepcję samoregulacji, projekt nie trafił pod obrady lokalnych parlamentów i nie będzie tematem publicznych debat. By go zastosować wystarczy dobrowolne porozumienie stron: rządu oraz firm dostarczających usługi internetowe. Ponieważ „Czysty Internet” powiela rozwiązania wspierane przez grupę CEO Coalition, można mieć pewność, że przedsiębiorstwa tworzące tę grupę, przyjmą go bez sprzeciwu. W CEO Coalition znajdziemy zaś największe firmy branży IT, m.in.: Apple, Facebook, Google i Microsoft. Wprowadzenie „CleanIT” oznacza więc globalną cenzurę sieci i inwigilację milionów użytkowników – nie za sprawą nadzorowanego przez sądy wywiadu „obcego mocarstwa” lecz przez prywatne firmy, działające według „własnych zasad”. Warto wspomnieć, że pomysły unijnych komisarzy były wzorowane na rosyjskiej ustawie federalnej z grudnia 2010 - o *ochronie dzieci przed informacjami szkodliwymi*, której nazwa nie ma nic wspólnego z intencjami i posłużyła jako parawan dla wprowadzenia ścisłej kontroli społeczności internetowej. Ustawa umożliwiła m.in. stworzenie rejestru, do którego wpisano domeny i adresy sieciowe zawierające treści zakazane. Podobny rejestr próbował wprowadzić niedawno rząd Donalda Tuska, a rekomendację do tworzenia takich wykazów znajdziemy w projekcie „CleanIT”.

Gen. Koziej wydaje się mało wiarygodny w roli obrońcy wolności i stronnika dialogu ze społeczeństwem, zaś straszenie nas groźbą amerykańskiej inwigilacji wygląda na pretekst do rozbudowy systemu nadzoru internetu. Wywołana przez „rewelacje” Snowdena histeria może być wykorzystana do wprowadzenia kolejnych ograniczeń, w ramach nieustającej „walki z cyberterroryzmem” – pojęciem szczególnie pojemnym dla kremlowskich i brukselskich komisarzy. Jest ono równie chętnie używane przez rodzimych „ekspertów od bezpieczeństwa” i w czasie ostatnich lat było wielokrotnie wykorzystane do rozbudowy uprawnień służb specjalnych oraz przeforsowania pierwszej inicjatywy legislacyjnej Bronisława Komorowskiego - noweli ustawy o stanie wojennym. Wprowadzono tam pojęcie „cyberprzestrzeni” - tak niedookreślone i nieprecyzyjne, że zdaniem sejmowego eksperta, prof. Andrzeja Szymta stanowiło ono *„zbitkę pojęciową”*, w której brak ścisłej definicji grozi *„konsekwencjami w sferze praw i wolności człowieka i obywatela”*. Dzięki tej noweli, lokator Belwederu uzyskał prawo wprowadzenia stanu wyjątkowego, m.in. *„w sytuacji szczególnego zagrożenia [...] spowodowanego działaniami o charakterze terrorystycznym lub działaniami w cyberprzestrzeni”*.

Najnowszym projektem ośrodka prezydenckiego, realizowanym przez MON, jest supertajne Narodowe Centrum Kryptologii, na którego czele postawiono Krzysztofa Bondaryka. Nazwa trochę na wyrost, bo NCK ma zająć się m.in. budową systemów i doskonaleniem technik monitorowania internetu oraz wszelkich transmisji i połączeń, również szyfrowanych. Niewykluczone, że tam właśnie powstaną systemy inwigilacji „zwykłych obywateli”, wzorowane na doświadczeniach rosyjskich. W marcu br. gen. Koziej podpisał bowiem w Moskwie plan współpracy między BBN i Aparatem Rady

Bezpieczeństwa FR, w którym „sprawy cyberbezpieczeństwa” i wymiany doświadczeń w tej dziedzinie zajmują czołowe miejsce. Ponieważ NCK ma także „*odpowiadać na najnowsze cyber zagrożenia*”, do których - za sprawą szefa BBN musimy zaliczyć działania amerykańskiego wywiadu, może się okazać, że nowa służba stanie się wkrótce pionierem w procesie reaktywacji Układu Warszawskiego.

LIPIEC

788. SNOWDEN - AGENT ZNIEWOLENIA

Działalność Edwarda Snowdena od wielu tygodni pogrąża administrację Obamy i obnaża słabość Stanów Zjednoczonych w starciu z sojuszem rosyjsko-chińskim. Wprawdzie trudno jeszcze ocenić rozmiar strat spowodowanych aktywnością byłego pracownika NSA, to rozgłaszane przezeń rewelacje już dziś wywołują wstrząs w stosunkach politycznych USA-reszta świata i niosą zapowiedź poważnych konsekwencji.

Histeryczne reakcje tradycyjnych sojuszników Moskwy - Francji, Niemiec i Polski, były do przewidzenia. Podobnie jak błazenada polityków unijnych żądających „*sprawdzenia pomieszczeń KE na obecność amerykańskich podsłuchów*” czy ochłodzenie relacji z innymi państwami UE. W dalszej perspektywie sprawa ta zostanie z pewnością wykorzystana przez zwolenników wypchnięcia Ameryki z obszaru europejskiego i posłuży do politycznej dezintegracji struktur NATO. Może mieć także wpływ na funkcjonowanie największej sieci wywiadu elektronicznego, znanej pod nazwą Echelon.

Rzeczą istotną jest również wizja ograniczenia działań wywiadu w zakresie zbierania danych o potencjalnych zagrożeniach, w tym identyfikacji grup i środowisk terrorystycznych oraz groźba pozbawienia służb amerykańskich jednego z najskuteczniejszych narzędzi w walce z terroryzmem. Wywiad elektroniczny i pozyskiwanie informacji z sieci internetowych pozwala bowiem analizować siatki powiązań oraz identyfikować grupy, którym przyświecają „wspólne cele” – zwykle wymierzone w USA. Można przypuszczać, że rewelacje Snowdena wymuszą również zmianę procedur i zabezpieczeń stosowanych przez wywiad oraz rezygnację z niektórych – ważnych dla bezpieczeństwa Ameryki - obszarów inwigilacji.

Przewidywanie takich następstw pozwala sformułować tezę, że casus Snowdena przyniesie Stanom Zjednoczonym o wiele większe straty niż działania każdej „normalnej” agentury. Z wielu względów mogą być to straty największe od czasu zakończenia „zimnej wojny”.

W przypadku byłego pracownika CIA mamy bowiem do czynienia z nową jakością w pracy agenturalnej. Dotychczas ludzie zwerbowani przez obce służby dzielili się wiedzą ze swoimi mocodawcami w zaciszu gabinetów i podczas zamkniętych przesłuchań. Snowden działa poprzez media i rozgłasza swoje rewelacje publicznie. Warto zauważyć, że choć są to informacje ogólnikowe, to o takim wydźwięku, by wzbudzały zainteresowanie mediów i opinii publicznej. Budują one negatywny obraz Ameryki, jako państwa „dwóch standardów” (© Ławrow) i wyraźnie grają na antyamerykańskich nastrojach wśród społeczeństw Zachodu. To okoliczność niezwykle korzystna dla mocodawców Snowdena. Przekaz trafia natychmiast do publiczności i jest nagłaśniany przez rozlicznych rezonatorów. Nie ma przy tym możliwości zweryfikowania prawdziwości informacji. Każda z nich jest powielana i przyjmowana bezkrytycznie, służąc utrwaleniu zakodowanych wcześniej stereotypów. Trzeba przy tym zakładać, że głównym zagrożeniem dla interesów USA są te informacje, których Snowden nie ujawnił publicznie lecz najprawdopodobniej podzielił się nimi z funkcjonariuszami służb chińskich i rosyjskich. To one stanowią „polisę ubezpieczeniową” Amerykanina i mogą stać się najważniejszą monetą przetargową w kontaktach ze służbami USA.

Nikt oczywiście nie potrafi powiedzieć – ile naprawdę wie Snowden, jakie informacje zebrał i jak długo prowadził działalność. Oceniając rzecz na podstawie reakcji administracji Obamy, można przypuszczać, że wiedza tego człowieka stanowi realne zagrożenie dla interesów Ameryki. Świadczy o tym presja dyplomatyczna na państwa chcące udzielić mu azylu i ogromna determinacja, z jaką służby próbują przejąć Snowdena.

Katalog strat poniesionych przez Amerykę nie kończy się na kwestiach wizerunkowych ani ograniczeniach w działalności wywiadu. Po porażce służb amerykańskich, w związku z zamachem w Bostonie i przyzwoleniu na rosyjską grę podwójnymi agentami, USA zostały wręcz zmuszone do przyjęcia „oferty współpracy” ze służbami Putina. To zdarzenie stanowiło przełom w kontaktach amerykańsko-rosyjskich i zostało perfekcyjnie rozegrane przez FSB.

Sprawa Snowdena otworzy natomiast przed kremlowskimi kagebistami niemal nieograniczone możliwości wpływu na światową politykę bezpieczeństwa i ustawi reżim Putina w pozycji silnego gracza i partnera.

Chiny i Rosja - dwa państwa sterujące światowym terroryzmem i przestępczością internetową, uzyskały bowiem potężne narzędzie w rozgrywce z USA. Nie tylko z powodu ograniczenia możliwości rozpoznania środowisk terrorystycznych, z których wiele korzysta z moskiewskich inspiracji, czy z uwagi na utrudnienia w inwigilacji przestępców internetowych, wspieranych przez chińskich komunistów. Już w ubiegłym roku Rosja i Chiny, wykorzystując histerię wokół ACTA, dążyły do odebrania pozarządowej organizacji ICANN (Internet Corporation for Assigned Names and Numbers) kontroli nad przyznawaniem nazw domen internetowych, ustalania ich struktury i ogólnego nadzoru nad działaniem serwerów DNS. Chciały również oddania kontroli nad bezpieczeństwem w sieci organizacji międzynarodowym, co w praktyce oznaczało wprowadzenie cenzury. Kompetencje działającej w USA ICANN, miałyby trafić w ręce jednej z instytucji ONZ, w której Rosja ma ogromne wpływy.

Propozycje rosyjsko-chińskie złożone podczas ubiegłorocznej konferencji w Dubaju, zostały skutecznie zablokowane. Po rewelacjach Snowdena, ponowny zamach na wolność internetu ma wielkie szanse powodzenia.

Odtąd też argument o amerykańskiej inwigilacji będzie wykorzystywany we wszystkich rozgrywkach politycznych i posłuży jako parawan do rozbudowy realnego systemu nadzoru nad siecią internetową i dodatkowych narzędzi inwigilacji społeczeństwa. Będzie to argument wygodny nie tylko dla kremlowskich zamordystów, ale dla ich unijnych sojuszników.

W poprzednim tekście zwracałem uwagę na zagrożenia płynące z unijnego projektu CleanIT, którego wdrożenie doprowadzi do globalnej cenzury sieci i inwigilacji milionów zwykłych użytkowników. W tym projekcie nie chodzi bowiem o walkę z terroryzmem lecz o narzucenie politpoprawnego terroru, poprzez udzielenie dostawcom usług internetowych prawa do nadzorowania klientów oraz blokowania i filtrowania treści, które zostaną uznane za „kontrowersyjne”. Apple, Facebook, Google czy Microsoft, które oskarża się dziś o współpracę z NSA, będą mogły dowolnie ingerować w treść przekazu i cenzurować internet kierując się własną oceną i wytycznymi Komisji Europejskiej. Odbywać się to będzie bez nadzoru sądów i jakiegokolwiek weryfikacji. Wiedząc zaś, co unijni komisarze uznają za kontrowersyjne – możemy uznać, że narzędzie to skutecznie ograniczy wolność internetu.

Z drugiej strony - argument o amerykańskiej inwigilacji pozwoli Rosjanom usprawiedliwić rozbudowę potężnego narzędzia nadzoru, jakim jest system SORM. Ten opracowany już w 1980 roku przez instytut badawczy KGB system pozwala na

nieograniczoną kontrolę nad całym przekazem telefonicznym i internetowym. SORM-1 rejestrował rozmowy telefoni stacjonarnej i komórkowej, SORM-2 przechwytywał cały ruch w Internecie, a SORM-3 zbiera informacje ze wszystkich form komunikacji, zapewniając ich długotrwałe przechowywanie i tworzenie baz danych o użytkownikach.

Jak zauważył Andriej Soldatow z portalu agentura.ru, istnieje zasadnicza różnica między amerykańskim PRISM, a rosyjskim SORM-em – najbardziej inwazyjnym i represyjnym systemem nadzoru.

W USA, służby lub organy ścigania muszą najpierw uzyskać nakaz sądowy pozwalający na zastosowanie podsłuchu, ze wskazaniem przyczyn inwigilacji, numerów telefonów lub adresów sieciowych. Jest on każdorazowo aktualizowany i wysyłany do operatorów telefonicznych i dostawców internetowych. Oficer FSB, który chce podsłuchiwać rozmowę telefoniczną lub zajrzeć do maila, nie musi nikomu pokazywać nakazu. Każda placówka FSB – za pośrednictwem centrali – ma bowiem dostęp do wszystkich serwerów internetowych i stacji telefonicznych działających na terenie Federacji Rosyjskiej. Po to by monitorować przekaz, agent FSB musi jedynie wpisać dane i przesłać je do centrum SORM. Operatorzy nie tylko nie mają prawa żądać od FSB jakichkolwiek nakazów, ale są zobowiązani do zapłacenia za urządzenia SORM i pokrycie kosztów ich instalacji.

Kremlowski satrapa komentując przed kilkoma dniami rewelacje Snowdena, mógł zatem stwierdzić, że jeśli „*odbywa się to w ramach prawa ... to wszystko w porządku*”. Zapomniał bowiem wyjaśnić, jakie różnice dzielą amerykański i rosyjski system prawny

Bez wątpienia SORM jest używany również do inwigilacji cudzoziemców i przechwytywania ruchu telekomunikacyjnego poza granicami Rosji. W większości krajów postsowieckich – Kazachstanie, Kirgistanie, Białorusi czy Uzbekistanie, istnieją bowiem systemy wzorowane na SORM, a uruchomiony w roku 2010 ukraiński odpowiednik ma nawet możliwość natychmiastowego przerwania połączenia, zablokowania adresu internetowego czy numeru telefonu. W każdym z tych państw działają delegatury FSB, a rosyjski system inwigilacji całkowicie uzależnia miejscowe służby od współpracy z FSB. We wrześniu 2012 r. na szczycie w Jałcie, szefowie państw WNP ogłosili projekt utworzenia własnego Centrum CIS Cybersecurity, który ma być wzorowany na CERT. W odróżnieniu od zadań stawianych CERT, postsowiecki system ma zajmować się głównie „*zapobieganiem i zwalczaniem wykorzystywania Internetu w celach terrorystycznych, separatystycznych i ekstremistycznych*”. Rosjanie otwarcie deklarują, że ich celem jest stworzenie ujednoliconego systemu monitorowania ruchu telekomunikacyjnego i internetowego obejmującego cały obszar byłego ZSRR. Dzięki wykorzystaniu SORM, będzie on zdolny przechwytywać dane poza granicami WNP i stanie się ważnym narzędziem w rękach rosyjskiego wywiadu.

Rewelacje Snowdena są zatem wyjątkowo przydatne dla unijnych i kremlowskich cenzorów. Nie tylko wytrącają broń autentycznym obrońcom wolności słowa, ale dają argument propagandowy służący wprowadzeniu nowych metod nadzoru elektronicznego. W odróżnieniu od potępionego PRISM, będą to metody wyjęte spod jakiegokolwiek kontroli i obejmujące swoim zasięgiem miliony zwykłych obywateli. Rosyjska agentura i rezonujące jej media, zadbają, by wiedza o tych działaniach nie została ujawniona.

Nazywając Snowdena „*bohaterem działającym w interesie społeczeństwa*” i „*obrońcą wolności*” – Rosjanie kpią z Ameryki i cynicznie oszukują światową opinię publiczną. Jedynym efektem jego działalności będzie umocnienie pozycji Rosji i Chin – największych wrogów ludzkości i przeciwników wolnego internetu. Ci, którzy sławią dziś Snowdena i zachłystują się jego rewelacjami, powinni mieć świadomość, jak zły sprawie służy ten człowiek.

789. CZY CZEKA NAS POWTÓRKA Z ROSYJSKICH SERWERÓW ?

„*Musimy się nieustannie przygotowywać do przejęcia władzy, do upilnowania uczciwości wyborów. To wielkie zadanie Prawa i Sprawiedliwości*” – oznajmił Jarosław Kaczyński podczas obrad kongresu PiS w Sosnowcu. Zapowiedzi kontrolowania procesu wyborczego, a nawet powołania „*ruchu pilnowania wyborów*” słyszemy od wielu polityków PiS-u i ludzi środowisk opozycyjnych. Przypomina to sytuację sprzed wyborów parlamentarnych 2011, gdy w podobnym tonie deklarowano nadzór nad prawidłowym przebiegiem wyborów, a nawet powołano w tym celu Korpus Ochrony Wyborów.

Niestety, na deklaracjach się skończyło, bo mimo wsparcia udzielonego przez kluby Gazety Polskiej i Solidarnych2010 w ramach akcji „*Uczciwe wybory.pl*”, nie udało się znaleźć 25 tysięcy wolontariuszy ani powołać mężów zaufania w większości komisji wyborczych. Nie zadbano również o kontrolowanie przetargów organizowanych przez PKW oraz obsadę stanowisk pełnomocników ds. obsługi informatycznej, nadzorujących pracę operatorów obsługujących obwodowe komisje.

Jak istotne były to zaniechania mogliśmy się przekonać we wrześniu 2012 roku, gdy Gazeta Polska opublikowała treść raportu zatytułowanego „*Państwowa Komisja Wyborcza uzależniona od rosyjskich serwerów*”. Sporządzony pod kierunkiem prof. Jerzego Urbanowicza raport zawierał sugestie, że „*sfalszowanie ostatnich wyborów było możliwe i stosunkowo proste*.” Wskazywano, iż sieć PKW była obsługiwana przez serwery DNS firmy Internet Partners wchodzącej w skład rosyjskiej firmy GTS, działającej w Polsce pod nazwą GTS- Energis Polska. Firma ta obsługiwała przez wiele lat Wojskowe Służby Informacyjne i kilka ważniejszych instytucji państwowych. W raporcie napisano m.in.:

„*Nasi eksperci obejrzyli z zewnątrz sieć DNS-ów, które brały udział w agregacji danych wyborczych. DNS-y są własnością Krajowego Biura Wyborczego. Jeden serwer znajdował się w firmie Internet Partners, drugi w firmie ATM. Firma ATM zbudowała rejestrator (tzw. czarną skrzynkę) dla Tu-154 M. Potem wygrała przetarg w PKW na obsługę wyborów (GTS przegrała przetarg). Znając polskie realia, przypuszczaliśmy przed wyborami, że GTS dysponująca nieporównanie większą siecią niż ATM będzie faktycznym zwycięzcą tego przetargu. I tak się stało.[...] Wątpimy, czy ATM wspólnie z rosyjską firmą Internet Partners mogą gwarantować nam rzetelność wyborów?*”

W lipcu 2011 roku, kilka miesięcy przed wyborami parlamentarnymi, w tekście „*GRY WYBORCZE W TECHNOLOGII IT*” opublikowanym w Gazecie Polskiej zwracałem uwagę, że kluczowe znaczenie dla wyniku wyborczego może mieć tryb przekazywania danych za pośrednictwem sieci elektronicznych, a następnie sposób ich obliczania przez PKW. Informowałem też, że łąca do sieci publicznej i infrastrukturę techniczną dla Krajowego Biura Wyborczego ma zapewnić spółka ATM S.A., wybrana w bezprzetargowym trybie zapytania o cenę, zaś oprogramowanie dostarczy spółka cywilna Pixel Technology. Z komunikatu PKW wynikało, że ATM nigdy wcześniej nie obsługiwała wyborów, a jej ofertę przyjęto ze względu na niską cenę usługi. Druga z wyłonionych firm miała większe doświadczenie, bo w ostatnich latach była bohaterem kilku skandali związanych z wadliwym funkcjonowaniem systemu informatycznego. Począwszy od wyborów samorządowych z roku 2002, gdy Pixel Technology zainstalował oprogramowanie zawierające błąd, który spowodował opóźnienie w obliczaniu ostatecznych wyników, po wybory z 2006 roku, gdy w ich trakcie spółka musiała w ekspresowym tempie dostarczyć komisjom wyborczym w całej Polsce nową, poprawioną wersję systemu komputerowego. Dotychczasowy groził bowiem błędami w

przeliczaniu głosów na mandaty. Pomimo złych doświadczeń, PKW nadal powierzała spółce wykonanie i obsługę oprogramowania wyborczego, a Pixel Technology obsługiwała również proces obliczania wyników w wyborach prezydenckich 2010 roku.

Można przypuszczać, że gdyby partia opozycyjna zainteresowała się wówczas przebiegiem przetargów organizowanych przez PKW, uniknięto by niespodzianek związanych z obecnością rosyjskich serwerów.

Z raportu prof. Urbanowicza wynikało bowiem, że wybór firmy ATM.SA sprawił, iż w procesie wyborczym pojawiły się serwery rosyjskiej firmy Internet Partners. W raporcie napisano – *„Bezpośrednio przed wyborami pojawił się nowy serwer w PKW. Nie podejrzewamy, że na tym serwerze były zaprogramowane wirtualne wybory, ale kto wie? Udział dwóch firm ATM i Internet Partners w wyborach źle rokuje. Zdajemy sobie sprawę z tego, że lista zagrożeń nie pochodzących od firmy Internet Partners, ale od innych firm obsługujących wybory, może być równie długa. W najbardziej prymitywnym przypadku mogło to być zaszczytne szkodliwe oprogramowanie w oprogramowaniu wyborczym dostarczonym przez małe dyspozycyjne firmy, które wygrały zapewne nie do końca rzetelne przetargi.”*

W raporcie znalazł się postulat powołania w Sejmie zespołu parlamentarnego, który zajmie się nadzorowaniem procesu wyborczego i zadba, by nie powtórzyły się zdarzenia z 2011 roku. Zatrudnieni przez zespół specjaliści mieliby monitorować sieć komputerową PKW oraz sprawdzać oprogramowanie wyborcze.

Wydaje się, że ten postulat należałoby potraktować poważnie. Obecne działania PKW już powinny alarmować partię opozycyjną. Nie tylko dlatego, że kierownictwo tej instytucji wzięło udział w dwudniowym szkoleniu w Moskwie, prowadzonym przez rosyjską Centralną Komisję Wyborczą. Wiele wskazuje, że scenariusz wyborczy z 2011 roku może zostać powtórzony, zaś przetargi organizowane obecnie przez PKW winny wzbudzić zainteresowanie opozycji.

20 lutego br. w trybie przetargu ograniczonego, PKW dokonała wyboru firmy ATMAN.SA na "Kolokację serwerów z łączami do sieci publicznej" dla Krajowego Biura Wyborczego". Do przetargu PKW zaprosiło dziewięć firm, m.in. NETIE, BSB, EXATEL i NASK. Wybór firmy ATMAN uzasadniono najniższą ofertą cenową – 79.696,68-zł. Właścicielem ogólnopolskiej światłowodowej sieci ATMAN jest oczywiście spółka ATM.SA. Oznacza to, że PKW ponownie wynajmie od tej firmy serwery obsługujące wybory. Na razie do końca maja 2014 r., jednak to rozstrzygnięcie niesie z pewnością zapowiedź decyzji dotyczących organizacji wyborów 2015 roku. PKW nie zapomina również o drugiej z firm obsługujących wybory 2011. Spółce cywilnej Pixel Technology powierzono bowiem administrowanie infrastrukturą teleinformatyczną w wyborach samorządowych do maja 2014 roku.

Jednym z operatorów Centrum Danych ATMAN, z którym PKW podpisała umowę, jest spółka GTS Energis należąca do grupy telekomunikacyjnej GTS Central Europe. Posiada ona spółki telekomunikacyjne w Czechach, Polsce, Rumunii, Słowacji i na Węgrzech, a dodatkowo świadczy usługi na terenie Ukrainy, Łotwy, Słowenii, Bułgarii, Chorwacji i Serbii. GTS Central Europe należało do konsorcjum finansowego Group Menatep z kapitałem rosyjskim, działającego później pod nazwą GML Ltd. W styczniu 2011 nastąpiło połączenie spółek GTS Poland i GTS Energis, a 4 maja 2011, GTS Poland Sp. z o.o. przejęła spółkę GTS Energis.

W kontekście decyzji podjętej przez PKW, warto ponownie przypomnieć słowa zawarte w raporcie ekspertów prof. Urbanowicza – *„Znając polskie realia, przypuszczaliśmy przed wyborami, że GTS dysponująca nieporównanie większą siecią niż ATM będzie faktycznym zwycięzcą tego przetargu. I tak się stało.”*

Czy tak się stanie również teraz, a scenariusz wyborczy z roku 2011 zostanie powtórzony -będzie w dużej mierze zależało od reakcji partii opozycyjnej i sposobu, w jaki będzie kontrolowała wybory.

790. O PRAWDZIWYM BŁĘDZIE MORALNYM

Powszechne oburzenie środowisk prawicowych wywołała uchwała Sejmu w sprawie zbrodni wołyńskiej. Oburzenie ze wszech miar słuszne, bo użyte w uchwale określenie - "czystka etniczna o znamionach ludobójstwa" nie tylko fałszuje prawdę o tej potwornej zbrodni, ale jest przejawem pospolitego tchórzostwa i politycznego koniunkturalizmu -podniesionych przez obecny reżim do „racji stanu”.

Gdy ważyły się losy tej uchwały, nie miałem cienia wątpliwości, że grupa rządząca nie dopuści do innego rozstrzygnięcia i nie pozwoli na określenie rzezi wołyńskiej mianem ludobójstwa. Wynikało to nie tylko z antypolskiego charakteru obecnego reżimu, ale było efektem swoistego konsensusu trzech środowisk. Sejmowe głosowanie wyglądało bowiem na ostatni akord koszarnej, ahistorycznej inscenizacji, której reżyserami nie byli tylko posłowie Platformy czy RP.

Warto się zastanowić – kto narzucił to mętne określenie, dlaczego właśnie „czystka etniczna” została użyta w kolejnym procesie zakłamywania polskiej historii?

Jeśli mamy poważnie traktować nakaz zawarty w słowach księdza Isakowicza-Zaleskiego – *„trzeba powiedzieć prawdę, a nie tworzyć jakieś karkołomne, sztuczne i fałszywe sformułowania”* i nie próbujemy kierować się (jak trafnie ujął to Jarosław Kaczyński) *„pedagogiką wstydu”*, trzeba sobie przypomnieć, że nazwanie zbrodni wołyńskiej „czystką etniczną” zostało narzucone Polakom przez Episkopat Polski i Bronisława Komorowskiego.

Trzy dokumenty: Polsko ukraińska deklaracja o pojednaniu podpisana 28 czerwca br. przez Przewodniczącą Konferencji Episkopatu Polski i Metropolitę Kijowsko-Halicckiego Ukraińskiego Kościoła Greckokatolickiego, przemówienie Bronisława Komorowskiego podczas nabożeństwa żałobnego w dniu 27 czerwca oraz treść wystąpienia Komorowskiego z 11 lipca br., jednoznacznie skłaniają do postawienia takiej tezy.

To w owej wspólnej „deklaracji o pojednaniu” znalazły się znamienne słowa – *„Ofiarami zbrodni i czystek etnicznych stały się dziesiątki tysięcy niewinnych osób, w tym kobiet, dzieci i starców, przede wszystkim Polaków, ale także Ukraińców, oraz tych, którzy ratowali zagrożonych sąsiadów i krewnych”* oraz *„Uważamy bowiem, że ani przemoc, ani czystki etniczne nigdy nie mogą być metodą rozwiązywania konfliktów między sąsiadującymi ludami czy narodami, ani usprawiedliwione racją polityczną, ekonomiczną czy religijną.”*

Próżno szukać tam słowa ludobójstwo, a nawet wskazania – kto i dlaczego w okrutny sposób wymordował dziesiątki tysięcy naszych rodaków. Nie zabrakło natomiast słów – *„W imię prawdy uważamy, że przeproszenia i prośby o wybaczenie wymaga postawa tych Polaków, którzy wyrządzali zło Ukraińcom i odpowiadali przemocą na przemoc. Jako przewodniczący Episkopatu Polski kieruję do Braci Ukraińców prośbę o wybaczenie.”* Takie wyznanie nie padło jednak wprost z drugiej strony, bo zwierzchnik Kościoła Ukraińskiego przypominał jedynie słowa kard. Lubomira Huzara z 2001 r., - *„niektórzy synowie i córki Ukraińskiego Kościoła Greckokatolickiego wyrządzali zło – niestety świadomie i dobrowolnie – swoim bliźnim z własnego narodu i z innych narodów”* i dodał – *„Jako zwierzchnik Kościoła greckokatolickiego pragnę powtórzyć te słowa dzisiaj i przeprzeć Braci Polaków za zbrodnie popełnione w 1943 r.”*

Niewiele dni później, Bronisław Komorowski przemawiając podczas odsłonięcia pomnika poświęconego Ofiarom Zbrodni Wołyńskiej, pochwalił polskich biskupów za „akt pojednania” polsko-ukraińskiego i podkreślił:

„Wspólna deklaracja biskupów polskich i ukraińskich ogłoszona 28 czerwca tego roku może być dokumentem przełomowym, jeżeli tę deklarację przeżyjemy i przemyslimy, gdyż wzajemne pojednanie buduje się zawsze i tylko i wyłącznie na prawdzie! Otwarcie więc ta deklaracja mówi „o zbrodniach na Wołyniu, których symbolem stały się wydarzenia z 11 lipca 1943 roku. Ofiarami zbrodni i czystek etnicznych stały się dziesiątki tysięcy niewinnych osób, w tym kobiet, dzieci i starców, przede wszystkim Polaków, ale także Ukraińców oraz tych, którzy ratowali zagrożonych sąsiadów i krewnych”. Ważne jest, że polscy i ukraińscy biskupi dystansują się od poglądów i osób, zakłamujących i usprawiedliwiających te potworne czyny. „Wiemy – stwierdzają w swojej deklaracji – że chrześcijańska ocena zbrodni wołyńskiej domaga się od nas jednoznacznego potępienia i przeproszenia za nią. Uważamy bowiem, że ani przemoc, ani czystki etniczne nigdy nie mogą być metodą rozwiązywania konfliktów między sąsiadującymi ludami czy narodami, ani usprawiedliwione racją polityczną, ekonomiczną, czy religijną”.

Tam również nie padło określenie ludobójstwo, za to kilka dni wcześniej lokator Belwederu uczestnicząc wraz z biskupami polskimi i ukraińskimi w nabożeństwie żałobnym w warszawskiej cerkwi bazylianów, stwierdził, że - „na mordy dokonane przez ukraińskich nacjonalistów Polacy odpowiedzieli akcjami odwetowymi stosując okrutne i jakże odległe od chrześcijańskich zasad, prawo zemsty”.

Nie trzeba dokonywać szczegółowej analizy tych tekstów, by zrozumieć, że są one wyrazem wspólnego stanowiska Episkopatu i Belwederu, w identyczny sposób definiują zbrodnię wołyńską i przedstawiają relacje polsko-ukraińskie.

Pułkownik Jan Niwiński z Kresowego Ruchu Patriotycznego, Porozumienia Organizacji Kresowych i Kombatanckich, w swoim „Liście otwartym do arcybiskupa Józefa Michalika w sprawie zbrodni wołyńskiej” napisał m.in.:

„Episkopat Polski zmarnował, poprzez podpisanie Deklaracji wręcz historyczną okazję, by nazwać zbrodnię ludobójstwa po imieniu, wskazać i potępić ich sprawców, oraz wezwać wszystkie uczciwe siły na Ukrainie do tego samego. Tylko w ten sposób bowiem można ułożyć właściwe stosunki pomiędzy Polską a Ukrainą – tzn. oprzeć ją na prawdzie, spełniając tym samym standardy cywilizacyjne, umożliwiające w przyszłości przystąpienie Ukrainy do Unii Europejskiej. Niestety, Deklaracja nie spełnia ani jednego z tych warunków.

Ubolewam, że Episkopat Polski poprzez podpis Waszej Ekscelencji pod tym dokumentem przyłączył się do brudnej gry, jaką prowadzi w imię fałszywie pojmowanej poprawności politycznej przedstawiciele gremiów sprawujących władzę w naszym kraju.”

Próba przemilczenia tej refleksji – co czynią obecnie „nasze” media i politycy opozycji, jest dokładnie tym, co Jarosław Kaczyński nazwał dziś „błędem moralnym”. Tak samo postąpiono przed rokiem, przemilczając lub nawet usprawiedliwiając haniebną akt „pojednania” polsko-rosyjskiego, podpisany przez patriarchę Rosji Cyryla i abp. Józefa Michalika. Również tamto „pojednanie” znajdowało patrona w osobie Bronisława Komorowskiego i służyło politycznym interesom środowiska Belwederu. Wtedy również nie wskazano katów i ofiar, nie nazwano po imieniu zbrodni popełnionych na Polakach, nie uczyniono wyznania winy. Tamto „pojednanie” podpisane przez Kościół z wysłannikiem Putina, skazywało nas na przerażającą samotność. Tak wielką, jak zagrożenie, przed którym stanęliśmy. Nie da się bowiem walczyć o prawdę bez wsparcia przywódców polskiego Kościoła i nie da się zachować polskości bez jej najważniejszego gwaranta.

Dzisiejsze tchórzliwe milczenie, w obliczu kolejnego fałszu - „pojednania polsko-ukraińskiego”, pogłębia ten stan i oddala nas od wizji wolnej Polski.

Źródła:

<http://ekai.pl/biblioteka/dokumenty/x1530/polsko-ukrainska-deklaracja-o-pojednaniu-podpisana/>

<http://www.prezydent.pl/aktualnosci/wydarzenia/art.2610,o-zbrodni-woylńskiej-musimy-mowic-slowami-prawdy.html>

<http://www.prezydent.pl/aktualnosci/wypowiedzi-prezydenta/wystapienia/art.176,wystapienie-prezydenta-z-okazji-odslonienia-pomnika-poswieconego-ofiarom-zbrodni-woylńskiej.html>

<http://blogmedia24.pl/node/63982>

<http://niezalezna.pl/43539-j-kaczynski-blad-moralny>

SIERPIEŃ

791. ORĘDZIE NIENAWIŚCI

Od przegranych wyborów parlamentarnych w roku 2005 jedynym czynnikiem integrującym środowisko Platformy stała się nienawiść do wszystkiego, co związane z partią Kaczyńskich. W równej mierze była ona efektem ambicjonalnej traumy Donalda Tuska oraz niemniej mocnego lęku, jaki musiał odczuwać Bronisław Komorowski, obawiając się publikacji treści aneksu do Raportu z Weryfikacji WSi. Wielu innych polityków PO, biznesmenów, dziennikarzy i ludzi życia publicznego odczuwało wówczas zagrożenie możliwością ujawnienia ich kontaktów i interesów prowadzonych pod dyktando wojskowej bezpieki. Wkrótce więc pod szyldem Platformy zgromadziło się dość wszelkiego rodzaju renegatów, frustratów i „skrzywdzonej” rządami PiS-u agentury, by uczynić z tego środowiska skansen agresywnych typów, złączonych wspólnotą nienawiści i żądzą odwetu.

Działający w ideowej pustce ludzie PO musieli znaleźć formułę, która pozwoliłaby im dotrzeć do społeczeństwa. Nie potrafiąc przedstawić żadnej koncepcji pozytywnej, postanowili odwoływać się do negatywnych emocji i najniższych instynktów, tworzenia fałszywych obrazów, budowania irracjonalnej niechęci i lęków. Na tym fundamencie zbudowano pozycję Platformy, wmawiając społeczeństwu, że wybór ekipy Tuska uchroni Polaków przed straszną katastrofą „kaczynizmu”. Bez PiS-u i braci Kaczyńskich, środowisko PO nie tylko nie potrafiłoby zbudować żadnego przekazu, ale nie miało motywacji do działania. To nienawiść do rywali politycznych i lęk przed utratą władzy od początku wyznaczały poszczególne etapy działań: począwszy od czystek w służbach specjalnych i poszukiwania prokuratorskich „haków”, poprzez aferę marszałkową i bondaryzację służb, po zbliżenie z putinowską Rosją i zastawienie pułapki smoleńskiej.

Kampania nienawiści, jaką do dziś prowadzi reżim, nie jest niczym nowym.

„Ruchy i systemy totalitarne wszelkich odcieni potrzebują nienawiści nie tyle przeciw zewnętrznym wrogom i zagrożeniom, ile przeciwko własnemu społeczeństwu; nie tyle, by utrzymać gotowość do walki, ile by tych, których wychowują i wzywają do

nienawiści, wewnętrznie spustoszyć, obezwładnić duchowo, a tym samym uniezdolnić do oporu. Nieustające, bezgłośnie, lecz całkiem jasne orędzie powiada: „Wy jesteście doskonali, tamci są zgnili ze szczętem. Już dawno żylibyście w raju, gdyby złość waszych wrogów nie stała na przeszkodzie” – pisał w latach 70. Leszek Kołakowski.

Nie mógł wiedzieć, że 40 lat później, tymi słowami będzie można zdefiniować środowisko, które pod przykrywką „obywatelskości” uczyniło z nienawiści główną broń polityczną.

Kwintesencją orędzia, o którym mówił Kołakowski mogłyby stać się słowa Bronisława Komorowskiego z 13 listopada 2009 r.: „*Póki jest ten prezydent, nie da się dobrze rządzić*” i ich kłamliwe uzasadnienie – „*do wyborów prezydenckich trudne reformy będą leżały odlogiem, bo urząd prezydenta jest wielkim i skutecznym hamulcowym*”. Komorowski wyraził wówczas nadzieję, że „*nowym prezydentem zostanie ktoś, kto będzie wspierał modernizację Polski i brał na siebie część odpowiedzialności za trudne decyzje, bo prezydent nie może być wyłącznie recenzentem pracy rządu i hamulcowym*”. Stwierdził również, że nie zna „*ani jednego przykładu, gdy prezydent zachęcał do jakiegokolwiek reformy czy zmiany*”, a na uwagę, że Lech Kaczyński wspierał likwidację WSI, Komorowski odparł, że „*zlikwidowanie wojskowego wywiadu nie zasługuje na miano reformy, tylko szaleństwa*”.

Dzisiejszy lokator Belwederu, był przez lata głównym krzewicielem orędzia nienawiści i tylko szczelnej osłonie medialnej oraz tchórzostwu żurnalistów, Polacy zawdzięczają, że może być dziś kreowany na zwolennika ugodowości i koncyliacyjnego „męża stanu”.

Niemal każda wypowiedź Komorowskiego na temat rywali politycznych budowana była na retoryce nienawiści. Pamiętamy cyniczne słowa „*jaka wizyta, taki zamach*”, „*póki jest ten prezydent, nie da się dobrze rządzić*” czy wypowiedziane na trzy miesiące przed tragedią smoleńską życzenie – „*chciałbym skrócić zły okres prezydentury Lecha Kaczyńskiego*”. Określenia – „*popłuczyny endeckie, które szkodzą Polsce*”, „*ekipa oszalała na punkcie nienawiści do WSI*”, „*sekte wierząca w politycznego szatana*” czy „*Polska w rękach drobnych cwaniaczków, drobnych pijacków, którzy sięgają po najwyższe funkcje*” – należą do mniej znanych epitetów, jakimi Komorowski obdarzał przed laty swoich przeciwników.

O kulturze politycznej tego człowieka, jak też o jego rzeczywistym stosunku do kobiet (szczególnie w kontekście późniejszych unizgów i bredni o parytetach) niech świadczy wypowiedź ze stycznia 2009 roku, dotycząca chamskich słów, jakie Janusz Palikot, najbliższy przyjaciel Komorowskiego wypowiedział na temat posłanki PiS Grażyny Gęsickej.

„*Kobieta w polityce podlega takim samym regułom jak mężczyzna*” – perorował wówczas Komorowski i uznał, że „*Donald Tusk nie powinien przeproszać za słowa Janusza Palikota o ‘politycznej prostytutce’ Grażyny Gęsickej*”.

Niewiele miesięcy później w dokumencie zatytułowanym „*Moja wizja Polski*”, kandydat na prezydenta Komorowski przedstawił zbiór emfaticznych frazesów, wśród których znalazły się słowa: „*Polsce potrzebna jest polityka oparta na rozwadze w działaniu, szacunku dla ludzi inaczej myślących i dostrzeganiu w politycznym przeciwniku partnera*”.

Miarą owego „szacunku” był widok roześmianej twarzy Komorowskiego, gdy prezydent Kaczyński wracał w trumnie z nieludzkiej ziemi oraz zanegowanie całego dorobku politycznego poprzednika. W wywiadzie, jakiego Komorowski udzielił portalowi Onet w listopadzie 2010 roku, znalazły się słowa, które można nazwać esencją szyderstwa – „*wielu w Europie z ulgą przyjęło, że zakończył się etap walki o samolot, krzesło, o to, kto jedzie na jaki szczyt, itp.*”. Autor życzenia – „*chciałbym skrócić zły okres prezydentury Lecha Kaczyńskiego*”, które po trzech miesiącach znalazło spełnienie w lesie smoleńskim, nie potrafił ukryć swojego stosunku do polskiego prezydenta.

„*Nie chcę oceniać mojego poprzednika*” – deklarował Komorowski, by natychmiast stwierdzić: „*Powiem tylko, że nieszczyć się zdarzyło kiedy jeden jedyny raz w ciągu całych dwudziestu lat prezydent zablokował cały pakiet reform systemowych. Zdarzyło się to raz i mam nadzieję, że drugi raz się to nie zdarzy*”.

Zachyśnięty nowym stanowiskiem, lokator Belwederu pozwolił sobie również na wyrażenie kolejnych życzeń – „*Wyobrażam sobie PiS bez Kaczyńskiego. Nawet nie przychodzi mi to ze specjalną trudnością. [...] Na szczęście świat nie kończy się na Jarosławie Kaczyńskim i na PiS. Są obywatele, są wyborcy i oni oceniają kto jest wart nagrody, a kto kary za zdolność do współpracy lub jej brak. Wierzę, że doczekamy takiego momentu współpracy i bardzo tego chcę. Z Jarosławem Kaczyńskim lub bez Jarosława Kaczyńskiego.*”

Medialna zasłona milczenia rozciągnięta nad zachowaniami Komorowskiego nie pozwala Polakom zrozumieć, że cała logika tej prezydentury, podobnie jak logika rządów PO została zbudowana na nienawiści i pogardzie dla przeciwników politycznych. Nienawiści tak wielkiej, że nie cofnęła się przed paktowaniem z obcym mocarstwem i wspólnych działaniach przeciwko polskiemu prezydentowi.

Pora przyjąć, że wyrzeczenie się przez PO agresji lub rezygnacja z głoszenia orędzia nienawiści, nie jest i nigdy nie będzie możliwe. Musiałoby bowiem doprowadzić do unicestwienia tej grupy, do jej rzeczywistej samolikwidacji i utraty jedyne go fundamentu, na którym opiera się to środowisko.

792. ANTYTERRORYZM – METODA PROPAGANDY

Przez wiele lat władze PRL udzielały schronienia międzynarodowym terrorystom. W Polsce gościli m.in. Abu Nidal (z al-Fatah), Abu Daud (jeden z przywódców Czarnego Września), syryjski handlarz bronią Monzer al-Kasser, Gudrun Ensslin (z Frakcji Czerwonej Armii), a nawet uznawany w owym czasie za najgroźniejszego terrorystę świata - Iljic Ramiréz Sanchez. Oficjalnie odwiedzali Polskę w celach rekreacyjnych lub rekonwalescencyjnych, nieoficjalnie - przechodzili szkolenia w jednostkach wojskowych i wspólnie z peerelowską bezpieką robili u nas interesy, głównie na handlu bronią.

Pamięć o przyjaznym kraju nad Wisłą, musi być nadal żywa wśród terrorystów, skoro to właśnie III RP stała się bazą wypadową dla grupy organizującej zamach na bułgarskim lotnisku Burgas w lipcu 2012 roku. Zdarzenie miało miejsce w czasie Euro2012, gdy w Polsce (przynajmniej teoretycznie) obowiązywały szczególne środki bezpieczeństwa. Powiązani z Hezbollahem - Hassan El Hajj Hassan i Meliad Farah przylecieli do nas samolotem w czerwcu 2012 roku, a następnie bez najmniejszych problemów wyjechali z Warszawy do Burgas pociągiem. Wywieźli ze sobą najważniejsze elementy bomby użytej w zamachu na autobus z izraelskimi turystami: detonator i urządzenie pozwalające na jego zdalne uruchomienie. Polskie służby nie tylko nie wiedziały o ich pobycie, ale po ujawnieniu tego faktu, nie były w stanie ustalić, z kim dokładnie kontaktowali się terroryści na terenie kraju.

„*Mamy do czynienia z kolejną kompromitacją polskich służb i polityków za nie odpowiedzialnych. To poważny cios w naszą reputację i wiarygodność w Europie*” - ocenił wydarzenie Antoni Macierewicz. Rzecz jest tym bardziej bulwersująca, że służby III RP musiały w tym czasie otrzymywać ostrzeżenia o pobycie terrorystów.

W kwietniu 2012 roku były oficer izraelskich służb specjalnych Juval Aviv w wywiadzie dla TVP Info oświadczył wprost: „*Uważam, że terroryści są już w Polsce od jakiegoś czasu. Sprawdzają lokalizacje, zajmują się logistyką, planowaniem. Euro*

2012 to dla nich potencjalny cel. Tym razem mogą uderzyć w transport masowy: pociągi czy autobusy, a także w dworce czy hotele, czyli miejsca, gdzie gromadzą się ludzie. Tam łatwo jest zaparkować ciężarówkę z materiałem wybuchowym czy dokonać zamachu samobójczego.”

Jeśli oficer Mossadu zdecydował się na publiczną wypowiedź i sformułował tak wyraźne ostrzeżenie, można przypuszczać, że polskie służby otrzymywały również mocne sygnały przekazywane kanałami niejawnymi. Fakt, że islamscy terroryści mogli bez problemów wjechać i wyjechać z naszego kraju, pozwala sądzić, że ostrzeżenia te zostały zignorowane.

Informacja o uczynieniu z Polski bazy wypadowej dla zamachowców kompromituje oczywiście wszystkie służby III RP i po raz kolejny potwierdza ich nieudolność i brak profesjonalizmu w realnych działaniach antyterrorystycznych. W żadnym stopniu nie jest to ocena zaskakująca, bo pod rządami PO-PSL wielokrotnie dochodziło do podobnych sytuacji.

Mocnym sygnałem była już sprawa zabójstwa w Pakistanie polskiego geologa Piotra Stańczaka. Poświęcony temu wydarzeniu raport BBN z czerwca 2009 roku wskazywał na rozliczne zaniedbania ze strony służb i rządu Tuska, ujawniał bezmiar indolencji, pozorność i brak koordynacji działań. Kilka miesięcy później, we wrześniu 2009 roku, w niewyjaśnionych okolicznościach zniknęło z Polski pięciu Afgańczyków - uczestników szkolenia S.E.N.S.E zorganizowanego przez MSZ. W doniesieniach medialnych podkreślano, że uciekinierzy mogli być sympatykami afgańskich talibów, a ich zniknięcie może mieć związek z planowanym zamachem terrorystycznym w Polsce, lub w którymś z krajów europejskich. Odpowiedzialna za ochronę kontrwywiadowczą ABW nie potrafiła określić, co stało się z Afgańczykami, zaś politycy PO bagatelizowali wydarzenie. W tym samym czasie, Scott Stewart, ekspert ds. bezpieczeństwa ze Stratfor Global Intelligence ostrzegał, że istnieje możliwość ataku terrorystycznego w Polsce.

Wiemy również, że w kwietniu 2010 roku wywiad III RP zlekceważył informację służb zagranicznych o możliwości ataku na samolot kraju Unii Europejskiej. Ostrzeżenie było precyzyjne, gdyż informowano, że celem zamachu może być któryś z przywódców europejskich.

Ta niebywała nieudolność i ignorancja stoi w rażącej sprzeczności z realnymi uprawnieniami, jakimi rząd Tuska – zawsze pod hasłem „walki z terroryzmem”, obdarzał służby specjalne. Okazuje się, że nie służyły one bezpieczeństwu państwa i obywateli, lecz miały umocnić władzę grupy rządzącej i wpływ jej „zbrojnego ramienia”.

Ustawa o zarządzaniu kryzysowym pozwoliła zatem zbudować system nadzoru nad przedsiębiorcami i uczyniła z ABW faktycznego decydenta w sprawach gospodarczych. Ustawa o ochronie informacji niejawnych nadała szefowi ABW pozycję krajowej władzy bezpieczeństwa oraz m.in. prawo do wydawania uprawnień dostępu do informacji niejawnych. Powołane w 2008 roku Centrum Antyterrorystyczne ABW (CAT) wykorzystano zaś do sporządzenia żalostnego „raportu w sprawie incydentu gruzińskiego” oraz do inwigilacji prezydenta Lecha Kaczyńskiego i jego otoczenia.

Szczególnie rozległe kompetencje służby specjalne otrzymały przed Euro2012. Wytworzono wówczas propagandową atmosferę zagrożenia terrorystycznego - tylko po to, by na podstawie ustawy o zapewnieniu bezpieczeństwa nadać służbom prawo stworzenia ogromnej bazy danych o obywatelach, którzy z punktu widzenia władzy „stwarzają zagrożenie dla bezpieczeństwa i porządku publicznego”. Przyjęta w tym czasie nowela ustawy o Policji pozwoliła natomiast zatrudnić w roli „stróżów porządku” zastępy źle wyszkolonych funkcjonariuszy, w tym osoby bez wykształcenia średniego, skazane za wykroczenia lub czyny chuligańskie.

W ramach przygotowań do Euro uchwalono także ustawę o wymianie informacji z organami ścigania państw członkowskich Unii Europejskiej. Zawarte w niej procedury rozszerzały wymianę informacji o polskich obywatelach na organizacje międzynarodowe oraz państwa niebędące członkami UE. W powołanych na mocy ustawy „punktach kontaktowych”, funkcjonariusze służb uzyskali bezpośredni dostęp do wszystkich baz danych na temat obywateli. Co więcej - informacje zawarte w tych bazach są przekazywane do każdego państwa świata, bez czyjejkolwiek zgody i wiedzy. W praktyce oznacza to, że najbardziej poufne informacje o obywatelach polskich mogą bez przeszkód trafić do takich państw jak: Rosja, Chiny, Kuba czy Białoruś.

Należy wspomnieć, że zakupione wówczas za ogromne pieniądze różnego rodzaju „zestawy przeciw-uderzeniowe”, paralizatory, armatki, „środki ogłuszające”, śmigłowce i specjalistyczne „kibitki” do przewozu kibiców – wyposażały służby w sprzęt przydatny do pacyfikowania zgromadzeń i manifestacji. O ich rzeczywistym przeznaczeniu mogliśmy się przekonać już podczas obchodów Święta Niepodległości w roku 2012.

Hasło „walki z terroryzmem” jest ulubionym wytrychem wszystkich reżimów dążących do władzy totalitarnej. Propagandowy argument o „bezpieczeństwie państwa i obywateli” pozwala bowiem poszerzać uprawnienia służb, inwigilować społeczeństwo i ograniczać prawa obywatelskie. Informacja o pobycie islamskich terrorystów niesie zatem ważną wskazówkę. Nie tylko weryfikuje profesjonalizm polskich służb, ale pozwala ocenić intencje rządzących związane z bezpieczeństwem obywateli. Świadczy, że rząd Tuska stworzył państwo całkowicie bezbronne i wystawione na największe zagrożenia.

Reżim komunistyczny udzielał azylu terrorystom, bo tak chciała Moskwa - światowa stolica terroryzmu. Jeśli w III RP zamachowcy mogą czuć się swobodnie i traktować nasz kraj jako kanał przerzutowy, albo bazę wypadową, zawdzięczamy to również temu, że nigdy nie przecięto patologicznych więzów łączących nas z PRL, a ludzie безпеki do dziś mają wpływ na służby specjalne.

793. ANTYTUSKOWA REFORMA SŁUŻB

Gdyby planowaną obecnie reformę służb oceniać na podstawie niektórych komentarzy, mogłoby się okazać, że mamy do czynienia z pierwszym w historii III RP przypadkiem, gdy ośrodek rządowy dobrowolnie ogranicza swoje wpływy na formację specjalne i pozbawia partię rządzącą jej „zbrojnego ramienia”. Większość obserwatorów jest bowiem zdania, że decydentami reformy są ludzie z ekipy Tuska.

Wówczas jednak trzeba zmierzyć się z pytaniami: dlaczego reżim PO-PSL miałby dążyć do ograniczenia uprawnień ABW i wzmocnienia kompetencji służb wojskowych? Jaki cel miałyby reforma degradująca służbę podległą premierowi i tworząca nową, potężną formację (z połączenia Agencji Wywiadu ze Służbą Wywiadu Wojskowego) podporządkowaną słabemu szefowi MON? Dlaczego Tusk miałby rezygnować z nadzoru nad ABW i powierzyć Agencję ministrowi spraw wewnętrznych? Jaki interes miałyby grupa rządząca oddając swoje uprawnienia na rzecz „niezależnego zespołu” (powoływanego przez Sejm na sześcioletnią kadencję), który kontrolowałby operacje służb specjalnych?

Pytania można mnożyć, a jest ich tym więcej, że przez ostatnie pięć lat byliśmy świadkami procesu głębokiej „bondaryzacji” służb i ciągłego poszerzania uprawnień Agencji. Decyzje legislacyjne podejmowane przez reżim w sprawach bezpieczeństwa zmierzały zawsze do skupienia władzy w rękach Krzysztofa Bondaryka i uczynienia z ABW „zbrojnego

ramienia" partii rządzącej. To on i kierowana przezeń formacja mieli być gwarantem trwałości triumwiratu służb, biznesu i polityki i chronić interesy układu rządzącego.

Co zatem sprawiło, że Tusk przyjmuje nagłą dymisję Bondaryka, chce zdegradowania największej służby specjalnej i w najtrudniejszym okresie przedwyborczym pozbywa się narzędzi, dzięki którym mógłby odbudować swoją pozycję i kontrolować procesy społeczno-gospodarcze?

Szukanie wyjaśnień w sferze emocji lub kojarzenie reformy ze sprawą Amber Gold, jest oczywistym nieporozumieniem. Na długo przed tym, nim afera ujrzała światło dzienne obserwowaliśmy masowe ucieczki funkcjonariuszy ABW (do sierpnia 2012 roku odeszło 345 osób) oraz wymuszone dymisje wszystkich zastępców Bondaryka. Najwyraźniej już wówczas wiadano o planowanych zmianach i utracie przywilejów. Sama zaś afera, rozgrywana przez ośrodki propagandy i nakręczana kontrolowanymi „wrzutkami”, przypominała raczej kombinację operacyjną w wykonaniu służb konkurencyjnych wobec ABW i wyglądała niczym „propozycja nie do odrzucenia” złożona premierowi. Fakt, że wtedy właśnie rząd pospieszył ze zmianami w służbach i ogłosił założenia reformy pozwala dostrzec, co było przedmiotem owej propozycji.

Planowane obecnie zmiany można określić nie tylko mianem „anty rządowych”, ale uznać, że w najmniejszym stopniu nie zabezpieczają interesów Tuska i jego partyjnych kamratów. Jeśli zaś rząd niewiele potrafi powiedzieć o konkretach, to tylko dlatego, że sami ministrowie wydają się nie znać szczegółów swojej „rządowej reformy”.

Posądzanie o jej autorstwo ludzi tak niekompetentnych, jak Cichocki, Siemoniak czy Sienkiewicz – zakrawa na ponury żart. Postawienie tych osób na czele kluczowych resortów – wojska i spraw wewnętrznych świadczy raczej, że poszukiwano biernych i lojalnych wykonawców, którzy bez szemrania zrealizują założenia reformy i równie chętnie usuną się w cień.

Jej sens staje się zrozumiały dopiero wówczas, gdy skutki zmian ocenimy z perspektywy ośrodka belwederskiego i zamysłu stworzenia reżimu prezydenckiego. To Bronisław Komorowski i skupione wokół niego środowisko „wojskówki” będzie głównym beneficjentem projektu przebudowy służb.

Gdy na początku stycznia 2011 roku „Gazeta Polska” twierdziła, iż jedną z pierwszych decyzji Komorowskiego było zlecenie przygotowania zmian systemowych w zakresie kontroli nad służbami – informacja ta spotkała się z dementi rzeczniczki prasowej BBN. Tymczasem treść dokumentów Biura oraz wypowiedzi członków rządu świadczą, że właśnie tam opracowano szczegółową koncepcję, której wykonaniem ma zająć się ekipa Donalda Tuska.

Łatwo się zapomina, że zaledwie kilka dni po zakończeniu prac Komisji Strategicznego Przeglądu Bezpieczeństwa Narodowego (SPBN), sejmowe Kolegium ds. służb specjalnych zajęło się wytycznymi SPBN dotyczącymi „*propozycji zmian organizacyjnych i legislacyjnych w służbach*”. 7 września 2012 roku niejawnym raport SPBN trafił do Bronisława Komorowskiego, a już 18 września podczas obrad Kolegium Donald Tusk zapowiedział powołanie „zespołu roboczego” i wykorzystanie rezultatów zawartych w pracach ekspertów SPBN. Dwa miesiące później, szefowie MON i MSW przyznali na konferencji prasowej - „*Nie jest tajemnicą, że wykorzystywaliśmy dorobek Strategicznego Przeglądu Bezpieczeństwa Narodowego, który BBN prowadził*”.

Natychmiastowa reakcja na „dorobek” SPBN dowodzi, że Pałac Prezydencki przejął inicjatywę w sprawach bezpieczeństwa i narzucił rządowi dyktat w zakresie reformy służb.

Belwederski plan składa się w istocie z dwóch założeń: reformy dowodzenia Siłami Zbrojnymi, mającej na celu wzmocnienie lobby wojskowego i ugruntowanie zwierzchnictwa prezydenta nad armią oraz z dogłębnej przebudowy służb specjalnych, dokonywanej pod hasłem „integracji i koordynacji”, której efektem będzie osłabienie władzy premiera i wyłonienie nowej formacji – jako „zbrojnego ramienia” reżimu prezydenckiego. Model proponowany przez ludzi Komorowskiego zmierza do wyłączenia służb z ich dotychczasowego podporządkowania i przekazania uprawnień poszczególnym ministrom. Postuluje się przy tym włączenie nowej formacji do Sił Zbrojnych, co z kolei sugeruje powrót do rozwiązań sprzed 2006 r., kiedy to Wojskowe Służby Informacyjne znajdowały w MON, a funkcje dowódcze mogli pełnić wyłącznie żołnierze zawodowi.

Odtworzenie struktury i układu personalnego służb wojskowych będzie zaś możliwe dzięki planowanej nowelizacji ustawy o Służbie Kontrwywiadu Wojskowego oraz Służbie Wywiadu. Projekt noweli z dnia 16 października 2012 roku jest obecnie przedmiotem zaawansowanych konsultacji, do których zaproszono również żołnierzy byłych WSI, zrzeszonych w stowarzyszeniu Sowa.

Reaktywacja wpływów wojskówki nie ograniczy się z pewnością do służb specjalnych. Nie można wykluczyć, że w tle proponowanych reform istnieje zamysł powierzenia ludziom byłych WSI nadzoru nad technologiami wojskowymi oraz zaangażowanie ich w procesy związane z modernizacją Sił Zbrojnych. Również prezydencki projekt „polskiej tarczy antyrakietowej”, zakładający „*uwzględnienie polskiego przemysłowego potencjału obronnego*” wpisuje się w ten scenariusz.

Dodatkowym atutem Belwederu będzie tzw. Narodowe Centrum Kryptologii (NCK) – jednostka wojskowa powołana w kwietniu br. zarządzeniem ministra obrony narodowej, o której prawdziwych zadaniach nadal niewiele wiadomo. Oficjalnie NCK ma zajmować się „*konsolidacją kompetencji i zasobów resortu obrony narodowej w obszarze kryptologii*”, istnieje jednak obawa, że prace Centrum mogą służyć również monitorowaniu internetu i udoskonaleniu kontroli elektronicznej.

Dowodzenie NCK powierzono Krzysztofowi Bondarykowi, co w obecnej sytuacji wydaje się decyzją logiczną i dalekowzroczną. Dla Belwederu wiedza byłego szefa ABW stanowi cenny depozyt, z którego nie należy rezygnować. W NCK, pod okiem wojskowych kryptografów, Krzysztof Bondaryk będzie mógł nadal rozwijać swoje pasje inwigilacyjne.

Istota „rządowej reformy” sprowadza się zatem do wyłonienia nowego rozdania w służbach i przeniesienia ośrodka decyzyjnego do Belwederu. Po jej przeprowadzeniu, prezydent sprawujący zwierzchnictwo nad Siłami Zbrojnymi, stanie się - za pośrednictwem ministra obrony narodowej nie tylko faktycznym decydującym w kwestiach bezpieczeństwa, ale uzyska realny wpływ na działania służb specjalnych.

WRZESIEŃ

794. PUTIN, SYRIA, SARIN - O ZABÓJCACH DOSKONAŁYCH

Jest niewidoczny, jak przystało na doskonałego zabójcę. Nie ma barwy ani zapachu. Atakuje poprzez skórę, oczy, podczas wdychania, picia lub jedzenia. Jest 500 razy bardziej toksyczny od cyjanku, a w postaci gazu lub cieczy powoduje śmierć w przeciągu kilku minut.

Pierwsze objawy to katar, uczucie ciężkości w klatce piersiowej, powiększenie źrenic, problemy z oddychaniem, nadmierna produkcja śliny, pocenie się, zaburzenia tętna i ciśnienia. Chwilę później pojawiają się wymioty, skurcze i silne bóle brzucha,

skurcze mięśni i dezorientacja, następuje atak apopleksji, paraliż, śpiączka, ustanie pracy układu oddechowego i śmierć. Umiera się długo, bo pierwsze symptomy mogą pojawić się po jednej do dziesięciu minut i trwać przez kilka kolejnych.

Wyprodukowali go Niemcy w latach 30. ubiegłego wieku, a nazwę zawdzięcza nazwiskom twórców: Schradera, Ambrosa, Rudigera i Van der Linde. Amerykanie nazwali go „GB” (German Agent B) Zastosowany po raz pierwszy w trakcie II wojny światowej był używany do eksterminacji więźniów w niemieckich obozach zagłady. Od razu też spodobał się Sowietom, którzy już przed wojną prowadzili z Niemcami wspólne badania nad bronią chemiczną. Spodobał się tak bardzo, że gdy w roku 1945 Armia Czerwona wkroczyła do Brzegu (gdzie Niemcy produkowali sarin na ogromną skalę) instalację do produkcji zdemontowano i wywieziono do miejscowości Dzierżyńsk. Tam fabryka funkcjonowała jeszcze w latach 90, jako jedna z 14 tego typu zakładów, pracujących na potrzeby sowieckiej armii.

Po raz pierwszy po wojnie, sarin pojawił się w latach 80., podczas wojny Iraku z Iranem. W roku 1994 użyła go japońska sekta Aum Shinrikyo (Najwyższa Prawda) podczas ataku na metro w Tokio. Ta sama grupa przeprowadziła jeszcze co najmniej dziesięć innych ataków biologicznych na cele w Japonii i bazę amerykańską na Jokosuka. W roku 2001 służby rosyjskie aresztowały grupę Rosjan należących do Aum, którzy planowali zorganizowanie w Tokio zamachu w celu uwolnienia przywódcy sekty i przetransportowania go do Rosji. W jednym z zamachów chemicznych sekta używała rosyjskiego śmigłowca wojskowego, posiadała również informacje o obiektach nuklearnych w Rosji i na Ukrainie i usiłowała pozyskać z Rosji materiały nuklearne.

Skąd w Iraku znalazła się broń chemiczna, mogliśmy dowiedzieć się w roku 2003, gdy George Bush wydał rozkaz ataku na państwo Saddama Husajna. Według informacji uzyskanych przez wywiad brytyjski, ukraiński i izraelski, tuż przed 20 marca 2003 roku Rosjanie przeprowadzili operację wywieżenia z Iraku broni chemicznej i materiałów do jej produkcji. Akcja nadzorowana przez Jewgienija Primakowa, byłego szefa KGB, oraz dwóch emerytowanych generałów: Władysława Aczałowa i Igora Malcewa, zakończyła się na kilka dni przed atakiem Amerykanów.

Rosyjskie rakiety i głowice oraz materiały do produkcji broni chemicznej, biologicznej i jądrowej wywieziono wówczas do Syrii i Libanu. Część odplynęła na dwóch rosyjskich statkach handlowych z irackiego portu Umm Kasr w kierunku Oceanu Indyjskiego.

Informacje na ten temat zdobyła grupa specjalistów, którą kierował John A. Shaw, podsekretarz stanu w Departamencie Obrony USA. W operacji nazwanej „Spirit” współpracowali z nim m.in. były brytyjski ambasador na Bliskim Wschodzie Julian R. Walker, amerykański analityk wywiadu pochodzenia ukraińskiego i były oficer GRU. Zespół mający wyjaśnić kwestię irackiej broni masowego rażenia działał pod nadzorem sekretarza obrony Donalda Rumsfelda.

Zdaniem Amerykanów, rosyjska operacja z marca 2003 r. była tylko ostatnim etapem wieloletniej polityki ukrywania broni i środków do jej produkcji. Saddam Husajn już w latach 90. wydał rozkaz wywieżenia materiałów do innych krajów (m.in. Sudanu, Libii i Algierii). Produkcja irackiej broni chemicznej miała być rozwijana w Sudanie, zaś materiały do produkcji broni jądrowej trafiły do Libii i Algierii wraz z irackimi naukowcami, których wkrótce potem wysłano do Syrii i Iranu, by tam kontynuowali prace. Część irackiej broni chemicznej i biologicznej miała zostać zakopana w libańskiej dolinie Bekaa, a część wywieziona do Syrii. To wówczas w syryjskich podziemnych bazach wojskowych znalazły się rosyjskie rakiety Scud oraz głowice chemiczne i biologiczne.

W roku 2003 prezydent George Bush i Donald Rumsfeld oskarżali reżim, Baszara alAssada, że daje schronienie dygnitarzom irackim i prowadzi prace nad bronią masowego rażenia.

Szef brytyjskiej dyplomacji Jack Straw twierdził z kolei, że ani jego kraj, ani Stany Zjednoczone nie mają zamiaru atakować Syrii jako ewentualnego kolejnego celu wojny z międzynarodowym terroryzmem. *„Jeśli chodzi o to, czy Syria jest następną na liście, to powiedzieliśmy już jasno, że nie jest. Nie ma też żadnej następnej listy. Są natomiast ważne pytania, na które Syria musi odpowiedzieć. Ważne jest, żeby w pełni współpracowała”* - uznał Straw.

Jesienią 2004 roku, tuż przed wyborami prezydenckimi w USA, w reakcji na oskarżenia demokratów wysuwane wobec Busha, John Shaw ujawnił prasie brytyjskiej i amerykańskiej kulisy operacji „Spirit”. Zostały one natychmiast zdyskredytowane przez część kierownictwa CIA i wywiadu wojskowego oraz przez amerykańskie media sprzyjające konkurentowi Busha. Nad informacjami Shawa szybko zaciągnięto kurtynę milczenia. Niektóre gazety nazwały je -*„izraelską dezinformacją”*.

W publikacji tygodnika „Wprost” z 2006 roku, poświęconej tej sprawie, znalazła się wypowiedź Johna Shawa: *„To nie przypadek, że opublikowane szczegóły operacji wywieżenia broni masowego rażenia i materiałów wybuchowych z Iraku były fragmentaryczne, gdyż grupa wpływowych i bezwzględnych osób robiła wszystko, by podważyć ich wiarygodność. Nie do końca rozumiem, dlaczego w przededniu wyborów usiłowano zatuszować odpowiedzialność Rosjan za wywieżenie tych materiałów. Problem broni masowego rażenia w Iraku był i pozostaje największym problemem politycznym tej administracji i byłoby logiczne wykorzystanie moich informacji nawet jako dodatkowego przedwyborczego argumentu. Czego ci ludzie spodziewali się po Putinie? I jakie znaczenie miał udział Syrii w tej sprawie?”*.

Trzeba było kilku lat, by pytania te powróciły w kolejnej odsłonie światowego dramatu. Wiele wskazuje, że również dziś nie usłyszymy na nie odpowiedzi.

Nikt bowiem nie ma chęci ujawnić rzeczywistej roli Putina w kryzysie syryjskim ani pokazać światu – skąd i dlaczego broń masowego rażenia znalazła się w posiadaniu reżimu Assada. Nie usłyszymy też odpowiedzi na pytanie - dlaczego sarin i dziesiątki innych śmiertelnych trucizn trafiły w ręce światowych terrorystów i pospolitych morderców? Kto naprawdę odpowiada za śmierć dziesiątek tysięcy cywilów, w tym tysięcy dzieci?

Demokraci sprawujący władzę w Waszyngtonie, nie znaleźli dość odwagi, by ujawnić powiązania służb rosyjskich z atakami w Bostonie. Tym bardziej nie napiętnują wspierania terroryzmu i zbrojenia przez Moskwę większości krwawych reżimów. Assad i inni „przyjaciele Moskwy” mogą nadal czuć się bezkarnie, a światowe media, wespół z naszymi rodzimymi „prawcowcami”, będą skutecznie zatruwały umysły bredniami o „izraelskiej prowokacji” i obronie przez Assada „cywilizacji chrześcijańskiej”.

Widząc zachowanie Obamy i tzw. przywódców Zachodu, Assad nie musi nawet przenosić swoich arsenałów. Są bezpieczne pod politycznym protektoratem Moskwy. Miną kolejne lata i ta broń zostanie ponownie użyta. Na skalę proporcjonalną do dzisiejszych błędów i zaniechań. Wówczas, już nikt może nie zadać prostego pytania – *czego ci ludzie spodziewali się po Putinie?*

Należy rozważyć i zdecydować:

1. czy nie powinno się rozpracować dokładnie życiorysów i kwalifikacji naukowych tych ekspertów,
2 czy nie powinno się rozpracować dokładnie życiorysów i kwalifikacji zawodowych profesorów, autorów elaboratu
3 Czy nie powinno się postąpić podobnie w stosunku do ekspertów, którzy uczestniczyli przy pracowaniu elaboratu,
Wreszcie należy się – moim zdaniem – zainteresować:

- a) kwalifikacjami zawodowymi biegłych, którzy opinie podpisali, jest ich 12-tu, na pierwszy rzut oka można już stwierdzić, że niektórzy z nich nie byli nawet profesorami;
- b) ich życiem i zachowaniem się poprzedzającym wydanie opinii i po tym;
- c) opinią jaką cieszą się wśród swoich kolegów jako fachowcy i jako ludzie;

Ten cytat nie pochodzi z tajnej instrukcji PO w sprawie Smoleńska, ani nie ujawnia poleceń oficera prowadzącego wydawanych funkcjonariuszom medialnym. Nie jest też planem przygotowań do debaty smoleńskiej, w której rząd miał ogólnie ustalać „parytety” - większość prelegentów to naukowcy „W” (zwolennicy teorii wypadku), a tylko kilku „Z” (zwolennicy zamachu).

Ludzie, którzy tworzą dziś podobne instrukcje i usiłują zdyskredytować grupę ekspertów pracujących z zespołem smoleńskim Antoniego Macierewicza, dysponują jednak obszernym materiałem, na którym mogą wzorować swoje działania. Pochodzenie tego materiału, po raz kolejny potwierdza istnienie głębokich analogii między zbrodnią katyńską i zbrodnią smoleńską.

18 września 1951 roku Izba Reprezentantów Kongresu Stanów Zjednoczonych przyjęła rezolucję dotyczącą powołania „Komisji specjalnej do przeprowadzenia śledztwa w sprawie faktów, wydarzeń i okoliczności masakry w lesie katyńskim” – jak brzmiała oficjalna nazwa organu, określanego później mianem Komisji Katyńskiej Kongresu.

Na powołanie komisji natychmiast zareagowały władze komunistyczne. Rozpoczęto przygotowania do wielowątkowej kampanii propagandowej, mającej zdezwolować ustalenia Kongresu. Nie mogąc w inny sposób podważyć prawdy o sprawstwie Sowietów, skupiono się na działaniach dyskredytujących ekspertów i naukowców biorących udział w ekshumacji w roku 1943 lub współpracujących z Komisją.

Plan działań w tej sprawie przygotował Henryk Świątkowski - ówczesny przewodniczący Zarządu Głównego Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej i założyciel Stowarzyszenia Ateistów i Wolnomyślicieli, a w latach terroru stalinowskiego, (1945-1956) pełniący funkcję ministra sprawiedliwości.

Świątkowski planował skupić atak propagandowy na niemieckiej pracy wydanej w 1943 roku (*Amtliches Material zum Massenmord von Katyn*) i obalić prezentowane w niej tezy przedstawicieli medycyny sądowej. W tym celu proponował posłużyć się opiniami „postępowych” polskich i zagranicznych lekarzy, którzy odwołali wcześniejsze zeznania dotyczące zbrodni katyńskiej lub otwarcie krytykowali ustalenia komisji niemieckiej. Szczególny nacisk w kampanii położono na „rozpracowywanie życiorysów” i podważanie kompetencji zawodowych ekspertów. Swoje propozycje Świątkowski przesłał Jakubowi Bermanowi i to on prawdopodobnie podjął ostateczne decyzję.

Zamieszczony na wstępie fragment jednej z notatek ministra sprawiedliwości wyraźnie wskazuje, w jakim kierunku zmierzały działania dyskredytujące. Są one tak charakterystyczne, że można przyjąć, iż podobne zalecenia mogłyby dziś inspirować ośrodki propagandy do ataków na osoby współpracujące z zespołem smoleńskim.

W ramach kampanii planowano m.in. zbieranie „materiałów krytycznych i analitycznych” kompromitujących ekspertyzy zawarte w niemieckiej publikacji oraz poszukiwanie „materiałów kompromitujących kwalifikacje naukowe i osobiste autorów tego dokumentu”.

Interesujący fragment zawiera notatka Świątkowskiego z 7 grudnia 1951 roku, w której autor wyjaśnia, jak komuniści oceniają wartość rzetelnej pracy naukowej oraz znaczenie dowodów rzeczowych. Warto o tym pamiętać, gdy ze strony prokuratury słyszymy dziś, że śledztwo smoleńskie może się zakończyć bez zwrotu wraku i rejestratorów lotu.

Odnosząc się do niemieckiego opracowania na temat zbrodni w Katyniu, Świątkowski tłumaczył Bermanowi:

„Autorzy liczą na czytelnika wierzącego w „obiektywizm” autorytetów naukowych, do których rzekomo przemawiają tylko przedstawione dowody rzeczowe i z których w sposób „naukowy” wyprowadzane są „naukowo-obiektywne” logiczne wnioski, które się pokrywają w całości z tezą propagandową hitlerowców. Należy przy tym pamiętać, że burżuazyjna nauka i publicystyka od pół wieku bez mała (z przyczyn, których omówienie ta notatka nie wymaga) utwierdzają przekonanie i kształtują świadomość społeczeństwa, że jedynym ważkim, wartościowym i decydującym par excellence, do którego można mieć zaufanie, jest dowód rzeczowy. Do ugruntowania tego podejścia służyło wiele dyscyplin, m.in. również burżuazyjna nauka o psychologii zeznań. Dlatego zdyskwalifikowanie hitlerowskiego „dowodu rzeczowego” ma najistotniejsze znaczenie.”

Praktyki stosowane wówczas przez komunistów doskonale obrazuje końcowy fragment notatki „Pierwszego Prokuratora Najwyższego Trybunału Narodowego” Stefana Kurowskiego. W roku 1947 rozmawiał on z François Navillem, profesorem medycyny sądowej Uniwersytetu Genewskiego, który w roku 1943 prowadził prace ekshumacyjne w Katyniu. Planowano doprowadzić do zmiany opinii Naville na temat zbrodni. Kurowski raportował do Bermana.

„W międzyczasie należy zebrać dodatkowe informacje o osobie Naville w szczególności – czy jest to człowiek, kierujący się wyłącznie ambicją naukowca czy też działają u niego pobudki materialnej natury. (Naville opowiadał mi bardzo wiele o ciężkiej sytuacji profesorów w Szwajcarii i o mizernej emeryturze z jakiej wypada im żyć po opuszczeniu katedry). Według Ambasadora Putramenta potrzebnych informacji można zasięgnąć za pośrednictwem radcy Mańkowskiego w naszym poselstwie w Bernie”.

Lektura notatek wskazuje, że w fałszowanie prawdy o zbrodni katyńskiej zaangażowano cały ówczesny aparat państwowy. W propozycjach Świątkowskiego znalazło się stwierdzenie:

„Ministerstwo Sprawiedliwości wyraża przekonanie, że taka akcja śledcza, specjalnie wśród kół naukowych, może ujawnić wiele materiału kompromitującego ich jako fachowców i jako ludzi.”

Postaci ministra sprawiedliwości planującego gromadzenie „kompromatów” na ekspertów i naukowców oraz „pierwszego prokuratora” sugerującego skorumpowanie profesora medycyny – kreślą autentyczny obraz komunistycznej „praworządności”. Z historii kłamstwa katyńskiego wiemy, że w działania propagandowe zaangażowano również zastępy „postępowych naukowców”, dziennikarzy i pisarzy.

Sygnal do rozpoczęcia akcji dało oświadczenie „rządu polskiego” z dnia 29 lutego 1952 roku w sprawie działalności Komisji Kongresu USA, zamieszczone w „Trybunie Ludu”. Jednym z efektów kampanii była zaś książka tzw. dziennikarza Bolesława Wójcickiego - „Prawda o Katyniu” oraz wiele innych publikacji, w których prezentowano sowiecką wersję zbrodni.

Warto sięgnąć po te archiwalne dokumenty, by poznać niezmienny mechanizm kłamstwa i dezinformacji. Ich lektura ułatwia zrozumienie dzisiejszych zachowań urzędników ministerialnych, tłumaczy reakcje prokuratury i kombinacje medialne w

wykonaniu ośrodków propagandy. Przypomina, że III RP jest zaledwie hybrydą państwa komunistycznego, a jej elity wciąż pretendują do miana sukcesorów po Bermanie i Świątkowskim.

Notatki ministra Świątkowskiego oraz notatkę prokuratora Stefana Kurowskiego z rozmowy z prof. F. Naville opublikował dr. Paweł Libera w pracy „Polska Ludowa wobec sprawy Katynia: nieznane dokumenty Ministerstwa Sprawiedliwości (1947-1951) w „Komunizm: system - ludzie - dokumentacja. Rocznik naukowy” 2012, nr 1, s. 211-228. Link - <http://komunizm.net.pl/wp-content/uploads/09.pdf>

796. O UDERZENIU „Z DEMOKRACJI”

Układ rządzący niespecjalnie przejmując się krytyką ze strony partii opozycyjnej i niezależnych mediów. Ujawnianie kolejnych afer, punktowanie błędnych decyzji czy prezentacja nieudolności rządzących, spotyka się zwykle z nonszalancją polityków PO-PSL i tradycyjnym przemilczeniem sprawy przez ośrodki propagandy.

Zupełnie odmienną reakcją mogliśmy obserwować przed kilkoma dniami, gdy w jednym z wywiadów Jarosław Kaczyński wspominał o lokatorze Belwederu i jego najbliższym otoczeniu. Dla każdego, kto zna sylwetkę Bronisława Komorowskiego, opinie prezesa PiS-u nie były niczym zaskakującym, jednak na tle powszechnego przemilczenia dokonania tej postaci, musiały zabrznieć szczególnie mocno. Następnego dnia, w wywiadzie radiowym Kaczyński ponownie nazwał Komorowskiego „*politykiem opcji bardzo lewicowej*” i uznał, że powinien on pożegnać się z polityką.

Na reakcję nie trzeba było długo czekać, bo już kilka godzin później pojawiły się histeryczne wypowiedzi urzędników kancelarii oraz komentarz szefowej prezydenckiego biura prasowego. Następnego dnia, sam Komorowski udzielił prezesowi PiS rady, by nie „*posuwał się do inwektyw, podejrzeń, insynuacji*”. Występy dyżurnych ekspertów deliberujących nad „nadszarpniętym wizerunkiem” Kaczyńskiego oraz natychmiastowy spadek sondażowych notowań PiS-u, uzupełniały ten medialny spektakl. Słowa Jarosława Kaczyńskiego okazały się również inspirujące dla dziennikarzy, którzy nagle przypomnieli sobie o lokatorze Belwederu i zdobyli na odwagę napisania kilku słów na temat tej postaci.

Tak szczególna reakcja na krytykę Komorowskiego, wydaje się potwierdzać, że osoba byłego marszałka jest dziś najważniejszym wspornikiem sił rządzących III RP, zaś środowisko Belwederu odgrywa rolę decydenta. Próba podważenia fałszywego wizerunku Komorowskiego oraz przypomnienie o rodowodzie urzędników prezydenckich, została trafnie odebrana jako realne zagrożenie. Naruszała dotychczasowe status quo, w którym przeszłość lokatora Belwederu i jego współpracowników jest uznawana za medialne tabu. Wywołując tak silne poruszenie, Jarosław Kaczyński najwyraźniej trafił w newralgiczny „punkt”.

Od wielu miesięcy ośrodek belwederski stanowi centrum decyzyjne w sprawach kluczowych dla bezpieczeństwa Polski. Wszystkie projekty zmian systemowych w Siłach Zbrojnych, służbach specjalnych i przemyśle zbrojeniowym, powstały w środowisku Komorowskiego i są fundamentem budowy reżimu prezydenckiego. Trzeba sięgnąć do opracowań gen. Kozieja z roku 2009 oraz tzw. rekomendacji Strategicznego Przeglądu Bezpieczeństwa Narodowego (SPBN), by dostrzec, że realizowane dziś przez urzędników Tuska „projekty rządowe” zostały opracowane przez ludzi związanych z Belwederem.

Wyjątkowa pozycja Komorowskiego w polskim życiu politycznym została ustalona już na początku 2010 roku, gdy w niewyjaśnionych do dziś okolicznościach doszło do nagłej rezygnacji Tuska z ubiegania o prezydenturę i wystawienia kandydatury marszałka Sejmu. Potwierdzenie tej pozycji przyniosły wydarzenia po 10 kwietnia 2010 roku, gdy Komorowski w sposób bezwzględny zawłaszczając prerogatywy prezydenckie i dokonywał przejęcia Kancelarii Lecha Kaczyńskiego. Wywołanie i eskalacja konfliktu wokół krzyża smoleńskiego ukazały z kolei prawdziwe oblicze „*spokojnego konserwatysty*”, a pierwsza inicjatywa ustawodawcza – nowela ustawy o stanie wojennym i rozpoczęcie SPBN, dały początek projektom legislacyjnym zmierzającym do budowy reżimu prezydenckiego.

Powstałe w tym środowisku pomysły zmierzają do wzmocnienia lobby wojskowego, przejęcia nadzoru nad przemysłem zbrojeniowym, poszerzenia zwierzchnictwa nad armią oraz dogłębnej przebudowy służb specjalnych, dokonywanej pod hasłem „integracji i koordynacji”, której efektem będzie m.in. wyłonienie nowej formacji, jako „zbrojnego ramienia” reżimu. Prezydent sprawujący zwierzchnictwo nad Siłami Zbrojnymi, stanie się nie tylko faktycznym decydem w kwestiach bezpieczeństwa, ale uzyska realny wpływ na działania potężnej służby specjalnej. Celem końcowym jest zmiana Konstytucji i stworzenie modelu rządów prezydenckich.

Nietrudno zauważyć, że ośrodek belwederski odgrywa dziś zasadniczą rolę w kreowaniu „nowego rozdania”. W tle tych działań można dostrzec intencje Kremla, obliczone na pozbycie się niewygodnych współników kłamstwa smoleńskiego i zastąpienie obecnej ekipy ludźmi, którzy zadbają o strategiczne interesy Rosji i dominację Pałacu Prezydenckiego. Zwieńczeniem dzieła będzie kontrolowana wymiana ekipy, zaś rok 2015, ogłoszony już „*rokiem Polski w Rosji i Rosji w Polsce*” wydaje się datą graniczną obecnej akcji.

Plan ten jest wymierzony wprost w dążenia całego obozu patriotycznego, ma bowiem zamknąć sprawę Smoleńską, „oczyszczyć” atmosferę polityczną i spacyfikować niezadowolenie społeczne. Pozorowane zmiany będą dokonywane pod mecenatem Komorowskiego, posłużą wzmocnieniu jego pozycji i na długo zamkną drogę do obalenia układu III RP.

Opozycja może wygrać tylko wówczas, gdy główne wysiłki będą zmierzały do storpedowania planów Belwederu i pozbawienia Komorowskiego prezydentury. Wszelkie symulowane konfiguracje, w tym wymiana Tuska na narzuconą przez Pałac Prezydencki „*ekipę techniczną*”, nie mogą leżeć w interesie partii opozycyjnej. Bez zamknięcia Komorowskiemu drogi do reelekcji, nawet potencjalna wygrana w wyborach parlamentarnych nie zapewni PiS-owi przejęcia władzy.

Obecne uprawnienia prezydenta (choćby w zakresie blokowania ustaw i prawa zatwierdzania składu rady ministrów) zapewniają mu pozycję umożliwiającą torpedowanie prac nowego rządu. Wywołany tym paraliż, doprowadzi do kolejnych wyborów lub wyłonienia koalicji PO-SLD. W sytuacji poważnego zagrożenia interesów układu, możliwe jest również wprowadzenie stanu wyjątkowego.

Chciałabym wierzyć, że niedawne wystąpienie prezesa PiS-u niesie zapowiedź zmiany dotychczasowej taktyki partii opozycyjnej i jest sygnałem, że zaczęto dostrzegać wyjątkowo groźną pozycję Komorowskiego. Konsekwencją takiej zmiany powinno być przede wszystkim wskazanie silnego kandydata opozycji w wyborach prezydenckich i przejęcie inicjatywy w sferze informacyjnej.

Kandydat oraz skupiona wokół niego grupa ekspertów, powinni już dziś przystąpić do zbilansowania obecnej prezydentury i sporządzenia rzetelnego raportu z działań ośrodka belwederskiego. Trzeba pokazać Polakom, nie tylko prawdziwą sylwetkę

Komorowskiego i tragiczne saldo jego dokonań na zajmowanych dotąd stanowiskach, ale ujawnić realne zamysły Belwederu i zagrożenia związane z budową reżimu prezydenckiego. W miejsce fałszywego wizerunku „męża stanu” lub obrazu „miłego i niegroźnego safandudy”, trzeba pokazać postać o niewspółmiernych do potencjału ambicjach, człowieka tyleż nieudolnego, co owładniętego nienawiścią, powiązanego ze środowiskiem „ludowych” oficerów i ludzi komunistycznych służb.

Bronisław Komorowski musi mieć świadomość, że jego działania są na bieżąco analizowane i opiniowane. Powinien być pozbawiony dotychczasowej osłony medialnej i – jak każdy polityk – poddany osądowi publicznemu i rzetelnej krytyce.

Człowiek, który jeszcze w roku 2009 wykrzykiwał - „w demokracji nie ma świętych krów”, a dziś kreuje się na obrońcę pluralizmu i wolności obywatelskich – nie może odczuwać dyskomfortu w zderzeniu z realiami. Trzeba dać mu szansę potwierdzenia demokratycznego „sznytu” i sprawić, by przez ostatnie dwa lata swojej prezydentury znajdował się w centrum uwagi publicznej i doświadczał dobrodziejstw płynących z działalności opozycji i wolnych mediów.

797. SYRIA - SMOLEŃSK

Rezolucję ONZ w sprawie Syrii można nazwać największym zwycięstwem dyplomacji rosyjskiej, porównywalnym jedynie z podpisaniem w roku 1975 tzw. Helsińskiego Aktu Końcowego Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Tamten tryumf sowieckiej taktyki pozwolił bandyckim rządowi Bloku Wschodniego wystroić się w szaty „obrońców praw człowieka” i posłużyć ukryciu aktów terroru i represji za murem „nieingerencji w sprawy wewnętrzne” i „prawa narodów do samostanowienia”.

Obecna rezolucja ONZ nie tylko nie nakłada na reżim Assada żadnych sankcji, ale nawet nie oskarża pupila Putina o użycie broni chemicznej. Ogólnikowość stwierdzeń o „konieczności rozbrojenia”, „odpowiedzialności za użycie broni chemicznej” czy „stosowaniu rozdziału 7 Karty Narodów Zjednoczonych”, bez nałożenia jakiegokolwiek kary za zagazowanie tysięcy syryjskich kobiet i dzieci, czyni z tego dokumentu bezwartościowy bełkot.

Skalę dzisiejszego zwycięstwa Kremla podkreśla fakt, że przegrani i doszczętnie skompromitowani politycy Obamy złożyli wysłannikom Putina swoiste homagium i wbrew wymowie owej rezolucji, próbując przedstawiać ją jako sukces dyplomacji. Amerykański sekretarz stanu John Kerry stwierdził wprost:

„Chciałbym podziękować szefowi MSZ Siergiejowi Ławrowowi za jego wysiłki i współpracę, która rozpoczęła się jeszcze do Genewy i trwała w tym tygodniu, dzięki czemu znaleźliśmy wspólne podejście do problemu. Przyjmując dzisiaj rygorystyczną, podlegającą wykonaniu i tworzącą precedens rezolucję, która wymaga od władz Syrii wyrzeczenia się broni chemicznej, Rada Bezpieczeństwa ONZ udowodniła światu, że dyplomacja może być bardzo potężnym narzędziem, które może skutecznie unieszkodliwiać nawet najgorszą broń”.

Po to, by dziękować przedstawicielowi państwa, które wyprodukowało śmiertelny sarin, uzbroiło syryjskiego bandytę, a po wymordowaniu przezeń tysięcy cywilów szantażowało świat konfliktem zbrojnym w obronie tego bandyty – trzeba doprawdy mentalności idioty lub pospolitego raba.

Nie może dziwić, że wobec takiego „zwycięstwa dyplomacji”, na plan dalszy zeszła nie tylko sprawa interwencji zbrojnej i ukarania Assada za użycie broni chemicznej, ale nikt już nie podnosi kwestii odpowiedzialności Rosji za wspieranie ludobójczych reżimów i nie zamierza dochodzić, skąd broń masowego rażenia znalazła się na terytorium Syrii.

Rezolucja ONZ kładzie kres żenującemu spektaklowi, w którym satyryczne występy lewackich polityków Zachodu konkurowały jedynie z żałosnymi pohukiwaniami amerykańskich oficjeli i doprowadzały kremlowskich decydentów do szczerzego rechotu.

Takie zakończenie sprawy syryjskiej wiedzy oczywiście do wzmocnienia reżimu Assada i wywołania poczucia bezkarności wśród wszystkich satrapów wspieranych przez Moskwę. Sama Rosja, nie tylko utrwaliła swoją obecność w tym rejonie świata, ale udowodniła, że każdy ludobójca może liczyć na bezkarność – byleby wspierał kremlowskich kagebistów i pozostawał pod ich kuratelą. Ta ponura lekcja dyplomacji, z tysiącami ofiar w tle, pozwala przewidywać, że następnym krokiem w testowaniu reakcji Zachodu będzie wymordowanie kilku milionów istnień przy użyciu broni jądrowej. Rosyjskie arsenały ukryte w Libii, Sudanie czy Iranie, doskonale nadają się do przeprowadzenia takich testów, a udzielana tym reżimom pomoc „rosyjskich doradców”, jest wręcz nieoceniona.

Nie jestem zaskoczony, że temat rezolucji ONZ bywa przemilczany w niezależnych mediach lub – w najlepszym przypadku, przedstawiany zgodnie z optyką rosyjską. Takie zjawisko, szczególnie widoczne w mediach katolickich, obserwowaliśmy od wielu tygodni. Przedstawianie Assada jako „obrońcy chrześcijaństwa” i Rosji w roli „gwaranta wartości”, należy do stałego repertuaru niektórych publicystów i dowodzi tyleż głupoty i nieznajomości realiów syryjskich, jak silnych wpływów rozmaitej maści agentury.

Dziwi natomiast, że lekcja syryjska nie jest postrzegana w kontekście spraw polskich i nie prowadzi do formułowania bardziej generalnych wniosków.

Kilkutygodniowy spektakl wokół Assada ukazuje przecież aktualną sytuację międzynarodową i dowodzi realnego rozkładu sił w globalnych rozgrywkach politycznych. Nie ma wątpliwości, że jest to układ zdominowany przez Rosję i Chiny, funkcjonujący przy silnym wsparciu Berlina i kilku pomniejszych figurantów. Tworzy on doraźną koalicję, montowaną zawsze przeciwko interesom USA i tym skuteczniejszą, że wymierzoną w najsłabszą w historii Ameryki administrację Obamy.

Demokraci sprawujący władzę w Waszyngtonie nie znaleźli odwagi, by ujawnić powiązania służb rosyjskich z atakami w Bostonie, gładko przełknęli niebotyczną kompromitację w sprawie Snowdena, a po kolejnym, syryjskim policzku, wymierzonym przez Putina, nadal pokazują uśmiechnięte facjaty i ślą Rosjanom podziękowania. Zapewniania o „doskonałej współpracy” (również na poziomie służb specjalnych), dopełniają bezmiaru tej politycznej słabości.

Biorąc pod uwagę, że kadencja Obamy upływa za trzy lata, a Putin będzie rządził przynajmniej do roku 2018, sprawy polskie, w tym najważniejszą z nich - sprawę tragedii smoleńskiej, należy oceniać w perspektywie układu sił, jaki będzie funkcjonował przez najbliższe lata. Rezolucja ONZ jest kolejnym wydarzeniem, które pogłębia dysproporcje w tym układzie i wskazuje na rosnącą pozycję Rosji. Jeśli nawet pozycja ta nie znajduje żadnego uzasadnienia w potencjale militarnym (a tym bardziej ekonomicznym) Kremla, dość, że wspiera się na sile „rosyjskiej dyplomacji” i entuzjastycznie tysięcy gawnojedów oraz zyskuje na słabości Obamy i działaniach rosyjskiej agentury wpływu.

W tym układzie, wszystko co służy interesom Rosji i poszerza jej wpływy na światową politykę, oddala nas od możliwości wyjaśnienia sprawy zamachu smoleńskiego i pogłębia stan uzależnienia Warszawy od „czynnika” moskiewskiego.

Nie sposób uwierzyć, by w obecnej konfiguracji sił, Ameryka, Anglia czy Niemcy były zainteresowane sprawą Smoleńska lub chciały poświęcić swoje interesy w obronie polskiej racji. Słowa, które napisałem przed dwoma laty – „nikt nie umrze za polską prawdę”, znajdują dziś kolejne potwierdzenie.

Stratedzy Putina doskonale wiedzą, że nadrzędnym celem społeczeństw Zachodu nie jest prawda bądź racje moralne, ale dobrobyt i spokój, za które to wartości gotowe są one zapłacić każdą cenę. Przypomniam wóczas słowa Józefa Mackiewicza, zawarte w „Zwycięstwie prowokacji”: *„Polityka Zachodu podczas wojny kierowała się względami narzuconymi jej przez sojusz z Sowietami; polityka Zachodu po wojnie kieruje się względami narzuconymi jej przez chęć pokojowej koegzystencji z Sowietami.”*

Coraz wyraźniej widać, że prowadzona przez ostatnie lata rosyjska kampania propagandowo - dyplomatyczna sprawiła, iż państwo Putina jest dziś postrzegane poprzez pryzmat potencjalnych korzyści politycznych i ekonomicznych, jakie mają płynąć z „ucywilizowania” Rosji i nawiązywania z nią kontaktów handlowych. Kraje Zachodu są gotowe uczynić wiele, byle tylko wygasić „polską rusofobię” i nie dopuścić do zaognienia relacji z Kremlm. To jeden z głównych powodów, dla których reżim Tuska i Komorowskiego może zawsze liczyć na przychyłność eurodidiotów i łaskawość administracji Obamy.

W kontekście wydarzeń związanych z konfliktem syryjskim, trzeba zdobyć się na odważny realizm i nie oceniać intencji tych państw na podstawie naszych wyobrażeń, mrzonek i ideowych projekcji. Kto nie był gotów bronić tysięcy dzieci mordowanych przez Assada i nie miał odwagi potępić Putina za wspieranie bandytów, nie może pochyłać się z uwagą nad „incydentem” smoleńskim ani narażać własnych interesów w obronie „polskich ideałów”.

Nie ma powodu wierzyć, że milczenie wobec zbrodni rosyjskich w Czeczenii czy głucha cisza wokół aneksji Osetii, są mniej znaczące od przemilczenia zamachu smoleńskiego.

W oparciu o takie realia, trzeba konfrontować nie tylko kalkulacje na przejęcie władzy „metodami demokratycznymi”, ale nadzieje na stworzenie komisji międzynarodowej i pomoc Zachodu w wyjaśnieniu zbrodni smoleńskiej. Droga do prawdy – szczególnie w wymiarze historycznym i politycznym, może zająć długie lata.

Jedno jest pewne. Póki państwa „wolnego świata” pozwalają Rosji prowadzić grę *va banque* i odwracają oczy od kolejnych aktów moskiewskiego terroru – powinniśmy liczyć wyłącznie na własne siły.

PAŹDXIERNIK

798. Z DESZCZU POD RYNNĘ

Gdy ze stanowiska szefa kontrwywiadu wojskowego odchodzi człowiek oskarżany o inwigilację opozycji, nepotyzm, brak profesjonalizmu, rozliczne błędy i patologie – wypada się jedynie cieszyć. Tym bardziej, że Janusz Nosek odniósł na tym polu tylko jedno zwycięstwo: całkowicie zdegradował profesjonalną i nowoczesną służbę stworzoną przez Antoniego Macierewicza i nadał jej charakter daleki od intencji twórców. Proces niszczenia SKW obserwowaliśmy od chwili przejęcia władzy przez PO-PSL, gdy w atmosferze medialnej hysterii, czystek personalnych i prześladowań zlikwidowano szereg nowych zadań i struktur SKW. Efektem tej destrukcyjnej działalności była kompromitacja wszystkich formacji III RP w dniu 10 kwietnia 2010 r, szczególnie zaś służby gen. Noska, która w swoich ustawowych obowiązkach ma m.in. ochronę dowódców WP oraz monitorowanie i zabezpieczanie lotów wojskowych.

Dochodząc przyczyn decyzji o odwołaniu szefa SKW, trzeba jednak odrzucić pogląd, jakoby jej powodem mogły być nieprawidłowości w funkcjonowaniu kontrwywiadu lub brak profesjonalizmu. Doświadczenia płynące z sześciu lat rządów PO-PSL pokazują, że podobne normy nie mają najmniejszego znaczenia i nigdy nie były źródłem decyzji personalnych w służbach specjalnych. Gdyby było inaczej, panowie Nosek, Bondaryk czy Janicki, nie objęliby swoich stanowisk lub utracili je natychmiast po 10 kwietnia.

Odwołaniu szefa SKW towarzyszą jednak okoliczności, które nie tylko nie pozwalają na formułowanie jednoznacznych ocen, ale z całą pewnością nie uprawniają do tryumfalnych wypowiedzi polityków opozycji oraz stwierdzeń o „*święcie demokracji*”.

Warto przede wszystkim przypomnieć, że do krytyków działań SKW należeli nie tylko parlamentarzyści PiS-u, ale (co może zaskakiwać) ludzie byłych WSI. Strona internetowa stowarzyszenia „Sowa” zawiera szereg niezwykle negatywnych ocen pod adresem szefostwa SKW. Konflikt narastał od 2009 roku, gdy w liście skierowanym do Donalda Tuska, ostatni szef WSI gen. Dukaczewski pytał o „*informację na temat: przesłanek i podstaw inwigilacji Stowarzyszenia „Sowa” przez SKW*”. Powołując się na wypowiedzi gen. Waldemara Skrzypczaka, Dukaczewski twierdził również, że SKW nie wywiązuje się ze swoich obowiązków i źle wypełnia zadania ochrony kontrwywiadowczej.

Tłem ówczesnego konfliktu była sprawa sporządzenia tzw. uzupełnienia Raportu z Weryfikacji WSI, o co środowisko WSI zabiegało od chwili objęcia władzy przez reżim Tuska. Zgodnie z ustawą, dokument taki może sporządzić szef SKW, do którego „Sowa” słała kolejne „*informacje o ujawnieniu nowych informacji i okoliczności, które wpływają na treść Raportu o działaniach żołnierzy i pracowników WSI*”, oczekując, że gen. Nosek przygotuje aneks, po którym nastąpi rehabilitacja żołnierzy byłych WSI.

Starania te, były wspierane przez Bronisława Komorowskiego, który w sierpniu 2010 przesłał do Noska aneks do Raportu z Weryfikacji WSI, pytając, czy przy jego tworzeniu popełniono błędy. SKW miała ocenić wartość dokumentu i odpowiedzieć, czy jego opublikowanie naraziłoby na niebezpieczeństwo polskich żołnierzy w Afganistanie. Na podstawie tej opinii Komorowski miał zdecydować, co stanie się z aneksem.

Gdy w czerwcu 2011 roku szef SKW odtajnił meldunek Antoniego Macierewicza z 20 sierpnia 2007 w sprawie incydentu w Nangar Khel, wywołało to gwałtowną reakcję generałów Dukaczewskiego i Skrzypczaka. Ujawniony dokument zadawał kłam medialnym dywagacjom obu oficerów oraz potwierdzał, że służby stworzone przez Macierewicza miały doskonałe rozeznanie w sprawie Nangar Khel i podjęły w tej sprawie prawidłowe decyzje.

Jeśli dziś w doniesieniach prasowych związanych z dymisją Noska, pojawia się sprawa korupcji i odmowy udzielenia gen. Skrzypczakowi dostępu do tajnych informacji, warto na tę sytuację spojrzeć z szerszej perspektywy.

Wiceminister MON jest odpowiedzialny za zakupy sprzętu i uzbrojenia dla armii. Działania te są dokonywane w ramach programu modernizacji armii i odbudowy przemysłu zbrojeniowego, a ich inicjatorem jest środowisko Belwederu. Niedawna decyzja Tuska, by projekt „*Priorytetowe zadania modernizacji technicznej Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej w ramach programów operacyjnych*” uczynić nie tylko resortowym, ale rządowym pokazuje, jak ważne jest sprostanie finansowym

założeniom tzw. „doktryny Komorowskiego”. Pomysły powstałe w zakresie tej „doktryny” zmierzają wprost do wzmocnienia lobby wojskowego, przejęcia nadzoru nad przemysłem zbrojeniowym oraz dogłębnej przebudowy służb specjalnych.

Przed dwoma laty, w jednym z wywiadów prof. Jadwigi Staniszkis padły słowa, których sens staje się czytelny dopiero z dzisiejszej perspektywy. Staniszkis stwierdziła wówczas, że Bronisław Komorowski „*mógłby – i powinien – patronować odbudowie polskiego przemysłu, a kołem zamachowym naszej gospodarki mogłyby być technologie wojskowe*”. Ta profetyczna wizja – jakże zgodna ze stanowiskiem prezydenckiego BBN – opierała się na intrygującej konkluzji. Zachęcając czytelników do „*spojrzenia na polską rzeczywistość z lotu ptaka*”, prof. Staniszkis uznała, że „*to, co było dotychczas dla mnie jedną z największych wad prezydenta Komorowskiego, to, że w jego otoczeniu są ludzie z dawnych Wojskowych Służb Informacyjnych, być może okaże się zaletą*”.

Doświadczamy dziś następstw tej szczególnej „zalety” środowiska Belwederu. W tle projektów związanych z „*odbudową polskiego przemysłu*” stoją nie tylko ludzie WSI, ale przede wszystkim ogromne pieniądze, interesy koncernów i lobbystów oraz działania obcych państw i ich służb specjalnych. Brak transparentności przy zakupie sprzętu (szef MON zasłonił się „tajemnicą handlową” i odmówił ujawnienia dostawców) sprzyja niejasnym sytuacjom i zakulisowym grom. W tych rozgrywkach, służby III RP są zwyczajowo na pozycji rozgrywanych i nie mogą dyktować warunków. Mogą natomiast reprezentować konkurencyjne siły lub komplikować proces udanej „modernizacji”.

Nie sposób wykluczyć, że odwołanie gen. Noska jest zaledwie jednym z posunięć służących „wyczyszczeniu” pola. Nieprędko dowiemy się – czy i jakie działania mogły być blokowane przez SKW lub czym interesom zagrażał Nosek. Jego odejście wpisuje się też w belwederką koncepcję przebudowy służb specjalnych i jest kolejnym, logicznym krokiem w kierunku „nowego rozdania”. Dość przypomnieć, że w myśl tej koncepcji, stanowiska dowódcze w służbach wojskowych mają być obsadzone przez żołnierzy zawodowych. Dymisja może mieć również związek z projektem nowelizacji ustawy o Służbie Kontrwywiadu Wojskowego oraz Służbie Wywiadu Wojskowego, której zapisy są obecnie konsultowane ze środowiskiem WSI. Nowela służy bowiem „*określeniu na nowo procedury weryfikacji treści raportu z weryfikacji WSI*”, a jej zakres będzie się odnosić do instytucji „*uzupełnienia raportu*”. Przewidziane w niej środki prawne mają ułatwić ponowną weryfikację żołnierzy i funkcjonariuszy byłych WSI oraz przygotować ewentualne „uzupełnienia”. Relacjonując założenia tej ustawy, w artykule z marca br. zamieszczonym w Gazecie Polskiej nr 10/2013 napisałem, że „*uzupełnienia mogą sporządzić tylko szefowie SKW lub SWW. W perspektywie planowanej reformy służb, staje się oczywiste, że szefowie tych służb zostaną postawieni wobec alternatywy: albo przygotują „uzupełnienie”, zgodnie z interesem „pokrzywdzonych” raportem ludzi WSI, albo odejdą ze stanowisk*”.

Oceniając dymisję Noska, trudno odrzucić tezę, że jest ona efektem roszad związanych z planami Belwederu lub ma ułatwić realizację interesów ludzi byłych WSI. Nawet negatywna opinia o tej postaci, nie może wówczas przesłonić konkluzji o przechodzeniu z deszczu pod rynnę.

799. SPEKTAKL

Trzeba mieć nielichą fantazję, by wywołać bitwę, niechlubnie ją przegrać i nie nazwać tego porażką. Potrzeba jednak głupoty, by zignorować taką lekcję i nadal trwać w bezmyślnym samozadowoleniu.

Polityczna fantazja umilała nam życie od wielu tygodni. Podosycana przez użyteczne sondażownie i optymizm „naszych” mediów, wzmacniana słowami polityków i hardymi eksklamacjami. Za ich przyczyną, stała się namiastką prawdziwej nadziei i cheraławą kategorią „prawomówności”, sprowadzoną do niepodważalnej wiary w zwycięstwo. Kto miałby odwagę napisać, że popełniono kardynalne błędy i przyjęto grę na zasadach przeciwnika lub wyraził zwątpienie w dogmat o „mądrości społeczeństwa” i podważał metody mobilizacji elektoratu – okrzyknięty zostałby wrogiem i niepoprawnym defetystą. Okrzyknięty tym chętniej, na ile potrzeba refleksji zmuszałaby kilku fircyków do rzetelnej roboty, groziła degradacją papierowych „autorytetów” lub zmniejszeniem zysków spółek medialnych.

Wypadało więc milczeć.

Tak długo, aż kolejna porażka zostanie gładko przetrawiona i obrócona w żenujący festiwal utyskiwań i infantylnych tłumaczeń. Medialne dywagacje o „winie” przeciwnika i naruszeniu przezeń „zasad demokracji”, konkurują dziś jedynie z ambitnymi zapewnieniami o „sukcesie opozycji”. Dowodzą tyleż pogardy dla faktów, jak wiary w głupotę „prawicowego” elektoratu. Wiary niestety niebezpośredniej, skoro tradycja takich dywagacji sięga wyborów 2010 roku i jest bezkarnie podtrzymywana przez tych samych, po stokroć skompromitowanych publicystów i etatowych „ekspertów”.

I pewnie wypadałoby nadal milczeć, gdyby istniał cień szansy, że w tym festiwalu próżności i wodolejstwa pojawi się rzetelna odpowiedź na pytanie: dlaczego opozycja nie zdołała zmobilizować mieszkańców stolicy i zachęcić ich do obywatelskiej aktywności? Czym wyjaśnić obojętność na apele PiS-u?

Wskazywanie na kontr działania przeciwnika, jest oczywistym nonsensem, nie tylko niegodnym opozycji, ale niewartym poważnego traktowania. Przeciwnik jest po to, by przeszkadzać, psuć szyki, grozić i szkodzić. Jeśli zaś kogoś zaskakują postęпки obecnego reżimu lub czuje się ograny przez ośrodki propagandy, nie powinien zwracać sobie głowy polityką ani mieć ludzi wizją zwycięstwa.

Namowa do bojkotu, presja i groźby, łamanie ciszy wyborczej, „cudy nad urną” oraz wszelkie inne działania „sprzeczne ze standardami demokracji”, są jak najbardziej stosownym i naturalnym sposobem sprawowania władzy przez obecny reżim. Problem nie polega na tym, że mają one miejsce, lecz na tym, że opozycja nie ma odwagi ich nazwać ani przystosować swojej strategii do realiów państwa policyjnego. Po sześciu latach rządów PO-PSL przyznawanie się do zaskoczenia praktykami władzy, jest wyrazem bezmiernie infantylności lub... cynicznego wyrachowania.

Na szczęście odbiorcy podobnych „wyjaśnień” nie zadają sobie trudu ich dogłębnego zrozumienia. W przeciwnym wypadku musieliby pojąć, że głosiciele takich rewelacji mają Polaków za skończonych idiotów, podatnych bez reszty działaniom rządowej propagandy i efektem dezinformacji.

Próba poważnej odpowiedzi na zadane pytanie, musiałaby prowadzić do dostrzeżenia własnych win, błędów i ograniczeń. Wśród nich zaś błędu kardynalnego: uporczywego wspierania i propagowania fałszywej wizji państwa demokratycznego i praworządnego, w którym funkcjonują mechanizmy wyborcze i równe prawa obywatelskie.

Utrzymywanie tej wizji jest pierwotnym grzechem opozycji, przyczyną obecnych klęsk i upokorzeń. Z niej wywodzi się lęk przed dychotomią My-Oni i na niej zbudowano mitologię „jedności narodowej”, na której żerują dziś ludzie wyzuci z polskości.

Ona stawia tamę postulatowi obalenia III RP, nakłada kaganiec na „niezależne media” i utrzymuje środowiska opozycji w bezpiecznej domenie „konstruktywności”.

Wizja ta przypomina straceńczą próbę pokonania przeciwnika jego własną bronią, a w konsekwencji sprawia, że większość Polaków postrzega PiS jako partię władzy, osadzoną głęboko w establishmencie III RP i kierującą się doraźną, populistyczną retoryką.

Nawet ktoś słabo zorientowany w niuansach życia politycznego dostrzeże przecież rażącą niekonsekwencję przekazu, w którym z jednej strony głosi się powrót reżimu do „praktyk PRL-u”, mówi o łamaniu prawa i politycznej niesuwerenności, z drugiej zaś - zapewnia o „mechanizmach demokracji” i chwali potęgę karty wyborczej. Jak odbiorca takiego przekazu może wierzyć w złe intencje ośrodków propagandy, jeśli na co dzień brylują w nich politycy opozycji, a „nasi” publicyści traktują funkcjonariuszy tych ośrodków jako autentycznych dziennikarzy? Jak ma reagować zwolennik PiS-u, gdy zapewnieniom o „nowej jakości” w polityce towarzyszy twarz byłego wyznawcy Unii Wolności, a słowom Jarosława Kaczyńskiego o „geszefciarskim spojrzeniu” HGW, deklaracja tegoż wyznawcy o „gotowości do debaty”?

Szałem jest sądzić, że wystawieni na schizofrenię i utrzymywani w pseudodemokratycznym amoku Polacy uwierzą później w możliwość oszustwa wyborczego, potępiać zbrojckie praktyki reżimu lub poświęcić choćby kroplę krwi na obalenie antypolskiej władzy.

Większość mieszkańców stolicy zignorowała apele opozycji nie tylko dlatego, że nie chce lub nie potrafi odróżnić partii Kaczyńskiego od pozostałych ugrupowań reżimowych i traktuje partyjne apele jako element nieczystej gry politycznej, ale z tej przyczyny, że postrzega PiS jako partię systemową, a zza zasłony werbalnych deklaracji widzi w niej odbicie patologii III RP. W tym przypadku, broń przeciwnika przylgnęła tak dalece do rąk opozycji, że stała się dla niej przekleństwem, na którym wyrosło urodzajne, demagogiczne hasło: *wszyscy oni jednakowi*. Na tym przekleństwie budują dziś zwolennicy „trzeciej siły” i błądzą miliony zdezorientowanych Polaków.

Reakcje na obecną porażkę pokazują, że również tym razem nikt nie zdobędzie się na odważną refleksję. To zaś oznacza, że oczekiwanie na farsę „wyborów parlamentarnych” 2015 roku, umilią nam kolejne odsłony spektaklu, z obowiązkowym udziałem tych samych aktorów, suflerów i klakierów.

800. ZBRODNIĄ ZAŁOŻYCIELSKĄ III RP

Nad działalnością „służb specjalnych PRL” ciąży zbrodnia, której konsekwencje historyczne i polityczne odczuwamy do dnia dzisiejszego. Nazwana przeze mnie **zbrodnią założycielską III RP**, jest wydarzeniem, wokół którego ogniskowały się procesy zachodzące w Polsce w latach 80. ubiegłego wieku.

Teza, iż porwanie i zabójstwo księdza Jerzego Popiełuszki było zdarzeniem wyznaczającym początek drogi do „okrągłego stołu”, może wydać się nazbyt karkołomna, dlatego warto naświetlić ówczesne realia historyczne, a twierdzeniu o zbrodni założycielskiej dodać solidne uzasadnienie.

Ponieważ to właśnie ludzie peerelowskiej bezpieki byli inspiratorami, wykonawcami, a następnie beneficjentami tej zbrodni - wydarzenie to ma kolosalne znaczenie dla zrozumienia specyfiki działań formacji bezpieki.

Na przykładzie tej zbrodni można dostrzec i wyodrębnić kilka charakterystycznych cech organów bezpieczeństwa PRL: całkowitą podległość interesom sowieckim i długofalowej strategii dezinformacyjnej Kremla, podporządkowanie celom partii komunistycznej, ścisłe współdziałanie cywilnych i wojskowych organów, prowadzenie wielowątkowych kombinacji operacyjnych w powiązaniu z celami bloku komunistycznego, zdolność do strukturalnej adaptacji i mentalnej mimikry, umiejętność wykorzystania agentury i tajnych współpracowników w kształtowaniu reakcji społecznych oraz w celu zapewnienia gwarancji bezkarności.

Zasadniczym pytaniem, które pojawia się w związku z przemianami zachodzącymi w Polsce na przełomie lat 80-90 ubiegłego wieku, jest wskazanie wydarzenia wyznaczającego początek drogi do „okrągłego stołu”. W jakim momencie historii zaczął się ów nieformalny, pokątny związek części środowisk opozycyjnych z władzą komunistyczną? Czy doszło do niego na skutek kumulacji sprzyjających zdarzeń, w efekcie spontanicznych przemian i naturalnego „biegu rzeczy”, czy też mieliśmy do czynienia z realizacją zamierzonego planu, gry strategicznej opartej na ścisłych regułach, przeprowadzonej z żelazną logiką i konsekwencją?

Takie pytania wydają się szczególnie ważne, jeśli podzieli się zdanie wyrażone ongiś przez Alaina Besancona, że *„komunizm dopuszcza możliwość sprzeciwu, natomiast nie znosi, aby go rozumiano”*. Próba uświadomienia sobie - czym był proces dochodzenia do „historycznego kompromisu”, jakie mechanizmy nim sterowały jest nieodzowna, jeśli mamy zrozumieć strategię komunistyczną i właściwie diagnozować dzisiejszą sytuację. [...]

W tle rozważań o przyczynach takich procesów, zawsze pojawia się zarzut uprawiania tzw. spiskowej teorii dziejów. Nie jest on tylko wyrazem naiwności, ale stanowi ważny oręż polityczny, którym łatwo tłumić głosy tych, co - pamiętając o zasadzie Tukidydesa, iż ukryta przyczyna zdarzeń jest lepsza od jawnej, próbują jakiś spisek lub zмовę odsłonić. W polskich warunkach, ten fałszywy zarzut wywołał jeszcze większą szkodę. Sparaliżował mianowicie w zarodku samą dociekliwość myślenia, obezwładnił polską myśl historyczną i polityczną i sprawił, że nad najnowszymi dziejami rozciąga się potężny cień fałszu i zakłamania.

Oceniając zdarzenia lat 80. ubiegłego wieku, łatwo się zapomina, że wszelkie działania „polskiej” partii komunistycznej były (z zasady) pozbawione głębszej autonomii i poddane dyktatowi sowieckiego okupanta. Decyzje, które swoim zasięgiem obejmowały całe społeczeństwo, a ich skutki mogły rozstrzygnąć o przyszłości Polski, musiały uwzględniać interes ZSRR i wpisywać się w globalną strategię sowiecką. Bez dostrzeżenia tej prawidłowości, nie sposób dokonać oceny zdarzeń z lat 80. [...]

Decyzja o porwaniu i zamordowaniu księdza Jerzego była z pewnością krokiem niezwykle trafnym – z punktu widzenia sowieckiej strategii. Gdy spojrzeć na sytuację istniejącą w roku 1984, nie sposób wskazać żadnego wydarzenia, które w podobny sposób mogło wywrzeć wpływ na sprawy polskie.

Kościół i „Solidarność” - to dwa największe zagrożenia, z którymi partia komunistyczna musiała sobie poradzić, jeśli chciała przetrwać lub podporządkować je sobie, jeśli zamierzała przeprowadzić operację „trzeciej fazy”. W osobie księdza Jerzego znajdujemy te dwa elementarne czynniki, decydujące wówczas o kształcie polskiej rzeczywistości. Jego kapłaństwo i patriotyzm, siła wiary i wierność ideałom „Solidarności” – czynią z księdza Jerzego postać symboliczną, a przez to najgroźniejszą dla komunistów.

Uderzenie właśnie w Niego, to cios w Kościół i w „Solidarność” – znienawidzone, lecz potrzebne, by nadal sprawować władzę i przeprowadzić proces „odnowy”.

„Prowokacja polityczna to użycie najświętszych symboli narodowych i najgłębszych jego uczuć przeciwko narodowi” – napisał kiedyś Józef Mackiewicz. Ta prawda znalazła potwierdzenie w planie zabójstwa księdza Jerzego. [...]

W Biuletynie IPN nr 10 /2004, w artykule „Na tropach prowokacji”, Tomasz Chinciński zaprezentował dokument zatytułowany - *„Plan czynności śledczych w sprawie zaginięcia ks. Jerzego Popiełuszki”* z dnia 22 października 1984 r., sporządzony przez naczelnika Wydziału Śledczego WUSW w Toruniu ppłk. Eugeniusza Gawrońskiego, w którym sformułowano kilka wersji na temat porwania księdza.

Jako pierwszą wersję przyjęto, że *„uprowadzenie ks. J. Popiełuszki jest prowokacją polityczną ekstremy byłej »Solidarności« i osób powiązanych z klerem, niezadowolonych ze stabilizacji sytuacji w kraju i w celu odwrócenia uwagi od zabójstwa zakonnika w Warszawie – odbyło się za wiedzą ks. J. Popiełuszki”*.

Druga hipoteza wymyślona przez SB zakładała, że *„uprowadzenie ks. Popiełuszki jest prowokacją o zabarwieniu politycznym ekstremy byłej »Solidarności« niezadowolonej ze stabilizacji życia w kraju oraz w celu skompromitowania organów spraw wewnętrznych i odbyło się bez wiedzy osób zatrzymanych, tj. ks. J. Popiełuszki i W. Chrostowskiego”*.

W trzeciej wersji sugerowano, że *„uprowadzenie ks. Popiełuszki zostało dokonane przez członków nielegalnie działającej grupy przestępczej, np. organizacji »Antysolidarność«, jako zemsta na księdzu, który czynnie popierał »Solidarność“*.

Brano także pod uwagę taką możliwość, że *„organizatorem porwania ks. Popiełuszki jest wywiad jednego z państw zachodnich, zainteresowany dalszą destabilizacją życia kraju”*. Ostatnia wersja zakładała, że *„uprowadzenia dokonała grupa przestępcza, wywodząca się z elementu kryminalnego, w celach rabunkowych, uzyskania okupu lub na zlecenie działaczy byłej »Solidarności« w zamian za korzyści materialne”*.

W następnych latach władzom PRL szczególnie zależało, aby sprawę śmierci ks. Jerzego prezentować wyłącznie w wersji przygotowanej przez kierownictwo PZPR i MSW. Sławomir Cenckiewicz wskazuje, jak podczas jednej z rozmów ze stroną watykańską w 1985 r. powiedział o tym wprost minister Adam Łopatka, szantażując jednocześnie polski Kościół: *„Władze państwowe są za tym, aby strona kościelna przyjęła w tej sprawie inną metodę postępowania w myśl hasła: »ciszej nad tą trumną«. Jeśli obecna koncepcja i akcja wykorzystania tego tragicznego wydarzenia przeciw władzom i spokojowi społecznemu miałyby być kontynuowana, to władze mogą opublikować dane »kim naprawdę był ks. J. Popiełuszko«, bowiem zgromadzone informacje o nim i jego działalności bardzo mocno odbiegają od obrazu, który chce mu się nadać w koncepcji kościelnej. Zależy nam na tym, aby do tego nie doszło”*.

Warto podkreślić charakterystyczną zmianę, jaka nastąpiła wówczas we wzajemnych kontaktach hierarchów z władzą komunistyczną. Jeszcze 28 lutego 1985 roku podczas spotkania sekretarza Episkopatu abp. Bronisława Dąbrowskiego z gen. Czesławem Kiszczakiem, w sprawie procesu toruńskiego, postawa Kiszczaka wskazywała na eskalację wrogości wobec Kościoła. Generał uchylał się od odsłonięcia szczegółów dotyczących zabójstwa i sugerował, że atak adwokatów rodziny księdza Jerzego *„burzy dobre stosunki między rządem a Kościołem”*. Odrzucał również propozycję biskupa dotyczącą nawiązania dialogu władzy z opozycją, oskarżał Wałęsę o „antypolskość”, a przedstawicielom Kościoła wytknął *„brak zdecydowanej reakcji wobec sankcji prezydenta USA Ronalda Reagana, w efekcie których ubożeje społeczeństwo polskie, a Polska traci 15 mld dolarów rocznie”*.

Sytuacja uległa zmianie, gdy rządy na Kremlu objął Gorbaczow, a okoliczności śmierci Kapelana „Solidarności” zafałszowano w procesie toruńskim. Odtąd logika działań namiestników sowieckich opierała się na prowadzeniu oficjalnych, coraz bardziej „pokojowych” rozmów z przedstawicielami Episkopatu, przy jednoczesnym niezaniebawianiu tzw. „specjalnych operacji wspierających”, w których nieodzowny udział mieli „nieznani sprawcy”. [...]

Sławomir Cenckiewicz, autor artykułu „Wywiad PRL na tropie księdza Jerzego” zwracał uwagę na zgodny kontekst wypowiedzi przedstawicieli Episkopatu, „środowiska watykańskiego Sekretariatu Stanu” i władz PRL. Opisując treść raportów przedstawianych najważniejszym osobom w państwie przez szefa Departamentu I SB MSW gen. Zdzisława Sarewicza, historyk pisał:

„Szef wywiadu z zadowoleniem informował, że coraz szersze kręgi watykańskie uznają porwanie i zamordowanie ks. Jerzego za »prowokację polityczną« wymierzoną w ekipę Jaruzelskiego. Zdaniem Sarewicza, środowisko watykańskiego Sekretariatu Stanu miało z dużym uznaniem wypowiadać się o »konsekwencji, z jaką władze [PRL] podeszły do sprawców przestępstwa”. Szef wywiadu uspokajał też elitę PRL, zapewniając, że ani w Watykanie, ani w polskim episkopacie nikt nie myśli o beatyfikacji ks. Jerzego. Na potwierdzenie przywoływał w tym miejscu słowa abp. Dąbrowskiego, który miał w Rzymie oświadczyć, że »episkopat nie dopuści, aby doszło w tym przypadku do pomieszania wiary z polityką“.

Wiemy również, że wszystkie zabiegi polskiej agentury w Watykanie okazywały się daremne wobec postawy Jana Pawła II. Przed przyjazdem do Polski w roku 1987, próbowano papieżowi wyperswadować odwiedzinę grobu księdza Jerzego. Bezskutecznie.

Jan Paweł II postawił na swoim i modlił się przy grobie księdza Jerzego, zwracając się bezpośrednio do niego. Tego faktu nawet prymas Glemp nie mógł zlekceważyć, ponieważ taka forma modlitwy oznaczała, że polski papież już uważa ks. Jerzego za świętego. [...]

Gdy kilka lat później Kiszczak, udzielając wywiadu Witoldowi Beresiewi i Jerzemu Skoczylasowi, wyjawiał: *„Stan wojenny i Okrągły Stół, to były dwa końce tej samej polityki.”* – nie wypadało nie wierzyć słowom szefa bezpieki. Nikt też nie kwestionuje faktu, że Polska była tym krajem, w którym udział policji politycznej w doprowadzeniu do „historycznego kompromisu” był największy.

Służby Kiszczaka nie tylko dokonały mordu na księdzu Jerzym, ale od początku planowały sprowadzenie śledztwa na fałszywe tory i przygotowywały liczne scenariusze dezinformacyjne. Który z nich zostanie ostatecznie zatwierdzony, zależało od rozwoju zdarzeń, reakcji społecznych i postawy hierarchów Kościoła.

27 listopada 1984 roku podczas rozmowy z kardynałem Glępem, Jan Paweł II zobowiązał polski Kościół do wyjaśnienia całej prawdy o śmierci księdza Jerzego. Ze strony papieża padły wówczas mocne słowa: *„Kościół nie może dopuścić, by zleceńodawcy zabójstwa księdza pozostali nieznani”*.

Niestety – polscy hierarchowie nie wypełnili tego testamentu, a swoimi wypowiedziami i postawą wprost umocnili kłamstwo na temat śmierci kapłana.

Fundamenty tego kłamstwa znajdziemy w ustaleniach procesu toruńskiego – sądowej farsie, w całości kontrolowanej i zaplanowanej przez władze komunistyczne. W oparciu o ustalenia tego procesu wmawiano opinii publicznej, że wszyscy winni ponieśli już karę. Ówczesna władza stworzyła powtarzaną do dziś legendę o wyłącznej winie czterech funkcjonariuszy SB,

działających samotnie i wbrew woli kierownictwa resortu. Legendę tę uwiarygodnili sami esbecy, do końca odgrywając swoje role – w tym przypisane im role zabójców.

Kłamstwo to w niezmienionej formie zostało przyjęte i zaakceptowane w III RP. Wszystkie uczestniczące w nim środowiska, stały się odtąd zakładnikami morderców księdza Jerzego i przyjęły na siebie ciężar odpowiedzialności za zbrodnię. To dzięki akceptacji kłamstwa toruńskiego otworzyła się droga do „historycznego kompromisu” i powstał obszar, w którym mogło nastąpić spotkanie katów i ofiar. Ten obszar, „płaszczynę porozumienia” nazwano później III Rzeczpospolitą. Przed siedmioma laty, Wojciech Sumliński, autor książki „Kto naprawdę Go zabił”, tak opisywał dziennikarskie śledztwo prowadzone wspólnie z Mirosławem Majeranem i Łukaszem Kurtzem:

„W sprawie zamordowania księdza Popiełuszki zgadzają się tylko dwa fakty: czas i miejsce uprowadzenia księdza Jerzego - 19 października 1984 r. w Górsku. Wszystko, czego dotychczas opinia publiczna dowiedziała się o śmierci księdza Popiełuszki, to kłamstwa bądź wielopiętrowe manipulacje. I nic dziwnego. Nasze ustalenia dowodzą, że ta zbrodnia nie była wybrykiem kilku osób, lecz od początku była zaplanowana przez struktury i urzędników, w tym najwyższych, komunistycznego państwa, przez nich przeprowadzona i zatuszowana. Przestudiowaliśmy tysiące stron dokumentów, które zgromadzono podczas śledztwa Instytutu Pamięci Narodowej pod kierunkiem prokuratora Andrzeja Witkowskiego. Rozmawialiśmy z kilkudziesięcioma świadkami, przeanalizowaliśmy setki godzin zapisów z podsłuchów rodzin sprawców i ich mocodawców. Poddaliśmy krytycznej ocenie ekspertyzy przeprowadzone w tej sprawie. Teraz staje się jasne, dlaczego ta sprawa została tak zakłamana, dlaczego do dziś panuje wokół niej zмова milczenia, obejmująca nie tylko ludzi PRL, ale także osobistości III RP, w tym niektórych hierarchów Kościoła.” [...]

„Nie ma takich służb, które hasło „zabić księdza” wpisują do planów rocznych” – te słowa gen. Ciastonia z procesu z roku 2002 dowodzą, że znalezienie dziś jednoznacznych dowodów winy oraz precyzyjne ustalenie przebiegu zdarzeń, może okazać się niemożliwe.

Z całą pewnością jest niemożliwe w III RP, bo państwo powstałe na „historycznym kompromisie” zawartym nad trumną księdza Jerzego, nie chce i nigdy nie będzie chciało wyjaśnić tajemnicy zbrodni założycielskiej.

Matactwa wokół tej sprawy nie skończyły się wraz z upadkiem PRL-u. Przez ostatnie dwie dekady, wykonawcy i zakładnicy zbrodni nadal strzegą swoich tajemnic, mając do dyspozycji ogromny arsenał środków; poczynając od fizycznej eliminacji i zastraszania niewygodnych świadków, poprzez polityczne naciski, tworzenie fałszywych tropów i medialne manipulacje.

Wojciech Sumliński w artykule „Kto stoi za śmiercią księdza?” (Dziennik Wschodni z 3 listopada 2006r.) napisał: *„W zaciemnianiu tej prawdy bierze udział wiele osób: ci, którzy brali udział w zamordowaniu księdza Jerzego bądź w wydarzeniach z nią związanych; ci, którzy później zacierali ślady tej jednej z najgłośniejszych zbrodni PRL; ci, którzy obawiają się, że w toku wyjaśniania tej zbrodni wyjdzie na światło dzienne prawda o ich ponurej przeszłości. Niestety – również ludzie dobrej woli, którzy – często z jak najbardziej uczciwych, ale mylnych pobudek – obawiają się, że odkrywanie prawdy o morderstwie na księdzu Jerzym może opóźnić Jego beatyfikację. Również te środowiska, które sądzą, że postawa niektórych osób na przełomie lat 80. i 90. może zmasakrać ich wcześniejsze winy, czyli przyzwolenie na zbrodnie dokonywane przez komunistyczny aparat bezpieczeństwa. Wreszcie – nieudolni oficerowie śledczy i prokuratorzy, z winy których w ostatnich latach śledztwo w sprawie morderstwa na ks. Jerzym ugrzęzło w martwym punkcie”.*

III RP, która zaczęła się nad grobem księdza Jerzego, nadal strzeże swojej tajemnicy i nawet beatyfikacja Kapelana „Solidarności” nie przybliżyła nas do prawdy o okolicznościach zbrodni. Tym, którzy uczestniczą w jej ukrywaniu, na zawsze powinny brzmieć w uszach słowa księdza Jerzego wypowiedziane do oprawców – *Panowie, dlaczego mnie tak traktujecie...*

Powyższy tekst składa się z fragmentów rozdziału zatytułowanego „Zbrodnia-metoda operacyjna. Zabójstwo księdza Jerzego Popiełuszki” i pochodzi z mojej nowej książki - „**Bezpieka. O mitologii służb specjalnych PRL**”.

W najbliższym czasie zostanie ona wydana przez wydawnictwo Bollinari Publishing House.

801. WOKÓŁ STANU WOJENNEGO

Niewiele osób pamięta, że jedną z pierwszych inicjatyw ustawodawczych Bronisława Komorowskiego, była nowelizacja ustawy o stanie wojennym oraz kompetencjach Naczelnego Dowódcy Sił Zbrojnych. Została ona przyjęta przez Sejm w błyskawicznym tempie. Celem noweli (jak zapewniał posłów minister Stanisław Koziej), było wprowadzenie do obiegu prawnego „kategorii cyberprzestrzeni”, a prezydencki projekt miał powstać w związku z pracami Strategicznego Przeglądu Bezpieczeństwa Narodowego (SPBN).

Na pytanie zadane wówczas Koziejowi przez jednego z posłów PiS, skąd tak wielki pośpiech, padła odpowiedź: *„Každy miesiąc zwłoki we wprowadzeniu podstaw prawnych dla praktycznych działań w zakresie bezpieczeństwa w cyberprzestrzeni jest czasem straconym. [...] Nie widzę powodu, aby zwlekać, tylko dlatego, że ktoś z niezrozumiałych powodów insynuuje, iż prezydent chciałby wykorzystać nowe regulacje dla łatwiejszego wprowadzenia stanu wojennego, bo ktoś w Internecie na niego czyha.”*

Rzeczywiście, przyjęta tuż przed wyborami 2011 roku nowela mogła stanowić skuteczne narzędzie reżimu prezydenckiego, pozwalając bowiem na wprowadzenie stanu wojennego w sytuacji „zewnątrznego zagrożenia państwa, w tym spowodowanego działaniami o charakterze terrorystycznym lub działaniami w cyberprzestrzeni”.

Zagrożenia te definiowano jako „celowe działania, godzące w niepodległość, niepodzielność terytorium, ważny interes gospodarczy Rzeczypospolitej Polskiej lub zmierzające do uniemożliwienia albo poważnego zakłócenia normalnego funkcjonowania państwa”.

Opiniując belwederski projekt, prof. dr hab. Andrzej Szmyt, ekspert ds. legislacji w Biurze Analiz Sejmowych, wyraził wątpliwość co do potrzeby i kształtu proponowanej nowelizacji i zwrócił uwagę, że termin „działania w cyberprzestrzeni” nie został w żaden sposób zdefiniowany i jest terminem „o nieustalonej treści normatywnej, raczej dość potoczną „zbitką pojęciową”. Zdaniem prof. Szmyta „prawne dookreślenie” tego pojęcia ma istotne znaczenie, gdyż „wiąże się z konsekwencjami w sferze praw i wolności człowieka i obywatela.”

Posłowie z komisji sejmowej nie otrzymali wówczas zamówionych ekspertyz prawnych, a te które sporządzono, były bez wyjątku negatywne i zwracały uwagę, że w krajach, na które powoływał się gen. Koziej nie ma przepisów zbliżonych do tych, które chce wprowadzić lokator Belwederu.

Ustawa zgłoszona przez Komorowskiego stanowiła, że o „szczególnych zagrożeniach dla ustroju państwa” związanych z „działaniami w cyberprzestrzeni” decyduje Rada Ministrów w oparciu o prawo, które nie zawierało żadnej definicji tych określeń. Decyzja RM tym zakresie będzie zatem całkowicie fakultatywna i zależna od doraźnej interpretacji. Po zgłoszeniu wniosku do prezydenta, miałyby on prawo wprowadzić stan wojenny lub stan wyjątkowy na części albo na całym terytorium państwa. Przyjęcie takiej regulacji rozszerzało konstytucyjny katalog sytuacji pozwalających na wprowadzenie stanu wojennego (zewnętrzne zagrożenie państwa, zbrojna napaść na terytorium RP lub gdy z umowy międzynarodowej wynika zobowiązanie do wspólnej obrony przeciwko agresji) o bardzo niejasny i nie sprecyzowany czynnik.

Już wówczas pojawiły się obawy, że przy pomocy tego narzędzia będzie można zablokować zmiany groźne dla rządzących lub podważyć niekorzystny werdykt wyborczy.

Uczynić to tym łatwiej, że w praktyce ustawa zrównuje „zagrożenia w cyberprzestrzeni” z zagrożeniem terrorystycznymi, zaś brak definicji otwiera drogę do nadużyć. Można sobie np. wyobrazić, że prezydent wprowadza stan wyjątkowy, ponieważ w okresie przedwyborczym nastąpił atak na serwery rządowe lub na wiele dni zablokowano działalność Sejmu. Jeśli atak spowodowałby paraliż prac Rady Ministrów, a przy okazji wykradziono by informacje „ważne dla bezpieczeństwa państwa”, może być to uznane za „szczególne zagrożenie dla ustroju” i dawać podstawę do wprowadzenia stanu wyjątkowego.

Funkcjonująca w obecnym kształcie ustawa stwarza także ogromne możliwości przeprowadzenia prowokacji przez wrogie państwa. Dość przyjąć, że służby któregoś z państw chcą zdestabilizować sytuację w Polsce i dokonują symulacji ataków cybernetycznych ma instytucje rządowe.

Choć od przyjęcia prezydenckiej ustawy upłynęły ponad dwa lata, to zawarte w niej terminy nadal nie zostały zdefiniowane i pozwalają na swobodną interpretację zagrożeń. Ponieważ zakończono już prace nad SPBN, a Pałac Prezydencki wykazuje inicjatywę w wielu innych obszarach bezpieczeństwa, trudno pozbyć się wrażenia, że mamy do czynienia z działaniem zamierzonym.

Ustawa o stanie wojennym oraz o kompetencjach Naczelnego Dowódcy Sił Zbrojnych, przypomina dziś przysłowiowy rewolwer leżący na scenie teatralnej. Jeśli jest prawdą, że wystrzela on w ostatnim akcie, trzeba z uwagą śledzić spektakl reżyserowany przez Belweder. Wrażenie to potęgują nie tylko kolejne działania służące umocnieniu władzy ośrodka prezydenckiego, ale akty prawne przygotowywane obecnie przez Radę Ministrów.

Projekt ustawy o Żandarmerii Wojskowej oraz rozporządzenie Prezesa Rady Ministrów w sprawie użycia żołnierzy ŻW do udzielenia pomocy Policji, dotyczą właśnie sytuacji nadzwyczajnych i wyraźnie sugerują, że formacja ta ma stać się służbą wojskową o szerokich uprawnieniach policyjnych, wymierzonych wobec osób cywilnych.

Najnowszą propozycją w tym zakresie, jest projekt rozporządzenia RM w sprawie szczegółowych zasad użycia oddziałów i pododdziałów Sił Zbrojnych RP w czasie stanu wyjątkowego. Wbrew twierdzeniom zawartym w uzasadnieniu, jakoby dotyczył on tylko zmian wymuszonych wejściem w życie ustawy o środkach przymusu bezpośredniego i broni palnej i miał związek z reorganizacją systemu kierowania i dowodzenia armią, obecny projekt zasadniczo różni się od obowiązującego dotąd rozporządzenia z marca 2003 roku.

Przede wszystkim, podkreśla się w nim kompetencje prezydenta i stwierdza, iż użycie oddziałów wojska następuje w celu wykonania postanowienia prezydenta o wprowadzeniu stanu wyjątkowego. W odróżnieniu od poprzedniej regulacji, rozporządzenie nakłada na szefa MON obowiązek szczegółowego informowania prezydenta o użyciu oddziałów wojska, a w miejsce szefa służb wojskowych (w rozp. z 2003 był to szef WSi) wyznacza Komendanta Głównego Żandarmerii Wojskowej, jako jednego z koordynatorów działań jednostek wojska. ŻW ma również zająć się dokumentowaniem działań podejmowanych w trakcie interwencji.

W obecnym projekcie zrezygnowano z przepisu nakładającego na dowódców oddziałów Sił Zbrojnych obowiązek udzielenia pomocy medycznej osobom rannym wskutek działania tych oddziałów. Nie przewiduje się również, by tak jak dotychczas, mieli oni nakaz zawiadamiania przełożonego i prokuratora o śmierci osób, uszkodzeniu ciała lub szkody w mieniu – wywołanych interwencją wojska. Nie muszą nawet zabezpieczać miejsca zdarzenia, dbać o ślady i dowody. Na mocy obecnego rozporządzenia, dowódcy oddziałów wojska stają się zatem panami życia i śmierci i otrzymują wręcz nieograniczone kompetencje.

W państwie, które dotąd nie policzyło ofiar stanu wojennego i nadal chroni komunistycznych morderców, takie regulacje prawne powinny budzić najwyższy niepokój.

Tym większy, jeśli w uzasadnieniu projektu innego rozporządzenia, dotyczącego użycia ŻW do pomocy policji, czytamy, iż będzie ono „*testem dla służb odpowiedzialnych za stan bezpieczeństwa i porządku publicznego w zakresie właściwego zapobiegania i przeciwdziałania zidentyfikowanym ryzykom, a także likwidacji wszelkich źródeł napięć i niepokojów społecznych*”.

Jeśli podobne „testy” mają dotyczyć użycia wojska i służyć wzmocnieniu reżimu prezydenckiego, rekwizyt stanu wojennego staje się dziś realną bronią.

802. O MITOLOGII WOLNYCH MEDIÓW

Gdyby czytelnik prasy podziemnej znalazł w „Biuletynie Informacyjnym”, „Solidarności Walczącej” czy w „Głosie” polemikę z tekstem „Trybuny Ludu” lub komentarz do wypowiedzi czerwonego kacyka, doznałby zapewne szoku i pomyślał – po jasną cholerę psują cenny papier i tracą miejsce na powielanie bredni. O tym, że „prasa kłamie”, a „komuna łże” wiedziały w PRL-u nawet dzieci, zatem udowadnianie milionowego łgarstwa propagandy nie przynosiło odbiorcom dodatkowej wiedzy i było równie daremne, jak prostowanie doniesień „Żołnierza Wolności”.

Jeśli autorem z „SW” czy „Głosu” przyszłoby do głowy opierać swoje teksty na partyjnych biuletynach, analizować bełkot Toepliza czy wywody Siwaka, nie tylko straciliby prestiż i odbiorców, ale nikt przy zdrowych zmysłach i nie nazwałby tych wydawnictw wolnymi mediami.

Niezależna prasa miała informować Polaków o sprawach, które reżim ukrywał, mówić na tematy zakazane i ujawniać prawdziwe oblicze PRL-u. Niezależność oznaczała przede wszystkim uwolnienie od przekazu reżimowych gadzinówek i podejmowanie tematów, które nie pojawiły się w oficjalnym obiegu. Odbiorca chciał wiedzieć – co dzieje się w Polsce i jak wyglądają sprawy na świecie i w najmniejszym stopniu nie był zainteresowany polemiką z Urbanem czy dyskusją wokół też VIII zjazdu i rosad w partii komunistycznej.

Ta podstawowa cecha - tworzenie własnego i wolnego od propagandy przekazu, decydowała o wartości i sile niezależnej prasy, wywoływała wściekłość komuny i była głównym powodem determinacji, z jaką tropiono podziemne drukarnie.

Jeśli przypominam o latach 80. i fenomenie prasy podziemnej, to nie dlatego, by stawiać prosty znak równości między ówczesnymi realiami a dniem dzisiejszym. Dla pokolenia, które dziś chce tworzyć wolne media i nadaje sobie miano dziennikarzy niezależnych, takie retrospekcje nie mają większego znaczenia, a tamta rzeczywistość jawi się im jako rozdział skończony i nieporównywalny. Nie są zrozumiałe nawet dla tych, którzy w działaniach Tuska i Komorowskiego dostrzegają znaną zamordyzmu lub definiują stan dzisiejszy jako „powrót do PRL-u”.

Pod werbalnymi deklaracjami i funkcjonalną demagogią takich stwierdzeń, tkwi zwykle wiara, że III RP nie może być państwem równie zepsutym i zniewolonym, a miłe twarze z okienek telewizyjnych i zagraje znajomych żurnalistów, nie mogą przypominać postaci komunistycznych najemników. Wiara w „odmienność” III RP, zmieszana z poczuciem „normalności” tego państwa, jest nie tylko efektem ulegania mitologii „uśmiercenia komunizmu” czy wyrazem intelektualnej niedojrzałości, ale znajduje głębsze uzasadnienie w powszechnym lęku przed odkrywaniem nazbyt wymagających prawd.

O ile łatwo mówić o „praktykach rodem z PRL”, deliberować o „metodach bezpieczeństwa” i „propagandzie rządowych mediów”, o tyle trudniej przyjąć konsekwencje tych słów i zdobyć się na adekwatne zachowania.

Cóż z tego, że Jarosław Kaczyński oznajmia - „Platforma to postkomuna”, a elektorat PiS-u zachwyca się twardymi słowami prof. Cieszewskiego, skoro próżno oczekiwać głębszej refleksji. Nadal obowiązuje dogmat o „mechanizmach demokracji”, a politycy PiS Igną do telewizyjnych gwiazdeczek i wdzięczą się do propagandystów.

Ten rażący dysonans w zachowaniach opozycji i „naszych” mediów, bywa zwykle niedostrzegany przez odbiorców i tylko tej przypadłości środowiska te zawdzięczają bezkarność w nadużywaniu przymiotnika „niezależny”.

Gdy w dziesiątkach miejsc przyznających sobie miano „wolnych mediów” czytam polemiki z tezami TVN-u, krytykę kłamstw „GW” lub rozważania nad głosem propagandysty- ćwierćinteligenta – pytam: co to obchodzi Polaków i jaki ma związek z budowaniem niezależnego przekazu?

Skąd u ludzi piszących te brednie bierze się przekonanie, że recenzowanie tego, co powiedzieli w rządowych przekazywach jest szczytem wolnej myśli i służy polskim sprawom? Jakie znaczenie mają łgarstwa rezonatorów Moskwy i po co nadawać im wartość racjonalnego przekazu? Zastanawiam się również, jak niską miarę przekładają ludzie „naszych” mediów do swoich czytelników, jeśli w ramach tak pojmowanej niezależności serwują im ekstrakt najnikczemniejszej głupoty.

Nie wykluczam, że młodych adeptów „wolnych mediów” fascynuje babranie w wytworach propagandy lub śledzenie partyjnych funkców. Może wierzą, że na tym polega niezależność, a miarą opozycyjności jest krytyka Tuska i podglądanie „wyborczej”. Może wydaje się im, że dyskutując z Golemem dokonują czynów Prometeusza i walczą o wielką sprawę.

Nie mogą jednak oczekiwać, że narzucą te wyobrażenia innym lub stworzą nowy „model niezależności”. Jeśli nie wiedzą, jak tworzy się wolne media i mówi o rzeczach ważnych dla Polaków, niech pytają ludzi wydających w stanie wojennym zakładowe gazetki, niech słuchają autorów z „Głosu” czy „Solidarności Walczącej”, niech uczą się na tym, co miało wartość autentycznie wolnej myśli.

To co w sferze informacji proponują dziś „nasze media”, nie jest żadną nową jakością i nie prowadzi do przełamania monopolu propagandy. Przypomina raczej popłuczyny po wyrobach III RP i nie powinno być kojarzone z niezależnym dziennikarstwem. Nie zmienia tego żadne kongresy, apele i pohukiwania partyjnych działaczy.

Trzeba zacząć od rzeczy najprostszych i wyjaśnić owym „niepokornym”, że nie buduje się własnego przekazu na lekturze „Wyborczej”, a wolność nie oznacza prawa do promowania bełkotu funkcjonariuszy medialnych. Po to, by rzetelnie informować Polaków, budować nowe obszary zainteresowań i niezależny od władzy tok narracji, trzeba porzucić obserwowanie Onych i zdobyć na samodzielną refleksję.

To wymaga wysiłku, pracy, aktywnych poszukiwań i odpowiedzialności. Czasem, oderwania od układów towarzyskich i zrezygnowania z przaśnego „gwiadorstwa”.

Autonomia w sferze informacji nie rodzi się z polemiki z tezami TVN-u i zachłystywania wrzutkami propagandystów. Nie polega na bezmyślnym cytowaniu depesz PAP-u i wpatrywaniu w ekran telewizora czy tabletu w oczekiwaniu na emisję „Dziennika Telewizyjnego”.

Zamiast wspólnoty w przeżuwanie medialnej papki, trzeba tworzyć nowe tematy, mówić o tym co dla nas ważne, eksponować rzeczy zakazane i ukrywane przez reżim.

O niezależnych mediach będziemy mogli mówić dopiero wtedy, gdy wypracują one przekaz całkowicie wolny od produktów systemu, bez potrzeby zachłystywania się bełkotem byle frustrata ani cytowania łgarstw ćwierćinteligentów.

Jeśli ludzie zarządzający „naszymi” mediami nie potrafią przemówić własnym głosem i nie stać ich na intelektualny wysiłek rozstania z III RP, niech przynajmniej nie mają Polaków ułomną wizją niezależności.

LISTOPAD

803. DUMA I NIEPODLEGŁOŚĆ

Gdy przyjdzie czas na historyczną refleksję nad działaniami obecnego reżimu, ktoś zapewne zwróci uwagę, że grupie rządzącej znakomicie udało się nawiązać do sukcesji po komunistycznych antenatach. Przekonali mianowicie Polaków, że narodowe Święto Niepodległości powinno być kojarzone z atmosferą zagrożenia, prowokacji i represyjnych działań ze strony jawnych i tajnych służb.

To skojarzenie – tak mocno utrwalane przez komunistycznych władców PRL, odżywa dziś w wielu wypowiedziach i decyzjach związanych z obchodami 11 Listopada.

Oczywiste potwierdzenie takiej refleksji przynoszą nie tylko wydarzenia z 2011 i 2012 roku, gdy reżim z rozmysłem utrudniał Polakom spokojne uczestnictwo w marszach i manifestacjach niepodległościowych, ale również tegoroczna decyzja partii opozycyjnej o przeniesieniu społecznych obchodów do Krakowa, w obawie (jak podkreślono), „*przed czymś co pachnie gigantyczną prowokacją*”. Z pewnością można poszukiwać usprawiedliwienia takich rozstrzygnięć, rozprawiać o „mądrej taktyce” i „niewpisaniu się w scenariusz totalnej prowokacji”. Trudno jednak odrzucić myśl, że decyzja Jarosława Kaczyńskiego została wymuszona przez reżim i jest rodzajem kompromisu, którego konsekwencje mogą okazać się niezwykle groźne.

Kilkuletnie działania tandemu Komorowski-Tusk wykazują bowiem na tyle logiczną spoistość, że łatwo je umiejscowić w znanych z najnowszej historii praktykach komunistycznych. Od trzech lat reżim skutecznie zożydza Polakom ideę narodowego świętowania i w miejsce autentycznych i spontanicznych obchodów proponuje efekciarskie „imprezy alternatywne”, podczas

których promowane są „nowoczesne formy patriotyzmu”. Tak „nowoczesne”, jak nowocześni są funkcjonariusze partii komunistycznej i peerelowscy wojacy, którzy zaludniają dziś belwiderskie salony.

Chodzi przy tym nie tylko o świadome deprecjonowanie pojęcia patriotyzmu bądź sprowadzanie obchodów 11 Listopada do sfery demagogii i pustej symboliki (w czym przoduje środowisko Belwederu), lecz o utrwalenie szeregu negatywnych skojarzeń i reakcji społecznych, a w konsekwencji - o zastąpienie Święta Niepodległości jego skarlałą namiastką, którą obecny reżim nazywa „Świętem Wolności 4 czerwca”.

Być może niewiele osób wie, że w początkach instalowania komunizmu w Polsce, sowieccy namiestnicy próbowali odgrywać rolę patriotów i starali się podkreślać swoje rzekome przywiązanie do polskich tradycji. Jednym z elementów tej mistyfikacji były państwowe obchody Święta Niepodległości, hucznie obchodzone w roku 1944. Lud pracujący miast i wsi miał świętować je w radosnej atmosferze, tak, by *„dzień ten był istotnie wielkim świętem całego narodu”* - jak zalecano w propagandowym okólniku. Nabożeństwa, defilady wojskowe, akademie z „częścią artystyczną”, zbiorowe śpiewanie Roty, hymnu oraz odczyty z historii Polski, a także eksponowanie sztandarów i emblematów orła, miały przyciągnąć Polaków i budować złudne „poczucie wspólnoty narodowej”.

W następnych latach, gdy komuniści mogli już przystąpić do siłowej rozprawy ze społeczeństwem, Święto Niepodległości zostało odrzucone i skazane na zapomnienie. Nie tylko nie wolno było go obchodzić, ale nawet o nim wspominać. Zastąpiono je bowiem tzw. „Świętem Odrodzenia”, ustanowionym na pamiątkę moskiewskiego Manifestu PKWN.

Odtąd to 22 lipca, a nie 11 Listopada miały wyznaczać symboliczny początek polskiej niepodległości. Moskiewskiemu „świętu” nadawano ogromne znaczenie propagandowe, wzmacniając pozytywne skojarzenia np. organizowaniem festynów, podczas których Polacy mogli nabyć artykuły niedostępne w peerelowskich sklepach czy nacieszyć się obecnością ówczesnych „gwiazd scen i estrady”. W latach 70. i 80. zadbano również o to, by dzień 11 Listopada był kojarzony z represjami, aresztami i biciem uczestników „nielegalnych” manifestacji. Każdego roku ośrodki propagandy dokładały też szczególnych starań, by obchody polskiego święta przedstawiać w jak najczarniejszych barwach.

Nie mogę pozbyć się wrażenia, że obecny reżim prowadzi działania zmierzające w tym samym kierunku. W „fazie pierwszej” - po skutecznym zniechęceniu Polaków do organizowania własnych manifestacji, po szeregu bandyckich prowokacji i zapowiedziach siłowych rozwiązań, osiągnięto stan, w którym jedyna partia opozycyjna, a wraz z nią wiele innych środowisk rezygnuje z prawa do stołecznych obchodów rocznicy odzyskania niepodległości. Gdyby krok ten został wykorzystany do wytłumaczenia Polakom, w jakim kraju żyją i z kim naprawdę mają do czynienia, można byłoby z tej decyzji wyprowadzić jakieś dobro. Argumentacja oparta na obawie przed prowokacją i lęku przed akcjami odwetowymi, przy jednoczesnym podtrzymywaniu bredni o „mechanizmach demokracji” i „państwie prawa” - czyni z tej decyzji ponury akt kapitulacji i stawia partię Jarosława Kaczyńskiego na przegranej pozycji. Jeśli bowiem 11 listopada władza uderzy w uczestników zgromadzeń (chcąc np. uzyskać kolejny powód do zaostrożenia prawa) - łatwo wytłumaczy to „warcholstwem” i „agresywnym zachowaniem”, za które i tak oskarży opozycję. Jeśli zrezygnuje z ataku - będzie miała pole do wyśmiewania się z obaw PiS-u i umocni rolę własnych, alternatywnych obchodów.

Nietrudno też zauważyć, że reżim przygotowuje się już do przeprowadzenia „fazy drugiej”, w której Święto Niepodległości będzie musiało ustąpić przed fałszywym, historycznym ercem.

„Święto Niepodległości 11 listopada i Święto Wolności 4 czerwca – zwycięstwa wyborczego, które zakończyło epokę komunistyczną w Polsce warto obchodzić w sposób radosny” - oznajmił wczoraj lokator Belwederu. To porównanie, tak urągające Polakom i historycznej prawdzie, pojawia się coraz częściej w wypowiedziach Komorowskiego i zwiastuje zamiar uczynienia z farsy wyborczej 1989 roku daty równorzędnej lub zastępczej wobec autentycznego Święta Niepodległości. Zapowiadana na rok 2014 propagandowa hucpa pod nazwą - „25 rocznicy zwycięstwa” oraz ustanowienie „Święta Wolności” posłuży umocnieniu tych tendencji i będzie kolejnym krokiem na drodze fałszowania polskiej historii.

Cokolwiek przyniesie nam dzień jutrzejszy, będzie on naznaczony fatalnym ustępstwem wobec reżimu. Fatalnym również dlatego, że decyzja o przeniesieniu obchodów jest głęboko sprzeczna z samą ideą świętowania wydarzeń z 1918 roku. Ten dzień ma być powodem do dumy i szczególnego manifestowania polskości. Ma nam przypominać, że Polaków stać na niepodległość - ale tylko wówczas, gdy nie szczędzą ofiar, są zdolni do walki, nie rezygnują i nie cofają się przed wrogiem. Nie wolno zamazywać prawdy o ogromnej cenie naszej niepodległości, bo jest ona wyższa niż spokój manifestacji lub wygoda partyjnych działaczy. Doskonale rozumieli to uczestnicy „nielegalnych zgromadzeń” w latach komuny, gdy 11 listopada płacili cenę więzienia, kalectwa, a nawet życia.

To dzień, w którym duma z bycia Polakiem nie można zamienić na złudne poczucie bezpieczeństwa.

Tym bardziej, jeśli reżim, który każdego roku próbuje odbierać nam radości ze świętowania, chce nam dziś zabrać dar jeszcze cenniejszy. Celem każdej kampanii organizowanej wokół Święta Niepodległości są ci Polacy, którzy mają jeszcze odwagę manifestować swoją polskość i autentyczny patriotyzm. Fundamentem tej odwagi nie jest zaś kompromis, roztropność bądź strategia gry politycznej. U jej podstaw leży poczucie dumy narodowej i pamięć o tym ile kosztuje niepodległość.

804. MIŁOWY KROK NA DRODZE DO CERKWI

Ilością łgarstw i kalumnii, jakimi posłużyli się uczestnicy tzw. Światowego Rosyjskiego Soboru Ludowego, można byłoby obdzielić kilka antypolskich publikacji. W oświadczeniu przekazanym agencji Interfax 14 listopada br. członkowie organizacji zarządzanej przez Cyryla-Gundiajewa potępił incydent przed rosyjską ambasadą w Warszawie i uznali, iż *„główną przyczyną tych oburzających działań jest stałe nasilanie nienawiści do Rosji i narodu rosyjskiego wśród znacznej części społeczeństwa polskiego”*.

Zdaniem tego „kościelno-społecznego forum”, w *„polskich podręcznikach historii i w opracowaniach historycznych wciąż obecny jest obraz Polski jako ofiary, bezustannie prześladowanej i uciskanej przez okrutnego sąsiada ze Wschodu. Ze świadomości społeczeństwa polskiego wyparto fakt, iż Rzeczpospolita ‘od morza do morza’ powstawała w znacznym stopniu kosztem obszaru prawosławnej Rusi i że do XVIII wieku wojska rosyjskie ani razu nie pojawiły się na polskich ziemiach, polskie zaś doszły do samej Moskwy”*.

Członkowie Soboru Ludowego uważają, że Polacy *„nie uświadomili sobie dotychczas, że rosyjska ekspansja na Zachód w XVIII wieku była jedynie kontrnatarciem, odzyskiwaniem dawnych ziem ruskich z ludnością prawosławną”*, zaś udział Rosji w rozbiorach Rzeczypospolitej dotyczył wyłącznie tej części państwa polskiego, na której mieszkali wyznawcy prawosławia.

W oświadczeniu możemy również przeczytać, że Polacy *„wyparli z podświadomości zbiorowej pamięć o swoich zbrodniach”* i nigdy nie odpokutowali *„ani za masową zagładę jeńców Armii Czerwonej w 1920, ani za powszechne burzenie świątyń”*.

prawosławnych (łącznie ze wspnianym soborem św. Aleksandra Newskiego w Warszawie), ani za kulturowe ludobójstwo narodów białoruskiego i ukraińskiego na 'Kresach Wschodnich', ani za okrutne działania partyzantów Armii Krajowej wobec pokojowej ludności sowieckiej w okresie okupacji hitlerowskiej".

Organizacja, która tak postrzega Polaków i historię relacji polsko-rosyjskich powstała w roku 1993 z inicjatywy wieloletniego agenta (a jak twierdzą niektórzy oficera) KGB o pseudonimie „Michajłow”, ówczesnego przewodniczącego Wydziału Zewnętrznych Stosunków Kościelnych Patriarchatu Moskiewskiego Władimira Michajłowicza Gundiajewa, znanego dziś jako Cyryl I, patriarcha Moskwy i Wszechrusi. Zdaniem rosyjskiej opozycji, Sobór jest klasyczną przybudówką służb rosyjskich i poprzez swoją działalność (m.in. na forum ONZ) reprezentuje i wspiera interesy kremlowskich siłowników. W czasach ZSRR identyczną rolę spełniała Rada do Spraw Religijnych, która - jak twierdzi były archiwista KGB Wasilij Mitrochin - stanowiła oficjalną twarz IV Departamentu KGB.

W Soborze zasiadają „przedstawiciele wszystkich nurtów władzy”, czyli najwyżsi duchowni Cerkwi prawosławnej, deputowani Dumy, członkowie władz FR, ludzie wojska i policji oraz weterani Armii Czerwonej i funkcjonariusze KGB, działających dziś w szeregu tzw. organizacji społecznych. Do tego grona dokooptowano przedstawicieli innych religii istniejących w Rosji oraz „ludzi nauki i kultury”. Oświadczenie uczestników Soboru jest zatem oficjalnym stanowiskiem tych środowisk i z pewnością nie mogło powstać bez zgody Gundiajewa i Putina. Spotkanie tych dwóch przyjaciół nastąpiło podczas obrad Soboru w dniu 4 listopada br. z okazji obchodzonego wtedy tzw. Dnia Jedności Ludowej.

Cyryl I udekorował wówczas Putina „najwyższą nagrodą Światowego Rosyjskiego Soboru Ludowego” za „bezprzykładne zasługi głowy państwa w odbudowie mocarstwa Rosji”. Przywódca rosyjskiej Cerkwi w czołobitnym adresie do pułkownika KGB podkreślił: „*Jak nikt inny pod koniec XX wieku wniósł Pan swój wkład, aby Rosja znów stała się państwem mocarstwowym, aby odzyskała swe pozycje. Walka o godne miejsce Rosji we wspólnocie światowej trwa również dzisiaj i widzimy jej wyniki, zwłaszcza w świetle ostatnich wydarzeń, związanych z pokojowymi wysiłkami Pana osobiście i naszej ojczyzny na rzecz uregulowania konfliktu wokół Syrii*”.

Lektura strony internetowej Światowego Rosyjskiego Soboru Ludowego jest zajęciem tyleż niewdzięcznym, jak pouczającym. Pozwala poznać poglądy przedstawicieli Cerkwi w kwestiach historycznych (gloryfikowanie ZSRR, „wojny ojczyzniane” i „wyzwolielskiej Armii Czerwonej”) oraz szczególny krąg „bohaterów”, wśród których znajdziemy marszałków Związku Sowieckiego, wietnamskich generałów Ho Chi Minha czy hierarchów kolaborujących z reżimem komunistycznym.

Nie powinno to zaskakiwać, bo rosyjska Cerkiew jest jednym z najmocniejszych bastionów sowieckiej mocarstwowości, a większość biskupów podległych Cyrylowi była agentami IV Departamentu KGB i do dziś wiernie służy ludzom Putina.

O samym Cyrylu – Gundiajewie pisałem obszernie w jednym z tekstów poświęconych „pojednaniu polsko-rosyjskiemu” (Pojednanie z Cerkwią Putina), przypominając m.in., że człowiek ten jest oskarżany nie tylko o współpracę z KGB, lecz o liczne skandale finansowe i przestępstwa korupcyjne. Zdaniem środowisk opozycyjnych, rosyjskie prawosławie jest dziś przede wszystkim narzędziem indoktrynacji społeczeństwa rosyjskiego i służy ekspansji interesów kagebistów, zaś jego wymiar religijny został sprowadzony do demagogicznej, pustej fasady. Kościół pod przywództwem Cyryla porównuje się wręcz do „ideologicznego wydziału Komitetu Centralnego KPZR” i oskarża o bezgraniczną podległość władzy kremlowskiej, wspieranie fałszerstw historycznych, pochwałę eksterminacji narodu czeczeńskiego oraz udzielanie „błogosławieństw” bandyckim działaniom służb Putina.

Można przypuszczać, że przeszłość Cyryla-„Michajłowa” oraz faktyczna rola rosyjskiej Cerkwi jest doskonale znana polskim hierarchom. Choć w samej Rosji, publikacje na temat Gundajewa są poddane ścisłej cenzurze, szczegółowy opis tej postaci i jej działań można znaleźć w tekstach rosyjskich opozycjonistów oraz w wypowiedziach duchownych prawosławnych przebywających poza granicami Rosji.

Przed kilkom laty, metropolita Agatangel zwierzchnik Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego Za Granicą, dosadnie określił misję Gundajewa w słowach: „*Patriarcha Cyryl wychwala i głosi przestępczy system putinowski, a nie Chrystusa Ukrzyżowanego*”.

Niestety polscy katolicy nie mają szans dowiedzieć się, kim naprawdę jest przywódca rosyjskiej Cerkwi i jaką rolę spełnia na arenie międzynarodowej. Gdy 17 sierpnia 2012 roku w obecności lokatora Belwederu, Cyryl I i abp. Józef Michalik podpisali wspólne „przesłanie do narodów Polski i Rosji”, towarzyszyło mu nie tylko tchórzliwe milczenie „naszych” mediów, ale kampania dezinformowania polskiego społeczeństwa.

„*Myślę, że patriarcha Cyryl jest mężem opatrnościowym dla świata, Kościoła prawosławnego i naszych wspólnych kontaktów*” – uznał kard. Józef Glemp, prymas Polski w wypowiedzi z 26 lipca 2012 r.

„*Możemy dziękować Bogu, że do proroczego głosu Namiestnika Chrystusa dołączył dziś głos Patriarchy Wszechrusi*” – mówił z kolei bp Wiesław Mering wspominając o „*sprzymierzeniu dwóch wielkich Kościołów dla obrony chrześcijańskich korzeni Europy*”.

Do najzagorzalszych admiratorów Cyryla-Gundajewa należał abp. Michalik. Hierarcha, który przeciwników haniebnego „pojednania” z wystannikiem Putina nazywał „marginesem”, w liście do Cyryla pisał: „*Czas wizyty Waszej Świętobliwoci, a szczególnie podpisanie Wspólnego Przesłania do Narodów Polski i Rosji, odbił się dobrym echem w Kościele katolickim i w całej naszej Ojczyźnie*”. Przewodniczącemu Episkopatu dzielnie sekundował Bronisław Komorowski, który nie tylko wyraził wdzięczność Cyrylowi za poświęcenie w Katyniu cerkwi wybudowanej na grobach polskich oficerów, ale spotkanie z Gundajewem- „Michajłowem” nazwał „*wydarzeniem absolutnie historycznym*”.

W ówczesnych wypowiedziach polskich hierarchów oraz w publikacjach mediów katolickich dominował ton, jaki sprawie „pojednania polsko-rosyjskiego” nadał główny architekt tego procesu: „*Nie do przecenienia jest rola, jaką w wymiarze pojednania narodów pełni obecnie Rosyjski Kościół Prawosławny, a zwłaszcza Cyryl I, patriarcha Moskwy i Wszechrusi. To osobowość charyzmatyczna*” – twierdził pułkownik SB Tomasz Turowski, wieloletni oficer komunistycznej bezpieki w wypowiedzi z dnia 23 marca 2010 r.

Choć podpisany przed rokiem dokument „o pojednaniu narodów” nie został nawet wymieniony przez rosyjską Cerkiew wśród najważniejszych wydarzeń roku 2012, Episkopat Polski nakazał odczytanie wspólnego orędzia we wszystkich kościołach, przypominając księżom o „*nakazie posłuszeństwa wobec biskupa*”.

W tym samym czasie, gdy Sobór Ludowy w niewybrednych słowach fałszuje historię polsko-rosyjską i oskarża nas o nienawiść do Rosjan, Episkopat Polaki ogłosił „*kolejny krok na drodze polsko-rosyjskiego pojednania*” – jak nazwano „katolicko-prawosławną konferencję o roli Kościołów z Polski i Rosji w budowaniu przyszłości chrześcijaństwa w Europie”.

W kontekście dotychczasowych praktyk związanych z procesem politycznego „pojednania” z reżimem Putina, ta inicjatywa wpisuje się w zamiar, jaki przyświecał powstaniu TPPR-bis, czyli tzw. Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia.

Mówiąc o celach konferencji, bp Wojciech Polak, sekretarz generalny Episkopatu wyraził bowiem zamiysł, by rozpoczynała ona „nowy etap wzajemnych relacji”, w którym nie tylko „pozostawać będą na poziomie oficjalnym, na gruncie najwyższych przedstawicieli Kościoła hierarchicznego w Polsce i Kościoła Prawosławnego w Rosji, ale jednocześnie będą okazją do spotkania wiernych tych Kościołów w różnych wymiarach: od naukowego, kulturowego, intelektualnego po troskę o rodzinę czy życie – w odpowiedzi na wezwanie z *Przesłania - do dawania wspólnego świadectwa we współczesnej Europie*”. Jak zaznaczono, konferencja zostanie zorganizowana pod honorowym Bronisława Komorowskiego i „będzie próbą wypełnienia głównych wątków ubiegłorocznego *Przesłania do narodów Polski i Rosji*.”

Cokolwiek polscy hierarchowie powiedzą nam na temat tej nowej inicjatywy, jakkolwiek wytłumaczą jej sens „katolickie media”, nie sposób ukryć prawdy, że fundament posmołeńskiego procesu „pojednania” wyznacza retoryka Tomasza Turowskiego, w szczególności zaś ów straszliwy i zakłamywany passus o przynależności Rosji i Polski „do tej samej ogromnej judeo-chrześcijańskiej tradycji”, w której „wielkie rzeczy zawsze rodziły się we krwi”. Z tej krwi – co podkreślał Turowski, a za nim wielu polskich hierarchów, ma „wyrószyć to, na co my wszyscy czekamy - nowe, dobre stosunki pomiędzy Polską i Rosją”.

Nie ma bardziej szatańskiego fałszerstwa, gdy ktoś krew ofiar zrównuje z krwią oprawców. Dlatego w wizjach kreślonych przez pułkownika SB i powielanych przez hierarchów, nie ma wskazania winnych śmierci tysięcy naszych rodaków nie ma potępienia dwóch stuleci rosyjskiego terroru, prośby o wyznanie win, wezwania do rachunku krzyw ani próby ich naprawienia.

Tego faktu nie ukryją dziś żadne zabiegi propagandowe, demagogiczne zarzuty o „rusofobii” i „atakach na Kościół”. U podstaw procesu, którego kolejną odsłonę funduje nam Episkopat leży interes polityczny Putina, realizowany poprzez narzędzie, jakim jest Rosyjski Kościół Prawosławny. W rękach kagiebowskich ludobójców jest to narzędzie niezwykle groźne, bo celem obecnych działań jest idea „zjednoczenia”, wyrażona wprost przez jednego z czołowych przedstawicieli Patriarchatu Moskiewskiego: „Rosyjska Cerkiew liczy na to, że prawosławne narody zmieniają ludzkość, a w szczególności oblicze Starego Kontynentu. Cywilizacja wschodniego chrześcijaństwa powinna zjednoczyć swoje siły w obronie tradycyjnych wartości, stojących u podstaw kultury europejskiej”.

Tego rodzaju „zjednoczenie” pod patronatem KGB - najbardziej zbrodniczej organizacji świata, dokonywane z pogwałceniem prawdy historycznej, praw ludzkich i boskich jest drogą agresywnej ekspansji i wiedzy wprost do haniebnego zniewolenia społeczeństw i narodów. Jest „pojednaniem” poprzez strzał w potylicę - jedną formą zażegnrywania sporów, jaką znają kremłowscy ludobójcy.

Źródła:

<http://www.interfax-religion.ru/?act=news&div=53438>

<http://www.vrns.ru/news/>

<http://bezdekretu.blogspot.com/2012/08/pojednanie-z-cerkwia-putina.html>

<http://ekai.pl/wydarzenia/x72594/o-celach-konferencji-przyszlosc-chrzcijanstwa-w-europie-rola-kosciolow-i-narodow-polski-i-rosji/>

<http://bezdekretu.blogspot.com/2011/04/droga-do-cerkwi.html>

805. WÓDKA CZY KREW. O FUNDAMENCIE NIEPODLEGŁOŚCI

Szczelnej osłonie medialnej i manipulacjom ośrodków propagandy zawdzięczamy fakt, że większość Polaków wykazuje porażającą niewiedzę na temat Bronisława Komorowskiego, dostrzegając w tej postaci cechy, których obecny lokator Belwederu nigdy nie posiadał lub obdarzając go przymiotami, jakimi nigdy nie dysponował. Z tego względu, polityk Platformy jawi się jako wzorcowy przykład postaci fikcyjnej, medialnej „matrioszki” osadzonej na fundamencie fałszywych opinii i błędnych ocen.

Iluzoryczność demokracji III RP, brak wolnych mediów i odważnych dziennikarzy sprawia, że pytania dotyczące kariery tego polityka nie pojawiają się w przestrzeni publicznej. Nawet czas kampanii prezydenckiej (wykorzystywany w demokracjach do wnikliwego poznania kandydata) został bezpowrotnie stracony i przeznaczony na budowanie kolejnych mitów. Jest to tym bardziej niepojęte, że postać Komorowskiego wydaje się kluczowa dla zrozumienia procesów zachodzących w ostatnich latach, a wydarzenia z udziałem tego polityka: poczynając od afery marszałkowej, poprzez tzw. prawyboje, aż po skutki tragedii smoleńskiej, wykazują logiczną spójność i wytyczają kierunek, w jakim obecnie zmierza III RP.

Trudno zatem zrozumieć, dlaczego nad przeszłością człowieka, który w 2007 roku rozpoczął służbę marszałkowską od słów „*muszę zobaczyć aneks do raportu*”, a trzy miesiące przed smoleńską tragedią wyraził życzenie: „*chciałbym skrócić zły okres prezydentury Lecha Kaczyńskiego*” – panuje trwożliwa cisza.

Do podstawowych składników mitologii tworzonej wokół Komorowskiego należy wizerunek patrioty – człowieka oddanego tradycjom niepodległościowym, konsekwentnego demokrację, który broni polskich interesów i polskiej racji stanu. Nad budowaniem takiego obrazu usilnie pracuje sam lokator Belwederu, przypominając przy każdej okazji o „rodzinnych tradycjach”, epatując pseudopatriotyczną retoryką oraz chępiąc się swoją „kartą opozycyjną”. Od chwili objęcia stanowiska prezydenta, mitologia ta jest wzmacniana podczas rocznic i obchodów państwowych, w trakcie uroczystości religijnych oraz poprzez propagowanie specyficznych „imprez patriotycznych” i „marszów”. Te ostatnie, nie tylko służą budowaniu fałszywego wizerunku, ale spełniają ważną rolę wydarzeń alternatywnych, dzieląc Polaków na patriotów postępowych, wystrojonych w „kokardy narodowe” i podziwiających czekoladowe orły oraz na nacjonalistyczno-faszystowską „resztę”, która nie chce się cieszyć „magdalenkową” wolnością i wykorzystuje narodowe święto do celów politycznych.

Również w tym roku Bronisław Komorowski uszczęśliwił Polaków marszem „Razem dla Niepodległej”, każąc świętować go „w sposób radosny”, w poczuciu „dumy i narodowego zadowolenia”. Nie ukrywał przy tym, że organizowanie takich marszów jest elementem „batalii” o sposób obchodzenia Święta Niepodległości, a zatem ma prowadzić do skierowania tej polskiej tradycji na drogę szczególnie pojmowanej „nowoczesności”, której symbolami mogą być członkowie partii komunistycznej i oficerowie „ludowego” wojska, zaludniający dziś salony Belwederu. W kampanii propagandowej ponownie sięgnięto po hasło sugerujące konsolidacyjny charakter działań Komorowskiego. Człowiek, który budował swoją pozycję na nienawiści do PiS-u i atakach na prezydenta Lecha Kaczyńskiego, już w roku 2010 mamił Polaków frazesem „bądźmy wszyscy razem”. Kilka miesięcy później, slogan „budującej zgody” osłonił walkę z krzyżem na Krakowskim Przedmieściu i znalazł wyraz podczas kampanii plugawienia pamięci ofiar tragedii smoleńskiej.

Kreowanie Komorowskiego „na patriotę” jest dziś tym łatwiejsze, że nikt nie ośmieli się przypomnieć o faktach, które przeczą tej propagandowej wizji: o wspieraniu układu postkomunistycznego w wojsku, przyjaźniach z ludźmi wojskowej bezpieki, o żarliwym zaangażowaniu w obronę Jaruzelskiego i żołnierzy byłych Wojskowych Służb Informacyjnych. Ludzie tych służb, obwiniani przez polskiego prezydenta o liczne przestępstwa, zaniechania i rażącą nieudolność, otwarcie wspierali kandydaturę Komorowskiego, a w latach 2007-2008 uczestniczyli w kombinacji operacyjnej zwanej aferą marszałkową. Patriotyzm lokatora Belwederu ma wymiar szczególny, bo trzeba go oceniać nie tylko w kontekście obrony interesów rosyjskich, poprzez sympatie polityczne i krąg najbliższych współpracowników, ale w świetle niezwykle groźnej koncepcji historycznej, która w dniu Święta Niepodległości po raz kolejny znalazła wyraz w wystąpieniach Komorowskiego.

Genezy tej koncepcji można szukać w początkach instalowania komunizmu w Polsce, gdy sowieccy namiestnicy próbowali odgrywać rolę patriotów i starali się podkreślać swoje przywiązanie do polskich tradycji. Jednym z elementów tej mistyfikacji były państwowe obchody Święta Niepodległości, hucznie obchodzone w roku 1944. Nabożeństwa, defilady wojskowe, zbiorowe śpiewanie Roty i hymnu, a także eksponowanie sztandarów i emblematów orła, miały przyciągnąć Polaków i budować złudne „poczucie wspólnoty narodowej”. W roku następnym, gdy komuniści mogli już przystąpić do siłowej rozprawy z Polakami, Święto Niepodległości zostało odrzucone i skazane na zapomnienie. Zastąpiono je bowiem tzw. Świętem Odrodzenia Polski, ustanowionym na pamiątkę moskiewskiego Manifestu PKWN.

Odtąd to 22 lipca, a nie 11 Listopada miały wyznaczać symboliczny początek polskiej niepodległości. Moskiewskiemu „świętu” nadawano ogromne znaczenie propagandowe, podkreślając przez dziesięciolecia, że w tym dniu „*odrodziła się polska państwowość i narodziła demokracja socjalistyczna*”.

W przemówieniu wygłoszonym podczas tegorocznego Święta Niepodległości, Bronisław Komorowski uznał, że „w XX wieku dwa razy odzyskiwaliśmy niepodległość” i datę 11 Listopada 1918 roku zestawił z datą tzw. wyborów kontraktowych 4 czerwca 1989r. Padły słowa, których kontekst jest równie groźny, jak historyczna mistyfikacja dokonana po wojnie przez komunistycznych namiestników: „*Ta sama niepodległość i ta sama narodowa wolność została odzyskana dzięki wyborczemu zwycięstwu „Solidarności” 4 czerwca 1989 roku.*”

Fałszywa wizja, w której wysiłek kilku pokoleń Polaków przelewających krew za Niepodległą, zrównuje się z działaniami grupki „przyjaciół” Kiszczaka przelewających z komunistami wódkę w Magdalence, pojawia się coraz częściej w wypowiedziach Komorowskiego i zwiastuje zamiar uczynienia z farsy wyborczej 1989 roku daty równorzędnej lub zastępczej wobec Święta Niepodległości. Nie po raz pierwszy od dnia tragedii smoleńskiej, w tym obszarze świadomości historycznej dokonuje się aksjologicznego szalbierstwa. Anonsowana na rok 2014 propagandowa hucpa pod hasłem - „świętowania 25 rocznicy zwycięstwa” oraz ustanowienie narodowego „Święta Wolności” posłuży umocnieniu takich tendencji i będzie milowym krokiem na drodze fałszowania polskiej historii. Ta sama intencja wydaje się towarzyszyć kreowaniu Mazowieckiego, Wałęsy czy Geremka na nowych patronów „polskiej niepodległości”. Proces ten postępuje w tak szybkim tempie, że wkrótce figury „ojców założycieli III RP” mogą zastąpić Piłsudskiego, Dmowskiego czy Paderewskiego.

Nie sposób bagatelizować ahistorycznej kampanii Belwederu. Wsparta na powadze urzędu prezydenckiego, wzmocniona presją instytucji państwa i siłą ośrodków propagandy, wpisuje się w proces zakłamywania najnowszej historii i stanowi dziś największe zagrożenie dla świadomości narodowej. Jeśli i tym razem środowiska opozycji przemilczą to nadużycie, reżim belwederski zafunduje nam nie tylko „postępowy” model patriotyzmu, ale również „nowoczesną” namiastkę niepodległości.

GRUDZIEŃ

806. Z KIM CHCĄ NAS JEDNAĆ POLSCY HIERARCHOWIE

Przed siedemdziesięciu laty, w nocy z 4 na 5 września 1943, Józef Stalin przyjął na Kremlu 3-osobową delegację przedstawicieli Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego i nakazał zwołanie Soboru Biskupiego i wybór nowego patriarchy. Zdaniem emigracyjnych historyków prawosławia ta data wyznacza początek nowej organizacji kościelnej o nazwie "Rosyjski Kościół Prawosławny Patriarchatu Moskiewskiego" (Русская православная церковь Московского патриархата) (РПЦ МП) – (ROC).

14 września 1943 r. sowiecki dyktator podpisał rozporządzenie „O utworzeniu Rady do spraw Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej”, wyznaczając na jej przewodniczącego pułkownika NKWD G. Karpowa. Władze ZSRR potrzebowały poparcia Kościoła, by mobilizować Rosjan do obrony kraju. W przeciągu kilku miesięcy otwarto wiele kościołów i seminariów, zaczęto zwalniać z łagrów księży i biskupów.

Na czele ROC Stalin postawił metropolitę Sergiusza, który już w roku 1926 wstąpił się deklaracją lojalności wobec państwa: *"Musimy nie słowami, lecz czynami pokazać, że jesteśmy wiernymi obywatelami Związku Sowieckiego, lojalnymi wobec władzy sowieckiej. Wszelki cios, skierowany przeciwko Związkowi Sowieckiemu – czy to wojna, czy bojkot, czy jakakolwiek kłeska społeczna, czy zwykłe zabójstwo zza węgła, w rodzaju warszawskiego, uważamy za cios skierowany przeciwko nam."* Ówczesna deklaracja Sergiusza i jego polityka uległości wobec bolszewików była głównym powodem powstania głębokich podziałów w rosyjskim Kościele – część duchowieństwa i wiernych poparła decyzję metropolity, część wypowiedziała mu posłuszeństwo i zdecydowała się na emigrację. 13 września 1922 w mieście Sremski Karlovci w Serbii ogłoszono powstanie Synodu Biskupów Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego poza granicami Rosji (RCPzG). Duchowni emigracyjni ostro krytykowali Kościół działający w Rosji, zarzucając mu serwilizm i współpracę z reżimem komunistycznym.

W roku 1944 po śmierci Sergiusza (od którego imienia nazywano stalinowski ROC „sergianizmem”), patriarchą Moskwy i Rusi został wybrany metropolita leningradzki Aleksy. Wybór poprzedziło spotkanie patriarchy ze Stalinem i Mołotowem, podczas którego uzgodniono aktywną obronę polityki ZSRR oraz ustalono kalendarz wizyt zagranicznych nowego przewodcy ROC.

Ponieważ liturgia prawosławna przewiduje m.in. modlitwy za rządzącymi i za wojsko, Aleksy I wstąpił się wprowadzeniem do liturgii specjalnej modlitwy za Stalina:

„I jeszcze módlmy się za wielkie państwo radzieckie, o pokój, zdrowie i zbawienie całego ludu prawosławnego. I jeszcze módlmy się za zdrowie i zbawienie wszystkich mądrych i odważnych przywódców naszej ojczyzny prawosławnej. I jeszcze módlmy się za zdrowie i zbawienie wielkiego wodza Rosji Józefa Stalina i za całe mężne i zwycięskie jego wojsko”.

W roku 1955 patriarcha potwierdził, że ROC w Związku Sowieckim posiada pełną swobodę, a „*polityka radziecka w pełni realizuje ideały chrześcijaństwa głoszone przez Cerkiew*”. Przez cały okres ZSRR, stosunki między rządem komunistycznym a przywódcami Cerkwi opierały się na relacjach zwierzchnik – podwładny. Aleksy I był wiernym poddanym, za co został

czterokrotnie odznaczony Orderem Czerwonego Sztandaru Pracy, w tym dwukrotnie przez Breżniewa. Duchowni ROC ściśle wykonywali polecenia władz sowieckich, prowadząc szczególnie ożywioną działalność na arenie międzynarodowej. Ta aktywność hierarchów w utworzonej przez Sowietów Światowej Radzie Pokoju, a następnie (od 1961) w Światowej Radzie Kościołów oraz działania w kierunku „ekumenicznego otwarcia”, spotykały się z pełną akceptacją Kremla i zostały wysoko ocenione przez KGB jako wzorcowe działania agentury wpływu. Koordynacją „strategicznych” poczynań ROC zajmowało się Biuro Polityczne KPZR, zaś bieżąca działalność nadzorowana była przez IV Departament KGB (ds. kontroli polityki religijnej). W roku 1971, po śmierci Aleksego I, KGB zdecydowała o powierzeniu rządów nad Cerkwią Siergiejowi Michajłowiczowi Izwielkowi, znanemu jako patriarcha Pimen. Do historii serwilizmu wobec władzy sowieckiej przejdą „telegramy żałobne” Pimena, w których zmarłych przywódców KPZR, Andropowa i Czernienkę określał mianem „*ludzi bezinteresownych, cieszących się miłością całego narodu*” i wykazujących „*wzniośle wartości duchowe*”.

Po śmierci Pimena, patriarchą został wybrany Aleksy II - Aleksiej Michajłowicz Rydygier, wieloletni agent KGB o pseudonimie „Drozdow”. Z materiałów znajdujących się w archiwum w Tallinie wynika, że Aleksiej Rydygier został zwerbowany przez KGB Socjalistycznej Republiki Estonii 28 lutego 1958 roku. Miał wówczas 29 lat. Oficerowie prowadzący „Drozdowa” zaplanowali, że zostanie on biskupem rosyjskiej diecezji prawosławnej Tallina i Estonii i (podobnie jak miało to miejsce w przypadku wszystkich hierarchów ROC) ściśle nadzorowali jego karierę. W roku 1988 Rydygier został nagrodzony przez KGB specjalnym „dyplomem honorowym” z okazji 30-lecia wiernej służby.

W czasie sprawowania urzędu przez Aleksego II, w roku 2007 doszło do podpisania aktu zjednoczenia ROC z Rosyjskim Kościołem Prawosławnym poza granicami Rosji (RCPzG), o co szczególnie zabiegał Władimir Putin. Nie wszyscy duchowni emigracyjni zaakceptowali ten wybór, zaś przeciwnicy kontaktów z ROC utworzyli Rosyjską Cerkiew Prawosławną na Wygnaniu. „Tygodnik Powszechny” w nr 27 z 2004 r. tak opisywał przygotowania do zjednoczenia kościołów: „*Zanim doszło do pierwszych konsultacji między duchownymi, zwierzchnicy RCPzG spotkali się jednak z... przedstawicielem wyklętej władzy świeckiej (dialog „ruszył” dopiero po ubiegłorocznej wizycie prezydenta Putina w Nowym Jorku). Złośliwi twierdzą, że metropolita Ławr uwierzył, że bezbożna władza w Rosji upadła, kiedy zobaczył Putina całującego z należnym ceremoniałem święte ikony. Wtedy też władzka postanowił wziąć udział w prezydenckiej operacji „zbierania prawosławnych kamieni”, rozrzuconych przez wichry historii.*”

Głównym architektem zjednoczenia był ówczesny przewodniczący Wydziału Zewnętrznych Stosunków Cerkiewnych metropolita smoleński i kaliningradzki Cyryl. To on, po śmierci Aleksego II, w roku 2008 został wybrany nowym patriarchą moskiewskim i całej Rusi, przyjmując imię Cyryla I. Podkreślano wówczas, że były to „wybory w kręgu KGB”, ponieważ wszyscy trzej kandydaci na to stanowisko (Filaret, Klemens i Cyryl) byli wieloletnimi współpracownikami sowieckich służb.

Kariera Cyryla - Władimira Michajłowicza Gundiajewa od początku była nadzorowana przez KGB. Zwraca się uwagę, że młody Gundiajew musiał cieszyć się niezwykłą przychylnością władzy radzieckiej, ponieważ został przedterminowo zwolniony ze służby wojskowej i za sprawą metropolity Nikodema (agenta KGB o pseudonimie „Światosław”) prosto z Armii Czerwonej trafił w roku 1965 do Leningradzkiego Seminarium Duchownego.

Metropolita Leningradu i Nowogrodu Nikodem (Borys Rotow) przez lata czuwał nad karierą Gundiajewa, zabiegając o szybkie otrzymanie przezeń święceń kapłańskich, posadę wykładowcy w Leningradzkiej Akademii Teologicznej, a następnie funkcję reprezentanta ROC w Międzynarodowym Forum Młodzieży Prawosławnej. Dzięki Nikodemowi, zaledwie 23 letni Gundiajew występując jako osobisty sekretarz biskupa mógł wyjeżdżać bez problemów za granicę i cieszył się zaufaniem komunistycznej władzy.

Znany jest dokument z 16 kwietnia 1960 roku, w którym szef KGB Aleksander Szelepin rekomenduje Komitetowi Centralnemu KPZR metropolitę Nikodema na stanowisko przewodniczącego Wydziału Stosunków Zewnętrznych Cerkwi Prawosławnej i poleca mianowanie go przedstawicielem ROC w Światowej Radzie Pokoju.

Cyryl I (pseud. w KGB „Michajłow”), pozostając przez wiele lat pod opieką „Światosława” przeszedł identyczną drogę kariery jak jego patron – od działalności w Światowej Radzie Kościołów i kierowania Wydziałem Zewnętrznych Stosunków Cerkiewnych, po stanowisko biskupa smoleńskiego i patriarchy moskiewskiego. W niektórych publikacjach podkreśla się, że doświadczenie operacyjne Gundiajewa w sposób szczególny łączy go w serdecznej przyjaźni z płk KGB Putinem i jest to „*więź dwóch profesjonalistów – kolegów pracujących w różnych oddziałach służb sowieckich*”. W wydanej na Zachodzie książce „*Wieża tajemnic*”, były funkcjonariusz IV Departamentu KGB Wiktor Szejmow twierdził, że agencja w ROC była czymś więcej niż tylko źródłem informacji: był to aktyw KGB zaliczany do nieumundurowanych pracowników służb sowieckich. Inny były oficer KGB Anatol Szuszanow, w wywiadzie udzielonym przed laty rosyjskiemu tygodnikowi „Argumenty i Fakty”, przyznał, że agenci - duchowni Cerkwi prawosławnej byli de facto funkcjonariuszami KGB.

Gdy w początkach lat 90. (które przez Cyryla są uznawane za najgorsze w historii Rosji), doszło do próby lustracji i badania akt KGB, natychmiast interweniował Patriarchat Moskiewski. Powołano wówczas (podobnie jak to miało miejsce w III RP) specjalną kościelną komisję do zbadania faktów współpracy duchownych ze służbami specjalnymi. Na jej czele stanął biskup kostromski Aleksy. Do dziś ani komisja ani kolejne Synody ROC nie wydały żadnego komunikatu w tej sprawie. Jak twierdzi opozycja - Cyryl zareagował szybko na to zagrożenie i zajął się gromadzeniem tajnych materiałów na swój temat, tworząc obszerne prywatne archiwum. Dzięki temu, jego oficjalny życiorys przypomina dziś hagiografię świętego mędrca i nie ma nic wspólnego z prawdą.

Późniejszej karierze Cyryla-Gundiajewa towarzyszyły liczne skandale obyczajowe, finansowe i zarzuty korupcyjne. Jeszcze przed objęciem stanowiska patriarchy Moskwy jego osobisty majątek oceniano na cztery miliony dolarów. Obecnie uważa się, że Cyryl jest drugim po Putinie, najbogatszym człowiekiem w Rosji.

Prócz apartamentu w Moskwie, ma także posiadać dom w Szwajcarii (gdzie co roku jeździ na narty), jacht „Pallada”, kilka kosztownych limuzyn oraz liczne konta bankowe i nieruchomości rozsiane po całym świecie. Na początku lat 90. duchowny zajmował się handlem wyrobami tytoniowymi, wwożonymi do Rosji bez cła i składowanymi w Monasterze Daniłowskim oraz obrotem ropą naftową, wykorzystując w tym celu instytucje ROC i korzystając z ulg i odpisów podatkowych.

Gundiajew był m.in. założycielem banku komercyjnego „Relight” oraz funduszu „Nika”, który posłużył do importu do Rosji ogromnych ilości papierosów w ramach „pomocy humanitarnej”. Zyski z tych przedsięwzięć ocenia się na setki milionów dolarów, a działająca pod koniec lat 90. komisja nadzwyczajna, licząc straty państwa z tytułu przywilejów celnych w latach 1994-1996, stwierdziła, że wyniosły one prawie 33 miliardy rubli. Dzięki tej działalności, Cyryl zyskał przydomek „*tabakowego metropolity*”.

W roku 2000 pojawiły się informacje o działalności Gundiajewa na rynku handlu owocami morza. Spółka w której ówczesny biskup smoleński miał udziały (JSC „Region”) zajmowała się połowem krabów i krewetek, a zyski z tego interesu szacowano na co najmniej 17 milionów dolarów. Pomysły biznesowe Cyryla-Gundajewa dotyczyły spółek medialnych oraz budowy sieci

nocnych klubów, w których rosyjska młodzież poznawałaby „*alternatywne sposoby spędzania czasu po zmierzchu*.” Również świątynie ROC są źródłem niemałych dochodów. Wiele rosyjskich kościołów, w tym moskiewska Katedra Chrystusa Zbawiciela, służy dziś celom komercyjnym. Na stronach rosyjskiej opozycji można przeczytać „oficjalny” cennik usług świadczonych w tej świątyni. I tak np. „organizacja koktajlu” na 250 osób kosztuje 50 tys. rubli, wynajęcie sali bankietowej na 170 osób - 65 tys., a wynajem „intymnego zielonego pokoju” - 60 tys. rubli.

W kompleksie katedralnym działają dziś firmy ochroniarskie i handlowe, „Centrum Sztuk Pięknych” i garaż dla ponad 300 samochodów. W raporcie rosyjskiego Forbes z 2012 r. dotyczącym finansowania partii politycznych, zwraca się m.in. uwagę na operacje wykonywane przez należący do ROC bank Peresvet (Пересвет), w którego radzie dyrektorów zasiadał Cyryl. Bank uczestniczy obecnie w finansowaniu putinowskiej partii „Jedna Rosja”, co – zdaniem opozycji, „*doskonale tłumaczy nagłą troskę polityków tej partii o zdrowie duchowe Rosjan*”.

Bogacenie hierarchów, ich serwilizm, hipokryzja i moralna degrengolada, spotykają się z dezaprobatą Rosjan i wydają się głównym powodem braku zainteresowania prawosławiem lub traktowania go jako „religii rządzących”. Wprawdzie w rosyjskich statystykach wykazuje się liczbę 100 milionów wyznawców, to zaledwie 5 procent mieszkańców Rosji można uznać za praktykujących. Tytuł bowiem uczestniczy w cerkiewnych nabożeństwach. Nawet w największe święta, moskiewskie kościoły ROC świecą pustkami.

Zdaniem środowisk opozycyjnych, prawosławie jest przede wszystkim narzędziem indoktrynacji społeczeństwa rosyjskiego i służy umocnieniu władzy kagebistów, zaś jego wymiar religijny został sprowadzony do populistycznej, pustej fasady. Kościół pod przywództwem Cyryla porównuje się wręcz do „*ideologicznego wydziału Komitetu Centralnego KPZR*” i oskarża o bezgraniczną podległość reżimowi.

Dzięki przyjaźni z Putinem, Cyryl I wyrósł na jedną z głównych postaci rosyjskiej sceny politycznej, zaś wyżsi duchowni ROC mają możliwość prowadzenia rozlicznych interesów i korzystają z VIP-owskich profitów. Na mocy decyzji Putina, zagraniczne wizyty Cyryla odbywają się na koszt państwa, a towarzysząca mu świta jest zwolniona z odprawy na lotniskach i posiada te same przywileje co członkowie rządu.

Symbolem obecnych stosunków ROC z klanem kagebistów jest jedna z najważniejszych świątyń prawosławia - cerkiew św. Zofii, położona niedaleko Łubianki, którą przed kilkoma laty uroczystie poświęcono jako oficjalną „*świątynię pracowników Federalnej Służby Bezpieczeństwa*”. Wśród funkcjonariuszy KGB/FSB zasiadających na Kremlu sformowała się nawet grupa „prawosławnych czekistów” z Władimirem Jakuninem na czele, która zabiega o wsparcie finansowe i dba o kontakty z przedstawicielami hierarchii. Cyryl I jest zaś dumnym kawalerem medalu „200 lat rosyjskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych”, posiada odznaczenia MON i MSZ i jest „honorowym profesorem” Wojskowej Akademii Obrony im. Marszałka ZSRR Wasilewskiego. Do kolekcji odznaczeń Cyryl zaliczy obecnie tytuł „Człowieka Roku 2013” - „*za wybitny wkład w umacnianie tradycji historycznych i kulturowych*”. W ten sposób, płk Putin odwzajemnia się za przyznanie mu przez Cyryla „*najwyższej nagrody Światowego Rosyjskiego Soboru Ludowego*” za „*bezprzykładne zasługi głowy państwa w odbudowie mocarstwowości Rosji*”.

W zamian za rozliczne przywileje i poczucie bezkarności (organy ścigania FR oskarża się m.in. o tuszowanie przypadków pedofilii i przestępstw seksualnych wśród duchownych) ROC, wspólnie z kagebistami buduje dziś w Rosji system autorytarnej władzy „*opartej na tradycyjnych rosyjskich wartościach*”, zaś patriarcha Cyryl jest „*najwierniejszym z wiernych*” w wykonywaniu poleceń kremłowskiego satrapy.

Podstawowy dogmat kremłowskiej mocarstwowości - koncepcja „*wyjątkowości, unikalności rosyjskiej wizji demokracji i praw człowieka*” – został uchwalony na Światowym Kongresie Narodu Rosyjskiego zorganizowanym przez Patriarchat Moskiewski w roku 2006 i potwierdzony w roku obecnym. Natomiast pod koniec maja 2010 roku, podczas spotkania Cyryla z przedstawicielami putinowskiej partii „Jedna Rosja” podpisano oświadczenie o współpracy, w którym zadeklarowano „*narodowe porozumienie co do podstawowych wartości moralnych*” oraz intencję „*utrzymywania Rosji jako unikalnej cywilizacji szczególnie w kontekście globalizacji i wdrażanie na szeroką skalę programu modernizacji kraju*”.

To zadanie „*krzewienia rosyjskiej cywilizacji*”, którą otwarcie przeciwstawia się „*zużytych modelom zachodnim*”, należy do głównych celów ROC. Głoszone przez duchownych hasło „*pokoju na świecie*”, uzupełnione o postulat „*pokoju między religiami*” jest dziś równie przydatne, jak w czasach ZSRR, gdy największy światowy agresor gromadził zgraje użytecznych głupców i agentów pod sztandarami „walki o pokój”.

W zgodnej opinii niemal wszystkich rosyjskich środowisk opozycyjnych, Cerkiew stanowi groźne „*narzędzie w rękach Putina*” i spełnia identyczną rolę, jaką wykonywała w latach ZSRR. Jest potrzebna Putinowi do sprawowania „*rządu dusz*” i jak żadne inne narzędzie – przydatna do ekspansji na Europę i kraje katolickie. Niektórzy z rosyjskich duchownych, jak 75-letni Władimir Winnikow nazywają kościół pod przywództwem Cyryla „*Kościółem Szatana*” i mówią wprost o „*zorganizowanej grupie przestępczej pod nazwą Rosyjski Kościół Prawosławny*”.

Najnowszym pomysłem kremłowskich kagebistów jest projekt wpisania do konstytucji Federacji Rosyjskiej preambuły - „*prawosławie jest podstawą narodowej i kulturowej tożsamości Rosji*”. Tym samym, prawosławie praktykowane przez hierarchów ROC stanie się religią państwową i otrzyma ten sam status, jaki w czasach ZSRR posiadał socjalizm.

Uznałem za konieczne opublikowanie tych podstawowych informacji, ponieważ od wielu miesięcy odbywa się publiczny festiwal cynicznych kłamstw związany z belwederskim projektem „*pojednania*” ROC i polskiego Kościoła Katolickiego. Tzw. media katolickie oraz polscy hierarchowie przedstawiają fałszywy obraz Cerkwi i jeszcze bardziej kłamliwy wizerunek przywódcy tej organizacji, każąc dostrzegać Polakom w postaci współpracownika KGB „*Michajłowa*” - „*męża opatrnościowego dla świata*” i „*osobowość charyzmatyczną*”.

Ponieważ te praktyki spotykają się z tchórzliwym milczeniem „*naszych*” mediów i środowisk opozycji, wielu Polaków nie posiada żadnej wiedzy o kulisach procesu „*pojednania*” i głównych aktorach tej ordynarnej mistyfikacji.

Nie wolno przede wszystkim zapominać, że Rosja jest dziś krajem, który przoduje w przerażających statystykach: liczby aborcji i śmiertelności podczas jej wykonywania, śmiertelności niemowląt i dzieci, niewolnictwa i handlu dziećmi, liczby rozwodów, przestępczości wśród nieletnich, przypadków pedofilii, liczby zgonów spowodowanych alkoholizmem, liczby osób zarażonych HIV, gruźlicą i chorobami wenerycznymi, spadku liczby ludności, korupcji wśród rządzących, samobójstw. Taką listę można znacznie wydłużyć.

Ludzie, którzy mówią nam, że putinowska ROC ma stać się „*sprzymierzeńcem w walce o obronę wartości chrześcijańskich*” lub – co gorsze, być partnerem „*w sprawach obrony rodziny, prawa do życia od poczęcia do naturalnej śmierci oraz prawa do wolności wyznania*” - srodze drwią z polskich katolików i dopuszczają się szyderstwa z prawdy.

Wybrane źródła:

D. Pospelovsky: The Orthodox Church in the history of Russia. Crestwood-New York: St. Vladimir's Seminary Press, 1998
 Christopher Andrew, Wasilij Mitrochin Archiwum Mitrochina, t.I KGB w Europie i na Zachodzie, t.II KGB i świat Poznań - Wyd. Rebis, Poznań
<http://fr-victor.ru/>
<http://www.vrns.ru/>
<http://shiropaev.livejournal.com/264663.html>
<http://www.rb.ru/article/blogery-ironiziruyut-nad-isklyuchitelny-m-poletom-patrirha-kirilla-v-kitay-na-samolet-prezidenta/7162637.html>
<http://www.putin-itogi.ru/rab-na-galerah/>
<http://www.keston.org.uk/russianreview-56.php>
http://www.rf-agency.ru/acn/stat_ru
<http://crimestat.ru/3001>
<http://www.who.int/countries/rus/en/>
<http://inotv.rt.com/2013-05-01/Rossii-ne-udaetsya-perelomit-tendenciyu>
<http://www.tokfm.pl/Tokfm/1.103086.13540485.Wstrzasajacy-raport-najwiecej-samobojstw-dzieci-i.html>
<http://bezdekretu.blogspot.com/2012/09/kombinacja-operacyjna-pojednanie.html>
<http://ekai.pl/pojednanie2013/>
<http://www.pojednanie2013.pl/>

807. JĘZYK – ICH ZDRAJCA

Tragedia smoleńska jest bez wątpienia tym wydarzeniem w najnowszej historii Polski, które w sposób szczególnie wyrazisty obnaża nasz stosunek do prawdy, ujawnia najgłębsze cechy osobowości i pozwala identyfikować więzi z polską tradycją i kulturą. Rzeczywiste rozbieżności w ocenie przyczyn tragedii nie wynikają przecież z rzekomych odmienności politycznych, lecz sięgają znacznie głębiej, w pokłady naszego człowieczeństwa, systemu wartości czy poczucia więzi narodowej. Zasadniczym atrybutem umożliwiającym dostrzeżenie tych różnic, jest z pewnością język. To w sferze słowa i elementarnych pojęć następuje demaskacja myśli i projekcja ukrytych intencji. Słuchając różnych wypowiedzi, nie zwracamy zwykle uwagi na ich pierwotne źródła lub inspiracje. Dopiero wskazanie tych związków pozwala zrozumieć, skąd pochodzą określenia i wzorce, którymi posługują się dziś wyznawcy wersji moskiewskiej.

Jedno z najgroźniejszych semantycznych fałszerstw, które po 10 kwietnia wytyczyło drogę do tzw. pojednania polsko-rosyjskiego, pojawiło się tuż przed dniem narodowej tragedii. Ze względu na mroczną przeszłość autora tych słów, ukazuje ono rzeczywisty fundament, na którym zbudowano gmach tego „pojednania”.

23 marca 2010 roku, były płk SB Tomasz Turowski, informując Katolicką Agencję Informacyjną o przygotowaniach do 70. rocznicy zbrodni katyńskiej powiedział: *„Ogrom krwi narodu rosyjskiego, tych którzy zginęli podczas represji rosyjskiej, ze strony Kościoła prawosławnego miesza się tam z krwią polską. To jest testament dla przyszłych pokoleń polskich i rosyjskich, żeby krew przelana poprzez tych samych katów, poprzez tych, którzy wykonywali wyroki i na swoich współobywatelach i na Polakach - była początkiem realnej przyjaźni i realnego pojednania między Polską i Rosją”*

Ta kazuistyczna retoryka, w której krew ofiar narodowej tragedii, była nie tylko sprzeczna z prawdą historyczną i nie tylko zamazywała odpowiedzialność Rosjan za zbrodnię na Polakach. Niosła drwinę z zasad chrześcijańskiego pojednania, które dla swojej autentyczności wymaga otwarcia na prawdę, wyznania winy, nawrócenia i zadośćuczynienia za krzywdy. Dwa dni po tragedii smoleńskiej, ten sam architekt „pojednania” w wywiadzie dla rosyjskiego radia FINAM FM. oznajmił: *„I Rosja, i Polska należą do tej samej ogromnej judeo-chrześcijańskiej tradycji, a wielkie rzeczy w tej tradycji zawsze rodziły się we krwi. I jestem pewien, że z tej krwi wyrośnie to, na co my wszyscy czekamy - nowe, dobre stosunki pomiędzy Polską i Rosją”*.

Identyczny przekaz mogliśmy usłyszeć 15 kwietnia 2010 roku, gdy abp Józef Życkiński podczas homilii wygłoszonej w lubelskiej katedrze stwierdził: *„Krew naszych rodaków, która wsiąkała w ziemię rosyjską, na tym terenie, gdzie przedtem wsiąkała krew bohaterów rozstrzelanych za miłość do ojczyzny - niech z tej gleby wyrosną dojrzałe kłosa rodzące chleb pojednania”*, oraz dwa dni później, z ust prymasa Henryka Muszyńskiego, który pouczył wiernych, iż *„krew przelana przed 70 laty, potrafi łączyć zarówno polityków, jak i zwykłych szarych ludzi. Z perspektywy 70 lat widać wyraźniej niż kiedykolwiek, że niewinnie przelana krew ofiar tego samego, nieludzkiego systemu, która wsiąkała w tę samą ziemię i dzieliła nas przez pokolenia, nie musi koniecznie dzielić, a może także łączyć.”*

Nietrudno dostrzec genezę kłamstw i manipulacji używanych w sprawie tragedii smoleńskiej. Wściekłość, z jaką zwolennicy wersji rosyjskiej odrzucają analogie ze zbrodnią katyńską, nakazuje poszukiwać tych źródeł właśnie w obszarze fałszerstw komunistycznych związanych z ludobójstwem na polskich oficerach.

To w tzw. propozycjach Henryka Świątkowskiego, szefa Zarządu Głównego Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej i ministra sprawiedliwości w latach 1945-65 znajdziemy inspiracje dla obecnej kampanii atakowania i dyskredytowania naukowców współpracujących z zespołem smoleńskim. Jej pierwowzór był rozgrywany w latach 1951-53, gdy namiestnicy sowieccy oczerniali ekspertów i naukowców biorących udział w katyńskiej ekshumacji, którzy podjęli następnie współpracę z Komisją Katyńską Kongresu USA. W dokumentach z roku 1951 znajdziemy zalecenia dotyczące *„zbierania materiałów krytycznych i analitycznych”* na temat tych osób oraz *„poszukiwania materiałów kompromitujących kwalifikacje naukowe i osobiste”*. Ówczesna dyspozycja Świątkowskiego dotycząca zainicjowania *„akcji śledczej, specjalnie wśród kół naukowych, (która) może ujawnić wiele materiału kompromitującego ich jako fachowców i jako ludzi”* - brzmi niczym instrukcja wydana dzisiejszym ośrodkom propagandy i przedstawicielom „instytucji naukowych” z peerelowskim rodowodem.

Nienowa jest również praktyka oskarżania osób, które w poszukiwaniu prawdy o tragedii smoleńskiej chciałyby angażować instytucje międzynarodowe i rządy innych krajów. Określenia o *„działaniu na szkodę państwa”*, *„nieuznawaniu państwa polskiego”* (T. Nałęcz) czy wręcz *„działaniach ocierających się o zdradę”* (Graś), należy odczytywać w kontekście oskarżeń, jakie komuniści stawiali m.in. pisarzom (Goetlowi, Skiwiemu i Mackiewiczowi) uczestniczącym w wizji lokalnej w Katyniu i głoszącym prawdę o winie Rosjan. Prokurator Sądu Karnego w Krakowie, w wydanym w roku 1945 nakazie aresztowania wysuwał absurdalne zarzuty *„popelnienia zbrodni przeciwko państwu polskiemu i działań na szkodę państwa”*, kierując je wobec ludzi, których świadectwo zagrażało sowieckiemu łgarstwu.

Na Goetla i Skińskiego poszukiwano obyczajowych „kompromatów”, zaś środowisko literackie zostało naklonione do wyrażania „aktów potępienia”. Nietrudno dostrzec analogie z zachowaniami „elit” III RP bądź zaangażowaniem samowolnych „autorytetów etycznych” atakujących osoby współpracujące z zespołem parlamentarnym PiS.

Gdy Bronisław Komorowski ocenia efekty pracy tego zespołu, jako „*teorię opartą na zerowych dowodach, szkodzącą i relacjom wewnętrznym w Polsce i relacjom zewnętrznym również*”, Donald Tusk mówi o „*niszczeniu dobrych relacji ze wszystkimi sąsiadami*” i „*nieodpowiedzialnych politykach, którzy na katastrofie smoleńskiej budują sobie pozycję polityczną*”, zaś głosom przedstawicieli reżimu wtóruje Zbigniew Brzeziński, perorując, iż sugestie o winie Rosjan to „*coś wstrętnego i szkodliwego*”, a samo mówienie o zamachu prowadzi do „*podważenia fundamentów i szacunku dla państwa, Polski i polskiej demokracji*” - mamy do czynienia z argumentacją znaną z niedalekiej przeszłości.

W opinii dwóch biegłych - wojskowych politruków (pracowników Wojskowej Akademii Politycznej im. Feliksa Dzierżyńskiego), wydanej w roku 1980 na wniosek prokuratury, oskarżającej Romualda Szeremietiewa za napisanie memoriału, w którym przypominał winnych zbrodni katyńskiej, można przeczytać, że „*kłamstwa tego rodzaju kierowane na forum międzynarodowe nie oznaczają tego samego, co kłamstwa rozpowszechniane wewnątrz kraju. Dyskredytują bowiem państwo, podważają zaufanie do jego szczerości i jego inicjatyw*.” Politycy pouczali również, iż „*obowiązkiem Polaka jest dbać o imię własnej Ojczyzny i własnego narodu niezależnie od wyznawanych przekonań politycznych. Rozwijanie w kraju i za granicą krzykliwej propagandy wokół tzw. sprawy katyńskiej, organizowanie manifestacji przed polskim przedstawicielstwami dyplomatycznymi za granicą nie tylko szkodzą państwu, lecz stanowią element poniżania narodu polskiego*.”

Język i argumentacja, stosowane dziś przez zwolenników wersji moskiewskiej w niczym nie odbiegają od komunistycznych wzorców i bezbłędnie wskazują swoje źródło cywilizacyjne. Niezależnie - o jakich „wartościach demokracji” rozprawiają ci ludzie i jak głośno krzyczą o „psuciu państwa” - zdradza ich język i mentalna sukcesja.

W żadnej kulturze europejskiej nie ma bowiem takiej normy, która podważałaby prawo do poznania okoliczności śmierci osób bliskich lub pozwalała deptać pamięć o zmarłych. Nigdzie też, poza „nieludzką ziemią”, z której władcami chcą nas jednać ludzie reżimu, nie ma przyzwolenia na taką nikczemność, by łączyć i oskarżać tych, którzy chcą ujawnienia prawdy o śmierci swoich rodaków.

808. CENA BŁĘDÓW I PRZEMILCZEŃ

Nawet wybitni „fachowcy od bezpieczeństwa” z belwederskiego BBN wiedzą, że bez trafnego odczytania intencji przeciwnika nie uda się zbudować dobrej strategii. Opozycja, która myśli o przejęciu władzy nie może więc zaniechać analizowania zachowań reżimu, biorąc przy tym pod uwagę, że błędne konkluzje będą ją kosztować znacznie więcej niż utrata futurystycznych „wyników poparcia” ze strony rządowych sondażowni.

Tymczasem prawidłowa ocena decyzji politycznych w obszarze służb specjalnych oraz działań na linii Belweder-rząd, jest dziś dla opozycji nie lada problemem. O ile można zrozumieć, że „nasze” media i publicyści wypisują wierutne fantazje na temat reformy służb (nie widząc nawet jej autorów i nie dostrzegając końcowego celu) lub dokonują oceny decyzji personalnych w oparciu o plotki krążące w tzw. środowisku, o tyle nie sposób pogodzić się z faktem, że kardynalne błędy popełniają sami politycy opozycji oraz ludzie związani ze służbami.

Gdy poseł PiS nazywa niedawną dymisję gen. Noska „*dobrym dniem dla demokracji*” i chwali Donalda Tuska za „*wsluchanie się w słowa opozycji*”, z pewnością zachowuje normy politpoprawności, a nawet przekonuje kilku wyborców o własnej skuteczności. Niewykluczone, że za kilka miesięcy, gdy obecnego szefa SKW zastąpi żołnierz zawodowy, pan poseł będzie mógł powtórzyć swoją „pochwale demokracji”.

Jeszcze lepszy efekt - budowania na piasku mitologii „silnego szefa MSW”, osiąga inny poseł opozycji perorując, iż „*Bartłomiej Sienkiewicz, chce jak najszybciej przejąć służby specjalne w Polsce i podporządkować je sobie. Pierwszym przykładem była dymisja gen. Krzysztofa Bondaryka z funkcji szefa ABW, a teraz przyszła kolej na gen. Noska i zapewne czekają nas następne dymisje*”.

Jakie zaś intencje przyświecają tym, którzy sugerują, jakoby odejście gen. Skrzypczaka to taka sprawa „Szeremietiew-bis” i każą nam widzieć w tej postaci „człowieka honoru” - nie chcą dociekać.

Pewne jest, że za błędy popełniane w tak ważnych obszarach spraw publicznych, trzeba płacić adekwatną cenę. Poseł Kaczmarek chwalać we wrześniu br. „demokrację” III RP podzielił się swoimi oczekiwaniami związanymi z dymisją gen. Noska i wyznał: „*Liczę, że skończą się działania inwigilujące działaczy opozycji, mówię o podsłuchach, obserwacji, które stosował Janusz Nosek wobec polityków PiS. Szafę Lesiaka już przeżyliśmy, znamy to z historii, jak opozycja była inwigilowana przez służby. Dość tych haniebnych praktyk*.”

Nietrudno zauważyć, że gdyby opinie posła opozycji odpowiadały rzeczywistości, nie tylko nie doszłoby do „lesiakowej” prowokacji wobec prof. Cieszewskiego, ale przede wszystkim nie miałyby miejsca eskalacja ataku na Antoniego Macierewicza, w której doskonale widać „nową” praktykę działań SKW. W obu przypadkach mamy też do czynienia z aktywnością ludzi służb specjalnych i ich ścisłą współpracą z funkcjonariuszami ośrodków propagandy.

Ujawniła się ona na jeszcze jednym polu, gdy parlamentarzyści z ruchu posła na P. podjęli próbę powołania parlamentarnego zespołu „ds. zbadania likwidacji WSI i skutków tego procesu dla obronności Polski”. Informacja o skutecznym przejęciu tej inicjatywy przez posłów PiS, przyćmiła sens tej szczególnie groźnej kombinacji.

Łatwo też dostrzec, że dymisje szefów służb w niczym nie zmieniły pozycji ministra Sienkiewicza, nie przydały mu cienia realnej władzy ani grama dodatkowych kompetencji. Nie skorzystał na nich również Donald Tusk. Pozwoliłby natomiast na ograniczenie uprawnień cywilnego kontrwywiadu i uczyniły z kontrwywiadu wojskowego całkowicie bezwolne narzędzie w walce politycznej. Zastąpienie złych, nieudolnych (lecz powiązanych z Platformą) dotychczasowych szefów, bezbarwnymi ludźmi „drugiego szeregu”, nie tylko nie posłużyło wzmocnieniu interesów grupy Tuska lecz przesunęło centrum decyzyjne z dala od rządu. „Zagospodarowany” przez MON Krzysztof Bondaryk stał się np. nominalnym szefem Narodowego Centrum Kryptologii, by pod okiem wojskowych kryptologów rozwijać swoje pasje na chwałę i pożytek Pałacu Prezydenckiego.

Tak się bowiem składa, że ludzie analizujący wydarzenia ze świata służb z zaskakującą łatwością pomijają jedyne środowisko i jedynego decydenta, który odnosi korzyści z tych zmian.

Czytelnicy mojego bloga doskonale wiedzą, że od ponad dwóch lat forsuję tezę, że wszystkie decyzje w obszarze służb specjalnych oraz reformy Sił Zbrojnych znajdują źródło w tzw. rekomendacjach i planach Belwederu, powstałych w ramach Strategicznego Przeglądu Bezpieczeństwa Narodowego (SPBN) i służą budowaniu reżimu prezydenckiego.

Ta teza znajduje dziś kolejne potwierdzenie, zaś kluczem do obecnych rozsad wydaje się nowelizacja ustawy - Przepisy wprowadzające ustawę o Służbie Kontrwywiadu Wojskowego oraz Służbie Wywiadu Wojskowego oraz ustawę o służbie funkcjonariuszy Służby Kontrwywiadu Wojskowego oraz Służby Wywiadu Wojskowego.

Projekt MON (początkowo z dnia 16 października 2012 roku) stał się przedmiotem zaawansowanych konsultacji i uzgodnień, do których zaproszono również żołnierzy byłych WSI, skupionych w stowarzyszeniu SOWA. Z wykazu prac legislacyjnych zamieszczonym w KPRM wynika, że nowela ma zostać przyjęta w IV kwartale br.

O projekcie tym informowałem w dwóch tekstach: z marca br. – „USTAWA O REAKTYWACJI WSI” i z października - „Z DESZCZU POD RYNNĘ”.

Treść noweli odnosi się m.in. do procedury "uzupełnienia raportu" z Weryfikacji WSI, zaś przewidziane w niej środki prawne mają ułatwić ponowną weryfikację żołnierzy i funkcjonariuszy byłych WSI. Relacjonując założenia tej ustawy w marcu br. napisałem, że *„uzupełnienia mogą sporządzić tylko szefowie SKW lub SWW. W perspektywie planowanej reformy służb, staje się oczywiste, że szefowie tych służb zostaną postawieni wobec alternatywy: albo przygotowują „uzupełnienie”, zgodnie z interesem „pokrzywdzonych” raportem ludzi WSI, albo odejdą ze stanowisk.”*

Z perspektywy ostatnich tygodni wyraźnie widać, że dymisja Noska była efektem rozsad związanych z planami Belwederu i mogła mieć na celu ułatwienie realizacji interesów ludzi byłych WSI. Już na początku br. roku było wiadomo, że Kancelaria Prezydenta rozsyła pisma do urzędów i służb podległych premierowi, pytając je o lokalizację materiałów badanych przez Komisję Weryfikacyjną WSI.

Z chwilą odejścia Noska, SKW nie tylko została zaangażowana w nagonkę na Antoniego Macierewicza i Komisję Weryfikacyjną, ale ruszyła procedura przygotowań do sporządzenia „uzupełnienia” Raportu z Weryfikacji. Jestem przekonany, że płk Pytel nie będzie stawiał żadnych przeszkód w sprawnym przeprowadzeniu tej procedury. Działania postanowiono poprzedzić kampanią dyskredytowania przewodniczącego Komisji Weryfikacyjnej. Inicjatywa grupy posłów z partii przyjaciela Bronisława Komorowskiego oraz sterowany dokumentami SKW atak dotyczący sprawy rzekomego tłumaczenia raportu, są sygnałem, że ludzie „wojskówki” przystąpili do ofensywy. Można się spodziewać, że jest to dopiero początek kampanii.

Wypowiedziana przed kilkoma dniami „rewolucyjna” teza gen. Dukaczewskiego, iż *„publikacja raportu ws. WSI była ujawnieniem tajemnicy niezwykle istotnej dla bezpieczeństwa państwa”*, wsparta oskarżeniem, że *„na opublikowaniu tzw. raportu Macierewicza skorzystali terroryści oraz obce wywiady”* oraz groźba sformułowana przez jednego z posłów partii przyjaciela Komorowskiego: *„Macierewicz stanie przed sądem i odpowie za swoje grzechy”* – wytyczają ogólny kierunek obecnych działań.

O znaczeniu ustawy może też świadczyć fakt, że właśnie Czesław Mroczek – sekretarz stanu w MON odpowiedzialny za opracowanie projektu nowelizacji został obecnie awansowany na miejsce gen. Skrzypczaka i będzie nadzorował zakupy uzbrojenia i sprzętu wojskowego.

Ten obszar objęty jest bowiem szczególną troską lokatora Belwederu. Projekty, nazwane już „doktryną Komorowskiego” tylko pozornie wydają się nonsensowne. Posłużą one generowaniu olbrzymich środków na rzecz środowisk związanych z przemysłem zbrojeniowym i – jak się wydaje – mają związek z reaktywacją wpływów byłych WSI oraz planami związanymi z budową reżimu prezydenckiego. Jednym z elementów tego planu byłby zamysł powierzenia ludziom „wojskówki” nadzoru nad technologiami wojskowymi oraz zaangażowanie tego środowiska w procesy gospodarcze związane z modernizacją Sił Zbrojnych.

Natomiast w kontekście wymuszonej dymisji gen. Skrzypczaka (w związku z którą doczekaliśmy się wielu fantastycznych hipotez), warto przypomnieć kilka faktów:

- projekt tzw. „modernizacji sił powietrznych”, a w jego ramach zastąpienia wysłużonych Su-22 innymi samolotami lub przejęcia części ich zadań przez bezzałogowe statki powietrzne, to koncepcja niezwykle bliska gen. Koziejowi i w pełni wspierana przez Belweder.

- tak się składa, że przyspieszenie działań medialnych związanych z osobą Skrzypczaka, nastąpiło tuż po listopadowej wizycie Bronisława Komorowskiego w Izraelu.

- podawana przez „nasze” media tytułem „wytłumaczenia zaskakującego listu gen. Skrzypczaka do koncernu Elbit” rewelacja, iż kody źródłowe dronów oferowanych przez konkurencyjną firmę są w rękach Rosjan, nie jest warta funta kłaków, zaś użycie tego „argumentu” przez samego Skrzypczaka stawia postać generała w szczególnie niekorzystnym świetle. Nie tylko dlatego, że ów news jest znany co najmniej od roku i był znany Skrzypczakowi w listopadzie 2012 roku, gdy prowadził rozmowy z gen. Shmaya Avielem z izraelskiego ministerstwa obrony, ale i z tej przyczyny, że zestrzelone przez Rosjan w marcu i kwietniu 2008 roku gruzińskie drony zostały wyprodukowane właśnie przez firmę Elbit System, z którą generał prowadził korespondencję. Można zatem sądzić, że to do tych maszyn Rosjanie uzyskali kody. Skoro gen. Skrzypczak wskazuje na takie okoliczności, to zasada ograniczonego zaufania do kontrahentów izraelskich powinna w równym stopniu dotyczyć firmy Israel Aerospace Industry (IAI), jak i Elbit System. W takiej sytuacji, argument „z kodów” nie wydaje się przekonujący.

Jeśli w kontekście tej dymisji mówi się o „grach lobbystów i obcych wywiadów”, nie trzeba ich szukać w dalekich regionach świata ani przedstawiać gen. Skrzypczaka jako „ofiary zakulisowych działań”. Wystarczy cierpliwie poczekać na rozstrzygnięcia zakupów uzbrojenia i wykazać się pamięcią nieco dłuższą niż odległość od ekranu telewizora.

Cierpliwość i pamięć nie wystarczą jednak, by skutecznie zablokować proces budowania reżimu prezydenckiego. Nie sprzyja temu wartość analiz wygłaszanych przez posłów opozycji ani praktyka omijania wątku belwederskiego.

Na temat noweli ustawy o reaktywacji WSI usłyszymy zapewne wówczas, gdy trafi pod obrady Sejmu. Jej uchwalenie będzie okazją do kilku poselskich wystąpień i wywoła zalew wnikliwych artykułów w „naszych” mediach. Taką bowiem sekwencję opozycja odgrywa od lat.

O tym, że będą to żale daremne i spóźnione – nikt nie odważy się przypomnieć.